

PODGLĄD

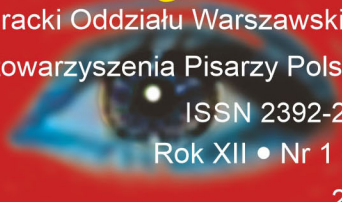
Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok XII • Nr 1 (40)

2026



J. Andrzejczak
E. Antolik
M. Baczyńska
K. Bielecki
J. Binkowski
P. Bitka Zapendowski
T. Bochwic
K. Boruń-Jagodzińska
S. Chwin
R. Częstochoowski
M. Dąbrowski
A. Frajlich
J. Goszczyńska
H. Heine
F. Kafka
J.A. Kobierski
J. Koryl
A. Książek
I. Kukuszka Glinka
A.W. Kulik
G. Kurylewicz
M. Lars
K. Lednická
B. Leśmian
A. Lis
A. Łukaszewicz

M. Mamczur
W. Mandryka-Bukowiński
U. Michalak
A.M. Mickiewicz
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
G. Obrąpalska
M. Olbromski
A. PateyGrabowska
M.J. Piasecka
M.K. Piekarska
Li Qinzha
R.M. Rilke
K.S. Schreyer
J. Sikora
M. Sołtysik
S. Stalmach
B.L. Surowska
J.J. Szczepański
J. Śleszyński
J. Taranienko
G. Walczak
O. Wójcik
Wei Yingwu
Z. Zarębianka
Z. Zbikowski



Danuta Cirlić-Straszyńska

Pijany

Z cyklu: *W leśniczówce*

Przez las idzie pijany
Czerwone rany na głowie porąbanej
Zawadza głową kudłatą
Słodką od krwi i wódki
O ostrą chłodną gwiazdę nad świerkami
Wołał: Ja wam pokażę
Jeszcze mnie poznacie
Jeszcze zobaczycie

Nic nie pokazał
Nic nie poznali
Nic nie zobaczyli

Omszały konar podciął go jak kosą
Leży twarzą w podmokłym mchu
Pod pięknym wachlarzem sosen
Z granatową nogawką unurzaną w glinie

Śpij synku śpij...

1956

Andrzej Bursa

Skan z tomu: Andrzej Bursa, *Wiersze*
Crime & Thriller, Toruń 1993



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

POD
GLĄD

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok XII Nr 1 (40) 2026

Adres Redakcji: <http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Małgorzata Karolina Piekarska

Zastępcy redaktora naczelnego

Zbigniew Zbikowski

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium redakcyjne

prof. Anna Nasiłowska

prof. Piotr Müldner-Nieckowski

prof. Zofia Zarębianka

Korekta

Krzysztof Bielecki, Sylwia Gibaszek

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Zbigniew Zbikowski, Zofia Zarębianka

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich SPP

Druk

Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, Ciurlionisa 4

<https://www.mcpdruk.pl/>

WSTĘP

Małgorzata Karolina Piekarska

Z optymizmem patrzymy
w przyszłość3

Z ŻYCIA OW SPP

Anna Nasiłowska

Jan Józef Szczepański i okres
transformacji ustrojowej
w środowisku literackim.5

Zgłoszenie udziału w konkursie

XVI Warszawska Nagroda
Edukacji Kulturalnej 2025 24

DRAMAT

Paweł Bitka Zapendowski

Z Paszportem dla Poświatowskiej
do Paryża.32
Paszport dla poetki 34

Ryszard Częstochowski

Zabić nie zabić 39

Piotr Müldner-Nieckowski

Wracając po swoje 50

DLA DZIECI, MŁODZIEŻY

Małgorzata Karolina Piekarska

Zniknięcie Ila 63

ESEJ, KRYTYKA, FELIETON

Krzysztof Bielecki

Wiosenny spacer J. Binkowskiego ... 67

Anna Frajlich

Październikowa podróż po Polsce .. 69

Irena Kukuszka Glinka

O książce: Leśmian, Leśmian...
Adama Kulika75

Agnieszka Lis

Felieton / Między nami 3,
Różność 94

Adam Łukaszewicz

Cud w Edfu, Język za oknem,
Wokół Pałacu Kultury 96

Krzysztof Saturnin Schreyer

O książce Alicji Patey-Grabowskiej
W lustrze na opak113

Jerzy Sikora

Wiersze słodko-gorzkie
(Urszula Michalak)116

Barbara Surowska

Skąd się wzięło robactwo u Kafki? .119

Ołga Wójcik

Aniele Boży, stróżu mój 125

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Wiersze 130

Ewa Antolik

Wiersze 134

Maja [Maya] Baczyńska

Wiersze 136

Jerzy Binkowski

Wiersze 138

Teresa Bochwic

Wiersze 144

ks. Janusz A. Kobierski

Wiersze 147

Andrzej Książek

Wiersze 153

Gabriela Kurylewicz

Wiersze 157

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Wiersze 161

Anna Maria Mickiewicz

Wiersze 164

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiersze 167

Grażyna Obrąpalska

Wiersze 170

Mariusz Olbromski

Wiersze 173

Alicja Patey-Grabowska

Wiersze 177

Maria Jolanta Piasecka

Haiku klasyczne zimowe 182

Krzysztof Saturnin Schreyer

Wiersze 183

Jerzy Śleszyński

Wiersze 189

Janusz Taranienko

Yizkor 191

Grzegorz Walczak

Wiersze 200

PROZA

Stefan Chwin

Gombrowicz i „dusza polska” 209

Dziennik pisany w Gdańsku 211

Max Lars / Stefan Chwin

Piratki. Przygody trzech kobiet . . . 215

Michał Dąbrowski

Koncert 225

Adam Wiesław Kulik

Nostalgia Wschodu. Jaćwieska

rubież 237

Maria Mamczur

Marcel w skromnej sukience 250

Pstryk 260

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Nachher POTEM 269

Alicja Patey-Grabowska

Warszawska Arkadia 288

Maria Jolanta Piasecka

Poniedziałek, a może wtorek 290

Marek Sołtysik

A jednak kobieta 293

Sławomir Stalmach

Tulipany 298

PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jan Anastaz Opasek OSB 305

Joanna Goszczyńska

Karin Lednická 307

Barbara L. Surowska

Heinrich Heine 313

Rainer Maria Rilke 315

Zbigniew Zbikowski

Wei Yingwu 318

Li Qinzhaoh 319

**BIBLIOTEKA KWARTALNIKA
LITERACKIEGO „PODGLĄD”**

1. Zofia Zarębianka – *Zgasło* 321

2. Piotr Müldner-Nieckowski –

Gdy przy tobie 325

3. Janusz Koryl – *Lista obecności* . . . 329

Na okładce: Danuta Ciriłic-Straszyńska (1930-2025)

Fot. Piotr Müldner-Nieckowski 2016

Małgorzata Karolina Piekarska

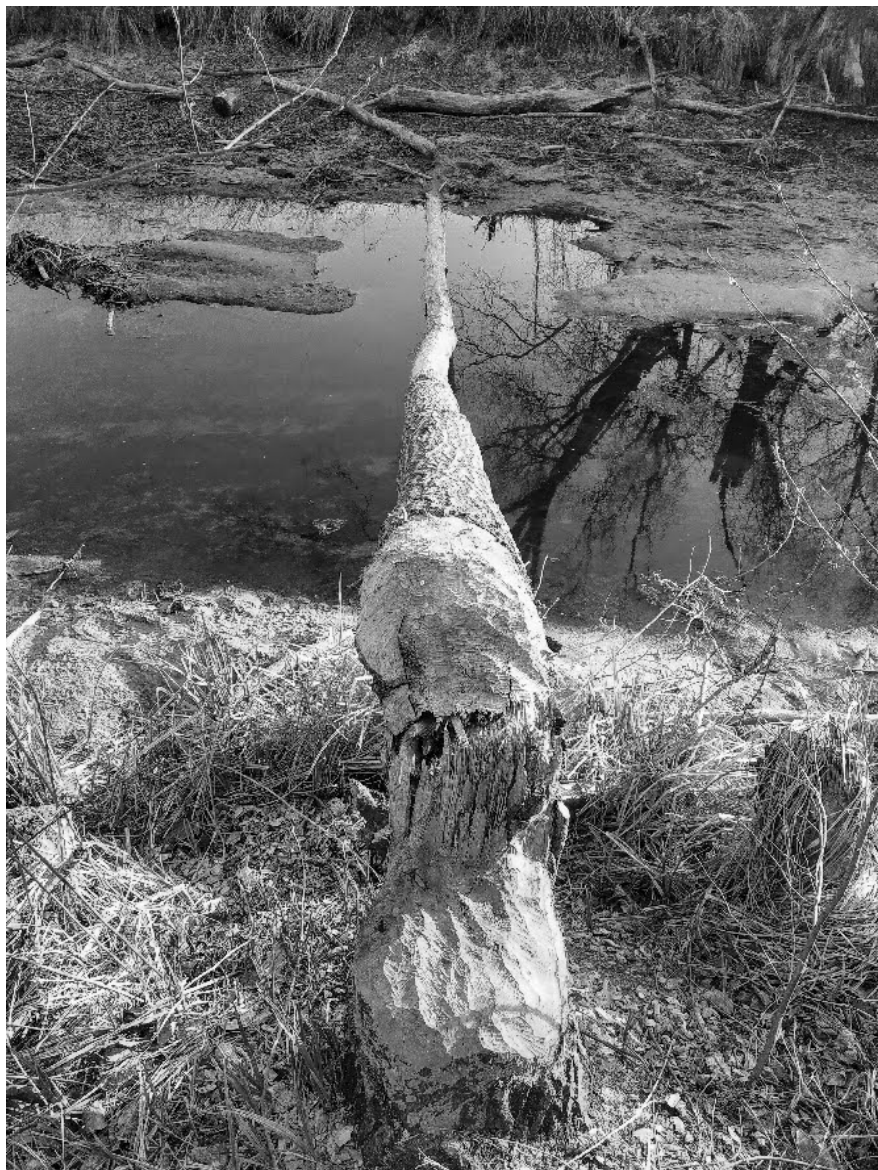
Z optymizmem patrzymy w przyszłość

Tym numerem wchodzimy w jedenasty rok ukazywania się pisma. Przez dekadę staliśmy się tytułem rozpoznawalnym, a o kolejne numery upominają się nawet biblioteki, które nie figurują na liście uprawnionych do otrzymywania egzemplarza obowiązkowego. Jakby tego było mało – nasze teksty są wykorzystywane przez zespół IPI PAN, pracujący nad Korpusem Współczesnego Języka Polskiego (KWJP).

Co jest niezwykle ciekawe, na łamach kwartalnika swoje teksty prezentuje coraz więcej autorów z naszego środowiska. A to oznacza, że coraz więcej pisarzy pozwala podglądać proces twórczy i relacjonuje swoje najnowsze osiągnięcia pisarskie. Coraz częściej rozwinięte są nie tylko najpopularniejsze działy, czyli poezja i proza, ale też eseistyka, krytyka, felietony oraz dramat. To ostatnie wynika zapewne z prostego faktu, że przez ostatnie dwa lata w Domu Literatury odbywały się publiczne czytania dramatów.

Uruchomiliśmy też Bibliotekę Podglądu. Wprawdzie na wydawanie nie mamy żadnych dotacji, ale wszystko odbywa się dzięki pracy społecznej oraz funduszom osób prywatnych, i jest! Już trzy tomiki poezji opuściły drukarnię i są dostępne w księgarniach internetowych, co niezwykle nas cieszy. Dlatego mimo wielu problemów, głównie natury materialnej, z którymi boryka się nasza redakcja – z optymizmem patrzymy w przyszłość. Dla nas – szklanka jest zawsze do połowy pełna. Przede wszystkim pełna dobrych, ciekawych i różnorodnych tekstów literackich.

Małgorzata Karolina Piekarska



Pień bobrowy. Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska 2021

Anna Nasiłowska

Jan Józef Szczepański i okres transformacji ustrojowej w środowisku literackim¹

Okres 1980-1983, od wyboru Jana Józefa Szczepańskiego na Prezesa Związku Literatów Polskich po zmarłym 2 marca 1980 roku Jarosławie Iwaszkiewicz, został opisany dość dokładnie w książce *Kadencja*². Statut, przyjęty przez nowo powołany Związek Literatów Polskich w październiku 1983 roku, zawierał punkty mające wskazać lojalność wobec władz PRL, jako podstawę formułując to za pomocą frazy „respektowanie konstytucyjnych zasad ustrojowych”, stawiał wymóg posiadania obywatelstwa polskiego (wykluczając tym samym emigrantów, w tym emigrantów z Marca 1968) i przewidywał możliwość wykluczenia z listy członków za współpracę z krajowymi lub zagranicznymi ośrodkami działalności sprzecznej z interesami PRL.³

Dawny Zarząd rozwiązanego ZLP spotykał się więc poza oficjalnymi strukturami, korzystając z immunitetu Kościoła. W dniu 16 marca 1985 doszło do spotkania w Tyńcu pod hasłem uczestnictwa w „dniach skupienia”. Przed wyjazdem do Tyńca Jan Józef Szczepański podjął przybyłych śniadaniem u siebie w domu. W swoim *Dzienniku* pisarz zanotował dość lakoniczną relację, zapis Sterny-Wachowiaka, który uczestniczył w „straszonym (bo za wczesnym) śniadaniu”. Opis ten jest malowniczy, pisarz zadbał o gościa, podsuwał mu twaróg ze szczypiorkiem, jajecznicę, sery, po czym

¹ Artykuł publikowany w książce *Jan Józef Szczepański, pisarz na czas nie-pokoju*, red. Łukasz Tischner, Jan Zięba, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2025.

² Jan Józef Szczepański, *Kadencja*, Libella, Paryż 1988 i następne wydania.

³ S. Sterna-Wachowiak, *Okiem Aborygena czyli „tego kto był tu od początku”*, w: *Trzydzieści lat (i więcej) Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, Warszawa 2019, s. 39-83 (książka jest dostępna w sieci w formacie PDF, http://podglad.com.pl/?page_id=1077). Odpowiednie paragrafy ówczesnego Statutu ZLP, s. 48.

dżem i miód, a gdy i ta wersja nie znalazła aprobaty – pęto wiejskiej kiełbasy z Kasinki. W skupieniu w Tyńcu uczestniczyły 22 osoby ze środowiska, w *Dzienniku* Jan Józef Szczepański, nawiązując do referatu Jacka Łukasiewicza o wymianie pokoleń pisarskich, zanotował:

„Wszyscy wyzwolili się już z kompleksu funkcjonowania bez Związku. Związek przestał być potrzebą. Zastąpiło go poczucie profesjonalnej solidarności, mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem”⁴.

Brak instytucjonalnych struktur doskwierał, zwłaszcza że nawet prywatne spotkania pociągały za sobą czasem restrykcje ze strony władz. Sergiusz Sterna Wachowiak przedstawia zatrzymanie w środowisku poznańskim, do którego doszło 26 października 1985 w mieszkaniu Teresy i Jerzego Korczaków, gdzie miał się odbyć obiad. Było to nieformalne spotkanie środowiska, z udziałem gości z Krakowa, Warszawy (Andrzej Braun, Kazimierz Dziewanowski, Andrzej Jarecki) i Szczecina (Jerzy Pachlowski) oraz pisarzy poznańskich. Uczestniczący w nim (wówczas docent) Edward Balcerzan miał następnego dnia odebrać dyplom profesorski w Warszawie, tymczasem został aresztowany. Jan Józef Szczepański nie mógł pojechać na spotkanie, ale naturalnie został o wszystkim powiadomiony; sprawa obiadu u państwa Korczaków zresztą zrobiła się głośna i polityczna, gdy rzecznik rządu Jerzy Urban powiedział oficjalnie o udaremnieniu nielegalnego spotkania dawnego Związku.

Atmosfera polityczna powoli zaczynała jednak się zmieniać.

W dniu 6 stycznia 1988 dawny Zarząd ZLP spotkał się u Anny Trzeciakowskiej w Warszawie. Zapis w *Dzienniku* mówi o postanowieniu, że zebrani udzielą „Tygodnikowi Powszechnemu” zbiorowego wywiadu. Dalejsza część relacji jest enigmatyczna, ale sugeruje pewien plan: „Dyskutowaliśmy też sprawy fundacji (Episkopatu). Wygląda na to, że Kościół chce się z tego wykręcić”⁵. Kościelny „parasol” nie zawsze działał, miał też pewną cenę – nie wszystkie treści były oczekiwane, nie każdy wiersz można było przeczytać w Kościele, od ołtarza, a w ramach „skupienia” trzeba było gremialnie uczestniczyć w obrzędach.

W świetle poszukiwań, w tym kwerend archiwalnych, podjętych z okazji 30-lecia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, jego geneza nie przedstawia się prosto. Próba powiązania odbudowy organizacji pisarskiej z oparciem na Kościele była jednym z nurtów, ale były też inne koncepcje. W książce

⁴ Jan Józef Szczepański, *Dziennik*, t. V, Kraków 2017.

⁵ *Ibidem*, s. 643.

wydanej przez SPP próbowaliśmy ten temat udokumentować, ja zajęłam się inicjatywą dziś zapomnianą, czyli Sekcją Krytyki powołaną przy Towarzystwie Literackim im. Adama Mickiewicza (TLAM)⁶. Ta inicjatywa, rozszerzająca się na inne miasta (o jej działaniach w Poznaniu pisał Sergiusz Sterna-Wachowiak), miała jednego promotora, był nim Janusz Maciejewski, mój profesor z polonistyki warszawskiej, poza tym krytyk, a także Wielki Mistrz łoży masonskiej. Odsyłam do tego artykułu, choć nie mogę powstrzymać się od uwagi, być może marginalnej, jednak uczącej pokory: jako sekretarz Sekcji Krytyki TLAM byłam w środku wydarzeń, ale sięgając do dokumentów TLAM z Archiwum PAN, zdołałam odtworzyć jedynie część istotnych zdarzeń. Pamięć podsuwa zaledwie niejasne obrazy. Dokumenty z tego okresu przekazałam do Biblioteki Instytutu Badań Literackich (IBL), ale nie znalazły się one w katalogu Zbiorów Specjalnych. Powołanie Sekcji Krytyki TLAM było jedną z inicjatyw, mieszczących się w sferze kultury rozwijającej się oddolnie, ale legalnych. Władze przyglądały jej się uważnie, w marcu 1986 Rektor Uniwersytetu Warszawskiego zabronił spotykania się na warszawskiej polonistyce, ale aresztowań czy chwilowych zatrzymań (jak w Poznaniu) nie było. Poszerzanie obszaru tego, co dozwolone, to jedna z kilku znanych strategii wychodzenia z impasu po stanie wojennym; wśród tego typu działań mieszczą się także inicjatywy „przykościelne”.

Drugim nurtem był oczywiście podziemny ruch wydawniczy, kulturalny i inne tego typu inicjatywy, których opisanie znacznie przekracza ramy tego artykułu i jedynie zaznaczam tę sprawę. Ważne były także inicjatywy z okresu „karnawału” czyli lat 1980-1981. Pisarze brali udział w ruchu Solidarności. Jan Strękowski, we wspomnianej już przeze mnie publikacji, przypomina Lecha Będkowskiego, gdańskiego prozaika, który pełnił funkcję rzecznika prasowego strajku w Stoczni Gdańskiej, ale cały artykuł poświęca jednak mniej znanej inicjatywie, jaką był KAFEL czyli Koło Autorów Form Literackich Radia, Estrady, Filmu i Telewizji, która działała pod auspicjami NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze⁷.

Pod datą 20 maja 1988 w *Dzienniku Szczepańskiego* pojawia się zapis, świadczący o inicjatywie Ministerstwa Kultury i Sztuki, a konkretnie ministra Aleksandra Krawczuka. Było to zapytanie o przyjęcie zaproszenia

⁶ Anna Nasilowska, *Lata osiemdziesiąte – Sekcja Krytyki Literackiej TLAM*, w: *Trzydzieści lat...*, op.cit., s. 85- 90.

⁷ Jan Strękowski, *KAFEL, czyli pisarze w Solidarności*, w: *Trzydzieści lat (i więcej)*, op.cit., s. 91-94.

i udział w debacie dawnych i obecnych członków ZLP oraz wydawców, księgarzy i działaczy kultury. Szczepański potwierdził, że zaproszenie przyjmie. Debata odbyła się w Domu Polonii w Warszawie 31 maja; jak notuje pisarz w *Dzienniku*, uczestniczyli w niej także Jan Błoński, Leszek Elektorowicz, Włodzimierz Maciąg, Jacek Woźniakowski i Kazimierz Tracewicz. Minister podniósł sprawę „uśpionego” polskiego PEN: polskie władze nie mogły go rozwiązać ze względu na status międzynarodowej federacji, podejmowały natomiast różne próby uzyskania wpływu na skład Zarządu. Wysyłano także, poza wiedzą polskiego PEN i bez jego akceptacji, samozwańczych „delegatów” na międzynarodowe Zjazdy. W takiej roli występował w Tokio Waław Sadkowski. Aleksander Krawczuk zapowiedział liberalne zmiany: nową ustawę o stowarzyszeniach, możliwość zakładania nowych organizacji, a także powoływania prywatnych wydawnictw. Oświadczył też, że *Kadencja* powinna zostać opublikowana w oficjalnym obiegu, choć z komentarzami. Zapowiedzi, mimo że przełomowe, nie usatysfakcjonowały ani strony rządowej, ani literatów.

Tego rodzaju trudności zaznaczały się w każdej dziedzinie życia. Próbą wyjścia z impasu były rozmowy Okrągłego Stołu. Jak wiadomo toczyły się one od 6 lutego do 5 kwietnia 1989, ale pierwszy zapis na ten temat w dzienniku pisarza pojawia się dużo wcześniej, bo 17 października 1988 jako informacja o nocnym telefonie Krzysztofa Kozłowskiego z informacją, że Lech Wałęsa umieścił prezesa rozwiązanego ZLP „na liście delegacji na rozmowy Okrągłego Stołu”⁸. Oczywiście Wałęsa nie zrobił tego z własnej inicjatywy, raczej za namową kogoś z jego otoczenia politycznego, być może samego Kozłowskiego lub Jerzego Turowicza. Od początku był tu jednak pewien element niejasny, który wkrótce zaczął budzić wątpliwości dziennikarzy: jeśli opozycja to Solidarność – to dlaczego mają się tu pojawiać pisarze? Czy byli członkami związku? Nie, członkami związku zawodowego mogą być wyłącznie osoby zatrudnione na etatach, a pisarze, jeśli mają jakieś etaty, to obok głównej działalności. Długo była to przeszkoda prawna przy ewentualnych negocjacjach o sprawy bytowe środowiska; kwestionowano status organizacji o charakterze twórczym jako reprezentacji zawodowej. W tej chwili ta przeszkoda prawna została usunięta, istnieje na przykład Związek Zawodowy Twórców Kultury, w skład jego rady wchodzi poszczególne osoby z SPP; jednak pozycja zarówno związkowej, jak i twórczej reprezentacji nadal bywa kwestionowana. Zasadnicza

⁸ *Dziennik*, op.cit., s. 702.

idea transformacji: oparcie się na szerokiej, oddolnej reprezentacji różnych środowisk i negocjowania z nimi wprowadzanych regulacji nigdy po 1989 roku nie została zrealizowana, ale już w 1988 zaznaczyła się zasadnicza trudność, gdyż tej reprezentacji dla interesów i dążeń wielu środowisk po prostu nie było, trzeba było ją dopiero stworzyć.

W dniu 22 października 1988 Jan Józef Szczepański uczestniczył w Zebraniu Zarządu PEN, wkrótce, 26 października spotkał się dawny Zarząd ZLP, uczestniczyli w nim Jerzy S. Sito (zebrali się u niego w mieszkaniu), Andrzej Braun, Julia Hartwig, Andrzej Jarecki, Tadeusz Drewnowski, Kazimierz Dziewanowski, Andrzej Szczypiorski, Witold Zalewski). Jan Józef Szczepański pisał: „Postanowiliśmy zwołać w styczniu zjazd pisarzy niezrzeszonych”⁹.

W dniu 24 listopada Jan Józef Szczepański spotkał się z Jerzym Sitą na kolacji. Omawiali szczegóły organizacji zjazdu, ale przedtem dyskutowali o sprawie zasadniczej: czy należy założyć nową organizację, czy dołączyć do ZLP, który jako zwany w środowisku pogardliwie neo-ZLePem, działał, mając siedzibę w Domu Literatury w Warszawie i otrzymując subwencje. W jego Zarządzie były też osoby ze starego Zarządu, wybranego w 1981 roku (np. Wojciech Żukrowski). Jan Józef Szczepański był zdecydowanym zwolennikiem pierwszego rozwiązania, czyli powołania nowej organizacji. Komentował to tak: „Właśnie zerwanie ciągłości, zerwanie tradycji mecenatu państwowego i stworzenie organizacji nowego typu powinno być naszym celem”¹⁰.

To znowu jeden z węzłowych problemów transformacji: przekształcać istniejące (zakłady, organizacje, całe dziedziny życia), czy zakładać nowe, odcinając się od przeszłości, ale nie dysponując żadnym kapitałem na początek. Były jednak pewne wyobrażenia: pomiędzy oczekiwaniem pomocy od Episkopatu a liczeniem na władze samorządowe lub państwowe. Sprawa tej zasadniczej decyzji, czy należało zaczynać od zera, czy jednak powoli wchodzić w istniejące struktury, przekształcając je, jest do tej pory przedmiotem pewnych dyskusji. Powróciły one w okresie, gdy władze samorządu warszawskiego najpierw przestały wspierać SPP, PEN Club i ZLP, a następnie wyliczyły duży czynsz za Dom Literatury w Warszawie, by w 2021 Burmistrz Dzielnicy Śródmieście Aleksander Ferens, powołując się na takie okoliczności jak „wojna w Ukrainie” i spadek dochodów samorządu,

⁹ *Ibidem*, s. 704.

¹⁰ *Ibidem*, s. 711.

zapowiedział nieprzedłużenie umowy, co pozbawiłoby te organizacje siedziby. To sparaliżowałoby ich pracę, a także oznaczałoby likwidację biblioteki, zawierającej unikalne archiwalia, w tym teczki z wycinkami prasowymi, dotyczącymi pisarzy. Z pewnością istnienie silnego ZLP podbudowałoby też prawną o nieprzerwaną ciągłość zarządzania przez środowisko literackie, co jest faktem, ale nie przekłada się na ciągłość prawną jednej organizacji. W grę wchodzi przecież i SPP, i PEN Club. Podobne prawne kłopoty Domu Pracy Twórczej im. Bolesława Prusa w Oborach doprowadziły od tego, że został zlikwidowany w wyniku reprivatyzacji, a dość słabe i podzielone środowisko literackie nie zostało uwzględnione jako strona. Dziel i rządź!, mówi maksyma, zazwyczaj wbrew pierwotnej treści rozumiana tak, że podział osłabia i daje władzy swobodę rządzenia. Środowisk literackich nikt w tamtym momencie nie dzielił, podzieliły je skutki głębokich urazów i różnic politycznych z okresu stanu wojennego, a także działanie poprzez bojkot instytucji (np. telewizja), ale i osób, związanych z reżimem, które weszły do władz stanu wojennego. Takich osób w środowisku neo-ZLP nie brakowało (byli nimi np. Halina Auderska, członkini wspierającego stan wojenny Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, czy Wojciech Żukrowski, któremu odsyłało jego książki za to, że manifestacyjnie popiera generała Jaruzelskiego.

Z tych wszystkich konsekwencji decyzji powziętych w 1988 nie zdawano sobie sprawy, a w tej chwili są nie do cofnięcia. Prezes SPP w latach 2002-2005 Piotr Wojciechowski, teoretycznie wyznając pogląd, że jedność reprezentacji byłaby lepsza ze względu na interes prawny i ciągłość tradycji, uważa ją jednocześnie za całkowicie niemożliwą. Na pytanie, kiedy SPP i ZLP się zjednoczą, odpowiada: nazajutrz po zjednoczeniu organizacji harcerskich w Polsce. Rozbicie ruchu harcerskiego na ZHP i ZHR przyniosło więcej szkód niż współistnienie ZLP i SPP. Ja, jako urzędujący Prezes SPP, przeważnie już nie jestem pytana o takie perspektywy; pomijając względy polityczne i strategiczne, organizacje te przez ponad 30 lat rozwijały się inaczej. Pozostał żal, SPP musiało pracować na swoją markę, podczas gdy ZLP, ze względu na tożsamość nazwy obecnej z nazwą dawną, przynajmniej się do tradycji międzywojennego ZZLP i w ten sposób obchodzi stulecie.

Decyzja o powołaniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zapadła na styczniowym Zjeździe „pisarzy niezrzeszonych”, który odbył się 13-14 stycznia w Seminarium Duchownym, dzięki pomocy ks. Wiesława Niewęglowskiego, kapelana Duszpasterstwa Środowisk Twórczych. Uczestniczyło w nim ponad 200 twórców. Wtedy nie mogła zapaść inna: obrady Okrągłego Stołu

rozpoczęły się dopiero 6 lutego 1989, a ich wynik był trudny do przewidzenia. To nie była decyzja podjęta po wyborach 4 czerwca – Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zostało zarejestrowane formalnie 14 czerwca 1989, ale jak wiadomo tego typu sprawy mają swój bieg, najpierw decyzję zatwierdzają ciała kolegialne, a potem pojawiają się procedury urzędowe i toczy się wszystko dość wolno. Jak na te warunki, stało się to dość szybko: statut i nazwa ostatecznie zostały zatwierdzone przez Zjazd Założycielski 31 maja 1989. Jak niesie wieść – a jeśli pisarze w takich sprawach coś mówią, zwykle jest to informacja istotna – autorem Statutu był mecenas profesor Wiesław Chrzanowski, co w świetle naszej wiedzy na temat ówczesnych personalnych powiązań wydaje się możliwe. Statut ten, z niewielkimi korektami obowiązuje do dziś i odznacza się nieczęstą cechą wśród obecnie uchwalanych aktów prawnych: jest bardzo prosty, zrozumiały dla nieprawnika, formułuje też jasne zasady postępowania. Zasady – a nie procedury, w które wierzą obecni twórcy różnych aktów. Statut definiuje też strukturę Stowarzyszenia, ma ona być regionalna, z terenowymi oddziałami. W ten sposób nowa organizacja powieliła model, znany ze starego ZLP, bo takie były oczekiwania: że mają być lokalne oddziały, koła młodych, spotkania.

Sprawa uczestnictwa Jana Józefa Szczepańskiego w obradach Okrągłego Stołu inaczej wygląda z perspektywy zapisów w *Dzienniku*, a inaczej – w świetle wywiadów prasowych. Tych ostatnich nagle przybyło, przedtem Szczepański pojawiał się w zasadzie tylko na łamach „Tygodnika Powszechnego”, ale od momentu ogłoszenia decyzji o staraniach o powołanie nowej organizacji pisarskiej był często pytany przez dziennikarzy, również prasy codziennej, o szczegóły decyzji i po latach milczenia – także o jego twórczość.

Zgodnie z zapisami w *Dzienniku* już 28 lutego 1989 Jan Józef Szczepański brał udział w podzespolu (czyli „stoliku”) do spraw stowarzyszeń. Pisał: „Wczoraj «stolik» Okrągłego Stołu. Trwało to 8 godzin. Zabrałem głos na temat sytuacji środowiska literackiego. Brałem udział w redagowaniu deklaracji o legalizacji rozwiązanych stowarzyszeń. Potem u Jareckiego. Byli Dziewanowski i Sito”¹¹.

Następnie 2 marca Szczepański wyraził niezadowolenie z efektów rozmów, a także z odegranej przez siebie roli:

„Ta deklaracja «stolika» niejasna. Nie pierwszy raz zdarza mi się nie dopilnować takiej rzeczy do końca. Użycie nazwy ZLP w kontekście

¹¹ *Ibidem*, s. 737, zapis przytaczam z rozwinięciem skrótów.

legalizacji może być rozumiane jako chęć powrotu do dawnych form organizacyjnych. Wczoraj telefonowało do mnie w tej sprawie wiele osób. Nie spałem pół nocy z tego powodu. Rano przekazałem Jareckiemu wyjaśnienie do prasy”.¹²

Wkrótce, bo 8 marca Jan Józef Szczepański znowu uczestniczy w „stoliku” i wyraża głębokie rozczarowanie. Minister Kultury (Aleksander Krawczuk) sabotuje rozmowy, w Krakowie pojawiają się groźby wobec Rektora UJ... Kilka dni później Urban w wypowiedzi publicznej porównuje opozycję do Cyganki, która wyłudza coraz większe datki.

Szczepański 19 marca jedzie do Warszawy, i nie na obrady Okrągłego Stołu, ale na zebranie Komitetu Założycielskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Różne osoby ze środowiska literackiego uczestniczą równoległe w pracach Komitetów Obywatelskich, od Anny Trzeciakowskiej dociera informacja o sporze między Kurońem a Mazowieckim. Mazowiecki chciałby wciągnięcia do komitetu pod egidą Solidarności różnych nurtów opozycji, Kuroń chce jednej, spójnej listy. Te punktowe zapisy niepokojących sytuacji świadczą o narastaniu rozgoryczenia: Okrągły Stół niewiele wnosi do rozwiązania sytuacji środowiska literackiego, zaczynają się też podziały w łonie tak zwanej „opozycji solidarnościowej”. Środowisko literackie, mocno zaangażowane w działania opozycyjne, żywo zainteresowane wartościami demokratycznymi, okazuje się pewnym marginesem w momencie dziejących się przemian, które mają innych liderów opinii i inne niż literatura sprawy na względzie.

Potwierzeń tego poczucia nie ma Szczepański w swym faktograficznym *Dzienniku*, ale wypowiedzi prasowe nie pozostawiają wątpliwości. Będziemy je śledzić równoległe z informacjami do prasy, co pozwala prześledzić transformację jako rozłożony w czasie proces. I tak w „Tygodniku Powszechnym” z 26.02 1989 pojawia się przedruk dokumentów, zamieszczonych również w *Kadencji*, które nie pozostawiają wątpliwości co do stanu prawnego: doszło do likwidacji starego ZLP i zawiązania nowego związku. W rozmowie ze Zbigniewem Włodzimierzem Fronczkiem, zamieszczonej na łamach „Tygodnika Kulturalnego” Jan Józef Szczepański powiedział, że podczas Obrad Okrągłego Stołu postulował powołanie Niezależnego Forum Kultury¹³, niestety, został dopuszczony do głosu „ostat-

¹² *Ibidem*.

¹³ Niezależne Forum Kultury obradowało na Uniwersytecie Warszawskim 1 kwietnia 1989. Jan Józef Szczepański uczestniczył w posiedzeniu.

niego dnia” i był podczas obrad jedynym przedstawicielem środowiska literackiego. Zapowiedział też ukazanie się drukiem *Kadencji*, która już oczekiwała na druk w Wydawnictwie Znak, przeszła nawet – bez uwag, bez ingerencji w tekst – proces zatwierdzenia w cenzurze, zażądano jedynie opatrzenia książki posłowiem¹⁴. Wreszcie i to nie okazało się konieczne, książka ukazała się bez komentarza, a w maju 1990 roku *Kadencję* czytano w odcinkach na antenie II Programu Polskiego Radia.

Dziennikarka „Kuriera Polskiego” Bożena Chodyniecka dopytywała się w wywiadzie, czy ktoś z Zarządu starego ZLP był członkiem Solidarności? Otrzymała odpowiedź, że nie. Rozmowę opublikowano pod znamienym tytułem *Drzwi się uchylili, czy na dłużej?*¹⁵ Jan Józef Szczepański zapowiadał Zjazd Założycielski nowego stowarzyszenia. Prasę interesowało, czy można będzie należeć jednocześnie do dwóch organizacji, odpowiedź brzmiała – nie. Ta zasada w odniesieniu do ZLP i SPP obowiązuje do dziś¹⁶.

„Trybuna Ludu” z wywiadu udzielonego przez Prezesa powołanego już SPP wybijała na tytuł zdanie *Pluralizm może wyjść na dobre polskiej literaturze*. Jan Józef Szczepański zaznaczał, że celem jest: „By przede wszystkim nie korzystać z mecenatu państwowego, bez względu na to, jaki by on nie był. Naszym zamiarem jest nawiązanie do tradycji związku sprzed 1949 roku, związku o charakterze zawodowym”¹⁷. „Rzeczywistość szybko zweryfikowała te zamiary, skrojone nie podług sił; zresztą już uchwalony na Zjeździe Statut widzi cele organizacji inaczej, mówiąc o współpracy.

W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” przeprowadzonym przez Adama Szostkiewicza, jeszcze przed oficjalną rejestracją a po przełomowych wyborach z 4 czerwca 1989, Jan Józef Szczepański stwierdzał, że zadaniem jest „znalezienie formuły dla czegoś, co można nazwać polityką kulturalną środowiska”¹⁸. Zapowiadał, że Stowarzyszenie Pisarzy Polskich będzie chciało uczestniczyć w kształtowaniu nowych stosunków w dziedzinie kultury polskiej. Ta myśl nawiązuje do solidarnościowej idei oddolnego, społecznego tworzenia instytucji i zarządzania w ten sposób całymi dziedzinami życia. Idea ta była kultywowana w większości głównonurtowych

¹⁴ Chodzi o wydanie: Jan Józef Szczepański, *Kadencja*, IW Znak, Kraków 1989.

¹⁵ 23.05.1989.

¹⁶ Nie ma jednak zastrzeżenia o konieczności wyboru między SPP a nowo utworzonym niedawno SUL.

¹⁷ 06.06.1989.

¹⁸ 11.06.1989.

pism podziemia lat 80.; nie trzeba ukrywać, że była sprzeczna z ostro neo-liberalną, wolnorynkową koncepcją, której echa można się doczytać w zapowiedziach likwidacji mecenatu państwowego. Jan Józef Szczepański już wtedy ostrzegał przed jeszcze jednym: recydywą ONR-u.¹⁹ W wywiadzie dla „Polityki”, udzielonym Zdzisławowi Pietrasikowi, Jan Józef Szczepański powiedział coś, co wzburzyło Kisielea, stwierdził, że „pisarz jest z natury opozycyjny” i przed wojną wśród pisarzy dominowały postawy lewicowe – Kisielewski zareagował stanowczym listem do redakcji, sprzeciwiając się tej opinii. Harmonijna współpraca różnych osobowości w ramach nowo powołanego SPP już na wstępie napotykała trudności.

„Trybuna Ludu” w lipcu 1989 zajmowała się dyplomatycznym konfliktem o dawny gabinet Jarosława Iwaszkiewicza w Domu Literatury w Warszawie i impasem w sprawie ewentualnych rozmów między Wojciechem Żukrowskim a Janem Józefem Szczepańskim. Poszło o wiele spraw, ale między innymi o symbol – gabinet, do którego Żukrowski zapraszał Szczepańskiego na rozmowy. Propozycja została odrzucona, gdyż był to też gabinet Jana Józefa Szczepańskiego w okresie jego prezesury w ZLP w 1981. Powstał wobec tego problem siedziby dla nowej organizacji. Tymczasowo ulokowała się ona w pustym mieszkaniu przy ul. Drewnianej w Warszawie, na Powiślu²⁰. Mieściło się tam ok. 40 osób, tymczasem SPP liczyło już co najmniej 600, zapisali się także pisarze przebywający na stałe za granicą, jak Sławomir Mrożek, Kazimierz Brandys, Gustaw Herling-Grudziński czy Stanisław Barańczak. W kolejnych wywiadach Jan Józef Szczepański tłumaczył, że połączenie związków jest już niemożliwe. Natomiast o swojej roli wypowiadał się z pewną rezerwą:

„Sądziłem, że nowe stowarzyszenie powinno być rzeczywiście nowe – pomijając już fakt, że minęło osiem lat i powinni dojść do głosu ludzie młodszy. Zostałem jednak przegłosowany, koledzy uważali, że dla środowiska ważne jest w tym momencie zmanifestowanie ciągłości. Zgodziłem się prezesować do najbliższego zjazdu, który mam nadzieję odbędzie się przed upływem normalnej kadencji. I traktuję tę funkcję jako awaryjną, przejściową. Dla każdego pisarza, który ma zamiar coś jeszcze napisać, to duża przeszkoda w pracy”.²¹

¹⁹ W rozmowie ze Zdzisławem Pietrasikiem, *Patrzeć chłodnym okiem* „Polityka” z 15.01.1989.

²⁰ Piotr Müldner-Nieckowski przypomina sobie, że to mieszkanie załatwił Jerzy S. Sito.

²¹ „Tak i nie”, Katowice, 21.07. 1989, rozmowa z Markiem Basterem.

W innym wywiadzie, z grudnia 1989, Jan Józef Szczepański powiedział: „My nie chcemy rewindykować naszej siedziby na Krakowskim Przedmieściu, ale uważam, że należy nam się udział w takich dobrach jak np. tak zwany fundusz martwej ręki²² (...) Chcielibyśmy też mieć prawo do korzystania na równi z domów pracy twórczej. Środowisko domaga się tego wszystkiego, bo jesteśmy goli, nie mamy nawet swojego lokalu”.²³

Lokal przy Drewnianej był tymczasowy, sprawa korzystania z Domu Literatury oraz z domów pracy twórczej (jeszcze przez kilkanaście lat działały Obory k. Konstancina) domagała się rozwiązania, środowisko oczekiwało powrotu do (nielicznych) przywilejów, jak tanie obiady w Domu Literatury, dostęp do lekarza (była jedna pani doktor), korzystanie z gromadzonej latami biblioteki... Także w Krakowie rozwiązanie wymagała sprawa domu przy ul. Krupniczej 22 oraz lokalu przy Kanoniczej. Stanowisko Szczepańskiego było jasne, chciał organizować od nowa, ale zachowywał się niekonsekwentnie – ze względu na argumenty i oczekiwania różnych osób ze środowiska.

W końcu grudnia 1989 krakowski tygodnik (wciąż jeszcze) „Przekrój” opublikował rozmowę Jana Pieszczachowicza, w której Jan Józef Szczepański skarżył się na nadmiar zajęć, w tym zajęć oficjalnych, polegających na reprezentowaniu i uświetnianiu:

„Jestem teraz trochę jak ten «swadiebnyj gienierał», instytucja znana w carskiej Rosji, gdzie zapraszało się emerytowanych generałów na wesela i inne uroczystości, by przyozdobili swą obecnością towarzystwo przy stole”.²⁴

Z dokumentów znajdujących się w obecnym biurze SPP (w Iwaszkiewiczowskim gabinecie) wynika, że Jan Józef Szczepański wystosował do władz Warszawy list z prośbą o przydział lokalu²⁵. Odpowiedzi raczej nie dostał. SPP wchodziło w nowe czasy bez żadnego kapitału i majątku. Ostatecznie za cichą zgodą Szczepańskiego inicjatywę przejęli pisarze z Warszawy, zwłaszcza Andrzej Braun, wybrany potem na kolejnego Prezesa.

Od lat w biurze Stowarzyszenia poszukiwano umowy z ZLP z roku 1990, na podstawie której dokonano podziału pomieszczeń w Domu Literatury. Dopiero podczas promocji reporterskiej książki Tomasza Potkaja

²² Potoczna nazwa podatku od wydania dzieł, co do których wygasły autorskie prawa majątkowe. W PRL – jedno ze źródeł finansowania stypendiów twórczych.

²³ „Panorama”, Katowice, 3.12.1989.

²⁴ „Przekrój”, Kraków, 31.12.1989.

²⁵ Oryginał w biurze SPP, archiwum nieuporządkowane.

*Akwarium*²⁶, która odbyła się w auli wyposażonej przez projektantów tego wnętrza w latach 1949-1950, dowiedziałam się, że w 1990 żadnej umowy nie było. Po prostu Wojciech Żukrowski postanowił, że odda połowę, o co potem miano do niego w ZLP duże pretensje. Stało się to, gdy Ministerstwo Kultury wystąpiło z inicjatywą powołania fundacji, która jako Fundacja Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej działa do dziś, a której założycielami są trzy organizacje: ZLP, SPP oraz Polski PEN Club, który otrzymał dwa pokoje na II piętrze, obok biblioteki. Dziś słyszy się pretensje: dlaczego pisarze nie zadbali o ważniejsze sprawy niż konflikt polityczny i nie przejęli nieruchomości na własność. Dom Literatury, odbudowany z gruzów na siedzibę ZLP w 1949 roku (wykańczanie trwało do 1950), stał się własnością Skarbu Państwa, a po reformie samorządowej – wykonawcą zarządu stała się Dzielnica Śródmieście. To, że trzeba go będzie bronić przed demokratycznie wybranymi władzami, nikomu nie przyszło do głowy, ale Jan Józef Szczepański już pod koniec 1990 roku wypowiadał opinię, że kultura jest marginalizowana:

„W kampanii wyborczej ani razu nie padło słowo «kultura». Moje wcześniejsze wystąpienia w obronie kultury podczas obrad Okrągłego Stołu, na które zgodę dostałem zresztą w ostatniej chwili, to był taki cichy pisk, który nie miał, jak widać, żadnych konsekwencji”.²⁷

W innym wywiadzie, dla „Dziennika Polskiego”, wyrażał to samo jeszcze dobitniej:

„W czasie obrad Okrągłego Stołu nikomu nie przyszło na myśl, aby upomnieć się o odrębny stolik – stolik kultury. O kulturze właściwie nie było mowy. Ten stan rzeczy się utrzymuje. Ja zupełnie się nie znam na ekonomii. Wierzę, że plan Balcerowicza jest mądry i doprowadzi do jakichś skutków, ale mam wrażenie, że w niektórych dziedzinach cechuje go schematyczność spojrzenia na sprawy całościowe rozwoju społeczeństwa. Rozumiem, że trzeba ukrócić ingerencję państwa, wyrażającą się dotacjami. Na pewno tak! Zresztą same środowiska kultury walczyły o to, by wydstać się spod mecenatu”.²⁸

²⁶ Tomasz Potkaj, *Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich w PRL-u*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022.

²⁷ „Wprost”, 30.12.1990. Rozmawia Wiesław Kot, wywiad zatytułowany *Pożegnanie z inżynierami dusz*.

²⁸ „Dziennik Polski”, 10.11.1990, Rozmawia Zbigniew Krzyszczyniak, rozmowa zatytułowana *Łatwiej odbudować rynek niż naprawić szkody w kulturze*. Ten sam dziennikarz opublikował też rozmowę z Janem Józefem Szczepańskim w piśmie „Wieczór” z 18.02.1990, zatytułowaną *Ratunek w Fundacjach*.

W tym samym wywiadzie Jan Józef Szczepański zauważał też wyczerpywanie się mecenatu Kościoła w kulturze. Wspomaganie to było ważne w stanie wojennym, jako ochrona przed opresyjnymi działaniami władz. W normalnych warunkach kultura powinna rozwijać się jednak samodzielnie, aby mieć całkowitą wolność opinii.

Pisarz obserwował bankructwa wydawnictw, chaos w podupadających instytucjach kultury, zwycięstwo komercji, przed którym przestrzegał, podając przykłady z obserwacji niemieckiego rynku książki. W tym samym czasie w mediach toczyła się dyskusja na temat roli inteligencji i intelektualistów – inteligencję miała zastąpić stabilna i zamożna klasa średnia, a intelektualistów – profesjonalni eksperci i menażerowie. Pisarze po 1989 w początkowym okresie pojawiali się w mediach jako świadkowie tego procesu. Warto przypomnieć w tym miejscu napisaną z większej perspektywy czasowej obserwację Jacka Bocheńskiego:

„Sto tysięcy razy przemielono językami w ostatnim dziesięcioleciu te formułki: kompromitacja intelektualistów, koniec inteligentów z misją, inteligencję zastąpi klasa średnia (inaczej: biznesmeni), intelektualistów zastąpią płatni specjaliści, niech inteligent przyjmie to do wiadomości, niech sobie nic nie uzurpuje”.²⁹

Jan Józef Szczepański złożył rezygnację z funkcji Prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich 9 czerwca 1990 roku. O tym fakcie informowały telewizyjne „Wiadomości” w głównym wydaniu. Najpierw wprowadzenie dziennikarki Olgi Branieckiej, potem krótka odpowiedź pisarza na pytanie:

„Ten budynek przy Krakowskim Przedmieściu do niedawna był przedmiotem zażartych sporów. Dom Literatury dotąd dzielił środowiska, a dziś, sam podzielony, być może połączy. Na pierwszym piętrze po prawej Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, po lewej Związek Pisarzy Polskich (sic!). Wspólna biblioteka piętro wyżej. A na wprost sala konferencyjna, gdzie rozpoczął się rano 2-dniowy walny zjazd Stowarzyszenia, który uchwalili nowy Statut i wybierze nowe władze. Dotychczasowe są już cokolwiek zmęczone. Kadencja była długa i burzliwa.

DTV: Dlaczego w takiej chwili składa Pan broń? I przekazuje ster w inne ręce?

Jan Józef Szczepański: Uważam, że to jest najodpowiedniejsza chwila. Już największe kłopoty mamy za sobą. Mam nadzieję, że nowy Zarząd będzie miał łatwiejsze zadanie, niż myśmy mieli. W końcu ta kadencja,

²⁹ Jacek Bocheński, *Kaprysy starszego pana*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 2004, s. 57.

choć tylko roczna i skrócona, dla mnie osobiście jest kadencją trwającą już od 20 lat. Więc to wystarczy”.³⁰

Znamienna pomyłka, to było 10 lat; pewnie ze względu na trudności – czas liczył się podwójnie. Odchodząc z funkcji, żegnany owacją na stojąco, wybrany na Honorowego Prezesa, miał Szczepański okazję zająć po raz pierwszy do swojego dawnego gabinetu w Domu Literatury: „Zajrzałem do mojego gabinetu, gdzie prawie nic się nie zmieniło”.³¹

Niewiele się zmieniło do dziś, stoją tu te same meble, które pamiętają jeszcze Prezesa Iwaszkiewicza. Ani cenne, ani wygodne. Najcenniejszy – mówię zwykle, oprowadzając gości – jest tu widok z okna, na Plac Zamkowy, Kolumnę Zygmunta i odbudowany Zamek Królewski. Od roku 1990 przybyło pamiątek. Najważniejsze jest niezauważalne gołym okiem: zmieniła się epoka. Proces zmian był trudny, ryzykowny, wymagał cierpliwości i rozważań.

Ustępując z funkcji prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Jan Józef Szczepański miał powody, by czuć ulgę. Przekroczył już 70 lat, gdy sprawowanie funkcji wymagało od niego wielokrotnych podróży pociągami z Krakowa do Warszawy, często nocowania u rodziny lub przyjaciół, pisanie pism urzędowych, nieustannych konsultacji w gronie Zarządu, w trakcie których dochodziło do różnic zdań. W ostatnim tomie dziennika znajdujemy zresztą pewne odbicie tych sporów, na przykład Stanisław Lem chciał wystąpić z SPP w proteście przeciwko nagrodzeniu Marty Fik za książkę *Kultura polska po Jałcie* – bo autorka go pominęła. Były też poważniejsze sprawy i konflikty na tle różnic postawy wobec ZLP; niektórzy jednak spodziewali się współpracy obu organizacji.

Po 10 latach od Okrągłego Stołu Jan Józef Szczepański w *Dzienniku* oburzał się na niesprawiedliwą krytykę tych negocjacji: „To, czym był Okrągły Stół, przekraczało wyobraźnię zarówno opozycji, jak i reżimu”³². Jego stan zdrowia stopniowo się pogarszał, mimo wycofania się z wielu form aktywności nie zdołał powrócić już do pisania, reagował jednak na doraźne zamówienia, a tych zawsze było dużo: prośby o wywiad, komentarz, wspomnienie, wypowiedź, czy artykuł. Zajmował się też doraźnie

³⁰ Teczka pisarza w Bibliotece Domu Literatury, wycinki Glob, spisana treść informacji „Wiadomości” z Programu I TVP.

³¹ *Dziennik*, op.cit., t. VI, Kraków 2019, s. 44.

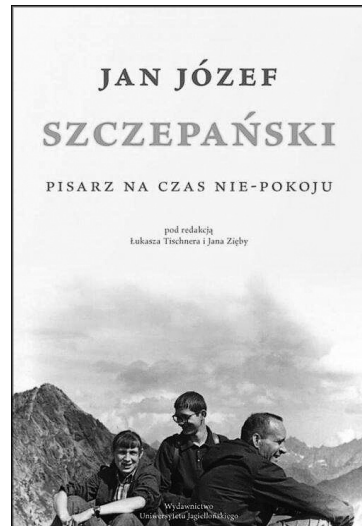
³² *Dziennik*, op.cit., t. VI, s. 811.

sprawami SPP i PEN Clubu, ale nie brał już głównej odpowiedzialności za te organizacje.

Myślę, że skomplikowane dzieje aktywności Szczepańskiego w ciągu trzech lat, w trakcie których najpierw panowała niepewność, a potem wielokrotnie okazywało się, że z odzyskaną wolnością są problemy; pisarz zmieniał zdanie i korygował wcześniej zajęte stanowisko. Mówi to wiele o jego stosunku do historii. Swoją rolę przyjął i spełniał ją najlepiej, jak potrafił, uznając, że są momenty, w których indywidualne dążenia, nawet twórczość, muszą ustąpić przed zobowiązaniami o charakterze szerszym. Historia procesu transformacji w środowisku literackim pokazuje też, jak odbywała się wielka zmiana: właściwie nikt nie był do niej przygotowany, nic nie zostało zaplanowane wcześniej ani przemyślane jako spójny projekt.

Anna Nasiłowska

Jan Józef Szczepański
Pisarz na czas nie-pokoju
 red. Łukasz Tischner, red. Jan Zięba
 Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego
 Kraków 2025
 Wydanie 1
 Dział: studia literaturoznawcze
 Stron 452
 ISBN: 978-83-233554-3-4



**POKŁOSIE POETYCKIE SPOTKANIA
OPŁATKOWEGO Z OKAZJI
BOŻEGO NARODZENIA 2025
MÓWIONE NA NIM WIERSZE...**

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Na kolędowanie 2025/2026

Ech, napisać kolędę pocziwą,
taką zwykłą, uczciwą kolędę,
niech poeta swą ironię schowa,
bez patosu, bez smutnych akcentów,
niech się pastuch kłania, anioł śpiewa,
niech choinka pachnie zdrowo i nie kłuje,
niech się w szopce ogrzeje żywina,
dziecię niechaj nie płacze za wiele,
i nie zziębnie i niechaj nie blednie
ta Rodzina nie całkiem typowa.
Oberżysta niech nie będzie chciwy,
tyran Herod za dziesiątym morzem,
zaśpiewamy taką w zgodnym chórze.
Daj nam Boże kolędę, daj Boże,
miłość, pokój, niepłonne nadzieje.
A poetę kolęda niech karmi,
a poetę kolęda niech grzeje.

Piotr Wojciechowski

Wiersze na narodzenie Pańskie 2025

Pastorałka włóczykijów

Co najlepsze, tośmy nieśli do Betlejem,
 Boś nas wezwał, o Boży Aniele.
 Szliśmy różno, szumne kompanije
 A za nami dziady włóczykije
 Drapichrusty, powsinogi, wydrwigrosze
 W szmatach szły te męty najgorsze
 Torby puste, kikuty w bandażach.
 O Aniele, mogłeś chyba im zakazać!
 Towarzystwo takie popsuć może
 Pełne chwały Urodziny Boże.
 Powsinogi, włóczykije, drapichrusty
 Ciszkiem szli, pięści nieśli w kieszeniach.
 Bez piosenki zaciśnięte usta,
 W oczach tyle samo milczenia.
 Przyszli, nawet nie klękli przed Bogiem
 Wydrwigrosze, drapichrusty, powsinogi.
 My z kołędą, a widzimy – do nich
 Mały Jezus wyciągnął swe dłonie.
 Chcę ich bliżej! - Matce swojej szepnął.
 Przecież sami się tutaj nie przepchną!
 O Józefie – nie dziw się nad miarę.
 Ja przychodzę zmienić rzeczy parę,
 Muszę miłość nieść drapichrustom,
 Wyrzuconym na ulicę pustą,
 Wydrwigroszom wypędzonym za progi.
 Będę z wami, włóczykije, powsinogi.

Saniami jadąc, siłą rzeczy

Imaginarium gwiazdkowe 2025

W samej rzeczy słowo nie jest rzeczą –
Tak sobie myślisz – a gwiazd stada lecą
Nad głową, nad konarów nagich poplątaniem.
Grzeje czarna baranica,
Noc,
A ty wtulony w sani bieg, w janczary
Grające o tym: rzeczą nie jest słowo
Ale czym innym i ważniejszym chyba. Bo plemię,
Ze słów uplotło istotność plemienności
Aby do rzeczy gadać. Dokąd jedziesz nie wiem.
Lecz daleko dojechać możesz w do-słowności
Byle mieć noc i sanie.
Gwiazd tętent nad głową
kożuch na grzbiecie, plemię, dom i gości.
To, jakim słowem spotkacie się w progach,
Ponad plemiennosc, bliżej mowy Boga.

Pasterzom uwierz

Wysłuchaj, chociaż mówią dziwne takie rzeczy,
Przecież wiesz, że się zdarza. Jak każdy na świecie
Pilnuje spraw swych stada, oni pilnowali trzody.
Kto spraw dogląda, ku niebu nie zadziera głowy
Może owce doili, gdy niebo jak ekran zbieleło
Dźwięk przyszedł i światel potężnych niemało
Muzyka, wiadomości – mówią, że na chmurach
Byli ci wokaliści, strojni w barwne pióra
Uskrzydleni pozycją wiadomo, wysoką
Ich wezwania nie można było lekceważyć
Więc znaleźli tę wioskę i grotę nędzarzy
Z dzieckiem. Od tego czasu przez wieki i wieki
Idą i z każdym dzielą się człowiekiem
Tym, o czym sami pamiętają ledwie,

A co ich wciąż posyła na szlaki dalekie.
 Opowieść rwie się, płacze, zaufać jej trudno,
 Lecz nadchodzi, płacz słyhać i skargę nad trumną:
 Księżę pokoju, doradca spraw dziwnej dobroci
 Jezus, syn Dawidowy narodził się w grocie
 Tam, gdzie Heroda strzelcom przyznaje się racje.
 Gdzie ta Gaza, ruiny, głód i negocjacje.

To może być twoje

Tej nocy mogło nie być.
 Tej nocy mogło nic nie być.
 Psy czekały za parkanami.
 Mogło nie być tego krzyku, ona rodzi.
 Ona rodzi, otwórzcie, ona rodzi, ona rodzi
 Mogły tylko psy zanosić się szczekaniem za parkanami.
 Mogło nie być dobijania się do wrót karczmy
 Mogło nie być łomotania w drzwi dozorczy synagogi
 Tej nocy mógł nikt nie przyjechać do Betlejem,
 Tylko ciemność.
 A jeśli ciemność, to sprawiedliwie ukrzyżowano ukrzyżowanych.
 A zagazowani i zagłodzeni dostali, co się im należało.
 I ci, których rozstrzelano, także.
 Jeśli psy czekały, a nikt nie przyjechał do tej wsi,
 To budownicowie katedr
 Równi są tym, co stawiają dekoracje w kabaretach.
 Możesz mieć i takie Betlejem.

Piotr Wojciechowski

Zgłoszenie udziału w konkursie

XVI Warszawska Nagroda Edukacji Kulturalnej 2025¹

Nazwa projektu: **Stajnia Literacka SPP**

stajnia@spp.warszawa.pl

Opis motywacji do realizacji projektu

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich jako największej organizacji literackiej w Polsce postanowił w 2011 roku stworzyć kierowany przez siebie mechanizm dydaktyczno-wspomagający dla osób poszukujących pomocy w ocenie i rozwoju swego talentu artystycznego, umiejętności pisarskich lub kompetencji krytycznoliterackich.

Dla odróżnienia od tu i ówdzie działających „warsztatów literackich” nasz projekt nazwaliśmy „Stajnia Literacka SPP”, ponieważ oprócz ćwiczeń literackich proponujemy coś znaczenie szerszego i wymagającego. Instytucja taka, jak dzisiaj widać, słusznie wydawała się niezbędna z powodu:

a) powszechnego (w tym uniwersyteckiego) braku systemu oceny i rozwijania talentów literackich 1. młodzieży, 2. osób starszych (np. emerytów, rencistów), 3. osób z niepełnosprawnościami, a także

b) dużej liczby zainteresowanych doskonaleniem swoich umiejętności, poszukujących kontaktu z fachowcami w zakresie literatury artystycznej.

Opis potrzeb, na które projekt miał odpowiedzieć

W naszym założeniu Stajnia Literacka powinna była zacząć od oceny środowiskowej i spróbować gromadzić osoby zainteresowane pisaniem.

¹ Tekst jest kopiującym odpisem z formularza zgłoszeniowego do XVI Warszawskiej Nagrody Edukacji Kulturalnej 2025, ogłoszonej jak co roku przez Urząd Miasta Stołecznego Warszawy. Jak co roku wypełniliśmy i wysłaliśmy. Urząd zawiadomił nas, że formularz jest sporządzony prawidłowo i został przyjęty. Nic więcej w związku z tym jak zwykle się nie stało. Nie ośmielamy się oceniać wyników konkursu, ponieważ nie zawiadomiono SPP o imprezie końcowej z nim związanej ani jaka jest treść decyzji jury. A Stajnia funkcjonuje nadal. „Podgląd” postanowił prezentować udane utwory jej uczestników, co uczyniono już w 2024 r. W obecnym numerze patrz na str. 134. (pmm, luty 2026)

Okazało się, że osób poszukujących ogólnie mówiąc „porady literackiej”, jest dużo więcej niż by to wynikało z liczby członków stowarzyszeń pisarskich czy aktywności stron internetowych zajmujących się poezją i nowymi książkami. Należało dokonać tego dyskretnie i w sposób budzący zaufanie.

Sztuka, w tym literacka, i jej uprawianie to dziedzina indywidualna i nastawiona na sprawiedliwość ocen, trafność doskonalenia talentu, umiejętność zjednywania odbiorców literatury, stąd początkowo nasza praca nad projektem koncentrowała się na znalezieniu kryteriów odnoszenia się do przyszłych uczestników Stajni, ale i na programie merytorycznym działań w zakresie rozwijania umiejętności literackich zainteresowanych osób; programie, który różniłby się od mało wydajnych „warsztatów”, działających np. w niektórych Domach Kultury.

Cele projektu

Celem Stajni Literackiej SPP jest (i było w przeszłości, tj. od 2011 r.):

1. Działanie komplementarne wobec nauczania uniwersyteckiego.
2. Wykrywanie i wspomaganie talentów literackich.
3. Tworzenie środowiska przyszłych członków pisarskich stowarzyszeń artystycznych, nie pomijając także autorów wysokiej klasy, którzy woleliby nigdzie się nie zrzesać.
4. Wychwytywanie autorów i dzieł wysokiej klasy i wspomaganie ich upowszechniania.
5. Szkolenie w zakresie tajników pisania i rozpowszechniania różnych gatunków literackich, poczynając od kwestii językowych i intelektualnych, innowacyjnych, po kompozycyjne i prezentacyjne, łącznie z umiejętnością aktorskiego czytania własnych tekstów i przygotowaniem ich do druku.
6. Dokumentowanie tych działań w postaci publikacji utworów uczestników Stajni Literackiej SPP, a także rekomendowanie ich wydawcom, mediom, twórcom kina i teatru.

Opis przebiegu projektu, harmonogram

Zajęcia 2-godzinne odbywają się 1-2 razy w miesiącu, a w interwałach e-mailem lub przez telefon (konsultacje indywidualne).

Niezależnie od tego uczestnicy organizują własne lub wspólne spotkania autorskie w Domu Literatury albo poza nim.

Oto standardowe tematy półgodzinnych wykładów (w cyklu dwuletnim):

- Interpunkcja, jej cele i zasady (wręczenie poradnika z zasadami).
- Nowe zmiany w ortografii i stare typowe błędy.
- Zasady zapisu tekstu w maszynopisie.
- Materiały językowe, słowniki, poradniki. Biblioteka i jej udział w pisaniu.
- Techniki uruchamiania wyobraźni. Sny pisarza.
- Analizy znanych dzieł (na każdym wykładzie; różne gatunki).
- Zasady rozpoznawania dobrej poezji.
- Zasady pisania dobrej poezji (3 wykłady).
- Zasady rozpoznawania dobrej prozy.
- Chwyty stosowane w poezji.
- Chwyty w budowaniu opowiadań, nowel, powieści (3 wykłady).
- Cechy scenariusza, dramatu (też odmiana telewizyjna i radiowa).
- Cechy komizmu i stosowanie go w tekstach niekomicznych.
- Zasady pisania narracji.
- Zasady pisania dialogów w prozie, dramacie scenicznym i radiowym.
- Literatura dla dzieci.
- Fantastyka i science fiction.
- Typy recenzji, sposoby ich pisania. Krytyka literacka jako sztuka i nauka.
- Rozumienie tekstu zwięzłego (poezja, proza, komizm, tekst naukowo-literacki, esej, niektóre gatunki dziennikarskie, np. felieton).

Tematy wykładów i ćwiczeń mogą zgłaszać uczestnicy dodatkowo.

Ćwiczenia dotyczą tekstów uczestników. Uczestnictwo jest całkowicie bezpłatne.

Rezultaty

Zajęcia udaje się prowadzić dyskretnie i z czuciem, co ważne, gdyż dotyczą bardzo wrażliwych uczestników. Z czasem tworzą oni przyjazną, quasi-tajemną grupę, w której można powiedzieć wszystko, ale nadal tylko we własnym gronie. Wykłady i ćwiczenia odsłaniają tajemnice pisarstwa, których nie sposób dowiedzieć się gdzie indziej, łącznie z analizą brzmieniową, czytelnością i czytelnością, konstrukcją utworów, analizą skutków

presupozycji i interpretacji, aktywnością słowotwórczą, przedstawianiem osób, dialogów, głębi poezji. Żaden pisarz tego nie zdradza, ale u nas można się tego dowiedzieć i co najważniejsze – nauczyć. Osoby o małym talencie, szybko się o tym dowiadują, ale nie rezygnują z zajęć, bo pod naszym wpływem łatwo przestawiają się na fascynację mówieniem i pisaniem o literaturze.

Ze środków SPP, Wydawnictwa AULA i z darowizn wydaliśmy 5 tomów *Antologii Stajni: Coraz lepiej (2012), Co jest pisane (2016), Piszemy (2019), Do czytania (2023), Karmić się słowem (2025)*.

Uczestnicy/uczestniczki projektu

(wraz z opisem procesu przebytego z grupą/grupami)

Uczestnicy zgłaszają się osobiście dzięki anonsom umieszczanym przez nas w mediach społecznościowych i na stronach literackich w Internecie (www.spp.warszawa.pl) oraz w gazetach. Są to osoby w wieku 15 do nawet 90 lat. Najmniej uczestników jest z przedziału 30-60 lat. Przez Stajnię przewinęło się już ponad 330 osób, które wzięły udział w więcej niż 80% zajęć danego cyklu. Jednorazowy udział zanotowało tylko ok. 20 osób.

Nie stosujemy zapisów, jedynie wpisy umożliwiające korespondencję z nami (nazwisko i e-mail, zgodnie z RODO). To powoduje, że w gronie Stajni są osoby naprawdę zainteresowane problematyką i niemal od razu przystępujące do wspólnoty. Dość często na spotkaniach pojawiają się także znani, doświadczeni pisarze, którzy biorą udział w dyskusjach, dzielą się swoimi uwagami, czasem uzupełniają treść wykładu swoją wiedzą, anegdotą albo radą. Niektórzy twierdzą, że sami z tych spotkań korzystają.

Na każdych zajęciach w zabytkowej sali konferencyjnej Domu Literatury (I piętro) jest co najmniej 20 osób, ale zwykle ponad 25. Spotkania trwają 2 godziny. Pierwszych 20-30 minut zajmuje mój wykład, po nim następuje dyskusja lub seria pytań, aby na drugiej godzinie odbyć serię prezentacji utworów uczestników. Mają oni przygotowane kopie utworów dla prowadzącego. Po wykonaniu prezentacji z sali padają pytania, uwagi i refleksje, które podsumowuje prowadzący. On też wydaje opinię o tym, co usłyszał. Zdarza się, że wymaga to wygłoszenia przez niego dodatkowego miniwykładu na jakiś temat, wcześniej nieprzewidywany. Dwa, trzy razy w roku wykład lub opowieść o swojej twórczości ma zaproszony pisarz, który zgodził się na wypowiedź bezpłatną. Wtedy prowadzący na zakończenie dodaje jeszcze słowo od siebie.

Wyzwania/trudności podczas realizacji projektu

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich jeszcze w latach 90., jak wszystkie inne organizacje tego typu, przestało być dotowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Chodzi o niewielkie kwoty, które musimy zdobywać albo z Fundacji Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej (FDLiDPT), albo z datków. FDLiDPT ostatnio jest obciążona remontami Domu Literatury i nie może nas dotować. Stajnia Literacka SPP działa więc całkowicie społecznie. Szkoda, bo z tego powodu nie możemy zapraszać do współpracy pisarzy ani specjalistów różnych dziedzin, wydawców, drukarzy, księgarzy, ekonomistów, artystów plastyków itp. Środki na 5 wydań Antologii Stajni uzyskało SPP z darowizn indywidualnych oraz z daru od Wydawnictwa AULA. Salę nieodpłatnie udostępnia nam FDLiDPT.

Sposoby ewaluacji projektu i wnioski z jego realizacji

Mimo wyśrubowanych kryteriów przyjmowania nowych członków do SPP, przyjęto już 31 osób ze Stajni, a zapowiada się następnych 10. Wydawany przez Oddział Warszawski SPP kwartalnik literacki „Podgląd” od dawna publikuje utwory członków stajni. Są to często teksty zadziwiająco dojrzałe i niekiedy odkrywcze. Od obecnego roku w 3 numerze czasopisma pojawi się dział „Stajnia Literacka”.

Ponieważ stosujemy na zajęciach listę obecności (zgodną z RODO), możemy kontrolować sens prowadzenia Stajni i dawać dowód, że sala w Domu Literatury jest dobrze wykorzystana.

Stale otrzymujemy wiadomości na temat wygrywanych konkursów poetyckich przez byłych członków Stajni, a także o odbywanych z sukcesem ich spotkaniach autorskich. W Internecie, np. w internetowym dwutygodniku literackim „e-Pisarze.pl” (<https://pisarze.pl>) nasi absolwenci publikują wiersze, opowiadania i felietony, a ostatnio kilka osób wydrukowało swoje wiersze w prestiżowych miesięcznikach „Twórczość” i „Topos”.

Napisz kilka słów o sobie, o Was

(Twoje / Wasze krótkie bio). (do 2000 znaków)

Prowadzący Stajnię Literacką SPP Piotr Müldner-Nieckowski, ur. 1946, jest pisarzem, językoznawcą i lekarzem. Doktor habilitowany nauk

humanistycznych i doktor nauk medycznych. Przez ponad 20 lat profesor uczelni (obecnie emerytowany) UKSW w Warszawie, gdzie na polonistyce prowadził Zakład Edytorstwa i Krytyki Tekstu oraz Podyplomowe Studium Edytorstwa Współczesnego. Był także w latach 80. naczelnym redaktorem Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich. Przez ponad 50 lat czynny lekarz internista. Członek Związku Literatów Polskich do 1983 r., a po likwidacji ZLP, od 1989 r. współzałożyciel i do dziś członek władz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Stajnię Literacką SPP założył i prowadzi społecznie. Członek PEN Clubu. Członek Zespołu Języka w Medycynie Rady Języka Polskiego PAN oraz Komisji Frazeologicznej KJ PAN. Autor kilkudziesięciu tomów poezji, powieści, opowiadań, ponad stu słuchowisk radiowych, setek felietonów, krytyk literackich, a także dużych słowników: *Wielki Słownik Frazeologiczny języka polskiego* (dwa wydania), *Wielki słownik skrótów i skrótowców* oraz *Nowy szkolny słownik frazeologiczny*. Jego utwory literackie i naukowe są przekładane na wiele języków obcych, w tym na angielski, francuski, szwedzki, niemiecki, serbski, chorwacki, rosyjski, czeski, fiński, ukraiński.

Otrzymał stypendium i Nagrodę im. Tadeusza Borowskiego 1976, Medal im. Janusza Korczaka 1982, Nagrodę I stopnia Polskiego Radia za twórczość radiową 1992, Medal Komisji Edukacji Narodowej 2003, Medal za Zasługi dla Kultury w Wojsku Polskim 2008, Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida 2012 za twórczość poetycką, Nagrodę Polskiego Radia i Telewizji Wielki Splendor 2013, Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” 2016 i wiele innych.

Jakie były Twoje/ Wasze osobiste lub zawodowe motywacje do realizacji tego projektu? (do 2000 znaków)

Od kiedy zajmuję się literaturą jako autor i krytyk, a także badacz i wydawca, miałem do czynienia z autorami, którzy są słabi, bo mało czytają, albo poetami z prawdziwego zdarzenia, którzy nie napisali ani jednego wiersza, a także z uzdolnionymi prozaikami, którym spod pióra wychodziły teksty nieczytelne, nudne lub nieistotne ideowo lub artystycznie. Wiedziałem, że czasem wystarczy jedna prosta ale sensowna uwaga, albo choćby zachęta czy zwrócenie uwagi na popełniane błędy, a osoba, dotychczas uważana za grafomana, stawała się znakomitym pisarzem. Tylko gdzie szukać takich podniet, zachęt, punktów zwrotnych, które z nieporadnego pismaka czynią świetnego literata? Nie ma takich miejsc. Przez wiele lat myślałem o tym,

że trzeba jedno z nich stworzyć, dopóki ma się jeszcze siły. I to się stało. Bazą jest nie uniwersytet, ale stowarzyszenie autorów, którzy także chcieliby pomóc innym w osiągnięciu sukcesu – najpierw osobistego, potem publicznego. Ileż osób zostało doskonałymi prozaikami po moim wykładzie o presupozycji! Ja wiem o trzech. A po cyklu spotkań na inne cenne tematy?... Tak, warto było. Chcę im dalej pomagać, choć czasem czuję, że teraz ja się od nich mogę niejednego nauczyć. To jest sprawa na miarę wspólnoty bez żadnych granic, podziałów, zazdrości i nienawiści. Przecież wiem, że wielu z nich inaczej myśli o Bogu i Polsce niż ja, a jednak jesteśmy – mówiąc po ludzku – całkiem fajną paczką, w której dyskusje nigdy nie zmieniają się w awantury. Taką grupę chcieliśmy stworzyć wszyscy, tak sobie obiecywaliśmy w Zarządzie Oddziału Warszawskiego SPP. I to się udało.

W jaki sposób pracowaliście/pracowałyście wewnętrznie w zespole (osób realizujących projekt)? (do 2000 znaków)

Jeśli w danym spotkaniu miał wziąć udział jakiś znawca, specjalista lub artysta, to przeważnie ktoś z moich znajomych. Ze względu na wiek mam ich już bardzo wielu. A ponieważ się znamy, wystarczy rozmowa, choćby telefoniczna, aby uzgodnić sposób działania i treść tego, co zostanie powiedziane. Jeśli ma to być rzecz, której szczegółów dana osoba jeszcze nie uporządkowała, a mam do niej zaufanie, to wystarczyło uzgodnienie tylko zarysu rozmowy z uczestnikami. To nigdy nie zawiodło, zawsze było ciekawe nawet dla mnie, cóż dopiero dla słuchaczy, niczym audycja radiowa lub spektakl telewizyjny. Takim pasjonującym spotkaniem była na przykład rozmowa z Leszkiem Szarugą w czerwcu 2024 o tym, jak krytycy potrafią napisać solidną recenzję z nieprzeczytanej książki – i dlaczego czasem im się to udaje. Niestety nie dysponujemy środkami, aby płacić takim pożądanym wykładowcom, wielu więc po pierwszym spotkaniu na dalsze się już nie zgadza. (Niżej podpisany pracuje jednak społecznie).

Czego nauczyłaś/nauczyłeś/nauczylście się w wyniku zrealizowanych działań? Co projekt w Tobie/Was pozostawił? (do 2000 znaków)

Jest to nieustannie przygoda i zarazem poważne zadanie. Na każdym spotkaniu dowiadujemy się czegoś nowego, czego nikt z obecnych na sali Domu Literatury nie był w stanie przewidzieć.

Ludzie niosą też z sobą taki ładunek wyobraźni, kreatywności, wiedzy, że nie sposób z tego nie skorzystać. Nie chodzi tylko o pomysły, dowcip czy zajmujące fabuły, ale o odmienne spojrzenia na świat, różne interpretacje wspólnych pojęć, zachowań, koncepcji, też własne języki polskie. Wydaje się, że biologicznie jako gatunek jesteśmy tacy sami, a jednak nie ma dwóch identycznych osób. Chodzi nie tylko o oryginalną sylwetkę i niepowtarzalny obraz twarzy. Niespodziewanie potrafi się odezwać myśl tak świeża i odkrywczą, że można osłupieć. Nie wszyscy są zdolni to dostrzec, ale po poznaniu pewnych technik myślenia i postrzegania budzi się w nich swoista wrażliwość. Nigdy nie jest na nią za późno. Pojawia się też potrzeba opowiadania tego, pisania o tym; analizowanie zjawisk, dociekanie, co się za nimi kryje. Rysuje się konieczność unikania banałów, po uprzednim ich rozpoznaniu.

Na naszych spotkaniach ujawniają się ludzie dążący do odkrywania w naturze rzeczywistej strefy, która oczywista ani banalna bynajmniej nie jest. Niekoniecznie wykształceni, ale niemal zawsze mądrzy. Prowadzącemu takie spotkania nie wolno tego nie zauważyć. To zwiększa bagaż doświadczeń w kontaktach międzyludzkich i znawstwie literatury. I skoro się udaje, to należy z tej możliwości korzystać również i we własnej sprawie. Przygoda ta ma jeszcze inny aspekt, bardzo zachęcający do kontaktu z nowymi ludźmi. To nawiązywanie przyjaźni, tak zwanych więzi kompetentnych: nauczyciela z uczniem i ucznia, który w przyszłości prześcignie nauczyciela.

Piotr Müldner-Nieckowski

Paweł Bitka Zapendowski

Z Paszportem dla Poświatowskiej¹ do Paryża

Mój *Paszport dla poetki* czytaliśmy z aktorami – Joanną Derengowską i Krzysztofem Nowikiem – w Domu Literatury w Warszawie i w Skolimowie w 2023 roku. Teraz z nową wersją sztuki i inną obsadą pojechałem do Paryża i przyznam, że spotkałem się u polskiej widowni z bardzo dobrym odbiorem. Widzowie odnaleźli własne doświadczenia związane z wyjazdami z PRL na Zachód.

Jest to sceniczna opowieść o poetce Halinie Poświatowskiej, która w połowie lat 60. nie mogła wyjechać do Francji i Paryża, gdyż nie zezwalały jej na to władze. Później do poetki zapukało SB z propozycją nawiązania współpracy w zamian za paszport i inne korzyści. Jest to relacja ze „sprawy Poświatowskiej”, choć takich prób pozyskania, udanych bądź nie, były tysiące. Tamten system istniał dzięki gęstej sieci tajnych donosicieli. Dla mnie wątek operacyjny, jakkolwiek fabularnie najmocniejszy, posłużył bardziej jako kanwa do opowiedzenia o egzystencji twórcy – poetki. I do przedstawienia samej Haliny Poświatowskiej, w której jestem absolutnie zakochany od młodych lat. Poświatowska (rocznik mojej matki – 1935) żyła w matni i to w kilku wymiarach – nie tracąc przy tym z kobiecego wdzięku i twórczej potencji, za co ją do dzisiaj mocno podziwiamy. Matni w wymiarze zdrowotnym (była śmiertelnie chora na serce), uczuciowym, finansowym i ideologicznym (dla zarobku musiała prowadzić nie lubiane przez siebie ćwiczenia z marksizmu na UJ, gdy jej tatko był „prywatna inicjatywa”). Do tego dołączyły kłopoty o podłożu politycznym: nagabywanie ze strony komunistycznej milicji. Z jakim skutkiem i czy Poświatowska do Paryża w końcu pojechała – o tym można dowiedzieć się ze sztuki.

Otóż sam temat może wyglądać lekko kontrowersyjnie. Starcie jednostki z systemem – totalnego absurdu i przemocy – łatwiej pokazać na przykładzie Franza Kafki. A casus Poświatowskiej? Bez wątplenia na nieufność wobec tematu może wpływać „gruba kreska” Mazowieckiego i brak rozliczeń z epoki komunizmu, w tym stanu wojennego. Liczę jednak, że znajdą się w Polsce sceny zainteresowane pokazaniem zmagania pięknej

¹ Paweł Bitka Zapendowski, *Paszport dla poetki*. W czytaniu sztuki teatralnej wystąpili: Elisabeth Duda i Grzegorz Onyszkiewicz. Librairie Polonaise i Dom Kombatanta / Ecole Nova Polska w Paryżu. Listopad – grudzień 2025.

poetki z systemem panującym w jej czasach. (Stanisław Grochowiak pisał w wierszu o niej: „Nie była ładna – była na to zbyt Piękna.”)

Po raz pierwszy na ekranie, w mojej pamięci, funkcjonariusz bezpieczeństwa pojawił się pełnowymiarowo w filmie Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru* z roku 1977. Był to tow. Michalak, pilnujący trójki murarskiej Mateusza Birkuta w czasach stalinowskich. Potem było parę lat później i dobrze zapamiętane *Przesłuchanie* Ryszarda Bugajskiego z Krystyną Jandą. Film stał się „półkownikiem” na wiele lat. Wajda pokazywał aparat bezpieczeństwa w kolejnych filmach: *Pierścionek z orłem w koronie*, *Katyń*, *Wałęsa*. Czy dzisiaj powstałby film na ten temat lub z takim epizodem, mam co do tego wątpliwości. Najprawdopodobniej nie.

W *Paszporcie dla poetki* pada pytanie o cenę kariery. Ile możemy, albo musimy zrobić, wbrew sobie, dla osiągnięcia powodzenia. Pisał o tym dawno temu Norwid w noweli *Ad leones!*, przedstawiając rzeźbiarza, który swoje dzieło poświęcone chrześcijanom przerabia na „kapitalizację”, bo tak chce ówczesna poprawność.

W Polsce szczytowy okres inwigilacji przypadał na lata 80. XX wieku. A to czterdzieści lat temu. Człowiek się śmieje, bo to tak dawno. Ale w kraju nic do śmiechu, myśli sobie ten i ów – myśli ta i owa. Czterdzieści lat, to jakby wczoraj. Oby nie dzisiaj i nie jutro. Oby nie wróciło.



Elisabeth Duda i Paweł Bitka Zapendowski

Paweł Bitka Zapendowski

Paszport dla poetki

Sztuka teatralna dla dwojga (wersja paryska, fragment)

OSOBY:

Halina,

On (Adaś, Miro, Oficer, Literat, por. Surlik)

Scena 11. Kawa

OSOBY:

Halina

Por. Surlik

Druga połowa maja 1965. Pokój Haliny w Domu Literatów na ulicy Krupniczej w Krakowie. Wchodzi HALINA i POR. SURLIK w cywilnym ubraniu, z teczką. Przychodzą z ulicy i są trochę zmoczeni. Za oknem pada deszcz.

HALINA (*kokieteryjnie*) – Po co iść do kawiarni na kawę „de lurr”, jak można napić się mocnej kawy u mnie.

POR. SURLIK (*podchwytuje*) – Tym bardziej że pada deszcz. A tu jest przytulnie.

HALINA – Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków, panie kapitanie.

POR. SURLIK (*z uśmiechem*) – Jeszcze poruczniku.

HALINA – Dobrzy ludzie przysłali mi pyszną kawę ze Stanów. Gdzież ona jest? (*rozgląda się*) Proszę zdradzić, jaka intencja kryje się w tej rozmowie?

HALINA siada przy stole, POR. SURLIK naprzeciw.

POR. SURLIK – Po analizie i wczuciu się w pani przejścia losowe mam wrażenie, że można by pani pomóc.

HALINA (*zaczyna szlochać, jakby trochę histerycznie i mówi przez łzy*) – Wierzę w to, co pan mówi... i jestem panu porucznikowi za to

wdzięczna. Ale w sprawie wyjazdu nie może pan mi pomóc, gdyż sprawa stała się nierealna. Moja koleżanka Lynn ze swoim mężem już wyjechała z Europy do Stanów. A w Paryżu żadnych znajomych nie mam. Jest tam co prawda jedna moja koleżanka z koledżu, lecz zbyt biedna i nie zdoła mnie przyjąć na nocleg.

POR. SURLIK – Proszę przestać płakać. (*podaje jej chustkę do nosa*)

HALINA (*głośno wyciera nos, przez łzy*) – Mam żal do władz paszportowych, że mnie odrzucono...! Tak mi zależało na Francji. Po pierwsze, z racji mojego zdrowia, a dwa, że chciałam się spotkać z ulubioną koleżanką.

POR. SURLIK – Ależ...

HALINA – Bo chcę dokończyć. Mógł to być wyjazd dla mnie darmowy, co też się liczy. Wprost nie mogę pojąć, co było przyczyną, że nie dostałam paszportu. (*uspokaja się*) Wrogiej działalności nie prowadziłam nigdy. Nie należałam do żadnej organizacji. Inni, choć posiadają rozległe kontakty i nie zawsze są lojalni wobec ustroju w naszym kraju, jeżdżą po całym świecie. Na przykład sąsiadka. Ta obok.

POR. SURLIK (*obojętnie*) – Nazwisko?

HALINA (*ze złością*) – Żadna tajemnica... Olszewska. Ma mnóstwo znajomków we Francji, w Anglii, w Stanach, a nie wszyscy popierają nasz ustrój. Mimo to wyjeżdża. Dlaczego? Pytanie! To samo sąsiad z drugiego pokoju... pan Kołodyński. Tak, Kołodyński, cały czas zagranicą!

POR. SURLIK (*obojętnie*) – Rozmawiajmy spokojnie. Pani bywa na spotkaniach Towarzystwa Filozoficznego?

HALINA – Yhy...

POR. SURLIK – Proszę scharakteryzować te osoby.

HALINA (*ucina*) – Co ja mogę powiedzieć...? Co ja wiem?

POR. SURLIK (*życzliwie*) – A pani Wisława? Z „Życia Literackiego”. Pomogła kiedyś przy debiucie, a mogłaby więcej.

HALINA (*przez łzy*) – Pani Szymborska? Wiele jej zawdzięczam. To piękna postać. (*oddaje chustkę por. Surlikowi*) Dziękuję. Powinam ją chyba wyprać?

POR. SURLIK – Bez przesady.

HALINA – Jak wspomniałam, staram się o wyjazd w przyszłym roku do Paryża. Na stypendium rządu francuskiego. Przez związek literatów. Ale w sukces nie wierzę. U literatów trudności... i pewnie nie dostanę paszportu.

POR. SURLIK – Trudności można zniwelować. Ale zależy to od samej pani

magister. Od stosunku do ludzi... od których to zależy.

HALINA (*cicho*) – Rozumiem, o co chodzi. Studiowałam logikę. (*namyśla się, mówi jakby do siebie*) Jestem bardzo uczuciowa. Miałam trudne i ciężkie życie. Większość... spędziłam w domu, w łóżku, w szpitalach. Zagnieździł się we mnie STRACH przed śmiercią. Dochodzą do tego różne... (*placze*) niepowodzenia miłosne. Doszłam do wniosku, że nie ma dla mnie szans. Dlatego trułam się. Tylko profesor Aleksandrowicz uratował mi życie.

POR. SURLIK (*opiekuńczo*) – Bardzo tragicznie ocenia pani swoje położenie. A przecież ma gdzie mieszkać. Pracę. Kochanych rodziców.

HALINA (*rozgląda się*) – Widzi pan porucznik, jakie to życie samotnej kobiety. Nie posprzątałam pokoju, nawet z grubsza, a zapraszam do siebie ważnych gości.

POR. SURLIK – Widziałem gorszy bałagan.

HALINA – Bardzo pan miły...

POR. SURLIK – Wracając do podania... (*sięga po teczkę i wyciąga z niej kartki z notatkami służbowymi*) Przykro zauważyć, ale trochę nas pani okłamuje.

HALINA – Ja to?

POR. SURLIK (*czyta z dokumentu*) – „We Francji zamierzam poddać się dalszej kuracji po operacji serca w Stanach...”. A na komendzie... (*ogląda inny dokument i punktuje*) że turystycznie.

HALINA – Bo turystycznie.

POR. SURLIK – Kto chce dostać paszport, nie oszukuje władzy.

HALINA – Ja mówię prawdę.

POR. SURLIK (*śmieje się*) – Lazurowe Wybrzeże. Kasyna gry. Spelunki. Jak tu można podratować zdrowie? Gdyby to było sanatorium... w Żegiestowie! Ale nie jest. A Paryż...? Niedogrzone te mieszkania. Ciasne. Pluskwy, karaluchy.

HALINA – Chciałam latem, gdy ciepło. To ważne dla mojego zdrowia.

POR. SURLIK – Ale jest coś więcej. (*ogląda papiery, podejrzliwie*) Marcus Rosenberg, mąż Lynn. Służba w wojsku. Długo się znacie?

HALINA – Ja go nie znam.

POR. SURLIK – Jakie informacje chciała mu pani przekazać?

HALINA (*patrzy w podłogę*) – To nieporozumienie.

POR. SURLIK – Czy wie pani, że za szpiegostwo na rzecz obcego wywiadu grozi dożywocie? A szczególnie wrogiemu – z karą śmierci łącznie?

HALINA – Nie.

- POR. SURLIK – Amerykanie dali pani nowe życie. Mnie nic do tego, ale ktoś mógłby w tym zobaczyć motyw.
- HALINA (*przynębiona*) – Nie pojmuję... nie pojmuję...
- POR. SURLIK – Zajmiemy się tym... później. Teraz ten docent Waliś. Przychodzi tu, prawda?
- HALINA – Przychodził. Teraz już go nie chcę.
- POR. SURLIK – Pani zwierzchnik na uniwersytecie. Załatwił pani etat.
- HALINA – Dlatego mam co jeść.
- POR. SURLIK – Jaka jest jego postawa?
- HALINA – Pozytywna. Ale nie podzielam jego poglądów, ani go nie kocham.
- POR. SURLIK – Co więcej?
- HALINA – Nagabuje mnie, żebym wstąpiła do partii. A co im po takiej chorej poetce, jak ja?
- POR. SURLIK – Dziwne.
- HALINA (*ironizuje*) – Żonaty, z dwojgiem dzieci. Z brzuszkiem... śmieszny adorator. (*skarży się*) Straszy, że odbierze mi etat. Powiedział, że się rozwiedzie i poprosił mnie o rękę. Mści się, że mu odmówiłam. Ohyda.
- POR. SURLIK – Co robi takiego?
- HALINA (*skarży się*) – Każe przepisywać papiery... w nieskończoność. Po godzinach.
- POR. SURLIK – Był tu przedwczoraj.
- HALINA (*złapana na kłamstwie*) – To też wiecie?
- POR. SURLIK – Czy to jest etyczne?
- HALINA – Czemu?
- POR. SURLIK (*szantażuje*) – Chce pani, żeby ludzie się dowiedzieli? Żeby studenci na korytarzach wytykali panią palcem? Pomoże to w karierze, czy zaszkodzi?
- HALINA – Skąd ja wiem.
- POR. SURLIK – Zaszkodzi. I ucierpi powaga uniwersytetu. Chce pani kompromitacji?
- HALINA – Nie. (*pauza*) Wie pan, co mówiła George Sand? Gdy ktoś prosi o miłość, można mu ją podać jak szklanekę wody.
- POR. SURLIK – Ha, ha..! (*śmieje się na całego*) George Sand i nasz docent Waliś! Dobrze! (*poważnieje, czując że się zagalopował*) Przepraszam... ale pogoda chyba nam nie sprzyja.
- HALINA – To ten deszcz.
- POR. SURLIK – Zmieńmy temat. Jakie plany ma pani na wakacje?

HALINA – Chciałabym nad morze... i do rodziców.

POR. SURLIK – A po wakacjach?

HALINA – Chcę pisać doktorat. Jak zdrowie pozwoli. O Lutherze Kingu. I dyskryminacji czarnych. (*podrywa się*) Oj, na śmierć zapomniałam o kawie z tego wszystkiego! Gdzie ta kawa?

POR. SURLIK wychodzi.

Paweł Bitka Zapendowski

Ryszard Chęstochowski

Zabić nie zabić

(fragment)

OSOBY:

Miranda, córka

Alan, syn

Seweryn, ojciec

SCENA I

Stół, z tyłu łóżko rehabilitacyjne dla chorej Mirandy. Przy stole siedzi ojciec, syn i córka na wózku inwalidzkim. Córka ma niesprawną dolną partię kręgosłupa i sama nie chodzi, natomiast bez problemu posługuje się górną partią ciała. Jest wigilijny wieczór ze świąteczną kolacją. Choinka, w tle słycać kołędy.

MIRANDA – Czuję się już zmęczona. Możecie mi pomóc? (*Oddala się w stronę łóżka. Ojciec i syn wstają od stołu, pomagają jej się położyć i wracają do stołu.*)

ALAN – Na następną wigilię już będzie dobrze. Zobaczysz, wózek będzie zbędny.

SEWERYN – A my jeszcze posiedzimy?

ALAN – Jak masz chęć?

SEWERYN – Tylko ścisz te kołędy. Niech już ta chwała na wysokości tak nie dudni, a na ziemi niech będzie spokój, bo własnych myśli nie słyszę (*Alan przycisza odbiornik.*)

ALAN – Ty naprawdę nigdy nie czułeś dreszczy świątecznej atmosfery. Tej ekscytacji na samą myśl o narodzinach Syna Bożego Jezusa Chrystusa, zbawiciela naszego?

SEWERYN – Ciebie może on zbawił, a mnie jakoś nie, Alanku.

ALAN – Tato dzisiaj jest dla mnie taki ważny dzień, nie bądź złośliwy i nie nazywaj mnie tym imieniem, które mi nadałeś wbrew mamie, mia-

łem być Aleksandrem. Mów do mnie Olek albo w najgorszym razie Alek, choć w święto to uszanuj.

SEWERYN – (*Otwiera whisky i nalewa sobie*) Do siódmego roku życia ta świąteczna atmosfera mi się udzielała, owszem, ale potem czar prysł wraz z wiarą w Świętego Mikołaja. Tak głęboko to wszystko we mnie zanikło, że nie dotrwałem do bierzmowania, a rodzice zabiegani nawet tego nie zauważyli, że nie chodzę na religię.

ALAN – Dziadek był komuchem?

SEWERYN – Co ty gadasz, dla świętego spokoju zapisał się do SD, żeby się odczepili i dzięki temu pracował w kurierku.

ALAN – Ale babcia była bardzo religijna.

SEWERYN – Tak naprawdę to dopiero na stare lata. Klasyka starzejących się kobiet i dlatego ciebie zindoktrynowała na sam koniec.

ALAN – Niewiele ich pamiętam.

SEWERYN – Wcześniej się wykruszyli

ALAN – Wrodziłeś się w swojego ojca z tym swoim libertynizmem i kosmopolityzmem.

SEWERYN – Żebyś wiedział to był niezwykle dżentelmen, z europejską, przedwojenną klasą. Znał francuski i angielski, słabo niemiecki, no i rosyjski, bo takie były czasy i do Moskwy trzeba było jeździć, a i do Jałty bodaj służbowo. Może jednak ci naleję, raz w życiu mógłbyś się napić alkoholu. Tak tylko jeść bez popitki?

ALAN – Nie drażnij się ze mną, wiesz, że nienawidzę alkoholu. Na studiach pod kolegów jedynie parę razy wypilem. Fatalny stan utraty kontroli nad sobą. Człowiek zachowuje się jak głupie bydle, a na drugi dzień obrzydliwy kac.

SEWERYN – Od jednego się nie upijesz

ALAN – Ale mi to nie jest do niczego potrzebne. Powiedziałem nie i koniec. Sam sobie pij i tak wiadomo, że jesteś zakamuflowanym alkoholikiem, któremu może parę dni w tygodniu udaje się nic nie wypić. Koniakowy profesorek. Ty myślisz, że jak pijesz te luksusowe trunki to jesteś lepszy od kłoszarda chlejącego denaturat?

SEWERYN – Nie piję codziennie, więc nie jestem żadnym alkoholikiem, co najwyżej okazjonalnym pijakiem, bo czasami człowiek musi odreagować i wyzwolić się ze sztywnych ram, i się schlać jak świnia, aby zapomnieć, że żyje na tym bezsensownym padole łez.

ALAN – Byś uwierzył w Boga, poszedł do kościoła się pomodlić, to byś znalazł sens.

SEWERYN – Dyrzymały! Wiesz ilu jest księży alkoholików...

ALAN – Nie zaczynaj. Nie wchodźmy w te tematy lepiej, bo się pokłócimy w święto. Zobacz jak Mireczka słodko zasnęła...

SEWERYN – Biedactwo (*leci mu łza*), co za pieprzony świat, jak mogli ją tak skrzywdzić barbarzyńcy. Odebrali jej cały sens istnienia, wszystko, co kochała, zabili, a ona taka mimo to dobra przyjmuje ciosy losu z pokorą jakby tak musiało być.

ALAN – (*Podchodzi do ojca i go przytula, cicho płacząc*) Jeszcze będzie chodzić, zobaczysz (*wraca na miejsce*).

Milcząc, w tle kołędy Jezus Malusienki, Lulajże, Jezuniu.

SEWERYN – Tyle pracy, treningów. Tyle sukcesów, podróży. Daj Boże, będzie chodzić, ale już zawodowo nie potańczy. Koniec kariery. Jeszcze do tego ten jej ukochany zwiął. Jak ona to wytrzymuje? Ja już bym się zabił, Alku...

ALAN – Nie mów tak, to grzech...

SEWERYN – My to mamy państwo, ta policja nic nie umiała zdziałać, nawet tropu tych bandytów nie złapali. Im po prostu nic się nie chciało robić. Żadna dziedzina w tym kraju nie działa sprawnie! Może jesteśmy jedynie potęgą w wędkarstwie i zrzeszeniu działkowiczów. Ewement światowy.

ALAN – Jesteśmy wspaniałym narodem, tato, tylko ciągle nami rządzą idioci i złodzieje. Nie ma patriotów!

SEWERYN – (*Trochę już wstawiony*) Dopóki żyła twoja mama, miłość mojego życia, wszystko jeszcze miało jakiś kolor, a potem zbladło całe życie, choć w wielu kwestiach się nie zgadzaliśmy, tak jak i ja z tobą światopoglądowo. Jakoś z uśmiechem znosiłem te pogańskie obrządkie katolików z tymi choinkami, jajkami, zajęczkami itp. itd. Teraz wszystko jest szare. Trwam już tylko dla Mirandy i dla ciebie, choć kompletnie mi się nie udałeś z tymi twoim narodowo-katolickimi poglądami dla mierzwy. Czasami sobie myślę, że ktoś ciebie podmienił w szpitalu, bo różnił się całkowicie.

ALAN – To prawda, łączy nas chyba tylko miłość do Mirandy. Może faktycznie w szpitalu mnie pomylili i teraz twój ekstrawagancki syn męczy się w tradycyjnej rodzinie, a ja się męczę z tobą. Niewykluczone, papciu...

SEWERYN – Niestety nie podmienili, bo jesteś zdjęta skóra z matki. Jak na

ciebie patrzę, to chwilami jakbym ją widział.

ALAN – To może moim ojcem jest ktoś inny, jakiś hydraulik czy listonosz?

SEWERYN – O, to wykluczone, w tamtym okresie twoja mama w życiu by nie zdradziła. Kochaliśmy się naprawdę! Poza tym jej żelazne zasady (*chichocze*) nie pozwalały na to...

ALAN – Czy to źle mieć zasady. Z czego tu się śmiać?

SEWERYN – (*Mówi wolno w sposób charakterystyczny dla osoby już pijanej, nieco sepleniąc*) Czy żelazną zasadą jest hasło Polska dla Polaków, które wyznajesz?

ALAN – Niekoniecznie dla Polaków, ale dla białych chrześcijan bez Żydów czy islamskich Arabusów i żółtków, którzy nas niedługo zaleją. Niech siedzą u siebie brudasy i się ze sobą biją.

SEWERYN – No to bądź bohaterem, jak ten pewnie twój norweski idol Breivik, i wystrzelaj dla przykładu żółtków na bazarze. Będziesz natchnieniem młodych faszystów. Staniesz się narodowym bohaterem. Przejdiesz do historii cywilizacji europejskiej. Twoje nazwisko dadzą na sztandary, w końcu nazywamy się Polańscy. Akurat najbardziej znany polski Polański jest Żydem z pochodzenia, żeby było śmiesznie.

ALAN wstaje i naśladuje charakterystyczne gesty Breivika, które media udostępniły światu. Zaciśnięta pięść w pozdrowieniu współbraci.

ALAN – A tak na poważnie...

SEWERYN – Ładnie ci to wyszło, aż miałem ciarki na plecach. Ty mógłbyś zabić, masz coś z fanatyka!

ALAN – (*Siada*) Akurat dla nas chyba największym zagrożeniem są paradoksalnie chrześcijanie prawosławni ze wschodu i tradycyjnie Niemcy, ale już tylko ekonomicznie. Tradycyjnie Ruskie i Niemcy... Już mnie nudzi ten temat, tatku.

SEWERYN – Masz rację, niewielu cudzoziemców do nas chciało przyjechać. Nie jesteśmy atrakcją przy tak niskich pensjach. Kto by tu chciał zamieszkać, u zakompleksionych pariasów Europy i jeszcze z tą opinią zaściankowego przedmurza katolicyzmu. Do kopania dołów jedynie...

ALAN mu przerywa.

- ALAN – Zmień temat, stareńki tato Sewerynku. Idź spać jesteś już pijany...
- SEWERYN – W święto mam tak wczesnie iść spać?
- ALAN – Odeśpisz cały tydzień nareszcie
- SEWERYN – Nie umiemy nawet pogadać ze sobą. Wszystko nas dzieli. Gdyby nie to podobieństwo...
- ALAN – Powtarzasz się...
- SEWERYN – Dlaczego ty się nie ożenisz?
- ALAN – Nie mam odpowiedniej kandydatki. To musi być dobra Polka i katoliczka żyjąca zgodnie z tradycją narodową i chrześcijańską, a ja takiej na studiach nie spotkałem. Same lafiryndy rozglądające się za przyjemnościami, które na pierwszej randce już chcą seksu i na seksie się kończyło!
- SEWERYN – Ty jesteś pokręcony, to źle, że młoda dziewczyna chce seksu? Skoro jej wpadłeś w oko, chce się kochać. To źle, że kobieta ma temperament w łóżku? Co ma czekać do nocy poślubnej i trzymać cię za rączkę, i co najwyżej buzi. Gdzieś ty się uchował, synu...
- ALAN – Wasze pokolenie jest skażone rewolucją obyczajową lat sześćdziesiątych, tym wyuzdaniem bitników, a potem dzieci kwiatów z tym głupim filmem „Hair” na czele. Hippisi, pacyfiści, anarchiści, libertynizm doprowadza jedynie do degrengolady. Do czego was zawiodła ta swoboda, do narkomanii i chorób wenerycznych, a na końcu plaga AIDS.
- SEWERYN – Aids to już lata osiemdziesiąte, co ty gadasz, ale mi się syn trafił. Myślałem, że jak będziesz dorosły, razem napijemy się piwa czy łyśkacza i będziemy kumplami, a tu przepaść, co za ironia losu. Zawsze człowiek się rozmija z marzeniami i dostaje to, czego nigdy nie chciał, a nie dostaje tego, czego pragnął.
- ALAN – Niestety, jesteśmy z różnych planet. Ty nawet nie lubisz piłki nożnej.
- SEWERYN – Nuda, szczególnie w polskim wydaniu.
- ALAN – Wiem, ty wolisz chodzić na żeńską siatkówkę i oglądać kobiece pośladki zamiast piłki, szukasz podnieć, bo wiadomo, w twoim wieku już z potencją słabiutko dziadziu... he... he...
- SEWERYN – A jak sobie radzisz bez seksu? Może jesteś kryptogejem i masz chłopaka w biurze po cichutku, co?
- ALAN – Moja ideologia nie uznaje pedałów...
- SEWERYN – Znam takich polityków, publicznie są wrogami homoseksualistów, a jak nikt nie widzi, to pedałużą, ideolodzy hipokryzji...

ALAN – Słowo musi być równoznaczne z czynem i każde odstępstwo jest zdradą, za którą powinna być kulka w łeb. Takich należy demaskować i zabijać, nawet jeśli taki jest szefem prawicowej partii, nie ma taryfy ulgowej!

SEWERYN – A dla księży pederastów, bo, jak wiesz, jest trochę takich, to jest taryfa ulgowa na ich grzeszki?

ALAN – Jak się udowodni, wiadomo, że nie, ale to trzeba udowodnić, a nie rzucać oszczerstwami.

SEWERYN – Z tego, co wieść gminna niesie, to w celibacie żyje nikły procent kleru. Albo mają kochankę czy gosposię, albo kochanka, w ostateczności masturbacja...

ALAN – Tato, idź spać dobra, każdy antyklerykał powtarza te banały...

SEWERYN – Mógłbyś tu przecież zamieszkać z kobietą, nie miałbym nic przeciwko temu. My z Mirandą mielibyśmy górę domku, ty ze swoją dół z salonem, albo odwrotnie, my byśmy się pomieścili jakoś na dole, a wy byście sobie gniazdko uwili na górze. Dom by się ożywił i pojaśniał, jak za życia twojej mamy. Chcesz być ciągle sam?

ALAN – Na ten moment samotność mi bardzo odpowiada

SEWERYN – Chodzisz chociaż dla higieny do burdelu?

ALAN – Wiesz, ty burdel masz w głowie!

SEWERYN – Czyli pornole i ręczna robota bardziej tobie odpowiada. Dobra, idę spać, bo nie klei się ta rozmowa. Bylebyś synu był szczęśliwy.

ALAN – Akurat...

SEWERYN – A ty nie idziesz do swojego pokoju?

ALAN – Posiedzę jeszcze tutaj i posłucham kolęd obok choinki.

SEWERYN – No to dobrej nocy (*opuszcza pokój, lekko się zataczając*).

Alan chwilę siedzi w milczeniu. Patrzy na choinkę i słucha kolęd, po czym podchodzi do odbiornika i włącza muzykę poważną. Wychodzi na sekundę za drzwi, wchodzi do środka i przekręca klucz. Gasi duże światło, zostaje tylko lampka przy łóżku Mirandy. Zbliża się do łóżka siostry. Szybko się rozbiera, do naga i wchodzi do niej pod kołdrę. Ona coś mruczy przez sen w końcu mówi głośniejszym głosem „Nie rób mi znowu tego, bo powiem ojcu”. Alan gasi lampkę. Widać tylko światełko wieży muzycznej.

Słychać charakterystyczne skrzypienia łóżka, po chwili odgłosy współżycia.

MIRANDA – Boli...

ALAN – Dobrze będę delikatny...

MIRANDA – Delikatniej...

ALAN – Dobrze już, Mireczko?

MIRANDA – Uważaj...

ALAN – Już dobrze, widzisz...

MIRANDA – To wstrętne, co ty wyprawiasz (*słysząc głośne oddechy, coraz bardziej intensywne bardzo sensualne*)

ALAN – Widzisz, jak dobrze, jesteś taka namiętna, Mirusia.

MIRANDA – Milcz, bestio...

Scena kończy się jego orgazmem.

SCENA II

MIRANDA i ALAN w wieku lat 7-9 bawią się na plaży i budują zamek z piasku. Są szczęśliwi i uśmiechnięci. Morskie fale mają u stóp. Scena trwa kilka minut.

SCENA III

Plaża nad morzem. Trzy leżaki. Dwa zajęte przez Mirandę i Alana. Jeden wolny z rzeczami Seweryna. Słysząc szum fal i krzyki mew.

MIRANDA – Mów, co chcesz, ale polski Bałtyk ma w sobie coś magicznego. Byłam w czasie tournée na plażach włoskich, francuskich, hiszpańskich, greckich i brazylijskiej, i powiem tobie, że tu czuje się najlepiej. Zwłaszcza teraz, przed sezonem, gdy tak pusto.

ALAN – To prawda, półwysep helski ma w sobie coś urokliwego, sam nie wiem, na czym to polega, choć nie mam tylu porównań, co ty. Zjeździłaś kawał świata, a ja poza Bałtykiem innego morza nie znam. Jedynie słowackie góry, bo było tanio.

MIRANDA – Co ty mówisz. Rodzice nas zabierali na wakacje, jak byliśmy dziećmi, do Bułgarii i Chorwacji. Nie pamiętasz?

ALAN – O Boże, wtedy miałem pięć latek, a ty niecałe trzy. Pamiętasz coś z tego?

MIRANDA – Jak przez mgłę, ale coś tam pamiętam, na przykład, że w Adriatyku pływało się w takich gumowcach.

ALAN – No, to akurat pamiętam, bo już chyba miałem ponad siedem lat, ale co to za wspomnienie, Mireczko?

MIRANDA – Nie mów do mnie Mireczko. Mów tak jak tata, Mirando, w najgorszym razie Mira...

ALAN – Co za pretensjonalne imiona nam dał (*pauza*). Ja w każdym razie... Potem już cały czas tylko ta nasza kwatery w domku Edka, bo cała kasa szła na budowę wymarzonej willi. Całe życie w jedno miesjsce.

MIRANDA – Pewnie znowu popijają na rybach z Edkiem

ALAN – Kiedyś się potopią na tej łódce pijani. Odkąd pamiętam, urlop ojca to było łożenie gorzały z Edkiem i bezradność mamy, która jeździła tylko do kościółka w Jastarni się modlić.

MIRANDA – Oj, ty głupi jesteś.

ALAN – Co głupi? Taka prawda. Matka chciała zwiedzać świat, a ojciec tylko niby te morskie ryby... A po urlopie odtrucie ze trzy dni odsypianie. Cała pościel przesiąknięta alkoholowym potem, tak z niego parowało. Ze skąpstwa już nas nigdzie nie zabierał. Wszystko w ten przeklęty dom, nienawidzę tego domu, bo matka w nim straciła zdrowie. Więcej przy nim robiła niż ojciec, bo on, wiadomo, naukowiec, dwie lewe. Nie ma co się śmiać, sam widziałem, jak kilka razy paznokiec jej schodził z palca, bo coś przybijała i się walnęła młotkiem. Wymarzony domek pieprzony...

MIRANDA – Nie z tego się śmiałam, głuptasie.

ALAN – A z czego?

MIRANDA – Oj, ty nic nie wiesz.

ALAN – Czego nie wiem?

MIRANDA – Ty naprawdę jesteś taki naiwny?

ALAN – Możesz wyrażać się jaśniej?

MIRANDA – Może nie mogę i nie powinnam.

ALAN – Jak już zaczęłaś to teraz dokończ.

MIRANDA – Ty nie rozumiesz kobiet.

ALAN – No tak, babskie tajemnice?

MIRANDA – Niech tak zostanie...

ALAN – Głębia kobiecej duszy jest niezbadana.

MIRANDA – Żebyś wiedział.

ALAN – Matka cierpiała przez niego, ale nie potrafiła odejść.

MIRANDA – Tu akurat masz rację, bo kochała go na swój sposób, dlatego potem tak uciekała w ten kościół, ale wcześniej to nie tak bardzo (*znowu się uśmiecha*). Trudno jest mężczyźnie zrozumieć psychologię

kobiet. Ile my musimy mieć dla was wyrozumiałości, dla niesfornych chłopców do samego końca.

ALAN – Czyli jednak masochizm...

MIRANDA – Być może po trosze też...

ALAN – Dobra, jak nie chcesz mówić z czego się śmiałaś, to nie mów (*pauza, szum morza, krzyk mew*) ... no, powiedz...

MIRANDA – Mama wcale nie jeździła do kościoła w Jastarni, ale do Władysławowa, do kochanka i to dobrych kilka lat trwało.

Alan wstaje z leżaka.

ALAN – Jesteś po stronie ojca. Kłamiesz, nie wierzę ci. Mama w odróżnieniu od nas była nieskazitelna.

MIRANDA – Czysta jak niepokalana dziewica, przestań, daj sobie spokój z tym idealizowaniem realu...

ALAN – Jesteś podła, że mi to mówisz. Dlaczego oczerniasz naszą kochaną mamusię świętej pamięci?

MIRANDA – To była normalna kobieta z krwi i kości. Znalazłam w jej komodzie listy miłosne, które przechowywała jak relikwie i pewnie zapomniała je zniszczyć przed śmiercią.

Alan krąży nerwowo wokół leżaków.

ALAN – Złamałaś mi serce.

MIRANDA – Kto tu komu złamał serce.

ALAN – Wiesz, wcale nie żałuję, że ciebie zgwałcili, zasłużyłaś na to, ty ciągle uwodziłaś mężczyzn.

MIRANDA – Nie zapominaj, że i ty mnie, kalekę, zgwałciłeś!

ALAN – Bo prowokujesz jak wyuzdana dziwka każdym swoim ruchem.

MIRANDA – Na wózku cała połamana z uszkodzonym kręgosłupem... Puknij się w czoło, ty chyba masz jakieś projekcje w głowie.

ALAN – Nie mówię o nas, mówię o twoim zachowaniu wcześniej. Kto chodzi wieczorem szosą w miniówce. A nawet na tym wózku jak już byłaś, miałaś takie gesty i ruchy, które mogą wabić. Te odgarnianie włosów, mizdrzenie się, wieczna kokieteria, a szczególnie te ruchy warg i zwilżanie ust języczkiem. Ty emanujesz seksem, od ciebie bucha erotyzmem, co, ty nie masz tego świadomości? Ty siebie widziałaś, jak kręcisz tyłeczkiem? Ty nie chodzisz normalnie, ty wabisz samców non stop.

MIRANDA – Mężczyźni nie lubią kobiet, które są kobiece. Dobre.

ALAN – O to chodzi, że uwielbiają takie jak ty i dlatego przez to mam problemy, a niby dlaczego ja nie wytrzymałem. Zabiję się w końcu przez ciebie!

MIRANDA – Ty jesteś walnięty, zerznąłeś mnie bezbronną i teraz udajesz dobrego braciszka, synusia kochanej mamusi. Tak jest, wszystko moja wina. Byłabym brzydka i aseksualna, nie byłoby problemów. Ty jesteś chyba paranoikiem. Dla twojej wiadomości, nasza mamusia też lubiła się pierdolić ze swoim marynarzem, choć kochała ojca.

ALAN – Ja sobie z tym nie mogę poradzić. Naprawdę powinienem się zabić. Nie umiem już z tym żyć...

MIRANDA – A wracając do gwałtu, to nie było w tym żadnej mojej winy. Szłam drogą i nie łąpałam żadnego stopa wieczorem. Stanęli i wciągnęli mnie do wozu, a potem wjechali w las i brutalnie godzinę gwałcili, żadnej przyjemności w tym nie miałam. Gdy tylko czegoś odmawiałam, bili mnie w jakiś wytrenowany sposób w nerki lub brzuch i wątrobę, że zatykało mnie z bólu. Twarzy nie ruszyli. Tak samo w ogóle prawie nie byli zainteresowani pochwą, bo głównie ciasny odbył ich kręcił. Nawet jak już krwawił, nie przerwali.

ALAN – Nie opowiadaj. Dlaczego to robisz?

MIRANDA – Sadyści mieli satysfakcję i oczywiście kończyli na mojej twarzy, bo to perwersyjna przyjemność dla każdego faceta. Dominacja i upokorzenie kobiety. Niech poczuje się jak szmata. W poniżeniu kobiety mieli rozkosz! No i tak cała trójka po dwa razy ze mną robiła. Ten największy na koniec już nie spuścił się na moje oczy, ale kazał wyciągnąć język i przełknąć całość, a potem grzecznie powiedzieć z zachwytem jaka smaczna sperma. Samiec to pan świata. Trzeba gwałcić takie zdziury jak ja. Po co łążą wiejską drogą. Włosy i rzęsy miałam sklezione nasieniem. Marzyłam, żeby umrzeć. Było mi wszystko jedno. Czułam ból w tyłku jakby mi ktoś włożył rozżarzone żelazo. W końcu ruszyli w stronę szosy i gadali ze sobą nasyceni i rozleniwieni. Jeden rzucił do drugiego zapytanie „Zabić?“, a ten największy z nich odburknął „Nie zabić!“. „A jak nas rozpoznasz?“ – wtrącił trzeci. „Jesteśmy nietykalni, zgłupiałeś?“ – odpowiedział największy. Zaczęli rechotać. Pewnie działanie spidów opadło i stali się łagodni po dwóch orgazmach. Jechaliśmy dość szybko pagórkowatym terenem. Największy krzyknął „Jest górka wypierdol ją tutaj“ – dosłownie w ułamku sekundy otworzyły się drzwi i zostałam wypchnięta

z góry. Kulałam się bezwładnie i straciłam przytomność, ocknęłam się w karetce. Tyle pamiętam. Dobrze, że pozwolili mi się ubrać, bo było już chłodno, a ja pewnie leżałam jakiś czas na ziemi, aż pewnie jakiś kierowca zauważył mnie z drogi i zadzwonił po karetkę. Pamiętam po przebudzeniu słowa lekarza „Nie jest tragicznie dojdzie do siebie i będzie chodzić”. Chodzić tak, ale już z tańcem koniec.

ALAN – Wybacz...

MIRANDA – Ciężko się tego słuchało, co? To dość obrzydliwe, nic podniecającego. Ohyda. Od tego czasu czuję się wypalona, może nawet cyniczna, choć nigdy nie byłam taka. Kręgosłup się nie złamał, ale psychikę złamali.

ALAN – Potrzebujesz tylko czasu...

MIRANDA – Nie wysilaj się, szkoda zbędnych słów. Posłuchaj lepiej szumu morza i głosu ptaków. Niedługo przyjdzie lato, posiedzimy w ogrodzie naszego domu. Wszystko zatrze czas. Zło zniknie (*śmieje się*).

ALAN – A mi wybaczysz?

MIRANDA – Przecież cię kocham, braciszku, już nawet nie tylko jako siostra...

ALAN – Kochasz mnie nie tylko jak brata, nie mów tak...

MIRANDA – Chore to, wiem, ale to twoja wina. Jesteś dla mnie teraz podwójny. Brat i kochanek. Gardzę tobą i pożądam cię. Moje związki zawsze były przelotne i chyba tylko erotyczne, bez zaangażowania, a teraz jest inaczej, też przecież mnie kochasz, ja to wiem.

ALAN – Nie umiem się z tym pogodzić. To ponad moje siły. Co za pułapka...

MIRANDA – Musisz to zaakceptować, bo inaczej zrobimy ze swojego życia piekło, bądź mądrym chłopcem, stało się i niczego nie cofniemy.

Ryszard Czesłochowski

Piotr Müldner-Nieckowski

Wracając po swoje¹

Śluchowisko radiowe – spektakl telewizyjny

(fragment)

OSOBY

TELEGRAFISTA (też jako GAJDZICZ i FIAKIER) – człowiek młody,
ale już dojrzały

ŚLIWIŃSKI I – Ignacy, brat Andrzeja

ŚLIWIŃSKI II – Andrzej, brat Ignacego

MATKA HANNY – i zarazem żona Aleksandrowicza

ALEKSANDROWICZ – Adolf, w średnim wieku,

HANNA – córka Aleksandrowiczów

REHMAN – Stanisław, młody restaurator

ARMUŁOWICZ – Wiktor, młody rzeźnik, syn oficera

WESTWALEWICZ – Julian, student

KOBIETA I

KOBIETA II

KOBIETA III (też jako SKLEPIKARKA)

SZCZEPAŃSKI (też jako ŻANDARM) – Alfred, w średnim wieku

HIRSZEL – Żyd handlujący bronią

HIRSZŁOWA – jego żona

¹ Śluchowisko, spektakl telewizyjny albo teatralny oparty na pewnym, do tego celu znacznie rozwiniętym epizodzie wybranym z przygotowywanej do druku powieści pod tym samym tytułem (plan wydania książki w 2026-2027 r.).

Śluchowisko zostało wyprodukowane przez Narodowy Instytut Audiowizualny oraz Polskie Radio SA, 2013 r., w reżyserii Janusza Zaorskiego. Udział wzięli: Ewa Dałkowska, Ewa Jakubowicz, Marek Barbasiewicz, Małgorzata Żajączkowska, Andrzej Blumenfeld, Ewa Kania, Małgorzata Rożniatowska, Julia Trembecka, Piotr Bulcewicz, Grzegorz Kwiecień, Kamil Przysiał, Filip Kosior, Przemysław Wyszynski, Mateusz Grydlik. Czas trwania w radiu 33 min. Czas trwania na ekranie / scenie ok. 110 min (nie licząc przerw w teatrze). Wersja telewizyjna i sceniczna tekstu ma rozbudowany zestaw dialogowy, jest obszerniejsza, gdyż różni się nie tylko dialogami, ale i didaskaliaми, a w nich nieco odmiennymi sekwencjami scen i bezdialogowym ruchem scenicznym oraz dodaniem jednego małego wątku pobocznego, uzasadnionego atrakcyjnością sceniczną. Z wyjątkiem braci Śliwińskich, których sylwetki łączą cechy kilku osób, oraz osób drugoplanowych, takich jak np. Kobieta albo Żandarm, wszystkie postaci są historyczne.

Dzieje się w styczniu, lutym i marcu 1863 roku w Krakowie i na północ od niego, na terenie Królestwa Polskiego w Ojcowie, Miechowie...

Plan wstępny. Kraków. W pomieszczeniu telegrafu kolejowego. Z zewnątrz dochodzi gwizd lokomotywy. Rusza pociąg, jedzie coraz szybciej. TELEGRAFISTA, ŚLIWIŃSKI I. Odbiór telegramów z Warszawy. Stukot telegrafu w rytmie alfabetu Morse'a.

TELEGRAFISTA – (*Na tle dźwięków telegrafu*) Panie Ignacy, proszę, niech pan podejdzie. Stało się! Nowy telegram.

ŚLIWIŃSKI I – (*Z lekka pogardliwie*) Cóż się tam stało? Odczytać nie potrafi?

TELEGRAFISTA – Potrafi, potrafi (*macha ŚLIWIŃSKIEMU kartką przed nosem*). Z Warszawy. No to niech pan czyta. Chyba że nie potrafi.

ŚLIWIŃSKI I – (*Długo milczy. Po czym:*) Podpisano „Komitet Centralny Narodowy”.

TELEGRAFISTA – Oj, daj mi, chłopcze, wody, usta mi wyschły.

ŚLIWIŃSKI I podaje TELEGRAFIŚCIE szklankę z wodą.

TELEGRAFISTA – (*Siorbiąc*) Dziękuję. No, teraz niech pan czyta, panie Śliwiński. Tylko składnie.

ŚLIWIŃSKI I – (*Czyta, z pewnym trudem*) „Warszawa. Dwudziesty drugi lutego tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku. Komitet Centralny przekształcił się w tymczasowy Rząd Narodowy”. (*Do Telegrafisty*) Słowa całego manifestu prześlą w nocy.

TELEGRAFISTA – (*Niemal krzyczy*) A więc, Jezus Maria, powstanie! (*Po chwili, cicho i spokojnie*) Rewolucja. Zabita Polska przeciw Moskalom. A Rosja ma setki tysięcy zbrojnych. A rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. A piszą w gazetach, że w Ameryce też rewolucja. A cały świat w rewolucjach, panie tego. Nawet w Ameryce się tłuką, czarni, biali, i nie wiadomo kto jeszcze.

ŚLIWIŃSKI I – (*nieśmiało*) W takim razie do kogo mam to zanieść?

TELEGRAFISTA – (*dysząc, stękając, zdenerwowany, powtarza niektóre wyrazy*) Tylko nie władzom kolei, bo zakażą puszcząć to dalej. Oni są przeciwko. Boją się, że powstanie się rozleje na Lwów i Kraków. Wiedeń jest przeciwko. Berlin jest przeciwko. A Rosja w Warszawie i po wsiach wszystkich do nogi wybije. To będzie jedna wielka jatka. W ca-

łym Królestwie, zobaczysz pan. Zobaczysz. Panie Ignacy, idź pan do redakcji „Czasu”, tam są nasi, do pana Stanisława Koźmiana. Do pana Henryka Müldnera, róg Poselskiej i tej... jak jej tam... Grodzkiej. Potem do pana Adolfa Aleksandrowicza w aptecę „Pod Złotą Głową” przy Rynku. Tylko się nie pomył, bo obok jest apteka tego ruskiego, Iwanowa. W dodatku nielegalna.

ŚLIWIŃSKI I – Iwanow dawno zamknięty, kazali mu się z rodziną wynosić do Królestwa albo do Moskwy, to się wyniósł jakieś dwa miesiące temu i teraz tam urządzają salon kawowy. Kawa z pianą i biskopci-kiem.

TELEGRAFISTA – Iwanow? Pies go drapał. A potem niech pan wraca do gimnazjum, żeby zdążyć na ostatnią lekcję. I ani pary z gęby. No, jazda!

Zmiana planu. Pokój w domu mieszczańskim. MATKA HANNY, HANNA.

MATKA HANNY – Za bardzo dorosła jest ta suknia. To nie dla ciebie. Wyglądasz jak baronowa Szeptycka w niedzielę po kościele.

HANNA – Ale panu Ignacemu się spodoba.

MATKA HANNY – Śliwiński to bardzo młody człowiek, ale niech najpierw szkołę skończy i zacznie bywać w towarzystwie.

HANNA – (*Z naciskiem na imię i nazwisko*) Pan Ignacy Śliwiński wyjeżdża, mamu. Chcę go uhonorować.

MATKA HANNY – A cóż to, wakacje się zaczęły? Mamy luty w kalendarzu.

HANNA – Do Ojcowa, a może do Opatowa. Z bratem jadą.

MATKA HANNY – Toż to Rosja!

HANNA – No właśnie, mamu. A oni wszyscy są umówieni na rano w naszej aptece.

Zmiana planu. Apteka. Właściciel Adolf ALEKSANDROWICZ instruuje córkę HANNĘ.

ALEKSANDROWICZ – (*Półgłosem, poufnie*) Jeśli przyjdzie ktoś z receptą, masz mu lekarstwo wydać wedle rejestru, pieniądze wziąć, do książki wpisać, a o mnie ani słowa. Na pokoje nie puszczaj nikogo oprócz służby.

HANNA – A jak pani Ilmingowa przyjdzie? Albo hrabina Koziembrodzka kogo przysze? To mam ojca wołać?

ALEKSANDROWICZ – Nie przyjdą, córciu, są zajęte rautem dobroczynnym. Matka też tam pracuje, przy fantach i koronkach z papieru. Ty sobie dokańczaj wyszywki i słuchaj dzwonka u drzwi. Dużo konnej policji dzisiaj po mieście. Kraków niespokojny.

Zmiana planu. Salon na piętrze kamienicy Adolfa Aleksandrowicza przy rynku w Krakowie. Zgromadzenie wielu młodych mężczyzn. Harmider. Nagle zapada cisza. ALEKSANDROWICZ, ŚLIWIŃSKI I, REHMAN, ARMUŁOWICZ.

ALEKSANDROWICZ – Panowie. Minęła wyznaczona godzina, więcej was już zapewne nie przybędzie. Na początek muszę dać kilka słów do instrukcji, bo nie wszyscy są po szkołach pana de Rochebrune [de roszbrę]. Najważniejsze jest to, że kogo rodzice ze szkoły zabrali na naukę prywatną, ten niech wraca do domu. To się tyczy gimnazjum Świętej Anny i Instytutu Technicznego. Panowie studenci to co innego.

ŚLIWIŃSKI I – Mam pozwolenstwo od ojca na piśmie. I mój brat też takie ma.

ALEKSANDROWICZ – No tak, panowie mogą zostać. Kto jest po zaprzysiężeniu, ten na liście się sprawdzi, a pan Szczepański potwierdzi. Pozostali zapiszą się warunkowo.

Tumult, zamieszanie, odsuwanie krzesel.

ALEKSANDROWICZ – Panowie, ale jeszcze nie teraz, przyjdzie na to czas.

Zapada cisza.

REHMAN – A i tak cały Kraków wie. Wiedzą nawet, że punkt zborny jest w Rząsce, a potem marsz przez granicę do Ojcowa pod rozkazy pułkownika Kurowskiego. Wprost zapytał mnie o to mój pryncypał. Ale władze milczą.

ARMUŁOWICZ – Jeżeli namiestnik cesarski się nie wtrąca, to i po co ta konspiracja?

ŚLIWIŃSKI I – A bo nas śledzą. Dojdą swoimi ludźmi i do Wąchocka, a nawet do Langiewicza.

ALEKSANDROWICZ – Policja austriacka na teren Rosji nie wchodzi. Jedni pójdą pod Kurowskiego, inni się rozdziela pod Lewandowskiego,

Sokoła, Frankowskiego, Rogińskiego. Tylko że to nie wy, panowie, zaciąg sobie ustalacie. Rozdział nastąpi Rząsce, jeszcze po stronie Galicji.

Znów tumult.

ALEKSANDROWICZ – (*Podnosi głos*) Panowie, cisza! (*Odczekuje, aż zrobi się cicho*) To się tak tylko wydaje, że Austriacy nie mają nic przeciwko nam. Ale to nieprawda. Aresztowań było już kilkadziesiąt. (*Zmienia ton, upominając obecnych*) Kto nie ma krzesła, niech siada na podłodze. Panie Westwalewicz, proszę zdjąć ten płaszcz, zagrzeje się pan i rozchoruje. A sąsiada do tego obliguję, żeby szablę wziął pod siebie, bo komuś oko wydlubie.

Sala wybucha śmiechem.

Zmiana planu. W aptece. MATKA HANNY, HANNA.

HANNA – Mogłabyś, maminko, spojrzeć? Co o tym sądzisz?

MATKA HANNY – Piękne, bardzo ładne.

HANNA – Ale czy fachowe?

MATKA HANNY – Bardzo fachowe. Tylko mogłabyś zmienić tło. Jest amarantowe, a powinno być czerwone.

HANNA – Ale już zaczęłam haftować. Tła już nie zmienię.

MATKA HANNY – Orzeł powinien być dziobem w lewo a nie w prawo. (*Innym tonem*) Czy to zebranie trwa jeszcze? Aptekę czas zamykać.

Zmiana planu. Salon na piętrze kamienicy Adolfa Aleksandrowicza przy rynku w Krakowie – ciąg dalszy. Zgromadzenie wielu młodych mężczyzn. ALEKSANDROWICZ, ŚLIWIŃSKI I, REHMAN, ARMUŁOWICZ.

ALEKSANDROWICZ – Niektórym się wydaje, że Franzowi Josephowi powstanie jest na rękę. Ale Kraków bardzo blisko Królestwa Polskiego, a zatem i Rosji... Ledwie parę wiorst i granica. W każdej chwili rewolucja może sięgnąć Galicji i dalej zagarnąć choćby Tarnów, potem Lwów i pójdzie dalej. Tego Wiedeń się obawia. Prusacy też to wiedzą, o Poznań drżą niespokojnie. Ale są ziemie, na których ludzie po pol-

sku mówią i myślą. Powiedzmy to sobie naraz i tak: ani nakaz uczenia w obcym języku, ani wywożenie na katorgę. Nic na tych Polaków, jak nas zowią, nie pomaga. Granica Rosji i Galicji – sztuczna jest i z zaborów jedynie się wzięła. My sami sobą chcemy rządzić.

ŚLIWIŃSKI I – Przy nieustających kłótniach.

REHMAN – A tobie kto tak powiedział?

ALEKSANDROWICZ – (*Napominając*) Panowie!

ŚLIWIŃSKI I – A w cukierni u Wentzla i w ujeżdżalni, i na kółku parafialnym u księdza Wojciecha. Czytał kto „Pana Tadeusza”? (*Po chwili*) Nikt, a szkoda.

ARMUŁOWICZ – Mówią: nieciekawy to utwór, jakoby cała księga trudno pisana rymami.

REHMAN – Sam przeczytaj i potem orzekaj. U Wentzla za dużo wina dają, to się wam w głowach miesza, a ty rzeźnik od mięsa jesteś, ojca mając oficera.

ARMUŁOWICZ – A jestem, i od tego ludzie dobrze u mnie mają.

ŚLIWIŃSKI I – U Jana Kosza na Grodzkiej też tak mówią, a winem nie szafują.

ARMUŁOWICZ – A Kosz to Słowak spod Bratysławy.

REHMAN – Ale w powstaniu listopadowym był, a to było w Polsce, nie na Słowacji.

ARMUŁOWICZ – A ty to kto? Rehman [reman] to niemieckie nazwisko.

REHMAN – Ten przy oknie to Sołowiow, a Polak. A Nordenbruch? Szlachta. I co teraz powiesz?

ALEKSANDROWICZ – (*Przerywa im*) Czy panowie już skończyli to uzgadnianie?

Zapada cisza.

ALEKSANDROWICZ – Dziękuję. Warszawa dawno już się utwierdziła, żeby stworzyć państwo podziemne. W Krakowie mamy Ławę główną, wszystko ogarnie Rząd Narodowy, pod jednym dyktatorem, przez pana Mierosławskiego. Żandarmeria i policja tylko czekają na rozwój wypadków w mieście. Widać, Austriacy zgadzają się na rewolucję, tylko pozorując. Czekają, żeby tu się nie załęgła.

ŚLIWIŃSKI I – Ściągnęli do Krakowa tyle mundurów, tylu ludzi rewidują, śledzą i wsadzają do paki. Nigdy tego dawniej nie było.

REHMAN – Bo kiedy było, to ty ćwiczyłeś tabliczkę mnożenia.

Wybuchają śmiechy.

Zmiana planu. Gabinet dyrektora gimnazjum Świętej Anny. KOBIEITA I, Kobieta II, KOBIEITA III.

KOBIEITA I – (*Błagalnie*) Panie dyrektorze. Pan jest bardzo dobrym dyrektorem, to wiedzą wszyscy. Chwalimy Pana pod niebiosa. Ale nie ma wyjścia, tak się stało i tego nie zmienimy.

KOBIEITA II – Ja także bym prosiła, panie dyrektorze. To byłby wstyd nie tylko na całe gimnazjum, ale i na cały Kraków, a jeszcze mamy rodzinę w Komarnie i we Lwowie. Każdy mnie zapyta, „a co z waszymi chłopcami?”

KOBIEITA I – Ja obiecuję, że nie damy synowi iść przez granicę, ale niech mu będą zaliczonymi te przedmioty, które najbardziej opuści. A jak nie my, to policja graniczna ich zatrzyma i zaliczy jako szmuglerów, i do domu zwróci. Tak będzie, łaskawy pan dyrektor sam zobaczy.

KOBIEITA II – Ja jeszcze powtórzę się w sprawie moich dwóch chłopców. Oni prawie dorośli, wąsy już mają, a mój mąż wie, co robi. Mój mąż jest najlepszym lekarzem w całym mieście, aż do Nowego Targu. To będzie na jakiś czas tylko, aż się uspokoi, a wtedy wrócą do szkoły i o sprawie całej – zapomnimy. A ja dołożę dziesięć złotych na pomoce naukowe.

Zmiana planu. Zgromadzenie wielu młodych mężczyzn w salonie na piętrze kamienicy Adolfa Aleksandrowicza przy rynku w Krakowie – ciąg dalszy. ALEKSANDROWICZ, REHMAN, ARMUŁOWICZ.

ALEKSANDROWICZ – Przez kilka dni ściągałem całą waszą setkę kadrową. Przyszła połowa. Nie do wszystkich wieść doszła, niektórym wojaczka mniej odpowiada niż praca organiczna w mieście. Całkowicie dobrowolnie idziecie, na ochotnika. Tak jak wzywał pułkownik Langiewicz. „Gazeta Narodowa” we Lwowie wydała litografię, nasz „Czas” lada dzień też to poda do wiadomości. Panie Rehman, proszę odczytać odezwę.

REHMAN – To pisze pułkownik Langiewicz w kwaterze w Wąchocku.

ALEKSANDROWICZ – Proszę, niech pan czyta.

REHMAN – Tak. (*Odczytuje z pewnym patosem*) „Potomkowie męnych

przodków, utrzymajcie sławę, jaką oni zyskali w całej Polsce. Powstawajcie choć w kilkudziesięciu ludzi, uwijając się po województwie, niepokójcie załogi moskiewskie, zbierajcie ochotników, kupcie się w hufce powstańcze, organizujcie wojsko regularne. Tylko wiary, nadziei i odwagi! a rzeczy — niepodobne na pozór — staną się nawet ziszczonymi. — Marian Langiewicz, pułkownik”.

ARMUŁOWICZ – (*Cicho, do kolegi*) To jest takim sposobem dobrowolne, że z nas tutaj każdy chce i to ma za przymus. Ja na pewno jestem pod przymusem i nic mnie nie powstrzyma. Wszyscy tu chcą.

Zmiana planu. Apteka. HANNA, KOBIETA I.

HANNA – Oj, nie, dzisiaj nie można wejść. Wydają lekarstwa, ale zamówione. Nowe przyjemy dopiero jutro z rana.

KOBIETA I – Ale ja tylko impregnatury potrzebuję do haftu na płótnie, żeby koloru nie traciło. A pośpiech mam duży, bo kurier jutro z tym jedzie.

HANNA – Piękny proporzec, urodziwy. Ja także taki robię. Tylko trochę większy. Pokazać?

KOBIETA I – Och, jakie cudne! U pani jest dobre tło, u mnie zbyt czerwone.

HANNA – A dokąd to ma być słane, że aż kurierem? My mamy szybki powóz, możemy darmo dostarczyć, kiedy i gdzie trzeba...

KOBIETA I – Nie, dziękuję, to daleko, przez granicę. Teraz tylko ten likwor do płukania haftu mi pani da, i to wszystko.

Zmiana planu. Zgromadzenie wielu młodych mężczyzn w salonie na piętrze kamienicy Adolfa Aleksandrowicza przy rynku w Krakowie – ciąg dalszy. ALEKSANDROWICZ, REHMAN.

ALEKSANDROWICZ – A teraz do rzeczy. Kto nie ma na opłacenie fiakra, dostanie ode mnie półtora reńskiego. Kto zaś ma własnego konia, niech się postara także i o własną broń i niech jedzie drogą okrężną, a na zadzie niech posadzi kolegę. Strój ma być szary, czarny lub zielony, czapka rogata, worek nieduży z rzeczami najpotrzebniejszymi. Brzytwy nie trzeba brać, ale łyżka, nóż i kwaterek by się zdały.

REHMAN – Byłem u Hoeffelmeiera, tak jak mi mówiono, a pistolet mi sprzedał skałkowy, i to do naprawy. To ma być nowoczesność? Przecież mamy wiek dziewiętnasty, rok sześćdziesiąty trzeci. Generał Bem

dawno temu użył rakiet bojowych, a my co mamy? Kosy.

ALEKSANDROWICZ – Pan François de Rochebrune tworzy regularny oddział żuawów śmierci i każdy chciałby się tam dostać na jego nowoczesność, ale nie ma tak dobrze. Wy, panowie, musztry i strzelania będziecie się douczać między skałkami Ojcowa, nie dla was rota żuawów. Spać będziecie wprost na ziemi, czasem głodować cały dzień, bo nie każdy chłop strawę chętnie wam da. Przez lasy po kryjomu między wsiami iść, a przecie zima jest.

REHMAN – Ale łagodna. Śniegu prawie nie ma.

Zmiana planu. W kawiarni. KOBIEA I, KOBIEA II.

KOBIEA I – Żadnych ruchów na ulicach nie widziałam. Podle Sukiennic też spokój.

KOBIEA II – A pani syn to gdzie jest?

KOBIEA I – Który?

KOBIEA II – (*Niepewnie*) No, nie wiem...

KOBIEA I – Mam czterech i żadnego na uwięzi nie trzymam. Jeden na uniwersytecie, drugi szkoli się na subiekta, trzeci urzędują trafikę z panem Borzęckim, a czwarty na roratach u świętego Józefa.

KOBIEA II – (*Z powątpiewaniem*) W lutym po południu na roratach? (*Stanowczo*) Spiskują, proszę pani.

KOBIEA I – Moi synowie spiskują?

KOBIEA II – Pytam, bo jestem niespokojna o mojego. Mój nie spiskuje, mój syn jest mądry.

KOBIEA I – Dobrze, powiem pani, ale po cichu. (*Ściszone głosem. Z ironią*) Ukrywają się w Smoczey Jamie i ogniem zioną. Tylko nikomu ani słówka!

KOBIEA II – Och!

Zmiana planu. Po zebraniu u Adolfa Aleksandrowicza. W tle gwar. ŚLIWIŃSKI I, ŚLIWIŃSKI II stoją przy stole, na którym SZCZEPAŃSKI wypełnia listę obecnych.

SZCZEPAŃSKI – Imię, nazwisko, dzień urodzenia, imię ojca. Skąd przybywa.

ŚLIWIŃSKI I – Śliwiński Ignacy, syn Jana.

ŚLIWIŃSKI II – Śliwiński Andrzej, syn Jana.

SZCZEPAŃSKI – Skądżeście?

ŚLIWIŃSKI I – Z Zatoru.

SZCZEPAŃSKI – Ten Zator to gdzie się znajduje?

ŚLIWIŃSKI I – (*Zaskoczony pytaniem, nie umie odpowiedzieć*) Aaa... my są w gimnazjum i umiemy różne rzeczy po kursach.

SZCZEPAŃSKI – Jakich kursach?

ŚLIWIŃSKI I – Kucharstwa i cukiernictwa.

SZCZEPAŃSKI – (*Ciszej, zjadliwie*) To jak? Widelcami chcecie walczyć? (*Głośniej*) Następny proszę! Szybciej, szybciej!

Zmiana planu. W sklepie. SKLEPIKARKA, KOBIETA I.

SKLEPIKARKA – Zapakować? Dodaję jeszcze funt smalcu wyciskanego na zimno. Nowość. Od pryncypała. A ode mnie zaproszenie na próby soku malinowego, na sobotę w południe.

KOBIETA I – A fotograf to gdzie się mieści?

SKLEPIKARKA – Pan Rzewuski zajęty jest bardzo, fotografię młodzieży teraz robi. Przez plac Mariacki pani pójdzie, prosto dalej ku Wesołej. Do zdjęcia każdy może pożyczyć konfederatkę, pas, szablę i pistolet. Razem osiem groszy. Mam zamówić termin? Dla łaskawej pani czy dla syna?

KOBIETA I – Sama bym sobie portrecik zrobiła, tylko nie wiem, czy wypada.

Zmiana planu. Na ulicy. ŚLIWIŃSKI I, ŚLIWIŃSKI II, REHMAN. Rozmowa półgłosem, chwilami szeptem.

ŚLIWIŃSKI I – Ty pistolet to masz?

REHMAN – Obiecany. Jutro będzie.

ŚLIWIŃSKI II – A jaki, belgijski?

REHMAN – Na patrony.

ŚLIWIŃSKI I – Gwintowany?

REHMAN – I prochu mam skrzynkę. Maszynki do odlewania kul i kręcenia naboju. Żyd siarkę z Lipska sprowadził. Lipowy węgiel u smolarza w mielerzach się robi. Saletrę od ludzi księcia Sanguszki spod Tarnowa mamy. Każdą ilość. Prochu przez granicę nie puszczają, to u Jaśka Kowala mieszalnię zrobiłem. I mamy swój.

ŚLIWIŃSKI II – Prochu i kul to się zabierze Moskalom. Przy pierwszej

okazji. Ile będzie trzeba.

ŚLIWIŃSKI I – I karabinów, bo u nas nie ma żadnego. Pan Armułowicz ma – strzelbę na zające.

ŚLIWIŃSKI II – Rehman, ty każdy gwer naprawisz, ty jesteś nadworny rusznikarz!

REHMAN – (*Z niechęcią, obcesowo*) Porucznik wyznaczy, to będę.

Zmiana planu. Na ulicy. Słysząc przejazd powozów. KOBIE TA I, KOBIE TA II.

KOBIE TA II – (*Przewodniczka – tekst ma wyuczony i przez to wadliwie akcentuje zdania*) Nasz Kraków miastem jest niedużym, ale okazałym. Dlaczego? Dlatego, że kiedyś był stolicą. Co warto wiedzieć o naszym Krakowie? Dużo rzeczy. Kiedy królowie się stąd wynieśli. Kiedy Wisła zakręć zrobiła... Ja wszystko szczegółowo opowiem i pokażę, tylko proszę wykupić bilecik za dwa złote.

KOBIE TA III – Nie, ja bym chciała raczej wiedzieć, gdzie jest bursa uniwersytetu.

KOBIE TA II – A, o bursę pani chodzi! Tam, gdzie są akademicy, tak?

KOBIE TA III – Tak.

KOBIE TA II – No to w bursie nie ma ani jednego studenta, proszę pani.

KOBIE TA III – Boże, co się stało?

KOBIE TA II – Dorożkami do powstania pojechali.

KOBIE TA III – Boże, do jakiego powstania? Dlaczego?

KOBIE TA II – (*Zwyczajnie, bez cienia emocji*) Żeby wstydu nie było, proszę pani.

Zmiana planu. Droga przy posterunku straży granicznej, przy szlabanie. Słysząc przejazd powozu z oddali, po chwili z bliska. Pojawiają się ŻANDARM z karabinem, FIAKIER, REHMAN, ARMUŁOWICZ.

ŻANDARM – Halt! Wer da! [Stój! Kto tam!]

FIAKIER – Gute Freunde! [Dobrzy przyjaciele]

ŻANDARM – Halt, oder wir schießen! [Stój albo strzelamy]

FIAKIER – Prrrr... Stój, mała... (*dorożka się zatrzymuje*).

ŻANDARM – Alles muss raus! [Wszyscy jazda stąd] Wysiadać!

REHMAN – (*W powozie, półgłosem do towarzyszy*) Panowie, zasadzkę na nas zrobili.

ARMUŁOWICZ – (*W powozie, półgłosem do towarzyszy*) Musieli o nas wiedzieć.

FIAKIER – (*Na zewnątrz powozu*) Panie żandarm! Pan mi nie psuje kursu! Pozbierałem ludzi na jazdę do Krakowa, no to jadę. Zarobić chciałem.

ŻANDARM – Ganz gut, jawohl [Tak jest, świetnie], zarobisz kcialem do Krakowa. Wy nie do Krakowa tylko OD Krakowa. To teraz niech nam on powie, gdzie on jedzie naprawdę. (*Głośniej, mocniej*) Brać ich! Na posterunek!

Zmiana planu. Pole albo las. ARMUŁOWICZ, REHMAN, WESTWALEWICZ. *Słychać wiatr. Wsiadają z powozu, odwracają się tyłem do widowni, rozchylają płaszcze. Oddają moc. Kończą zapinając spodnie i płaszcze*

ARMUŁOWICZ – No, panowie, udało się.

REHMAN – Udało się, bo nic przy nas nie znaleźli. Rzeczy pewnie już dojechały do Ojcowa.

ARMUŁOWICZ – Ilu nas jest? Raz, dwa, trzy... Westwalewicz jest?

WESTWALEWICZ – Jestem.

ARMUŁOWICZ – ... Siedmiu jest. Trzech nie ma.

REHMAN – Śliwińscy głupio się tłumaczyli, to zostali aresztowani. Jacyś durni ci bracia.

ARMUŁOWICZ – Odeślą ich do Krakowa.

REHMAN – (*Krzyczy, wychylając się z powozu*) Panie fiakier! Teraz skręć pan do Ojcowa, a tam do hotelu „Pod Łokietkiem”!

FIAKIER – (*Z zewnątrz powozu*) Robi się! Wiśta, mała!

ARMUŁOWICZ – (*W powozie*) Mogą czyhać gdzieś na nas.

REHMAN – Dlatego jedziemy okrężnie. Granica już dawno za nami.

ARMUŁOWICZ – Jak nie jedni, to drudzy. Moskwa nas złapie.

REHMAN – Noc już idzie, to będzie bezpieczniej. Jakoś dojedziemy.

Wiatr, powóz mknie po bruku.

Zmiana planu. MATKA HANNY, HANNA. *Apteka. Dźwięki naczyń laboratoryjnych, szklanych, porcelanowych.* HANNA – (*Odpowiadając na pytanie MATKI*) Tak, byli jacyś ludzie. O księcia Sanguszkę pytali. O tatę też.

MATKA HANNY – Coś im powiedziała?

HANNA – Odesłałam do cukierni „Pod Aniołkiem”.

MATKA HANNY – O mój Boże, co ty najlepszego narobiłaś!

HANNA – Tak im powiedziałam, na odczepne. Nie wiedziałam, że to źle.

MATKA HANNY – Tajna policja. Szukają członków Ławy.

HANNA – A wyglądali tak porządnie. Mówili, że klientami księcia są.

MATKA HANNY – Ubrał się diabeł w ornat i na mszę dzwoni. Są tam „Pod Aniołkiem” w indermachu na salonik obróconym. Radzą dzisiaj. Tylko modlić się, żeby wejścia nie zapomnieli kratami założyć. Panie Jezu, zlituj się...

Piotr Müldner-Nieckowski

Małgorzata Karolina Piekarska

Zniknięcie IIa

Dzwonek już dawno umilkł, kiedy matematyczka weszła do klasy. Jak zwykle mruczała coś pod nosem, nie zwracając uwagi na to, co działo się dookoła. Słyszała z tego, że nad jej głową mogły fruwać kulki z papieru, samolociki, a nawet ogryzki, a ona – od lat zwana przez uczniów Sinusoidą – pozostawała zawsze niewzruszona.

– Wyjmijcie zeszyty – powiedziała, rozkładając swoje notatki na biurku. Wiecznie zamyślona, jakby w pamięci recytowała prawa Talesa i Pitagorasa, nie rozejrzała się po klasie. Siadła szurając krzesłem i otworzyła dziennik. Głośno przeczytała pierwsze nazwisko z listy:

– Abramczyk!

Odpowiedziała jej cisza. Przy wyczytanym nazwisku w rubryce obecność Sinusoida postawiła długopisem poprzeczną kreskę.

– Barszcz! – wyczytała następną osobę. Znowu cisza. Nie podnosząc wzroku, przeszła do kolejnych nazwisk:

– Chmielewski! Chojnacka! Chomicz! Chrobot! Czarnacka! Demianiuk! Fibiger!

Każdemu wyczytanemu nazwisku towarzyszył pomruk niezadowolenia i kreska postawiona czarnym długopisem. Sinusoida nadal czytała listę i dopiero przy nazwisku Krzyżanowski podniosła wzrok. Napotkała pustą salę. Zamarła i mruknęła do siebie:

– A to ci heca! Dobrze, że nikt tego nie widział!

Przekonana, że klasa po prostu uciekła z lekcji, wstawiła każdemu nieobecność. Zebrała rzeczy z biurka i skierowała się do wyjścia. Już miała otworzyć drzwi, gdy jej wzrok przykuła wielka dziura w szybie okna na końcu klasy. Dziura była tej wielkości, że mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Na kawałkach rozbitego szkła wisiały z daleka widoczne skrawki rozdartego materiału i kępka blond włosów. Sinusoida stanęła jak wryta. Stała tak przez dobrą chwilę. Następnie powoli podeszła w kierunku okna. I wtedy właśnie spostrzegła wielką czerwoną plamę na podłodze pod ścianą oraz kilka guzików ze strzępami ubrań. Nieco dalej, tuż pod oknem, zauważyła coś białego z czerwoną plamką. Wyglądało to jak koralik, więc

nachyliła się i wtedy uświadomiła sobie, że to... zęb. Na dodatek cały we krwi. W jednej chwili zarówno dziennik, jak i przez lata pieczołowicie przygotowywane notatki – wypadły jej z rąk. Wybiegła z klasy, krzycząc:

– Ratunku! Krew!

Na korytarz zaczęli wyglądać uczniowie. Spostrzegłszy, kto biegnie i co woła, rechotali. Bo Sinusoida słynęła z dziwnych zachowań. No i roztrzepania. Nieraz przyszła do szkoły w jednym bucie innym, drugim innym. Bywało, że siedziała na lekcji w bluzce założonej na lewą stronę. A raz zdarzyło się jej to ze spódnicą. Kiedy więc tym razem biegła i krzyczała, pukali się w czoło. Nauczyciele zaganiali wszystkich do klas, choć ich także ciekawiło, co właściwie się dzieje. Sinusoida wparowała do gabinetu dyrektora z impetem. Sekretarka spojrzała pytająco, ale matematyczka, z trudem łapiąc powietrze, wystękała szeptem jedno słowo:

– Morderstwo!

Dość długo próbowała złapać oddech, ale bieg przez korytarze i przerażenie, jakie ją ogarnęło, sprawiły, że, zasapana, nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Pokazywała tylko w milczeniu ręką jakiś nieokreślony punkt gdzieś w powietrzu. Dyrektor patrzył jak osłupiały, a sekretarka pytała, czy wzywać pogotowie. Jedynie jak zwykle przytomna pani wicedyrektor zarządziła, że uczniowie wracają do klas, i wezwała szkolną pielęgniarkę, która w gabinecie zjawiła się natychmiast, dzierżąc szklankę wody i krople uspokajające.

– Czy pani aby nie przesadza? – spytał dyrektor, gdy Sinusoida, połknąwszy lekarstwo, wyjaśniła w kilku z trudem wyduszonych słowach, co zaszło. Przemilczając przy tym wprowadzić fakt, że nieobecność klasy spostrzegła, gdy sprawdzając listę, doszła już do litery K. W całej historii jej zdaniem nie miało to jednak większego znaczenia. Dyrektor zdecydował, że we trójkę wraz z pielęgniarką pójdą do sali, którą zgodnie z planem powinna teraz być zajmować II a.

Dopiero teraz Sinusoida przyjrzała się sali. Leżało w niej kilka rozrzuconych bezładnie plecaków i toreb. Z niektórych wysypywały się książki, piórniki i zeszyty. Podniosła jeden plecak. Tuż pod nim znalazła zgniecioną karteczkę. Zaciekawiona rozwinęła papier. Jej oczom ukazał się napis: „Zginiecie wszyscy!”. Pokazała ją dyrektorowi, który wzruszył ramionami.

– Bzdura! – powiedział. – Pani się naoglądała głupich filmów.

Ale po chwili zamilkł, gdyż podobną karteczkę podstawiła mu pod nos pielęgniarka, a sam zauważył kolejną, koło której, ku jego przerażeniu, leżał zakrwawiony, ucięty palec.

– Nie dotykać! – krzyknął dyrektor, i cała trójka rozejrzała się po klasie jeszcze uważniej. Na blaszonym okapniku po drugiej stronie okna pielęgniarka zauważyła strzęp ucha. Sinusoida spostrzegła w krzakach pod oknem jakąś masę, nad którą krążyły muchy. Wydała z siebie okrzyk przerażenia, kiedy rozpoznała serce. Zduszonym głosem powiedziała to dyrektorowi. Ten zdecydował, że należy natychmiast wezwać policję. Do sekretariatu, w którym był telefon, wysłał pielęgniarkę.

Pod salą II a tłoczyli się uczniowie innych klas, gdyż dawno już trwała przerwa. Jeden dryblas z III b proponował, by ślad buta, którym ktoś wlaźł w kałużę krwi, obrysować kredą.

Wicedyrektorka, która wróciła wraz z pielęgniarką kazała wszystkim rozejść się do swoich klas. Policja przyjechała w ciągu kwadransa. Sygnał radiowozu dało się słyszeć już z daleka. Kilku funkcjonariuszy z bronią, taśmami i jakimiś workami wbiegło do szkoły w błyskawicznym tempie.

Wysoki szczupły blondyn w stopniu porucznika zadał dyrektorowi pytanie, co się dokładnie stało. Usłyszawszy, że znikła cała klasa, a wszystko wskazuje na zbiorowe morderstwo, wytrzeszczył oczy. Tego w tym mieście jeszcze nie było! Poprosił o podanie szczegółów. Kiedy dyrektor opowiadał, co zaszło, porucznik podszedł do okna i powiedział:

– Nawet jeśli rzeczywiście doszło tu do zbrodni, sprawca musiał dostać się do klasy od wewnątrz, a nie przez okno.

– Na jakiej podstawie pan tak myśli? – spytał dyrektor.

– Szkło, rozumie pan? – odparł porucznik, a widząc po spojrzeniu dyrektora, że ten nic nie rozumie, wyjaśnił:

– Szkło z szyby leży nie w sali, ale na zewnątrz.

– Sugeruje pan, że ochrona w szkole nie działa jak należy? – spytał dyrektor głosem pełnym oburzenia.

– Nic nie sugeruję – powiedział porucznik i krzyknął do swoich ludzi:

– Dwaj niech wyjdą na zewnątrz obejrzeć teren pod klasą. I wezwać mi tu lekarza!

– Co miało znaczyć pańskie „jeśli rzeczywiście”? – spytał dyrektor, ale porucznik machnął zniecierpliwiony ręką i począł oglądać zakrwawiony ząb, który tak zdenerwował Sinusoidę. Zainteresował się też obciętym palcem i uchem, które zakrwawione spoczywało na dnie przezroczystej torebki użytej przez policję do zabezpieczenia śladów.

– No więc co miało znaczyć „jeśli rzeczywiście”? – dopytywał się dyrektor, ale zanim porucznik zdążył mu odpowiedzieć, do klasy wszedł mężczyzna w białym kitlu machający rękami w oburzeniu:

– Odrywacie mnie od ważnych spraw, abym oglądał gnijące wołowe podroby?

– Niech się pan tak nie denerwuje – odparł porucznik. – Ja też ode-
rwałem się od ważnych spraw, a okazało się, że wszystko po to, by obejrzeć
palec, ząb i ucho z modeliny. Na dodatek... – w tym momencie porucznik
przerwał i spojrział gdzieś do tyłu – ...to wszystko zapewne... zostało...
nagrane – podbiegł do szafy stojącej na samym końcu klasy i błyskawicznie
zdjął z niej... kamerę wideo.

Dyrektor zaniemówił. Rozpoznał bowiem sprzęt, na który zazwyczaj
nagrywano szkolne przedstawienia. Kamera należała do Jasia Zawadzkie-
go – największego szkolnego rozrabiaki. Dyrektor natychmiast zrobił się
czerwony na twarzy i, spojrzawszy na Sinusoidę, spytał:

– Jaś Zawadzki to z tej klasy?

– Tak – odparła matematyczka.

Dyrektor pokiwał smętnie głową i powiedział:

– Wszystko jasne! To jego najnowszy numer.

– Tak – powtórzyła blada jak ściana Sinusoida. Teraz bowiem uświado-
miła sobie, jak głupio wyglądały jej bieg przez szkołę i wrzaski. A najgor-
sze, że całą hecę II a nagrała na wideo. Wszyscy teraz zobaczą ją, jak czyta
listę obecności, siedząc sama w pustej klasie. I tylko jedno ją cieszyło. Że
postawiła wszystkim nieobecność. Należało im się! Ale... zaraz, zaraz...
kto zapłaci za zbitą szybę? No i kto umyje podłogę?

Małgorzata Karolina Piekarska

2002

Krzysztof Bielecki

Wiosenny spacer Jerzego Binkowskiego

„*Ciała nasze niesie czas*” – czytamy w wierszu *Wiosenny spacer*, jednym z moich ulubionych z tomu 77 Jerzego Binkowskiego.

Wers składa się z siedmiu zgłosek i śpiewa. Bo przy wszystkim innym, co w poezji Jerzego Binkowskiego jest niezwykle, zdarza się i to, że to nie tylko są wiersze, ale też... pieśni. Jerzy Binkowski śpiewa pieśń o sobie; o sobie owszem z wolna odchodzącym, lecz w tym sformułowaniu zba-wienne jest to „z wolna”. To „z wolna” jest ukrytym aspektem poetyckiej, raz krótszej, raz dłuższej, frazy Jerzego Binkowskiego, a jednocześnie już widocznym aspektem jego życiowej i poetyckiej postawy. Życie, zdaje się mówić Poeta, jest tak piękne, że pośpiech byłby grzechem; o, tak, Autor na pewno myśli właśnie tak, jest wszak poetą religijnym, konfesyjnym, pokornym, a cisza jego wierszy bierze się z Obecności. Jerzy Binkowski nie chce przeszkadzać Bogu być. Nie przygląda się Bogu z niedowierzaniem; przygląda się sobie – szczęśliwy, że obok jest Bóg; Bóg i Miłość chętnie pisana, i słusznie, wielką literą.

Cała ta nieskończoność rozpina się u Jerzego Binkowskiego albo między niebem a ziemią, albo między niebem, którym jest żona, a ziemią, którą jest ścieżka z chłopcem mówiącym „dzień dobry panu”; to piękna scena:

Jerzy Binkowski

77

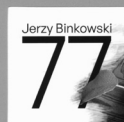
Białystok 2026

Wydawnictwo BUK

Stron 52

Oprawa karton

ISBN 978-83-66465-66-4



chłopiec był nieznanym; był nieznanym, dopóki nie powiedział czegokolwiek. Czegokolwiek? Nie mówmy tak – nie myślmy tak. U Jerzego Binkowskiego nie ma ani ziarna „czegokolwiek”; wszystko jest Czymś; i także to „dzień dobry panu” jest czymś nagle istotnym. Oto chłopiec przed chwilą nieznanym, w okamgnieniu staje się znany; okamgnienie to tyle, co nic, tymczasem tu staje się przemianą; to częste w poezji zjawisko: z niczego staje się coś; tu na kilku poziomach – jeden to chwila, niewinny przebłysk czasu, który poniósł nas całkiem daleko, a drugi to potęga słowa; chłopiec wypowiada trzy najprostsze słowa, w poezji zawsze sekretne, zawsze większe niż mogą się wydawać, zawsze ujmujące, a tu jeszcze ujmujące być może sens naszego życia: dzień, dobry, ktoś. Słowa, jakie by nie były, dostojne czy niskie, ujmują sens życia człowieka, jak człowiek ujmuje jabłko: sięga po nie i jabłko już jest w dłoni, która tyle w życiu widziała; tyle w życiu widziała, ale tego jabłka, tej chwili, jeszcze nie; wszystko w życiu nieustannie jest nowe, jak w wierszu Jerzego Binkowskiego świeże truskawki. To pewnie jeden z głębszych sensów naszego życia. I wobec niego Jerzy Binkowski nie przechodzi, nie umie przechodzić obojętnie.

Człowiek bez słowa jakie wie życie? Upada i gnije. A jabłko bez człowieka jakie? Upada i... U Jerzego Binkowskiego nic nie upada.

Krzysztof Bielecki

Anna Frajlich

Październikowa podróż po Polsce

Jesienią 2025 roku miałam niewątpliwy zaszczyt i przyjemność przyjechać z Nowego Jorku do Polski na promocję aż trzech książek.

Pierwsza – Anna Frajlich, Sławomir Jacek Żurek *Szklany sufit języka. Trzynaście rozmów*¹ – to dość niezwykły tom składający się z serii rozmów na temat biografii, pisarstwa i problemów z tymi tematami związanych, wydany przez Wydawnictwo Austeria w Krakowie.

Druga pozycja, *Pył*² to mój trzeci tom wierszy zebranych, opublikowany przez szczecińskie wydawnictwo FORMA, na który złożyły się następujące zbiory: *Łodzią jest i jest przystanią*, [2013], *W pośpiechu rzeka płynie* [2020], *Odrastamy od drzewa* [2024] oraz *Piosenki, Wiersze rozproszone* i *Najnowsze* z posłowiem Wojciecha Ligęzy zatytułowanym cytatem z wiersza *Czas płynie tak jak woda i toczą się dzieje*.

Trzecia pozycja, która była również prezentowana na paru spotkaniach, to prawie pięciusetstronicowa praca Anny Fiedień-Kułak *Emigracja tożsamość pamięć. Życie i twórczość literacka Anny Frajlich*³.

Plan spotkań, w dużej mierze przygotowany przez nas, tym razem obejmował dwanaście spotkań w siedmiu miastach. Z tych dwunastu tylko jedno zostało odwołane kilka dni przed ustaloną datą – spotkanie w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie 60 lat przedtem na Wydziale Polonistyki obroniłam pracę magisterską z wynikiem bardzo dobrym. Kilka osób, dowiedziawszy się o tym, stwierdziło, że wydział przestraszył się ewentualnych demonstracji, które to spotkanie mogłoby wywołać ze względu na moje pochodzenie. Mnie samej nie przyszłoby to nawet na myśl. Ale warto zaznaczyć, że przez dziesięciolecia, kiedy moje książki już były wydawane w Polsce, tylko jeden raz zostałam zaproszona przez „mój” uniwersytet.

¹ Anna Frajlich, Sławomir Jacek Żurek, *Szklany sufit języka. Trzynaście rozmów*. Wydawnictwo Austeria, Kraków 2025.

² Anna Frajlich, *Pył*, Wydawnictwo FORMA, Szczecin 2025.

³ Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów, 2025.

Podróżowałam po kraju z mężem, Władysławem Zającem, głównie pociągami, ale częściowo z Elżbietą i Sławomirem Żurkami ich samochodem, jeżeli było nam po drodze. Wszędzie spotykaliśmy się z nadzwyczaj ciepłym i serdecznym przyjęciem. Elżbieta Maria Żurek jest znakomitym redaktorem tomu.

Pierwsze spotkanie zatytułowane *Autobiografia poezją przeplatana* odbyło się w Warszawie w Klubie Babel, a poprowadziła je znakomicie prof. Beata Dorosz. Sala klubu była pełna, rozmowa prowadzona przez prof. Dorosz oraz pytania gości pokrywały najciekawsze elementy *Szklanego sufitu*, jak i tomu *Pył*. Obie książki były udostępnione do nabycia.

Po dwóch dniach, 7 października, usiedliśmy z prof. Sławomirem J. Żurkiem do stolika w Bibliotece Miejskiej w Łodzi, gdzie prof. Jarosław Płuciennik z Centrum Badań Żydowskich Uniwersytetu Łódzkiego prowadził naszą ciekawą rozmowę na temat poezji i judaistyki.

Dnia 13 października wieczór w Poznaniu w Centrum Kultury „Zamek” prowadzony był przez dr Sylwię Karolak, z którą jeszcze przed oficjalnym spotkaniem zjedliśmy coś niecoś w kawiarni na zaproszenie Uniwersytetu. Publiczność niezbyt liczna, ale szczerze zainteresowana. Szczególnie wzruszyło mnie to, że młodzi studenci znali moje poprzednie wydania i szczegóły biograficzne.

Na spotkanie przybył także redaktor pisma „Miasteczko Poznań” z najnowszym numerem, gdzie znajduje się moje wspomnienie o Stanisławie Wygodzkim.

Z Poznania do Szczecina jechaliśmy razem z Żurkami ich samochodem około trzech godzin. Tutaj, w mieście mego dzieciństwa i młodości, moich pierwszych wierszy i nagród, odbyły się dwa pełne ciekawych momentów spotkania.

W Szczecinie 15 października promocję książki poprzedziła interesująca rozmowa z rektorem Uniwersytetu. Następnie w Sali Konferencyjnej Biblioteki Międzywydziałowej Uniwersytetu Szczecińskiego przy pełnej sali słuchaczy spotkanie *Od Szczecina do Nowego Jorku. (Auto)biografia mówiona: Szklany sufit języka* poprowadził prof. Jerzy Madejski, który od lat śledzi i omawia moje publikacje. Ostatnio w „Nowych Książkach” ogłosił recenzję *Szklanego sufitu języka...* pod tytułem *Róbmy co do nas należy*.⁴

Podczas spotkania prócz dyskusji o książkach, czytania wierszy i fragmentów wywiadu, prof. Madejski włączył projekcję fotografii na ścianie sali.

⁴ Nowe Książki nr 10/2025, *Róbmy, co do nas należy...* str. 58-59.

Dzień później, 16 października, w Domu Kultury 13 Muz miała miejsce promocja trzeciego tomu wierszy zebranych pod tytułem *Pył* oraz oczywiście *Szklanego sufitu języka*. Tę promocję, też przy pełnej sali, poprowadził prof. Andrzej Skrendo, prorektor Uniwersytetu Szczecińskiego.

W odróżnieniu od poprzednich spotkań, słuchacze mogli zaopatrzyć się w egzemplarze tomu poetyckiego. Ja natomiast miałam okazję spotkać wielu przyjaciół i znajomych z dawnych i niedawnych lat i okoliczności.

Na drugi dzień w Szczecinie zostaliśmy zaproszeni na zwiedzenie Teatru Polskiego z dyrektorem Adamem Opatowiczem, gdzie poproszono mnie o nagranie wierszy na scenie teatru.

Pobyt w Szczecinie jest zawsze dla mnie poważnym przeżyciem. Samo miasto, z którego prawie każdym miejscem wiążą mnie jakieś wspomnienia, a na sali spotykam bliższe i dalsze osoby z różnych okresów dzieciństwa i młodości.

Dnia 17 października wyjechaliśmy ze Szczecina samochodem prof. Żurka do Lublina. Wieczór spędziliśmy w eksperymentalnym teatrze w Gardzienicach, gdzie odbyła się premiera sztuki Szekspira *Tymon z Aten* w przekładzie Antoniego Libery, którego pamiętałam sprzed lat z Nowego Jorku i spotkałam go na premierze.

Dyrektor teatru, Włodzimierz Staniewski, który otrzymał naszą książkę od Sławomira Żurka, przyjął nas bardzo elegancko i zarezerwował najlepsze miejsca. Sam Szekspirowski spektakl był prawdziwym dziełem sztuki.

Następnego dnia, 18 października, o godzinie 15:00 odbyła się promocja *Szklanego sufitu języka* w Teatrze Starym w Lublinie.

Spotkanie prowadził Andrzej Jaroszyński, filolog, tłumacz, wykładowca i dyplomata, którego poznałam wiele lat temu w Stanach i który prowadził promocję innej mojej książki rok przedtem. Dyskusja jednak poszła w innym kierunku i nie za wiele zostało czasu dla prowadzącego.

Publiczność z uwagą śledziła przebieg dyskusji i polemiki. Najbardziej wzruszyła mnie kobieta, która podeszła do mnie, aby podziękować mi za przeczytany tam wiersz *Santa Maria Ausiliatrice*. Na widowni pojawił się też mój były student z Uniwersytetu Columbia, który pracował na kilku uniwersytetach amerykańskich, a teraz już od pewnego czasu pracuje właśnie w Lublinie.

Zostaliśmy tam jeszcze jeden dzień zaproszeni na inaugurację roku akademickiego na Uniwersytecie Katolickim, gdzie profesor Sławomir

J. Żurek otrzymał nagrodę za swoje zasługi. My, jako jego goście, byliśmy też zaproszeni i imiennie powitani przez rektora.

Z uniwersytetem w Lublinie miałam od lat dobre stosunki, moi studenci amerykańscy cenili tamtejsze kursy języka polskiego, które im sugerowałam. Po uroczystości na KUL-u mieliśmy okazję porozmawiać z dwoma rektorami, obecnym ks. prof. Mirosławem Kalinowskim i także z ks. prof. Antonim Dembińskim, którego znamy od lat.

Radio Lublin nadało wywiad z prof. Sławomirem J. Żurkiem o naszej książce.

Następne spotkanie pod tytułem *Szklany sufit języka. Trzyście rozmów, autobiografia utrwalona w poezji*, odbyło się w Warszawie 21 października w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich na Krakowskim Przedmieściu. Osobą prowadzącą była Iwona Smolka.

W swoich notatkach Władysław Zając (mój mąż) pisze, że „przyszło około 40 osób. Nie było żadnego plakatu i informacji o tym wydarzeniu. (...) Iwona Smolka bardzo chwaliła książkę, ale jednocześnie zachowała się jak krytyk literacki, szukając dziur w tej książce i ciągle atakując Żurka. (...) ludzie kupili sporo książek, choć były drogie 50 i 40 złotych. Kupiłem dwie książki do zabrania do Stanów.

Mąż uważał też, że to smutne, że Zbigniew Zbikowski, prezes warszawskiego SPP musiał sam, bez żadnej pomocy, te książki sprzedawać.

Nazajutrz pojechaliśmy do Rzeszowa na promocję trzech książek, a głównie Anny Fiedień-Kułąk, która pisała o moich książkach pracą doktorską, którą potem wzmocniła i przerobiła na 500-stronicowy tom. W 2016 roku w Rzeszowie odbyła się międzynarodowa konferencja wokół mojego dorobku literackiego, prace naukowe (31) zostały zebrane w tomie *Tu jestem / zamieszkuję własne życie. Studia i szkice o twórczości Anny Frajlich* pod redakcją Wojciecha Ligęzy i Jolanty Pasterskiej⁵.

Oboje z mężem wracaliśmy ze wzruszeniem do tego miasta i uniwersytetu. W ciągu tych dziewięciu lat wiele zmieniło się w Rzeszowie i na uniwersytecie. Profesor Janusz Pasterski został w międzyczasie prorektorem, a prof. Jolanta Pasterska kierowniczką Zakładu Teorii i Antropologii Literatury oraz Pracowni Badań Dokumentacji Kultury Literackiej.

W dniu 22 października z Warszawy do Rzeszowa jechaliśmy wygodnym pociągiem, gdy nagle na przedostatniej stacji w Stalowej Woli, 80 kilometrów przed końcem podróży, zapaliła się lokomotywa. W obliczu dość

⁵ Księgarnia Akademicka, Kraków 2018.

marnych opcji autobusowych, zadzwoniliśmy do profesorstwa Pasterskich, prorektor Uniwersytetu Janusz Pasterski i profesor Jolanta Pasterska wsiadli w Rzeszowie do samochodu i przywieźli nas do zamówionego hotelu. Przedtem jeszcze poszliśmy na kolację w znakomitej restauracji.

Następnego dnia, w czwartek 23 października, już o godzinie dziesiątej rano byliśmy w rektoracie, gdzie zapoznaliśmy się z innymi pracownikami Uniwersytetu. Spotkanie odbyło się w Auli im. Stanisława Zająca, po drodze obejrzelśmy pięknie opracowane plakaty naszego wydarzenia. Aula była pełna. Przybyło wielu studentów, a także pracownicy uniwersytetu, przyjechała też Krystyna Lenkowska, a Anna Fiedeń-Kułał przybyła z mężem i trzymiesięczną córeczką.

Prof. Jolanta Pasterska wspaniale poprowadziła spotkanie obejmujące wszystkie trzy książki. Prezentacji książek i dyskusji towarzyszył ekran ze zdjęciami dotyczącymi mojej biografii, a na początek i na koniec zaprezentowano dwie piosenki, moje słowa i muzyka Aleksandra Rotnera. Po półtoragodzinnej prezentacji nastąpiło podpisywanie sprzedanych książek oraz dwa wywiady z prof. Żurkiem i ze mną.

Po wykreślonym z planu spotkania na Uniwersytecie Warszawskim, które miało się odbyć 27 października w Bibliotece Uniwersytetu na ul. Dobrej, mieliśmy pewną przerwę na odwiedziny Krakowa, gdzie za każdym moim przyjazdem do Polski organizowano dwa albo trzy spotkania autorskie. Na jedno z nich w 2000 roku przyszła nawet Wisława Szymborska, która była właśnie w Krakowie.⁶

W dniu 28 października w Fundacji Judaica, ul. Maiselsa 17, odbyło się pierwsze krakowskie spotkanie *Na przystankach świata. Życie, emigracja i los*, na które prezes Fundacji, Joachim Russek, zaprosił dwie osoby: profesora Wojciecha Ligęzę z UJ i mnie. Z prof. Ligęzą współpracujemy od dziesięcioleci, spotykaliśmy się na konferencjach w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Hiszpanii i oczywiście w Krakowie. W jego przebogatej bibliografii istnieje kilka esejów o moich książkach i to on zawsze w Krakowie prowadzi moje spotkania. Na Maiselsa przychodzi zawsze grupa moich czytelników, większość z uniwersytetu. Przybył m.in. prof. Jacek Hajduk, który skłonił redakcję „Przeglądu Politycznego” do zamieszczenia mego wiersza *Czytając Gibbona*. Prof. Justyna Budzik, z którą jesteśmy zaprzyjaźnieni od lat, przybyła na dwa spotkania w Krakowie i skłoniła do przyjścia swoich studentów.

⁶ W jednym ze swych ostatnich listów 10 stycznia 2011 roku napisała do mnie: „Masz jednak pewną potworną wadę, przyjeżdżasz do Polski wtedy, kiedy mnie nie ma”.

Nazajutrz, 29 października, odbyły się dwie promocje – pierwsza o godz. 11:30 pod tytułem: „Poezja: między akademią a życiem, *Szklany sufit języka. Trzynaście rozmów* – spotkanie z Anną Frajlich i Sławomirem Jackiem Żurkiem”, zorganizowana przez prof. Łukasza Tichnera, dziekana Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. To spotkanie również prowadził profesor Wojciech Ligęza, a prócz osób siedzących na sali uczestniczyli w nim poprzez sieć studenci. Było to bardzo ciekawe przeżycie.

Tego samego dnia, w tym samym składzie, o godzinie 18:00 odbyła się podobna promocja w Wydawnictwie Austeria (Synagoga Poppera, ul. Szeroka 6) pod tytułem *Autobiografia poezją przeplatana*. Ją też prowadził heroicznie Wojciech Ligęza. „Heroicznie”, bo był po wypadku i operacji, a jednak się na tę przysługę dla nas zdobył. W budynku Austerii znajduje się dość interesująca księgarnia, gdzie można było kupić książkę, a sala promocyjna jest na piętrze. Wszystko było przygotowane, ale nikt z wydawnictwa się nie pojawił. Podobno to jest ich zwyczaj.

Sama prezentacja książki była udana, „salka była pełna” – pisze Włodek. Widziałam nawet ze dwie-trzy osoby, które przyszły drugi raz, tu, w Krakowie. Książki się sprzedawały w księgarni wydawnictwa.

Na tej przyjaznej serii zakończyła się promocja trzech książek, każda inna w formie, ale w tym samym temacie.

Anna Frajlich

Irena Kukuszka Glinka

O książce: *Leśmian, Leśmian...*¹ Adama Kulika²

Moja młodzięcza fascynacja życiodajną poezją niepozornego notariusza po prostu musiała mnie doprowadzić do zafascynowanego Leśmianem Adama Kulika.

„Znam ich dwóch”³ – mówił jeden z rozmówców Kulika o dwóch upostaciowaniach autora iłżańskich erotyków: przy czym już nieżyjący adwokat stwierdził, że obraz widywanego jawnie, *zasuszonego* człowieka, podczas czytania wierszy wypierany był przez postać *uduchowionego poety*.

Analogiczne spostrzeżenie ujawnia wspomnienie Zygryda Krauzego – notariusza i przyjaciela rodziny, postrzeganego przez Kulika jako „nobleśny pan, nieco podobny” do Leśmiana, który stał mu się bliski – „poprzez drażnienie jego twórczości i biografii”⁴.

Ta rozmowa (przeprowadzona w 1994 roku)⁵ od lat mi nie daje spokoju...

To najciekawsza rozmowa w całym tomie zwierzeń – najbardziej osobiście i dociekliwie penetrująca przestrzeń prywatnego życia poety (i kolejny interlokutor, który niechętnie odsłania intymne aspekty znanego sobie osobiście żywota).

Ale Kulik nie ukrywa, czego docieka i co go ciekawi; draży i bada skłonność rozmówcy do ustępstw na rzecz odsłaniania woalu niedomówień – w celu dotarcia do prawdy elementarnej albo prawdziwie historycznej (lub może prawdy o prawie do niedosłownej, artystycznej biografii...).

Ale czy osobowość (rozwijająca się wszak w toku życia) nie modeluje konstruktu tożsamości na tyle, że samych siebie niekiedy nie rozpoznajemy w tym co robimy, jak myślimy, jak postrzegamy, jak tłumaczymy sobie swe czyny – do siebie sprzed czasów przyznając się nieraz niechętnie i bez esztymy traktując co poniektóre swe uosobienia; nie zawsze zadowoleni z pełnienia ról, jakie przypadły nam w udziale...?

Lękliwy, depresyjny, ucieczkowy... – zdajemy się czytać między wierszami.

Z potrasku jednoznacznie stawianych pytań – ukierunkowujących na cel, jakim jest odsłonięcie sekretnych stron życia – rozmówca Kulika

wydostaje się z dyplomatycznym uśmiechem: „Pan ma swoją tajemnicę, ja mam swoją tajemnicę...”⁶.

Zygfryd Krauze usprawiedliwia pośpiechem swe wspomnienia, spisane na użytek tomu Zdzisława Jastrzębskiego; ale zdecydowanie zaprzecza temu, co wynika dla wizerunku poety ze wspomnień Wacława Gralewskiego.

„To było coś zupełnie oddzielnego: każdy poeta, pisarz, kiedy się z nim rozmawia, to coś z niego wyłazi – człowiek i poeta. U Leśmiana, jak się z nim rozmawiało, nie odczuwało się tej dwoistości, i ktoś, kto nie wiedział, że on pisze, mógł mieć o nim bardzo liche wyobrażenie”⁷ – stwierdza Z. Krauze w tekście zatytułowanym *Dwie istoty zupełnie niezależne*.

Autor wspomnienia podkreśla związek poezji Leśmiana z filozofią Bergsona, opisując swoje odczucie tego, że świat wyobraźni, w ramach którego poeta tworzył, był po nim przez innych zgoła nie widywany.

„Jego poezja zupełnie nie odpowiadała osobie – to dwie zupełnie obce rzeczy”⁸. To zdanie absolutnie zaprzecza potocznej wiedzy, związanej z przekonaniem, że jesteśmy tym, co robimy – że widać po nas estymę, karierę, fawory, nasze sukcesy, majątki, że futra, posesje i samochody opowiadają, kim się czujemy albo za kogo pragniemy uchodzić.

Że człowiek bywa też swymi myślami – to bardzo pocuczające spostrzeżenie (wywiedzione z impresji Zygryda Krauzego); że funkcjonuje i w innym wymiarze, a parametrami jego aktywności okołodobowej nie są jedynie czynności urzędowe, lecz także i wersy z marzeniami, sny, wizje i bezpośrednio z gwiazd, szczytywane losy kosmicznej przyrody; że opowiada o sile naszych wyobrażeń – dostępne wraz z odczuciami, uświadomione, niczym przesywający sztych rapierem – bombardowanie fotonami (przypisywane słonecznemu wiatrowi).

To, o czym opowiada – pomiędzy wierszami, ma się rozumieć – pan Krauze, przeczy zdecydowanie stereotypowi, na mocy którego zazwyczaj człowiek jest nastawiony na udawanie samego siebie.

Przeczy więc domniemaniu, że człek skupia się na tym jedynie, żeby nie było po nim widać co myśli, co czuje, za kogo się ma w głębi ducha; swe otoczenie więc mylnie informuje o tym, jak owo się winno z nim obchodzić: zakłada melonik na głowę, nogę na nogę, cygaro bierze do buzi i z całej siły się powstrzymuje, żeby nie złożyć ust w podkowę – oby się z prawdą o sobie nie zdradzić... (z swym bezistnieniem, z bezwolą wobec poczucia bezwiny, z niemocą wobec urojeń).

Skomunikowanie się z kimś, kto siebie samego udaje praktycznie jest niemożliwe, bo osobnik taki trwa permanentnie w obawie, że maska mu się zsunie (lub że przyrosła mu była do twarzy – jak imputował nam Kołakowski)⁹.

Największy problem z tym udawaniem siebie samego ma człowiek wtedy, gdy trapi go przeświadczenie, że jeśli nikt jego sukcesów nie zauważy (jaką to zrobił karierę, jakim wielkim jest reżyserem, jak mu wspaniale się powodzi i że poprawny – OK¹⁰ – jest w ogóle) to całkiem być może, że ów wcale a wcale nie poczuje, iż *de facto* istnieje.

Czym czuł *Znikomek* że żyje „zaocznie”?¹¹ – nie wiemy; ile go było; na ile go ubywało: i czy z latami, bądź w miarę jak mu zapału do trwania nie stało – prawdy żadnej nie znamy. Ale że tęgi to «istnieniowiec» po prostu się czuje, ponieważ onym istnieniem – tym samozaparciem się na wyżycie istnienia – zwyczajnie od niego w *Napoju cienistym* aż dużej.

Leśmian nie udawał poety¹² – jak zdaje się wynikać z dokumentacji zgromadzonej we wspomnieniowym tomie¹³ – co wywoływało u niektórych swego rodzaju dysonans poznawczy.¹⁴ W efekcie konfrontacji z czyimiś oczekiwaniami co do tego, po czym rozpoznać by można twórczą osobowość¹⁵ idącą ulicą – jako poeta bywał nierozpoznawalny¹⁶.

Jego wizerunek nie naprowadzał na trop skojarzeń z kimś poetycznym, uwznioślonym, dysponującym duchową urodą i wrażliwością o niebywałej harmonii.¹⁷ Nic w nim podobno nie było z typowo romantycznej melancholii. Najprawdopodobniej nic wiośnianego nie przywodził na myśl osobom, z którymi obcował.¹⁸ A jego literackie upodobania i filozoficzne inklinacje w inteligenckim środowisku lokalnej kultury czyniły go postacią odosobnioną – zawierając świadectwu przyjaciela rodziny¹⁹. Zdecydowanie lepiej czuł się poza granicami kraju (gdzie znacznie łatwiej zachować prywatność i anonimowość, dające twórczą swobodę).

Trochę nas to zaskakuje, że naszą tożsamość dekoduje publiczny wizerunek – nawet i dzisiaj, w dobie permanentnego zdawania się na to, że jak nas widzą, tak nas opisują. Ciekawie i adekwatnie o wymowie portretu – utrwalającego znaczenie danej roli społecznej – pisze Matywiecki w swojej biografii Tuwima²⁰.

„Sędzia” (tak się do niego zwracano)²¹ miał niebywałą odwagę uchodzić w oczach sąsiednich za kogoś mierniejszego od siebie (tego uduchowionego).

Jedynie samowiedza, tylko samoświadomość daje nam taką siłę, że wiemy lepiej od drugich, czym jest nasza poetyczna tożsamość.

„Znałem Leśmiana dogłębniej, niż o nim mówię, lecz nie chcę o nim mówić tak głęboko. Ponieważ ludzie widzą nas tak, jak widzą, a nie, jacy jesteśmy naprawdę, jestem przeciwny obnażaniu. Jego literatura jest ujawnieniem więzi tego, co stworzył, z tym, co jest nadnaturalne”²².

Pan Krauze zinterpretował twórczość Leśmiana pod kątem tego, co wiedział o sobie samym, o swojej wiedzy o ludziach, o literaturze, o poezji, o filozofii Bergsona – w oparciu o przekonanie, że Leśmian chciał nam pokazać, „że nie rozumiemy świata” (a tym samym: że nie rozpoznaliśmy poety w Leśmianie; nie zawierzyliśmy poetyczności tej duszy, którą tak ukochała Dora Lebenthal²³ – kierując się skromnie wyglądającą posturą i nie przyziemnym, wszak nie najlotniej przetrwanym życiem).

Z tego, co opowiada o Leśmianie Z. Krauze, można by wnosić, że dla poety «życiowa normalność» – by trzymać się terminologii Znanięckiego – sprowadzała się do realizowania «dążności» do „bycia poetą”²⁴; a Znanięcki by stwierdził, że w kręgach, w jakich notariusz się obracał, ten «typ normalności»²⁵ nie był akceptowaną dążnością...

Ilu ich znamy? – to doskonale sformułowane zagadnienie (z zakresu autokreacji oraz z dziedziny psychologii twórczości), w przedziwny sposób, jak sądzę, konwenujące biografom twórczej sylwetki i interpretatorom poetyckiego profilu Leśmiana.²⁶

Z mojego punktu widzenia tak sformułowana kwestia narzuca także swoistą analogię pomiędzy inspirującą do badawczych poszukiwań postacią, a sprawcą stworzonego wokół Leśmiana historycznego zawirowania²⁷, Adamem Kulikiem (którego twórcza sylwetka także nastrocza pewien kłopot poznawczy – antycypujące egzystencjalny dylemat pytanie: *czy człowiek jest tym co robi; czy tym, kim się czuje*)²⁸.

Jak sądzę, nie bez znaczenia dla publikacji pt. *Leśmian, Leśmian...* jest fakt, że zbieraniem materiałów o autorze *Malinowego chruśniaka* i środowisku, w którym powstawały iłżańskie erotyki trudził się autor *Pejzaży z Panem Lemonem*²⁹: poeta o wielu upostaciowaniach (literata, reportażysty, filmowca, redaktora, animatora, luminarza).

Czy biografia należy do twórczości? – podobno tyle jest zdań, ile autorów formułuje w tej kwestii swe przekonania.

W przypadku biografii zamojskiego notariusza zdaje się być wyczuwalny subtelny związek pomiędzy fascynującą twórcą postacią, a nim samym – jako kompozytorem, ale też budowniczym książkowych i dialogicznych narracji – peregrynującym tropem poprzednika po okolicznych ludziach i miejscach, z którymi się stykał.

Zasada szukania podobieństw – proponowana przez Umberto Eco w celu eliminowania interpretacyjnych nadużyć tekstu (bowiem nie sposób w zasadzie stwierdzić, które interpretacje są dobre, aczkolwiek istnieje możliwość zidentyfikowania złych³⁰) – zasadniczo falsyfikowałaby niniejszy akapit. Gdyby nie to, że ma tutaj miejsce nie tyle użycie tekstu, stawiającego konkretne pytania odbiorcy (nazywane interpretacją), a zwykłe stwierdzenie swoistego podobieństwa, odnoszącego się do twórczego profilu dwóch modelowych dla swoich czasów postaci.

Zasada szukania podobieństw zdaje się decydować o naszych sympatiach, fascynacjach, feblkach. To psychologicznie podbudowana zasada, na mocy której dobierają się pary, współnicy, partnerzy; której działanie sprawia, że obdarzamy zaufaniem niekiedy zupełnie obcych sobie ludzi – odczuwając pokrewieństwo duchowe.

Jestem jeszcze dalej poza tymi snami – to bardzo szczególny rozdział³¹, w sensie narracji i stylistyki po części reportażowy, po części... liryczny. Miejscami jest to autentycznie poetycka proza, ilustrująca szalenie emocjonalnie przeżywane dążenie (*motion* – jak by powiedział Znaniecki)³² do wytropienia w pejzażu, wśród rzeczy a także „po ludziach”³³ każdego refleksu, mającego związek z poetą, jego twórczością i życiem.

To bardzo szczególny związek – opisywany niekiedy w literaturze jako «porozumienie duchowe». Wszakże można by też brać w rachubę, że emocjonalna autentyczność poetyckiego opisu poszukiwań, nadziei z nimi związanych, wątpliwości, rozczarowań, dociekań – bierze się z twórczej postawy (której atrybuty dość szczegółowo denotują dzisiaj psychologia³⁴ i pedagogika³⁵ twórczości. Aczkolwiek już przed laty na jej cechy zdawał się być wskazywać Florian Znaniecki³⁶, analizując rolę środowisk i ról społecznych.

Rzeczowy, reporterski bez mała zapis peregrynacji tropem rozmaitych śladów oraz pamięci o kontekstualnych szczegółach życiowej i twórczej aktywności poety, Kulik przeplata – jakoby mimowiednie – ze szczerą emocją owładniętego swą pasją człowieka.

Kadruje przestrzeń³⁷, domyśla się „czyżby tutaj? [...] Może jednak tutaj?”³⁸ i szuka – z archeologicznym bez mała zacięciem³⁹ – owego *genius loci*: nienamacalnych znaków przetrwania (gdzieś w okolicach poety) energii jego twórczego polotu.

Szuka więc powidoków spotkań, schadzek, rozstań – patrząc na krajobraz jak na przypozwanego przez kochanków, niezmienionego od 1918 roku, wymownego świadka zmilczanych westchnień, sekretnych uścisków oraz dramatu uczuć, wpisanych pomiędzy linijki *Malinowego chruśniaka*.

Wędrowanie od miejsca do miejsca – rozpytywanie tutejszych przechodniów o czas niegdysiejszy – przechodzi w dramatyczny monolog zawiadzonego tropiciela nieistniejących już map (dylemat Stasiuka)⁴⁰. Leczenie śladów przebrzmiałego żywota nie odciskają swej topografii inaczej niż w pamiętliwych umysłach. Reporter wybiera więc rolę słuchacza i rozpoczyna swą poetyczną wędrówkę po ludziach.

Kulik patrzy oczyma poety. Tego rodzaju percepcja cechuje się tym, że jest twórcza.

A zatem w pracy *Leśmian, Leśmian...* nie chodzi wyłącznie o biografię – jak mogłaby nas zmylić cała dokumentacyjna partycja dzieła, opublikowanego przez Wydawnictwo „słowo / obraz terytoria”⁴¹.

Ta publikacja stanowi przykład owocnej apercepcji – gdzie autoteliczna działalność (czytanie czy pisywanie wierszy) nabiera obiektywnego znaczenia w efekcie długotrwałych procesów kulturotwórczych, których początkiem jest empatyczna refleksja, następstwem: identyfikacja, umysłowa aktywność, konkretne działanie i niewymierny wysiłek twórczy, natomiast wynikiem (odległym w czasie skutkiem): upubliczniony dialog (społeczny) – z wykorzystaniem artefaktów.

Ciekawość cudzego życia mamy w bagażu swych z gruntu człecznych natur. Nad rozbudzeniem ciekawości dla języka i wyobraźni poetów pracują nieliczni już donkiszoci – poeci wierzący w wartość uprawy ludzkiego ducha (nie dyplomowani badacze jego polotu)!

Z punktu widzenia poety nie ma nic piękniejszego, niżli tworzenie fikcji – demaskującej fikcjonalność uproszczonej rzeczywistości (symplicyfikowanej na poczet naszych wygodnych relacji z kosmosem niepojętych galaktyk) wobec bogactwa i autentyzmu wyobrażonych doświadczeń.

Czy ten *Znikomek* to ukrywający przed światem swą oniryczną drażliwość poeta, który się w wierszu otwiera a pragmatycznie się w życiu

zamyka – swą tkliwą bezbronność chroniąc przed prozaicznym dyktatem absurdu, bezsensu, pośpiechu, chaosu?

Emocjonalny stosunek do trwania, fascynująca poetyczność, filozofia nienamacalnych uczuć (wywołujących ten rodzaj procesualnego naenergetyzowania, jaki cechuje neutrina). Taką samą miłością do natury życia napawa się bohater *Pejzaży z Panem Lemonem*.⁴² Czyżby Kulik-poeta miał w sobie coś z Leśmiana...? Czy się Leśmianem zachwyca, czy też sposobem istnienia, jaki manifestował *Znikomek*...?

Poeta jak to poeta – miłośnie się odnosi do ekspansywnej, odurzającej swą witalnością natury (przyrody i człowieka); zaskakująco jest skłonny do żywiołowych, impulsywnych identyfikacji z jej zjawiskowym urokiem; refleksyjnie jest nastawiony i zdystansowany wobec wartości i zdarzeń dosłownych; cierpliwie dostosowuje optykę do spolegliwego postrzegania (za sprawą neuronów lustrzanych) spraw dolegliwych i ludzi niedoskonałych.

Mentalna interpolacja – być może. Jednakże Culler⁴³ powiada, że interpretacja ciekawa a dotycząca tego, czego sam autor wprost nie napisał, ma taką samą rację bytu, jak interpretacja poprawna a związana z predykatem odczytań zakodowanych na poziomie intencji autora – modelującego intencje tekstu.

Tyle że tekst nie jest w stanie przewidzieć, jak będzie używany; autor nie ma wpływu na koincydencje, mentalne konwergencje i komparatystyczne odkrycia – wyzwalające nowe nurty interpretacyjne. Nie ma też wpływu na sposób rozumienia (czy nadrozumienia – związany z przetwarzaniem zapisu w oparciu o nowe konteksty) – bo ten warunkują kompetencje poznawcze odbiorcy oraz intencje użycia tekstu.

Nieraz go też zgoła nie interesuje, jaki pożytek wynika z lektury pism Tarabuka⁴⁴ i nie docieka, jak dalece zawiłe są meandry rozumienia i pojmowania zakodowanych w nich pytań.

Acz losy dzieła są w gestii czytelnika.

Jeżeli twórczość, po którą sięgamy, nie stawia nam żadnych pytań; jeśli się prosi jedynie o to, by z przyjemnością ją czytać – słowem: skoro nas nie zastanawia – nie ma szans wpłynąć na myśli, które kierują naszym życiem i animują nasze twórcze postawy (dając nam do myślenia, przeformowując nasz mentalny budulec, przeinaczając nasze poznawcze schematy i nastawienia, przewartościowując nasze wyobrażenia o świecie i człowieku, motywując do przyjrzenia się temu, jakie żyjemy przekonania oraz czy

mamy, czy tylko mie w a m y poglądy; inspirując do autotelicznych działań, przedsięwzięć, poczynań...).

[Glosa: akurat skończyłam pisać – na marginesie niniejszego – tekst pt. *Eh, Leśmian, Leśmian...*].

Tylko o tyle służy nam czytanie, o ile daje nam asumpt, by z siebie też coś wypisać (rozpatrzyć się w sobie, a i o kogoś – prócz siebie – rozpytać; odnieść swą jednostkową ahistoryczność do legendarnej historii ludzkości, by projektować jej przyszłość...) – wpisując się bodaj glosą na marginesie dzieł poprzedników. Wybadać, którzy Inni nas inspirują swą poetyką, filozofią formułowanych przez siebie dylematów – ewokowanych swą osobistą rozterką albo prywatnym poczuciem szczęścia: z trwania, tworzenia, z procesu.

Biografia *Leśmian, Leśmian...* stanowi – w sensie literackim (i nawiązując do kwestii twórczego warsztatu) – po pierwsze: książkę niebanalną; mieszcząc się być może w nurcie «antyhagiografii» (jak można by nazwać biografię P. Coelho⁴⁵; jak w kręgach krajowych intelektualistów myśli się o nie-fikcji⁴⁶). Po drugie: ukazuje jednego z nie aż tak wielu rodzimych poetów (którego rękopisy wędrują po świecie transatlantyckim)⁴⁷ nie w świetle odbitym od szkolnych wypisów, a w świetle przechodzącym relacji osobistych – czyniąc go postacią transparentną... inaczej, tj. dyskusyjną.

Po trzecie: opis peregrynacji Kulika (jako regionalisty, reportera i kulturoznawcy) tropem poety, a także zapis wspomnień o fascynującej go postaci (redagowanie pisemnych relacji, rozmów, dyskusji⁴⁸ i odautorski komentarz w formie przypisów) stanowią o tym, że *Leśmian, Leśmian...* proponuje narrację wielopoziomową. I wielonurtową – dodawszy wymóg literalnego odczytania reprodukowanych dokumentów oraz interpretowania dagerotypów (układających się w opowieść wizualizującą szerokie pole około kontekstowych, prywatnych i dziejowych odniesień wobec jednostkowego życia).

Nietypowo Kulik konstruuje także swe bardzo szczegółowe *Kalendarium* – podając publikacje bibliograficzne, lecz i wskazując na odniesienia do korespondencji Leśmiana. Wykazując się przy tym i sumiennością dociekliwego badacza, i wnikliwością pasjonata – tropiciela tajników zagadkowego żywota.

Daleko więc odchodzi od schematu typowego sprawcy, któremu narzędzie pracy (dzieło programisty) bezrefleksyjnie ułoży (z pomocą algorytmu)

spisy, przypisy, wypisy, zakładki, komentarze, indeksy – w od ręki gotowy artefakt.

Nie sposób czytać tę książkę jedynie linearnie, bowiem niejako wymusza ona na odbiorcy postawę aktywną – powodowaną ciekawością, wciąż podsycaną nowymi rewelacjami. Ta fascynacja jest zaraźliwa i trzeba się tak samo jak Kulik rozemocjonować – ażeby w pełni docenić twórczą pracę autora tej nietypowo literackiej biografii.

Szczególnie znaczące dla twórczej kompozycji książki wydają się być nieprzypadkowo zamieszczone w niej wiersze – cytowane przez rozmówców (oferujących materiał na piśmie)⁴⁹, bądź używane przez Kulikę jako ilustracyjna dominanta jego własnego obrazu twórczej istoty (którą los zdawał się obciążać zaskakująco materialnym żywotem).

Tę próbę (poniekąd porównywalnego z wysiłkami poety) oderwania się od dosłowności potocznych realiów subtelnie kontrapunktuje zabieg użycia w tytułach rozdziałów cytatów z wierszy i poetyzmów (spontanicznych kompozycji słownych rozmówców – użytych przez redaktora w charakterze frazy poetyckiej; nb. wszyscy niekiedy myślimy pięknie, lecz mało kto jest ciekaw, co mamy na myśli).

Zaś skrytą potrzebę stworzenia autorskiego portretu Leśmiana podkreśla poetyczny retusz spisu zawartości (zorientowany, jak się domyślam, na pełnienie funkcji fatycznej).

Niewątpliwie najbardziej twórczym efektem książki o autorze *Dziejby Leśnej* jest prosty na pozór tytuł – świadczący o osobliwej odwadze i szczególnej intencji, z jaką powstawał *Leśmian...*; no bo czy wszystko czyta się literalnie... (nb. ta fraza to cytat)⁵⁰.

Wielopoziomowa i wielonurtowa narracja to konsekwentnie przeprowadzony zabieg – bardzo korzystnie uwypuklony przez edytorski pomysł o hipertekstualnym zacięciu (uatrakcyjnia tekst, spełniając wymogi aktualnego edytorstwa). I mimo że rozmaicie podchodzą badacze⁵¹ do sztuki czytania⁵² to świetny pomysł, jak sądzę, na funkcjonalność przypisów *in statu nascendi* lektury.

Publikacja nie ma więc charakteru badań o proveniencji pozytywistycznej a raczej zgłasza ponowoczesną ambicję stworzenia biografii literackiej, wykorzystującej źródłowe dokumenty i akty prawne oraz autentyczne subiektywne świadectwa (zapisy rozmów i wywiadów) – jako dokumenty życia społecznego (zdające się uwzględniać „współczynnik humanistyczny”)⁵³; w autorski sposób obrazując tym samym kulturę lokalną

na tle kultury ogólnospołecznej (z elementami życia literackiego określonych środowisk i epoki).

Najistotniejsze wydaje mi się w tym kontekście oferowanie roli współtwórców tej pięknej księgi życia osobom pamiętającym poetę, jego rodzinę, środowisko – mogącym dać świadectwo szeregu ahistorycznym niuansom, lecz nade wszystko: mającym sposobność, by indywidualnie, osobście się wpisać w nurt świadomej, refleksyjnej recepcji Leśmianowskiej myśli – dopoznawania i filozofii poezji, i autorskiego sposobu na życie.⁵⁴

Analogicznym mechanizmem specyficznie wielonurtowej narracji (wpisanym, jak się wydaje, w twórczą strategię) posługują się autorzy, spotykający się z Kapuścińskim⁵⁵ – w zbiorze pierwszoosobowych relacji zamieszczając swe własne poglądy, impresje oraz wspomnienia i odczucia, związane z obcowaniem z wielką postacią; sprzyjając tym samym autoidentyfikacji czytelnika z inspirującym, wzorcotwórczym Rozmówcą.

W świetle postulatu czy może konceptu Bohdana Zadury – by traktować poezję jako utwory pisywane w specyficznie „obcym” języku⁵⁶ – forma wywiadu znakomicie oddaje środowiskowe klimaty i uwarunkowania świadczące o tym, że poeta był postacią «nietutejszą». I że – z punktu widzenia co poniektórych osób – nie była to rola społeczna darzona na tyle szczególnym poważaniem, co (nawet ów przyziemny⁵⁷) rejent⁵⁸; taką estymą i prestiżem społecznym jak ów notariusz⁵⁹.

Wszakże to nie oznacza, że rola poety, z którą się Leśmian nie obnosił (podobnie jak Kulik do dzisiaj) nie była... donioślejsza.

To kwestie bardzo ciekawe z punktu widzenia psychologii społecznej i antropologii kultury, których rozpatrzenie wymagałoby odrębnych dociekań (w aktualnym na dzisiaj świetle anty-antyrelatywizmu)⁶⁰.

Peregrynując tropem interesujących go wątków, poszukując niestrudzenie dociekliwie rozmówców – mogących dać nowe, nieznanne świadectwa obcowania z poetą lub jego twórczością; cedując główny nurt biograficznej narracji na interlokutorów; dopuszczając do głosu osobiste impresje oraz ilustracyjną wymowę udokumentowanych faktów – Kulik tworzy księgę polifoniczną, ale zarazem niebywale autorską.

Swój głos w polirozmowie na temat tego, kim był Leśmian, prezentuje dyskretnie – w przypisach. Ale też dysponuje wiedzą, uprawniającą do zajęcia pozycji moderatora i interlokutora, który dyskutuje [3;168]⁶¹, docieka [16;130], wyjaśnia [9;34, 2;116, 5;138], tłumaczy nieporozumienia [4;83,

4;98, 6;208], oponuje [3;152], weryfikuje [12;162, 2;168, 11;189], dopowiada [7;173, 9;186], koryguje ewidentne domysły [14;110, 16;166], kwestionuje [14;58, 13;128, 17;144, 7;184, 2;185, 4;185], prostuje informacje [8;172, 14;194, 6;185, 7;185], powątpiewa [6;28, 13;192, 14;143, 13;192], zdecydowanie zaprzecza [3;83, 21;132] – nie przymawiając się o bycie pierwszoplanowym narratorem opowieści (poza partiami książki, w których jako reporter relacjonuje poszczególne etapy swych poznawczych podróży i jako badacz referuje konkluzje swych dociekań).

Adam Kulik dyskutuje i polemizuje z interlokutorami wyłącznie w podtekstach (tworząc swoiście wizualny subnurt opowieści) – aczkolwiek bywa, że wypowiada się na temat atmosfery rozmowy⁶² niejako w ramach scharakteryzowania rozmówcy, któremu powierza rolę bezpośredniego narratora autorskiej wypowiedzi (na ogół rezygnując z cytatu lub mowy pozornie zależnej). Niekiedy są to informacje, czasem refleksje a nawet dywagacje.

Jej głównym nerwem czy też faktorem, a w sensie literackiego tworzywa: najbardziej interesującym aspektem książki – jest uwidoczniiony między wersami (i wyrażony poprzez wymowny spis zawartości) – zapał, z jakim tropiciel dąży *step by step* za fascynującą go postacią i energią, którą wkłada dokumentalista w swą pasjonującą aktywność. Zapał i energia nie pozostawiające wątpliwości, że jest to praca ze wszech miar twórcza ergo owocna.

PRZYPISY

1. *Leśmian, Leśmian... Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie* zebrane przez Adama Wiesława Kulika. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008.

2. Niniejszy artykuł stanowi wyimek (śródekst) moich rozważań (inedita) pt. „Leśmian – koincydencje (czyli jak działa literatura)”.

3. Bohaterem rozmowy z roku 1981 i rozdziału pt. *Znam ich dwóch* jest Leon Witkowski (1914-2003), adwokat, w: *Leśmian, Leśmian...* s. 177-178.

4. Zygryd Krauze, *Dwie istoty zupełnie niezależne*. Tamże, s. 198.

5. Z przypisu 15 na s. 143 wynika, że Adam Kulik rozmawiał z Zygmuntem Krauze w roku 1992. W innym miejscu znajdujemy informację, że Adam Kulik nakręcił dwa filmy o Leśmianie, w których się wypowiadał Z. Krauze: *Trwam niby modlitwa* (TV Edukacyjna 1994) i *Tu jestem w mrokach ziemi* (TV Lublin 1995).

Hieronim Wąsek, *Szedł z taką smutną, zadumaną twarzą*. Tamże, przypis nr 14, s.194.

6. Tamże, s. 206.

7. Tamże, s. 206.

8. Tamże, s. 208.

9. Leszek Kołakowski, *Mini wykłady o maxi sprawach. Trzy serie*. Znak, Kraków 2005, S. III, s. 281.

10. „Termin O.K. (O’kay) zaczerpnięty z koncepcji analizy transakcyjnej można tłumaczyć jako «Jestem w porządku», «Mam prawo do istnienia», «Jestem ważną, wartościową osobą»”, przypis * w: Zuzanna Celmer. *Czy wiesz kogo kochasz?* „Człowiek i natura” 2 (7)/94, Warszawa 1994, s. 43.

11. Bolesław Leśmian, *Poezje wybrane*, oprac. Jacek Trznadel. Ossolineum BN Wrocław 1983, s. 163-164. (z tomu *Napój cienisty*).

12. W sensie, jaki doprecyzowuje Zadura: „Twórczość wykraczająca poza konwencje młodopolskie i życie, będące zaprzeczeniem ówczesnego stereotypu życia poety”. Bohdan Zadura, *Trudno dać imię temu, / co w dalekość płynie*, w: Bohdan Zadura, *Daj mu tam, gdzie go nie ma*. Szkice o poezji. Wydawnictwo Multico, Lublin 1996, s. 26. Aczkolwiek można by mniemać, że Leśmian realizował się jako poeta według przekonań samego tłumacza na temat tego, kim jest poeta „w ludzkich oczach”: „Nie oszukujmy się, poeta to ktoś dwuznaczny, niepoważny, bujający gdzieś z głową w obłokach, dziwak, marzyciel, wariat może?”. B. Zadura, *Daj mu tam, gdzie go nie ma, czyli języki obce poezji*. op. cit. s. 9.

13. Ciekawie to wygląda w konfrontacji z innym literatem, mieszkającym po roku 1922 w Zamościu – „[...] ten już pozował na poetę” – komentuje Bolesław Peresada styl bycia nauczyciela języka polskiego w zamojskim gimnazjum, Stanisława Młodożeńca, „Gimnazjaliści”, w: *Leśmian, Leśmian...* s. 157.

14. „Kiedy czytaliśmy *Podróże Sindbada*, zaśmiewaliśmy się z Leśmiana, tak to do niego nie pasowało. A *W malinowym chruśniaku* czytaliśmy nie dla piękna poezji, ale dla śmiechu – zupełnie nie pasował do kreowanego bohatera wierszy. Dla mnie, wówczas dziesięcio- lub dwunastoletniej dziewczynki, był nieciekawym”. Tomira Marta Banachiewicz, tamże, s. 150.

15. „Chciał być wolnym człowiekiem, stanowisko rejenta nie odpowiadało jego osobowości”, Wiktor Kazanecki, *Można być komunistą*. Tamże, s. 185.

16. „[...] bardzo delikatny, nic z pozy, legendy, fluidów i tym podobnych elementów tworzenia klimatu wokół swojej osoby. W ogóle bardzo naturalny, nieemanujący niczym, co sygnalizowałoby na zewnątrz głębię przeżyć twórczych”. Edward Kopciński, *Poza czasem i poza miejscem*, tamże, s. 168.

17. „[...] czym odbierał Leśmian? Umysłem i duszą”. Edward Kopciński, „Poza czasem i poza miejscem” tamże, s. 170. Odosobnionym osądem wydają się być docieklive uwagi E. Kopcińskiego, przedstawianego jako „pracownik spółdzielczości” [168], przez Weronikę Wawryn (nauczycielkę malarstwa i rysunku [s.158]) prezentowanego – jak u Rymkiewiczza – jako pedagog, profesor zamojskiego gimnazjum.

18. Zabawnie dzisiaj wybrzmiewa dialog na temat przedstawiania w wierszach natury – uczniowie z obydwu zamojskich gimnazjów, redagujący miesięcznik „Nowa myśl”, pytali poetę „[...] czy się poświęcał studiom przyrody, że tak pięknie ją odczuwa i przedstawia w swych utworach? – Nic podobnego – mówi pan Leśmian. – Interpelowano mnie już kilkakroć. Studia przyrody mogą wystarczyć do naukowego poznania, poezji jednak nic nie dają. Nawet Goethe, który cudownie opisywał przyrodę, nie potrafił odróżnić szczygła od wróbla”. *Wywiad*, tamże, s. 174. Nie dość, że sformułowanie «Interpelowano mnie» brzmi bardzo urzędowo, to i rzeczowy ton, i powściągliwa, surowa stylistyka zdają się świadczyć, że Leśmian starannie a bez najmniejszego trudu oddziela swe uosobienia. Można rzecz jasna też przyjąć, że odczucie tego jest efektem sposobu redagowania ustnej wypowiedzi przez gimnazjalistów. Tak czy owak język – wzbogacany, ćwiczony, jak zaleca notariusz młodzieży – jest materią „dobrego poety” – (ale widocznie nie da się ćwiczyć języka poezji w toku spraw urzędowych). Ale, ale – S. Sontag w swym *Miłośniku...* zaprezentowała Goethego (poetę) jako wielkiego znawcę i czynnego badacza przyrody, botanika-pasjonata... Susan Sontag, *Miłośnik wulkanów*. PIW Warszawa 1997, s. 141.

19. „Był przez «Wiadomości Literackie» bojkotowany i to go najwięcej bolało. Ożywał za granicą [...] Był bardzo wrażliwy na tym punkcie, że nie jest uznawany. Ciągłe o tym mówił, podkreślał, czuł żal, że skamandryci z «Wiadomości Literackich» tak go bojkotują. W kraju czuł się skrępowany tą niezyczliwością”. Zygfryd Krauze, *Dwie istoty zupełnie niezależne*. w: *Leśmian, Leśmian...* s. 200.

20. Piotr Matywiecki, *Twarz Tuwima*. W.A.B. 2007.

21. „Sędzia – zwracaliśmy się do niego «panie sędzio» – był gościem w kancelarii, zawsze w obłokach, jakby obok tego, co się w biurze działo” Bronisława Kisielew, *Dobry człowiek*. w: *Leśmian, Leśmian...* s. 96.

22. *Leśmian, Leśmian...* s. 208.

23. „Kochała duszę Leśmiana”. Janina Bojarczukowa, *Ta poezja zrodzona jest z cierpienia*. Tamże, s. 136.

24. „Jego marzenie życia, to wyzwolić się z wszelkich trosk, wszelkich notariatów, wszelkich zależności, stworzyć sobie pozycję człowieka niezależnego od

nikogo, po prostu być poetą”, Zygfryd Krauze, *Dwie istoty zupełnie niezależne*. Tamże, s. 204.

25. „Mamy więc cztery główne klasy dążności osobotwórczych: dążności do ekspansyjnego i do restrykcyjnego podporządkowania się, dążności do ekspansyjnej i restrykcyjnej samodzielności. [...] A dalej, u tego samego człowieka w różnych uosobieniach różne mogą przeważać dążności: może on być np. samodzielnym i pewnym siebie w swej roli zawodowej, zależnym od innych i obawiać się ujemnych ocen w kręgu towarzyskim”. Florian Znaniecki, *Ludzie terażniejsi a cywilizacja przyszłości*. PWN Warszawa 2001, s. 116;119.

26. Bohdan Zadura – wymieniając wiele ze znaczących prac na temat życia i twórczości poety – w znakomitym szkicu na temat autora *Dziewczyny i Pana Błyszczyńskiego* napomyka o krążącej w środowisku literackim anegdocie o pustej dorozce, z której wysiadł Leśmian; ale też krótko kwituje swe niegdyśjsze podejście do jego życiorysu (nim się nauczył Leśmianowego języka): „[...] twórczość jakby w brew niemu i obok niego”. Bohdan Zadura, „Trudno dać imię temu, / co w dalekość płynie”, op. cit., s. 26; 27.

27. „Trzeba tu jeszcze dodać, że wśród relacji opowiadających o sprzeniewierzeniu Abramowicza jest też i taka, która to wydarzenie przedstawia zupełnie inaczej. Jest to relacja Marii Ostrowickiej z Zamościa, spisana około roku 1991 przez Adama W. Kulika”. Jarosław Marek Rymkiewicz, *Leśmian. Encyklopedia*, „Sic!”, Warszawa 2001, s. 67.

28. Por.: „«Ale ja, czym jestem dla siebie... Jakąś afirmacją absolutną, afirmacją obłąkańczą; intensywnością większą niż wszystko poza tym. Dla innych jestem tym, co robię.» – Malraux, *Dola człowieka*”, motto w: Anna Bojarska *Ja*. W.A.B., Warszawa 2002.

29. Adam W. Kulik, *Pejzaże z Panem Lemonem*. Związek Literatów Polskich oddz. w Lublinie Koło Młodych Pisarzy Lublin 1979. [Lubelskie Prezentacje Poetyckie Seria III].

30. Umberto Eco, *Nadinterpretowanie tekstów*, w: Christine Brooke-Rose, *Historia palimpsestowa* w: Umberto Eco, Richard Rorty, Jonathan Culler, Christin Brooke-Rose, *Interpretacja i nadinterpretacja*. Redakcja: Stefan Collini Przełożył Tomasz Biedroń Wydawnictwo Znak, Kraków 2008, s. 59.

31. W: *Leśmian, Leśmian...*, Rozdz. pierwszy, s. 11-44.

32. „Na wstępie każdego działania społecznego znajdujemy impuls do działania w pewien sposób, subiektywny popęd (*motion*) do czynienia czegoś, co będzie się samo stopniowo definiowało [...] Na wstępie zanim jego przedmiot, cel, sposoby, i środki zostaną określone, subiektywny aspekt przeważa; akt jest zasadniczo

impulsem. Nabywa on coraz bardziej obiektywnego znaczenia w miarę jak postępuje ku celowi; jego obiektywna strona zaczyna stopniowo przeważać nad subiektywnym popędem [...] aż do osiągnięcia celu. Możemy nazwać ten impuls, ten popęd, tę subiektywną stronę działania tendencją społeczną” – Z. F. Znaniecki, *The Laws of Social Psychology*, Chicago 1925, s. 67 – cyt. za: Zbigniew Boksański, *Działanie. Motywacja, język w teorii Floriana Znanieckiego – Społeczeństwo, Kultura, Osobowość*. Księga dedykowana Pani Profesor Antoninie Kłoskowskiej w siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Warszawa 1990, s. 127.

33. Adam Kulik, *Wstęp w: Leśmian, Leśmian... s. 5.*

34. „Na ogół podkreśla się dużą wartość diagnostyczną wytworów, mniej natomiast mówi się o procesie działania o charakterze twórczym. Trzeba pamiętać, że najwyższą wartość psychoterapeutyczną ma proces działania twórczego, spełnia on bowiem wszystkie warunki charakterystyczne dla ekspresji, angażując psychicznie i fizycznie, pozwalając na pełną autentyczną wypowiedź”. Róża Popek, *Psychoterapeutyczna funkcja dziecięcej ekspresji artystycznej*. w: *Twórczość artystyczna w wychowaniu dzieci i młodzieży* (red.) Stanisław Popek Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne Warszawa 1985, s. 99.

35. „Człowiek bowiem tworzy sztukę, sztuka wszakże wyraża i współtworzy człowieka”. Irena Wojnar, *Społeczna obecność sztuki a wychowanie człowieka*. w: *Teoria wychowania estetycznego*, s. 275.

36. Zob. Janusz Gajda, *Koncepcje Floriana Znanieckiego – zbieżne z założeniami pedagogiki kultury*. w: *Pedagogika kultury w zarysie*. Oficyna Wydawnicza IMPULS Kraków 2006, s. 66; 67.

37. „Jaskółcza perspektywa: [...] Amfilada gruzu”. Adam Kulik, *Wstęp w: Leśmian, Leśmian..., s. 24.*

38. Tamże, s. 19-20.

39. „Przypuszczam, że nawet maliny rokrocznie odbijają od tych samych korzeni, rozpleniając się, zagarniając z roku na rok coraz większy teren”. Tamże, s. 20.

40. Andrzej Stasiuk, *Jadąc do Babadag*. Wydawnictwo Czarne, Wadowice 2004, s. 237-238.

41. Opublikowana przez to wydawnictwo książka Adama Kulika *Leśmian, Leśmian... Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie* otrzymała wyróżnienie w konkursie „Najpiękniejsze Książki Roku 2008” w kategorii Książki naukowe, popularnonaukowe (humanistyka) [<https://terytoria.com.pl/content/8-nagrody>].

42. „[...] Przecinające się przestrzenie psychiczne tworzą magiczny labirynt. Błądzenie przeistacza się w stan uniesienia, chwilę przeciążeń, która ledwie się ujawnia. Wyrzuciwszy balast co zaciera drogę płyniesz rozbijając, naruszając,

wkraczając we wszystko, czego tylko pragniesz. Łapanie owych momentów jest rozkoszą – znowu okrucin konkretny: ciarki schodzą w dół, łaskoczą w okolicach krzyża. Tak słucha się muzyki, pisze wiersze i kocha kobiety”. Adam Kulik, *Wyznanie intuicji*, w: *Pejzaże z Panem Lemonem*, s. 13.

43. „To, co Eco nazywa nadinterpretacją, w rzeczywistości może oznaczać praktykę zadawania właśnie tych pytań, które nie są konieczne do normalnego porozumiewania się, lecz umożliwiają nam refleksję nad jego mechanizmami”. Jonathan Culler, *W obronie nadinterpretacji*, w; Eco, *Interpretacja i nadinterpretacja*, s. 129. Culler przywołuje stanowisko Wayne’a Booth’a, który (w książce pt. *Critical Understanding*) sformułował opozycję „rozumienie [*understanding*] i n a d r o z u m i e n i e [*overstanding*]”.

Tłumacząc tę opozycję – przeciwstawioną opozycji proponowanej przez Eco (gdzie interpretacja oznacza, jak denotuje Culler „odtworzenie intencji tekstu” [s.131]) – badacz wyjaśnia, że w świetle opozycji proponowanej przez Booth’a; „Rozumienie to stawianie pytań i znajdowanie odpowiedzi, których domaga się tekst. [...] Z kolei n a d r o z u m i e n i e polega na rozpatrywaniu pytań, których tekst nie stawia swemu czytelnikowi modelowemu”. [s. 130]; J. Culler podkreśla, iż Booth zauważa, że „[...] formułowanie pytań, do których tekst nie zachęca, może być bardzo istotne i produktywne” [s. 130].

Według J. Cullera przykładem tak pojętego «nadrozumienia» są dywagacje, które „Pytają o to, co tekst robi i w jaki sposób; jak odnosi się do innych tekstów i innych praktyk; co ukrywa lub tłumaczy; co prowokuje lub sugeruje. W wielu ze swych najciekawszych form nowoczesna krytyka nie pyta co dzieło ma na myśli, lecz o czym zapomina; nie pyta, co tekst mówi, lecz o czym nie mówi jako o sprawach dlań oczywistych”. J. Culler, tamże, s. 131.

Optując za naukowym badaniem tekstów Culler jest poza tym przekonany, że w głębi duszy Umberto Eco też fascynuje nadinterpretacja właśnie – jako że jest „ciekawsza i intelektualnie wartościowsza niż interpretacja «rozsądna», umiarkowana” [s. 126] – nawet owa interpretacja paranoidalna, o której profesor Eco pisze w wykładzie 2. [zob. *Interpretacja i nadinterpretacja*, s. 55]. „Byłoby niezmiernie smutne, gdyby obawa przed «nadinterpretacją» kazała nam unikać lub tłumaczyć w sobie stan zdziwienia grą tekstów i interpretacją [...]”. J. Culler, *W obronie nadinterpretacji*. Tamże, s. 139.

44. „Przy pisaniu *Sindbada* Leśmian odszedł daleko od pierwowzoru arabskiego, co można sprawdzić, sięgając do wielotomowej edycji *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Wprowadził między innymi przezabawną postać wuja Tarabuka,

poety-grafomana”. Piotr Łopuszański, *Leśmian*. Wydawnictwo Dolnośląskie. Wrocław 2000, s. 97.

45. Zob. Fernando Morais, *Czarodziej. Biografia Paula Coelho*, Drzewo Babel Warszawa 2009.

46. Zob. recenzje w: Artur Domosławski, *Kapuściński non-fiction*. Świat Książki Warszawa 2010, s. 4 okładki.

47. „[...] W Stanach Zjednoczonych znajdują się nieznane utwory poety oraz rękopisy dzieł, które znamy”. Piotr Łopuszański, *Leśmian*. Wydawnictwo Dolnośląskie Wrocław 2000, s. 213d (komentarz do reprodukcji okładki; zob. tamże, s. 236).

48. Zob. „Kancelaria na skraju łąk” w: *Leśmian, Leśmian...*, rozdz. IV, s. 96-114.

49. Zofia Wiktorowicz, *Mój Leśmian*. Tamże, s. 74-94.

50. „Później się zrobiło: *Leśmian, Leśmian...* A wtedy nikt nie wiedział, że pisze. Może nie rozumiano jego poezji”. Maria Bachniak, *Kojarzy mi się z jesienią*, Tamże, s. 189.

51. „Chętnie przyznam – powiedział Bruno, że książka jest nieprzystępna, ale tylko dla tych, którzy nie mają drabiny». W aparaturze pojęciowej Arystotelesa, Lullusa i Bruna skuteczność oddziaływania tego, co aktywne, uwarunkowana jest istnieniem podatności przedmiotu na oddziaływanie. *Coelum coelificat* jedynie *coelificabilia*, ogień może zapalać tylko materiały palne, a książka może spełniać swoje funkcje jedynie pod warunkiem natrafienia na właściwych czytelników”. Andrzej Nowicki, *Człowiek w świecie dzieł*. PWN Warszawa 1974, s. 20. Inkontrologia (jako koncepcja wzajemności), której twórcą był m.in. Andrzej Ruslan Nowicki, dotyczy nie tylko międzyosobowych spotkań; wszak można jej przesłankę użyć do egzegezy tekstów.

„Nie tylko książka, ale również jej czytelnik stanowią [...] całość, w tym sensie, że do pełnego, rzeczywistego istnienia książki potrzebna jest aktywność czytelnika, który aktualizuje to, co w niej tkwi potencjalnie, wypełnia własnym wysiłkiem intelektualnym miejsca niedookreślone, nasycza ją nowymi znaczeniami i traktuje ją jako pole wyjścia do własnych rozważań. [...]”. Tamże, s. 4 okładki.

52. Grażyna Krasowicz-Kupis, *Tajemnicza umiejętność czytania*. Miesięcznik „Charaktery”, listopad 1999, s. 42-43.

53. „W doświadczeniu ludzkim – dowodzi Znaniecki – obecne są przedmioty, które «[...] są nie tylko wyposażone w znaczenie, ale i częściowo – często niemal całkowicie – niematerialne w treści i niesprowadzalne do percepcji zmysłowej. Takimi przedmiotami są np. mity oraz inne fakty religijne, instytucje polityczne,

treści dzieł literackich, pojęcia naukowe i filozoficzne» [...] Jeśli chcemy badać rzeczywistość kulturową, nie możemy być skrupowani naturalistyczną formułą doświadczenia. Dla badacza kultury przedmiot pomyślany bywa równie realny jak ten, którego można dotknąć”. Jerzy Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, cz. 2. Warszawa 1982, s. 741-742 [Rozdz. 18: *Polska odmiana socjologii humanistycznej: kulturalizm Znanickiego*].

54. „Co do twórczości: ona nie miała, nie uzyskała uznania społecznego, traktowano ją z przymrużeniem oka; to był ogólny ciemnogród: poezji nie traktowano serio. Ja temu również ulegałem, dziś widzę, że się myliłem. [...] Ja znałem Lesmana, Leśmiana nie znałem”. Józef Kolanowski [inżynier geodeta], *Żyliśmy Mickiewiczem, Słowackim..., ale Leśmian?*, w: *Leśmian, Leśmian...*, s. 117.

55. *Kapuściński: nie ogarniam świata*. Z Ryszardem Kapuścińskim spotykają się Witold Bereś i Krzysztof Burnetko, Świat Książki, Warszawa 2007.

56. „Podejrzewam otóż, że często stojąc wobec wiersza znajdujemy się w sytuacji kogoś, kto ma przed sobą tekst napisany w języku, którego nie zna [...] Każda poezja jest swego rodzaju językiem obcym”. Bohdan Zadura, *Daj mu tam, gdzie go nie ma, czyli języki obce poezji*, w: Bohdan Zadura, *Daj mu tam, gdzie go nie ma*. Szkice o poezji. Wydawnictwo Multico, Lublin 1996, s. 12-13.

57. „Profesja rejenta jest bardzo przyziemna” – stwierdziła Antonina Węgrzyn, *W małym Paryżu*, tamże, s. 187.

58. „[...] W owym czasie notariusze byli najczęściej urzędnikami na synekurach – jeśli kogoś szanowano i chciano mu stworzyć możliwe warunki życia, mianowano go rejentem, czyli notariuszem, jak byśmy dziś powiedzieli”. Marcin Łapiński (adwokat) *Najlepszy rejent między poetami*. w: *Leśmian, Leśmian...*, s. 122.

59. „Notariat był synekurą”. Zofia Wiktorowicz, *Mój rejent*, tamże, s. 83; „Przed wojną istniał duży dystans między środowiskiem prawniczym a urzędniczym. Notariusze byli bardzo dobrze sytuowani” – mówił adwokat Leon Witkowski, *Znam ich dwóch*, tamże s. 177.

60. „C. Geertz reprezentuje stanowisko anty-antyrelatywizmu, które każe odrzucać zarówno relatywizm, jak i antyrelatywizm w dyskusji dotyczącej konceptualizacji, interpretacji dialogu oraz uczestnictwa i pisania o kulturowej różnorodności. Nie wierzy, że paradoks objawiający się jednolitością myśli symbolicznej i różnorodnością jej efektu w postaci odmienności kulturowych i odmiennych społeczeństw, można rozwiązać na gruncie antropologii kultury. Im bowiem głębiej sięga się w rzeczywistość, tym bardziej jest ona wieloznaczna i niepoznawalna i tym bardziej iluzoryczne okazuje się przekonanie o własnej kompetencji do odkrywania prawd niezbitych”. Ewa Krawczak, *Antropologia kultury. Klasyczne*

kierunki, szkoły i orientacje. UMCS Lublin 2004, s. 174. Ciekawie w tym miejscu wyglądałaby myśl, którą kierował się B. Zadura w swym szkicu o Leśmianie: „Jeśli oczywista jest paralelność między fragmentem *Centurii Traherne’a* a wierszem *Wspomnienie*, to być może to, co Miłosz mówi *á propos* siedemnastowiecznego angielskiego poety metafizycznego mogłoby zostać powiedziane również w odniesieniu do Leśmiana”, w: *Daj mu tam, gdzie go nie ma*, s. 29. A jeszcze bardziej zastanawiałaby swą aktualnością konkluzja sformułowana w kontekście niedosłownych dywagacji o językach poezji: „[...] brak nam dowodów, że język Boga jest językiem prozy”. Tamże, s. 13.

61. W kwadratowych nawiasach umieszczam numer przypisu, a po średniku numer strony egzemplifikowanych reakcji.

62. „Rozmowa przebiega szybko, zabarwia ją z lekka wspomnieniowa nutka melancholii”. Wiktor Kazanecki, *Można było być komunistą*, w: *Leśmian, Leśmian...*, s. 185.

Irena Kukuszka Glinka

Agnieszka Lis

Felieton / Między nami 3

Różność

– Widziałam wczoraj trzydziestoletniego Kamaza z rejestracją WO BOSS2 – powiedziała Helenka.

– Kto bogatemu zabroni. – Wzruszyłam ramionami. – Można do pracy dojeżdżać Kamazem, właściwie dlaczego nie. Jeśli tylko stać nas na odpowiednio duże miejsce parkingowe – prychnęłam.

Jak zawsze, z okazji wizyty Helenki parzyłam jej fusiastą kawę. Dopiero po chwili więc dodałam:

– Widzisz sens w kupowaniu za tysiąka numeru rejestracyjnego do samochodu wartego piętnaście tysięcy?

– W Afryce dzieci nosi się w chustach – odpowiedziała Helenka. Chlapnęłam sobie wrzątkiem na nadgarstek. Na szczęście tylko kilka kropli.

– U nas też... czasami – odpowiedziałam ostrożnie. Bywa, że trudno mi nadążyć za Helenką.

– I roczne dzieci bawią się z kurami.

– Sugerujesz, że powinniśmy hodować w bloku kury? Ale nasze dzieci już chodzą do szkoły, mają więcej niż rok...

– A okup? Wiesz, że w Afryce za pannę młodą płaci się okup? Trzy krowy na przykład, albo kozy.

Milczałam. Helenka wydała mi się odrobinę niebezpieczna.

– A w Karnataka, w południowych Indiach, zrzucają dzieci z piętnastu metrów. Na rozpostarte płachty, żeby nabrały odwagi.

– Helenka, coś ty się za bzdur naczytała?

– I jeszcze Indianie Tupi. Czy wiesz, że chłopiec w takim plemienu musi dwadzieścia razy włożyć ręce w rękawice pełne mrówek *paraponera clavata*? Podobno ich ukąszenie boli jak postrzał.

– Helenka! – zdenerwowałam się nie na żarty. Stałam przed nią z rękami opartymi na biodrach, miałam ochotę potrząsnąć, ale jakaś taka zdała mi się... niewyraźna. – Helenka, co tobie?

– Bo dzisiaj w firmie mieliśmy mityng.

– Spotkanie znaczy – poprawiłam ją odruchowo.

– Nie. My nie mamy spotkań, my mamy mityngi.

Westchnęłam.

– Nie pierwszy raz pewnie.

– Nie, często mamy – odparła zamyślona. – Ale tak popatrzyłam na nas, i wiesz co? – Zawiesiła się.

– Nie wiem – odparłam lekko zgryźliwie, po półtorej minuty ciszy.

– Wszyscy wyglądaliśmy tak samo.

Przyjrzałam się Helence. Jest bardzo atrakcyjna. Trzydzieści kilka lat, szczupła, półdługie blond włosy, błyszczące. Paznokcie zrobione na perłowo, spódnica do kolan, bluzka z rozpiętymi dwoma guzikami. Jakies niewielkie kolczyki, elegancki zegarek. Obrączka. U mnie zdejmowała buty, ale nosiła szpilki. Buty marzeń dla większości kobiet, Helenka po prostu umiała w szpilkach chodzić i nosiła je jak nikt.

– Przecież wyglądasz bardzo dobrze. Każdy chciałby wyglądać tak jak ty. To nic złego wyglądać dobrze.

Prychnęła.

– Ja wiem. Ty jesteś miła, komplementujesz mnie. Dobrze jest być ładnym, lepiej ładnym, bogatym i zdrowym, niż brzydkim, chorym i starym, tylko że....

Chciałam ją rozszarpać. Nie mogłam się doczekać.

– Tylko że my wszyscy byliśmy tacy sami. Tak samo ubrani i tak samo się uśmiechaliśmy. A po wyjściu wszyscy, rozumiesz, wszyscy! zachowywaliśmy się tak samo.

– No... – zająknęłam się. Obawiałam się, że zaczynam rozumieć.

– A ja bym chciała gdzieś, coś... inaczej, rozumiesz? Może być i z okupem, albo mrówkami. Albo z Bossem² na Kamazie. Cokolwiek... Rozumiesz? – upewniała się.

Rozumiałam. Ale zamiast to przyznać, przyniosłam jej w końcu kawę.

Adam Łukaszewicz

Cud w Edfu

Moja dobra znajoma jest lekarką. Z bardzo długą praktyką. Jest to osoba o prawdziwym talencie i nieprzeciętnej intuicji. Ma niewątpliwie udanego i bardzo już dziś dorosłego syna. Jego profesjonalną dziedziną jest od lat słowo mówione.

A oto opowieść Mamy-lekarki z jego dzieciństwa.

Dziecko inteligentne, rozwinięte fizycznie, rozumiejące co się do niego mówi, samo... nie mówiło. Psycholodzy, logopedzi i inni pedolodzy załamywali ręce. Wyglądało na to, że jest to przypadek jakiejś dziwnej afazji spowodowanej przez zaburzenia psychiczne. Liczono na to, że chłopcu z wiekiem przejdzie (a przy okazji może też przewidywano niezły zarobek dla logopedów zmagających się z tak poważnym opóźnieniem mowy).

Dziecko zachowywało się i rozwijało normalnie. Towarzyszyło mamie, na przykład na zakupach.

I oto pewnego razu, gdy mama przebywała w sklepie samoobsługowym, jej uwaga na chwilę osłabła, a kiedy się rozejrzała, dziecka nie było w pobliżu. Nigdzie go nie było widać. Przerazona mama wybiegła przed sklep i zobaczyła swoją pociechę w pozycji przykucniętej u wejścia do sklepu. Przyczyną był nieduży pies, z którym chłopiec się bawił. Był to jamnik, okaz płci męskiej. Kiedy mama podeszła, dziecko otworzyło usta i stał się cud. Chłopiec-niemowa wydał okrzyk a pierwsze słowa w jego życiu brzmiały:

– Mamo, ten pies ma jaja!

Wiele lat później szczęśliwa mama dorosłego i bardzo już elokwentnego artysty zapragnęła odwiedzić kraj nad Nilem. W Egipcie przebywał wówczas z przyczyn zawodowych piszący te słowa i bardzo się ucieszył z zapowiedzianej przyjacielskiej wizyty.

Pani doktor przybyła w lutym. Ubrana była nader stosownie do okoliczności, w stylu znanym z filmu *Podróż do Indii*. Kapelusz z woalką był charakterystycznym symbolem statusu europejskiej podróżniczki. Nic więc dziwnego, że właściciel stajni w Gizie za wypożyczenie konia na przejażdżkę zażyczył sobie 250 funtów i ledwie odciągnąłem moją znajomą

od tej transakcji. W Abusir wynajęliśmy dla niej rumaka znacznie taniej, a ja przez oszczędność, jak Sancho Pansa, jechałem na poczciwym osle, na którym czułem się o wiele pewniej niż na koniu. Już lepiej niż konno jeździło mi się na wielbłądzie.

Siła by mówić o dalszych etapach wspólnej peregrynacji, które zaprowadziły nas do Górnego Egiptu i pod gościnny dach polskiej misji archeologiczno-konserwatorskiej działającej w świątyni królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari. Misja zamieszkiwała w niezwykłym domu, oficjalnie zwanym Metropolitan House. Nazwa ta pochodziła od dawnych gospodarzy z Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Jednak w roku 1994, od ponad 30 lat dom ten służył polskiej ekipie, był w okolicy nazywany Bejt el-Bulandi, czyli „polskim domem”. Niezwykłość domu polegała na jego konstrukcji i planie opartych na miejscowej tradycji i materiałach, został bowiem wzniesiony z cegły mułowej i drewna. Wokół była skalna dolina pełna starożytnych grobowców. Spartańskie wyposażenie pomieszczeń i archaiczne instalacje służyły całym pokoleniom archeologów.

Jako goście Misji, pani doktor i ja, nie mieliśmy nic do roboty poza zwiedzaniem tego nadzwyczajnego skupiska najwyższej klasy starożytnych zabytków, mnie zresztą już wcześniej znanych, jakie oferują starożytne Teby. Domyślałem się, że niektórzy moi koledzy podejrzewali nas o związki wykraczające poza dobrą znajomość, co było przypuszczeniem najzupełniej błędnym. Ale skoro nikt nic nie mówił, to głupio byłoby się tłumaczyć.

Pewnego dnia wyruszyliśmy na wycieczkę do odległego o ponad 220 kilometrów Asuanu wynajętym w tym celu na cały dzień samochodem z kierowcą, za co zresztą zapłaciliśmy znacznie mniej, niż chciano od nas w Gizie za krótką jazdę konną. Po drodze były starożytne świątynie w Esna, Edfu i Kom Ombo. W samym Asuanie zabawiliśmy niedługo, oglądając między innymi słynną Wielką Tamę, która w roku 1964 przegrodziła Nil i spowodowała przekształcenie Nubii w gigantyczne jezioro.

Wyruszyliśmy w drogę powrotną, zwiedzając wspomniane wyżej egipskie świątynie. W Edfu ogromna świątynia Horusa jest dobrze zachowana i przyciąga rzesze turystów. W latach 1937-39 w okolicy tej świątyni, na terenie starożytnego miasta Apollinopolis Magna, Uniwersytet Warszawski reprezentowany przez archeologa Kazimierza Michałowskiego i papirologa Jerzego Manteuffla, prowadził wykopaliska wspólnie z Francuskim Instytutem Archeologii Wschodu (IFAO).

Obejrawszy tę wspaniałą świątynię, udaliśmy się do oczekującego na nas samochodu i już mieliśmy odjeżdżać, kiedy moją uwagę przykuło

zbiegowisko ludzi, którzy skupili się wokół jakiegoś człowieka leżącego na ziemi. Wskazałem to mojej towarzyszcze podróży. Spojrzała bez entuzjazmu, bo już siedzieliśmy w samochodzie i był czas odjazdu. Powiedziałem, że to chyba jakiś wypadek albo nagle zachorowanie. Wtedy odezwało się jej powołanie lekarskie i pobiegliśmy w stronę tłumy mężczyzn w galabijach. Oznajmiłem po arabsku, że dama jest lekarką i tłum otaczający chorego rozstał się. Lekarka pochylała się nad chorym leżącym na ziemi i stwierdziła, że ma napad padaczki. Bez wahania orzekła: do szpitala. Kiedy to przekazałem obecnym, ktoś powiedział: „jemu się to często zdarza”. Ale pani doktor zarządziła kategorycznie: mamy samochód i zawieziemy go. Czterej mężczyźni posłusznie podnieśli chorego z ziemi, żeby go zanieść do naszego samochodu. Wtedy chory nagle ożył, zaczął krzyczeć i wierzgać. Ludzie powiedzieli: „on nie chce!”. Kiedy to przetłumaczyłem, pani doktor oświadczyła: „skoro pacjent nie chce, to nie można go przewozić wbrew jego woli”. Zostawiono więc chorego, który najwyraźniej zaczął wracać do zdrowia. Obecni odetchnęli z ulgą. Ja też, bo wizja przewożenia epileptyka na naszą odpowiedzialność do miejscowej *mustaszfy* (szpitala), miejsca raczej mało pociągającego, wydawała mi się dość przerażająca. Tak zakończył się epizod w Edfu, niewątpliwy cud sprawiony przez samą obecność reprezentantki europejskiej medycyny.

W poczuciu spełnionego obowiązku wróciliśmy do samochodu. Kierowca z coraz większym szacunkiem spoglądał na pasażerkę, a w końcu zapytał za moim pośrednictwem, czy może zasięgnąć jej porady. Kiedy potwierdziła, wyciągnął jakieś wyniki badań, na szczęście zapisane po angielsku, w których nawet moje niemedyczne oko zauważyło termin *Ascaris lumbricoides*. Nie znam się na medycynie, ale łacinę znam i sporo terminów medycznych też, także z dziedziny parazytologii. Pani doktor odesłała naszego kierowcę do odpowiedniego specjalisty.

Wieczorem odpoczywaliśmy w „polskim domu” po zasłużonej kolacji, której towarzyszyły frywolne śpiewy chóralne, niekiedy z tekstem mojego autorstwa.

To jeszcze nie koniec tej opowieści, chociaż cud w Edfu stanowi jej część najważniejszą.

Pogoda była sprzyjająca, bez upału i zimna. Piękne zachody słońca barwiły niebo purpurą i fioletem. Jak zwykle zdarzały się różne drobne przygody, o których opowiem przy innej okazji. Zbliżał się czas powrotu do Kairu. Mieliśmy bilety kolejowe na sobotę. Jednak pani doktor zdecydowała, że wrócimy wcześniej, już w czwartek. Wywołało to mój opór.

Mógłbym niby zostać sam do soboty, ale nie bardzo wypadalo. Zaproponowałem, że spróbuję wymienić bilety na dworcu, w cichej nadziei, że się to nie uda i na czwartek nie będzie już wolnych miejsc w pociągu. W Egipcie, gdzie pociągi były tanie, a zapotrzebowanie duże, zakup odpowiednich biletów z obowiązkową miejscówką nie należał do łatwych zadań. Pojechałem do Luksoru na dworzec, a tam, ku mojemu zdumieniu, prawie bez kolejki i bez trudności, wymienilem bilety na czwartkowy pociąg. Byłem wściekły, ponieważ wyjątkowo mi odpowiadał pobyt na Zachodnim Brzegu. Ale cóż można było zrobić? Pod cudownym niebem o zachodzie pojechalismy w czwartek na dworzec. Pociąg z Asuanu oczywiście się spóźnił, ale to było normalne. Noc w fotelach pierwszej klasy minęła szybko. Nie ukrywałem mojego niechętnego stosunku do tej przyspieszonej ewakuacji. Decyzja była jednak dobrze uzasadniona. Moja znajoma potrzebowała czasu na zwiedzanie Kairu. Po przyjeździe w piątek wyruszyła samodzielnie na miasto. Panował straszliwy upał. Ja tymczasem postanowiłem odespać całą noc spędzoną w pociągu Luksor–Kair. Nadeszła sobota. Temperatura nieco spadła. Przyszedł sobotni wieczór, kiedy pierwotnie mieliśmy wracać. W niedzielę rano miejscowy służący należący do personelu polskiej Stacji Archeologicznej przekazał mi wiadomość z radia czy telewizji, że wieczorny sobotni pociąg z Luksoru został w drodze ostrzelany przez terrorystów. Byli ranni, wśród nich pewna Polka, która do rana leżała w rowie, czekając na pomoc.

Ten kolejny cud dał mi wiele do myślenia, chociaż do tej pory nie jestem całkiem pewny, czy to był rzeczywiście ten sam pociąg, na który miałem pierwotnie bilety. Był to w każdym razie wieczorny pociąg na tej trasie w ową sobotę.

Tak czy inaczej, bogowie czuwali nad nami i natchnęli panią doktor właściwą myślą. I jak tu nie ufać lekarzom!?

Język za oknem

Zacznijmy od niełatwej definicji. Wulgaryzm to dla mnie nie tylko wyraz wulgarny w potocznym rozumieniu, czyli nieprzyzwoity, ordynarny. Wulgarny, *vulgaris*, pochodzi od *vulgus* 'motłoch'. Nawet po angielsku, przynajmniej w angielszczyźnie Szekspira, rzeczownik *vulgar* oznacza motłoch, hałastrę. Język wulgarny (*vulgar language*) to nie tylko stek przekleństw, ale

i sposób mówienia właściwy nieokrzesanemu pospólstwu, prezentujący się znacznie gorzej niż sposób mówienia określanymi jako *vernacular*.

W naszym kraju unika się tak drastycznych rozróżnień. Język jest u nas bardziej jednolity. Tak się nam przynajmniej wydaje. W krainie Szekspira wystarczy otworzyć usta, żeby można było mówiącego zaklasyfikować społecznie. U nas jest to nieco trudniejsze, wskutek zatarcia różnic klasowych opartych na kulturze, na rzecz nowych różnic opartych przede wszystkim na plutokratycznej timokracji.

Pozory mylą. Kiedyś po chodniku dla pieszych jechał szybko wprost na mnie niemłody rowerzysta o nobliwym a nawet dostojnym wyglądzie, a kiedy dyskretnym gestem wskazałem mu ścieżkę rowerową tuż obok, to spod siwego wąsa spłynęła odpowiedź: – Idź się p...

Byłem chyba bardziej zdziwiony niż urażony.

Polski repertuar słów ordynarnych i przekleństw jest dość ubogi i sprowadza się do kilku wyrazów, a jeden stał się dla wielu zwyczajnym przerywnikiem używanym w każdym zdaniu albo i częściej. Niektórzy, by użyć słów Mickiewicza, „klną mać z ruska brzydko”, ale wprowadzając zamiast czasownika ów pospolity rzeczownik, a zdarzyło mi się słyszeć pewną rodzicielkę, która takimi słowy przemówiła do własnego syna. Można powiedzieć: strzał do własnej bramki.

Do niestosownych wyrażen zaliczam nie tylko ordynarne przekleństwa, ale także rażąco błędne wypowiedzi świadczące o braku kultury. Jeśli ktoś mówi „półtoej dnia” albo „półtoej litra”, ten w moim rozumieniu używa formy prostackiej. Język prostacki w szerszym znaczeniu to język wskazujący na brak kultury. Są różne stopnie prostactwa w języku. Najczęstsze są pospolite błędy dowodzące nieuctwa, takie jak na przykład „dziesięć deko” zamiast „dziesięć deka”. Do tej samej kategorii zaliczyłbym błędy językowe takie jak „tą” zamiast „tę”, „za wyjątkiem”, a także „w oparciu o”, czy „wątpić w coś”. Nowe słowniki „poprawnej” polszczyzny, które to dopuszczają, nie są dla mnie żadnym autorytetem. Zasady i reguły są dla szkół, a poprawny język to respektujący tradycję literacką język ogółu ludzi dobrze wykształconych i kulturalnych. Jako współwłaściciel języka polskiego mam odziedziczone po przodkach prawo do własnego zdania, popartego pewnym zasobem wiedzy o języku, *salvo errore et omissione*. Można ze mną dyskutować, przekonywać, ale nikt mi nie będzie apodyktycznie narzucał jakichś arbitralnych zasad językowych. Moje językowe sobiepaństwo jest zresztą bardzo ograniczone przez imperatyw przystosowania.

Pewna pani Profesorka i Redaktorka powiedziała mi kiedyś, w związku z nowościami ortograficznymi: „ja nie dyskutuję ze słownikiem ortograficznym”. A ja dyskutuję, przynajmniej z nowymi pomysłami w dziedzinie „poprawnej” pisowni. Są kraje, w których nie ma żadnej urzędowo ustalonej poprawności językowej, ale panuje w nich rygorystyczny konserwatyzm w języku literackim.

Od dawna staram się zwalczać „upraszczanie” pisowni przez likwidację podwójnych liter, a zwłaszcza utrwaloną bezsensowną pisownię imion i wyrazów greckich i łacińskich bez podwójnych liter, np. Agrypa, Hipokrates, Tesalia, hipika, hipodrom itp. albo zastępowanie pierwotnego „y” przez „i”: higiena, hiper-, hipo- itp. Ciekawe, że zostało się prawidłowe hydro-! (Jest też hidro-, ale to co innego – odnosi się do greckiego określenia potu).

Z fali neologizmów można i trzeba wyłaniać to, co użyteczne i estetyczne. Język musi ewoluować, tylko tej ewolucji powinna patronować filologiczna i historyczna refleksja.

Ważnym czynnikiem sprzyjającym szerzeniu się niepoprawnych wyrażen jest *communis consensus*. Bierze się on z naturalnej i w istocie słusznej zasady przystosowania, przemienionej w indyferentyzm oraz modę. Warto jednak odróżnić przemyślaną ogólną zgodę od nierozumnego owczego pędu.

Ten owczy pęd przynosi też zmiany w rozumieniu wyrazów. Niedawno dowiedziałem się, że wyraz „panienka” jest odbierany przez młodzież jako niewłaściwy, przez skojarzenia, które nie przyszyłyby do głowy autorce „Panienki z okienka”. Jeszcze głępsze jest to, co stało się z wyrazem „Murzyn”, odbieranym ostatnio jako niewłaściwy. No to jak się mówi poprawnie? Nie każdy człowiek o czarnej karnacji jest przecież Afrykaninem czy Afroamerykaninem, bo niektórzy pochodzą z innych stron. W Afryce mieszkają też miejscowi, rdzenni przedstawiciele rasy białej. Potępienie „Murzyna” wynika z ignorancji. Etymologicznie jest to Morzyn czyli Moro, Maurus, Maur, człowiek o ciemnej twarzy. Nie ma w tym nic uwłaczającego.

Na szczęście daleko nam do tego, żeby wszyscy mówili tak samo. Są u nas różnice gwarowe czy dialektalne, ale nie mają one charakteru wyraźnych „markerów” społecznych. Są niemałe środowiska kultywujące regionalną mowę np. śląską czy kaszubską. Mój dziadek z upodobaniem zbierał dialektalne opowiadania kurpiowskie. Z wielką atencją traktowany jest dziś szczątkowy język wilamowicki, wywodzący się z dawnego niderlandzkiego.

Natomiast słownictwo właściwe nieformalnym spontanicznym żargonem środowiskowym i należące do tak zwanej nowomowy to inna sprawa. Rozpowszechnione zapożyczenia z potocznej angielszczyzny, rozmaite barber-shopy, mega-shopy, malle, markety, outlets, eventy, bonusy, marketingi, leasingi, liftingi, briefingi, castingi, influencerzy, brokerzy, deweloperzy, dealerzy, dizajnerzy, di-dżeje, behawioryści, make-upy, roll-upy, patchworki, piny, puki, newsy, fake'i, hejty, huby, puby, snacki, lofty, shoty, sloty, spoty, topy, mopy, workshopy, webinary, podcasty itp. zaliczyłbym w znacznej części do kategorii słów dających się zastąpić rodzimym słownictwem. Ktoś zapyta: a jak to inaczej powiedzieć? Skoro nie umiemy, to niech zostanie, ale jak to się ma do tak zwanej kultury słowa we własnym języku? Nawet język komputerowy nie musiał być żywcem transplantowany z angielszczyzny. Na przykład Francuzi mają zupełnie inną, własną terminologię. U nas to chyba nie wyszło.

Nie ma kultury bez tradycji a tradycji bez historii. Brak refleksji w dziedzinie języka prowadzi do niekontrolowanego przez wewnętrzną cenzurę słowotwórstwa albo do nieprawidłowego użycia odwiecznych wyrazów. Exemplum to np. „przaśny”, wyraz oznaczający coś bez wyraźnego, słonego, kwaśnego lub słodkiego smaku, np. niezakwaszony chleb (maca to przasniki).

Leśmian pisze „przaśna woda rzeczna”. Jakże trafnie, bo przecież woda zdatna do picia wcale nie jest „słodka”, chociaż niektóre języki, z braku lepszego przymiotnika, tak ją określają. Dzisiaj „przaśny”: to „zgrzebny”, „prostacki”. W dawnej satyrycznej audycji radiowej w wykonaniu „młodej lekarki” pacjent „oddalał się po gumnie”. Żarcik był przejrzysty, ale nie wiem, ilu słuchaczy wiedziało, co to naprawdę jest gumno. Ktoś kiedyś (1969) napisał okolicznościowy wierszyk zaczynający się od słów: „Gdzie gumien przasna woń...”.

Gra w karty jako rozrywka towarzyska uległa dzisiaj marginalizacji. Zanim to nastąpiło, francuskie z pochodzenia nazwy karcianych kolorów zepchnęły dawne polskie nazwy do poziomu jakiegoś plebejskiego żargonu. Tymczasem żołądź (pierwotnie i poprawnie rzeczownik rodzaju męskiego!), wino, dzwonek i czerwień mają bardzo szacowny rodowód. Kto go nie zna, ten nie zrozumie także starodawnego określenia „dupek żołądny”.

Ciekawe, że niektóre dawne wyrazy nieprzywoite wyszły z użycia albo nie są już rozumiane. Kto poza specjalistami wie, co znaczy „pyja”, „mądzie”, „bindasz”, albo co miał na myśli Jan III, pisząc do Marysieńki

o „szyldwachcie”? Kto pamięta, że niewinny na pozór przymiotnik „kiewski” jest ordynarną aluzją do pewnych detali anatomicznych?

Bardzo ciekawe są przekręcenia powiedzeń, które przestano rozumieć. Znakomitym przykładem jest „rozmowa o dupie Marynie”. Mądrale chcieli to wyrażenie poprawić i przerobili na „o dupie Maryni”. Tymczasem podejrzewam, że pierwotnie wyrażenie to brzmiało „o tubie marynie”. *Tuba marina* albo *tubmaryna* to szczególnie rodzaj dawnego instrumentu, ekscentryczny i nieistotny jako przedmiot rozmowy.

Nie mniej ciekawe są „banialuki”. Banja Luka to jak wiadomo nazwa miasta. Skąd te banialuki? Otóż zdarzyło mi się kiedyś słyszeć czasownik „belenić” w znaczeniu „gadać głupstwa”. Podobnie język angielski zna wyraz *baloney* albo *boloney* (tyle co „nonsens”) wiązany przez mądre oksfordzkie słowniki z Bolonią (!). Co ma do tego *dotta Bologna* („uczona Bolonia”? Wydaje się, że wszystko jest znacznie prostsze: „balonic” (= „belenić”), czyli „puszczać balony” (*baloney*), to musiało być kiedyś określenie bredzenia, fantazjowania, opowiadania zmyślnych, zrodzone w czasach pierwszych balonów, efektownych i kolorowych, ale pustych w środku. Z tych baloników zrobiły się u nas banialuki. Może to już gdzieś napisano, ale nic o tym nie wiem.

Innym źródłem nieprawidłowości jest brak zrozumienia obcego źródłosłowu.

Mało kto wie, że „namolny” to rusycyzm. Powszechnie używa się u nas tego wyrazu w znaczeniu „natrętny”, „nachalny”, a tymczasem „namolny” to „dający się długo prosić, oporny”.

Także poczciwe wyrazy łacińskie, które przeszły przez potoczną angielszczyznę, zadomowiły się u nas w zmienionym znaczeniu. Na przykład „sponsor”. Kiedy ten wyraz w roku 1973 pojawił się w jakimś polskim artykule, nie wiedziałem, o co chodzi. Po łacinie *sponsor* to ktoś, kto przysięga albo poręcza. Słownik oksfordzki z 1945 roku nie zna jeszcze takiego słowa w języku angielskim. Teraz już wiadomo.

Grecka z pochodzenia „dekada” do niedawna oznaczała dziesięć dni. Przyszła do nas przez francuski (*décade*). Obecnie, pod wpływem nowej angielszczyzny, dekada to dziesięć lat. Bez koniecznej potrzeby wyparła „dziesięciolecie” albo „dziesiątek lat”. Nawiasem mówiąc, poprawny „dziesiątek” ustępuje we właściwym sobie znaczeniu „dziesiątce”. Dziesiątka to jednak cyfra albo karta do gry, dziesiątek to jednostka, podobnie jak tuzin.

Łacińska „opcja” (*optio*), czyli „wybór” albo „prawo wyboru” lub „życzenie”, nabrała znaczenia „wariant” albo „możliwość” (np. w wyrażeniu: „nie ma takiej opcji”).

Podobnie „stylista”, kiedyś „mistrz stylu literackiego”, nabrał nowych zapożyczonych znaczeń.

Nieco odmiennym przykładem jest „beneficjent”, wyraz już oficjalnie używany u nas w mylnym znaczeniu „obdarowany, korzystający z dobrodziejstw”. Tymczasem jest odwrotnie: beneficjent (z łac. *beneficiens*) to „ten, kto dobrze czyni” tzn. daje, „udziela beneficjów”. Korzystający z dobrodziejstw to beneficjariusz (łac. *beneficiarius*). Pochodne formy istnieją w językach zachodnioeuropejskich, ale u nas to zignorowano. Nie ma powodu, żeby się zgadzać na tak oczywisty błąd.

Często słyszy się, zwłaszcza z ust ludzi niby wykształconych, wyrażenie *en face* w znaczeniu „widok od frontu”. Tymczasem po francusku widok frontalny, na wprost, to *de face*. *En face* znaczy coś trochę innego. Różnica jest subtelna, ale jest.

Tłumaczenie – nawet z angielskiego – nie zawsze się udaje. Przykładem może być przymiotnik *sustainable* niezbyt trafnie przełożony na „zrównoważony”.

Podobnie jest z nieprawidłową wymową obcych wyrazów, na przykład nazwisk. Najpowszechniejszym przykładem jest chyba nazwisko Roosevelt, pochodzenia holenderskiego, wymawiane tylko w Polsce „Ruzwelt”, chociaż Amerykanie mówią zazwyczaj Rouzwelt, a Holendrzy mniej więcej Rozewelt. Widocznie wiemy lepiej.

Zamiast à propos słyszy się u nas najczęściej „apropo”. Nawet spike-rzy radiowi myślą się w wymowie francuskiej, co przed wojną byłoby nie do pomyślenia. Błędy w improwizowanych cytatach łacińskich to osobna grządka językowych chwastów. Szczytowym „osiągnięciem” było słynne „quo vadis, homine?”. Z greką jest podobnie. Ostatnio słyszy się często, że ktoś ma „charyzmę” albo przeżywa „traumę”. Jeśli „charyzma” i „trauma”, to dlaczego nie „tema”, „drama” i „schema”? Inne greckie wyrazy takie jak „idiom” i „ikona” pojawiają się u nas w znaczeniu przejętym z angielskiego. Logo (czyli „logotyp”, wyraz złożony pochodzenia greckiego) utożsamiono z każdym graficznym znakiem firmowym, nawet w postaci symbolicznego obrazka, gdy tymczasem chodzi o symbol czy znak firmowy w postaci charakterystycznego napisu.

W medycynie i w naukach przyrodniczych terminologia łacińska stopniowo ustępuje formom angielskim, zresztą przeważnie też pochodzącym

z łaciny. Przez to i sama łacina traci znaczenie a wraz z nią tradycyjna kultura humanistyczna.

Nieznajomość greki i łaciny odbija się na nazewnictwie przyrodniczym dotyczącym nowoodkrytych gatunków, które trzeba jakoś nazwać. Niebawem dawną erudycję zastąpi w tej dziedzinie sztuczna inteligencja.

W mowie potocznej zdarzają się czasem rzekome cytaty: powiedzenia czeskie, rosyjskie, niemieckie nieznane w odpowiednich krajach.

Jeszcze inne nieprawidłowości biorą się z braku obycia, czyli znowu z braku kultury. Rozpowszechnione u nas nazywanie króla Jego Wysokością wzbudziłoby zgrozę lub śmiech w Anglii, Danii, Holandii, Hiszpanii itd., ale także w republikańskiej dzisiaj Francji czy Włoszech, gdzie znajomość takich tytułów należy do sfery wykształcenia. U nas bierze się to przeważnie z nieudolnej próby przełożenia na polski angielskiego *His/Her Majesty*.

Na dodatek nie wszyscy wiedzą, że przy zwracaniu się wprost do Jego Wysokości (czyli np. do księcia z domu panującego) albo do Jego Magnificencji mówi się o „Waszej” (a nie „Jego”) Wysokości, Magnificencji i tym podobnych.

Odeszliśmy od tytułowania adresatów listów (czy są jeszcze listy?) Jaśnie Wielmożnymi (JWP) a nawet tylko Wielmożnymi (WP). Gdybym dziś do znajomej księżnej napisał *per* „Jaśnie Oświecona” (JO), poczytano by to za żarcik. A przecież jeszcze socjalista Piłsudski pisał do księcia regenta „Jaśnie Oświecony Książę i Panie!”.

Konstytucja z 1921 roku zniósła wprawdzie tytuły rodowe, ale tylko w życiu publicznym. Dlatego książę Janusz Radziwiłł na liście wyborczej do Senatu był określony jako „Janusz Radziwiłł, rolnik”. Jednak w adresie wypadało prywatnie napisać Jaśnie Oświecony. W życiu towarzyskim i prywatnym, na przykład we Francji, nie spotyka się obiekcji wobec staromodnych formuł i tytułów. U nas było podobnie. Za to *savoir-vivre* odradza ostentacyjne zwracanie się np. do hrabiego *per* „panie hrabio” jako właściwe głównie dla dostawców i podległego personelu. Tytuły wszelkiego rodzaju umieszcza się za to w adresie na kopercie, przeznaczonym dla osób postronnych, czyli doręczycieli.

Dość częste jest u nas pomijanie tytułów naukowych, traktowanych jakby były one dowodem braku egalitaryzmu, podkreślaniem statusu albo rodzaju zatrudnienia. Tymczasem dożywotnie tytuły naukowe to nie tylko sprawa wewnętrznej hierarchii zatrudniającej kogoś instytucji. W tradycji, np. niemieckiej, były one jakby częścią nazwiska, wpisywaną do

dokumentów. U nas, jak się zdaje, nie wypada już podkreślać poza miejscem pracy „tytułu zawodowego” magistra. Doktorat zaczęto traktować dość swobodnie i pomijając „dr” w publikacjach i poza życiem naukowym. Ponadto nie bardzo wiadomo, jak zwracać się do doktora habilitowanego – kiedyś był on tytułowany docentem (to było stanowisko przed profesurą), dzisiaj to się w przepisach pozmieniało i mówi się najczęściej „panie profesorze”, bo jak inaczej? Zresztą dr hab. jest bardzo często „profesorem uczelni”.

Dożywotni tytuł profesorski nadawany przez głowę państwa nie powinien być traktowany jak stanowisko służbowe i pomijany poza sferą zawodową.

Dzisiaj wszyscy są „szanowni”. Najważniejsi są nawet „wielce szanowni”. Niech mi ktoś wyjaśni, bo nie chce mi się sprawdzać, kiedy to przymiotnik „szanowny” pojawił się w naszym języku? I skąd przyszedł?

Witold Doroszewski nie bez pewnej racji tytułował korespondentów Radiowego Poradnika Językowego „obywatelem” i „obywatelką”, w przekonaniu, że wyraz „pan, pani” stracił dawno walor honoryfikacyjny, a stał się czymś w rodzaju zaimka osobowego, czy może rodzajnika określającego płeć danego indywiduum. Dlatego nie dziwi już tak bardzo okrzyk „pan jest świnią!”.

Tenże wybitny językoznawca też nie był bez grzechu, bo w swoim czasie poparł niesławnej pamięci reformę ortograficzną 1936 roku, po której pisownia nazwy „Dania” nie różni się od pisowni wyrazu „dania”. Dzięki ówczesnym „młodym gniewnym”, którzy koniecznie chcieli mieć w Polsce jakąś reformę pisowni, iżby nie byli gorsi od bolszewików za ścianą, „Jakób” stał się bez sensu „Jakubem”, a „puhacz” „puchaczem”, chociaż nazwa jego nie pochodzi od puchu tylko od puhania. Można jeszcze zrozumieć pisownię „puchar” zamiast „puhar”, jeśli odwoływać się do języka arabskiego, ale przypuszczam, że wyraz ten jednak wziął się u nas z węgierskiego „pohar”. „Żóraw” bez koniecznej potrzeby stał się „żurawiem”. „Żur” to co innego, wywodzi się z niderlandzkiego „zuur” 'kwaśny’.

Prawdziwie spontaniczna rewolucja ortograficzna nastąpiła pod koniec lat 1980. Pewien wyraz pisany przez całe dziesięciolecie na murach i płotach przez samo „h” odzyskał ortograficzną poprawność i pisownię przez „ch”.

Można by tak jeszcze długo.

Po tych banalnych przykładach chciałbym przejść do konkretnych, czyli do garści językowych śmieci, zebranych na wierzchołku śmieciowej góry. Zostawiam to jednak do następnego razu.

Wokół Pałacu Kultury

Wyraz „wokół” bywa przeważnie używany w znaczeniu przenośnym. Przypomina mi się tytuł wystawy w Muzeum Narodowym *Wokół Antoine’a Bourdelle’a*. Oczywiście miało to znaczyć tyle co „w kręgu” czy „w epoce” tego artysty. Imię dodano prawdopodobnie z obawy przed niepożądanym efektem tytułu *Wokół Bourdelle’a*.

Nie, nie chcę powiedzieć, że biegałem czy jeździłem na rowerze wokół Pałacu Kultury. Natomiast mój ojciec we wczesnych latach szkolnych ścigał się z kolegami na rowerze wokół Soboru na Placu Saskim. O Soborze, potem rozebrany, powiedział mi: „Dzisiaj Pałac Kultury to taki sam symbol jak wtedy ten Sobór”. Pomimo szczenięcego wieku doskonale zrozumiałem, co miał na myśli. Pan Tadeusz L., kolega szkolny mojego ojca, który pamiętał wkroczenie Niemców do Warszawy w sierpniu 1915 roku, mówił, że Niemcy w czasie tej pierwszej okupacji zajęli się odzyskiwaniem złota z połączanej miedzianej kopuły Soboru.

Pałac Kultury wyrósł wśród ruin Śródmieścia w czasach mojego wczesnego dzieciństwa. Oglądałem go głównie z zewnątrz i robił na mnie wrażenie. Z daleka większe niż z bliska. Otaczające go fontanny i fałszywe obeliski też miały znaczenie. Byłem kiedyś w środku na jakiejś imprezie dla dzieci w moim wieku, z której zapamiętałem zabawy, tańce i śpiewy rówieśników, a przede wszystkim własne przerażenie towarzyszące zjeżdżaniu w dół jakąś straszną rurą. Do tej pory to wspomnienie do mnie wraca.

Potem było to zwykle przyjemne oglądanie widowisk w Sali Kongresowej. (Przed 1965 nie było jeszcze odbudowanego Teatru Wielkiego, opera była w „Romie”). Bywałem też w kinie w Pałacu. W pływalni w PKiN byłem tylko jako widz. Później chętnie odwiedzałem tzw. Wzorcownię, czyli specjalistyczną księgarnię. Ogromnie żałuję, że nigdy nie zwiedziłem Muzeum Techniki.

Samodzielnie odkryłem, że neon „Pałac Kultury i Nauki” zakrywa napis z nazwą obiektu „imienia Józefa Stalina”.

Maria Zientarowa w znakomitej książce z roku 1955 pod tytułem *Drobne ustroje* odnotowała nazwę Pałacu w autorskiej wersji swojego synka: Pałac Kultury Na-uki i Na-sztuki. Książka miała także późniejsze wydania, ale jedno z nich, które przeglądałem, było już pozbawione niektórych

smakowitych dowcipów z pierwszego wydania, zwiastujących tak zwaną „odwilż”.

Dorośli wokół mnie źle się wyrażali o Pałacu. Cytowali satyryczny wierszyk:

*Mówią, że Pałac Kultury brzydki,
że Warszawę szpeci.
Nie wiem. Mnie się podoba.
Ja mam żonę i dzieci.*

Opowiadano sobie o niemałych kosztach obecności radzieckich budowniczych Pałacu, którym dostarczano podobno wszystkiego po symbolicznych, niezmiernie zaniżonych cenach. Ogromne rozmiary i styl budowli budziły sprzeczne oceny. Zazwyczaj raziła warszawiaków cechująca ten gmach gigantomania, w dodatku rodem ze Związku Radzieckiego. Natomiast funkcje Pałacu były raczej akceptowane.

Moja mama cytowała zasłyszaną opinię jakiegoś Francuza, który podobno powiedział o Pałacu, że to „sen pijanego cukiernika”. Długo zastanawiałem się, dlaczego cukiernik miałby wymyślać aż takie konstrukcje. Dopiero niedawno w pełni zrozumiałem źródło tej wypowiedzi, kiedy zobaczyłem w polskiej telewizji, w programie *Secrets d’histoire*, fantastyczne konstrukcje z cukru, dzieło niejakiego Carême’a, cukiernika, a potem genialnego gastronomo z czasów napoleońskich i nieco późniejszych. Marie Antoine Carême (1784-1833) w trudnym dzieciństwie (gdy miał 8 lat, ojciec porzucił go na ulicy) był pomocnikiem cukiernika, a marzył o zostaniu architektem. Został twórcą oszałamiającej „architektury” cukierniczej, w Polsce prawie nieznaney, ale dobrze znanej we Francji. Był autorem dzieła o wymownym tytule *Le pâtissier pittoresque* (1815), a także arcy mistrzem sztuki kulinarnej na dworach królów i cesarzy.

Czasy Gomułki w architekturze były okresem odwrotu od zewnętrznych ozdóbek. Fasady eklektycznych kamienic odnawiano, pozbawiając je z rozmysłem ornamentów. Tak było zresztą dużo taniej. Zgrzebność była cechą ówczesnego budownictwa w Polsce. Znaczna część inteligencji przychyliła się do krytycznego podejścia do drobnomieszczańskich przeżytków. Nowoczesność wymagała linii w stylu Le Corbusiera. Ówczesną polską nową architekturę w jej ciekawszych przejawach doceniał Nervi. W Brazylii w tym czasie szczyty nowoczesności osiągał Oskar Niemeyer. Z moją koleżanką ze studiów doszliśmy do wniosku, że Pałac Kultury trzeba byłoby

w lepszej przyszłości pozbawić zewnętrznych dekoracji i nadać mu gładki wygląd. Był to wyraz ówczesnych poglądów na estetykę w architekturze. Jak napisał Bolesław Prus „czas bardzo zmienia ludzkie sądy”.

Pałac Kultury należał do epoki stalinowskiego monumentalizmu. Jego wysmukła sylwetka jednak mi się podobała. Jeszcze w czasach szkolnych dostrzegłem ilustracje przedstawiające pierwowzór antyczny tej wieży. Nasz nauczyciel francuskiego w liceum, pan E.B., człowiek o wszechstronnej kulturze, w wypowiedzi wyrażającej zachwyt nad antykiem stwierdził, że Pałac Kultury bardzo przypomina znany mu z ilustracji starożytny „gmach w Pireusie”. Już wtedy wiedziałem, że się pomylił, a ściślej pomylił starożytne miasta portowe, bo prototypem Pałacu Kultury była oczywiście gigantyczna latarnia morska na wyspie Faros, górująca nad portem wschodnim w Aleksandrii. Kiedy wiele lat później jako ekspert w telewizyjnej *Wielkiej Grze* zapytałem dobrze przygotowanych zawodników o nowożytny odpowiednik wyglądu latarni na Faros, obaj panowie, nie pochodzący z Warszawy, nie skojarzyli obu budowli. Wymienili jednak inne podobne gmachy.

Niezbyt lubiłem monstrualne rzeźby zdobiące fasadę. A jednak były dziełem dwóch wybitnych polskich rzeźbiarzy. Znana też była historia o udziale innego rzeźbiarza, Xawerego Dunikowskiego, w konkursie na pomnik Stalina, który miał stanąć przed PKiN. Krążyła anegdota o tym, że Dunikowski rozmyślnie stworzył taki wizerunek Stalina, że projekt ten został odrzucony. Zdaje się jednak, że opowieść ta była nieścisła, co podobno wykazały znacznie późniejsze badania. W końcu jednak pomnik, na który przeznaczano około 900 tysięcy złotych, nigdy nie powstał. Później nie było już na szczęście mowy o pomnikach Stalina. Powstało wówczas eufemiczne określenie „kult jednostki”.

PKiN istotnie przypominał starożytne budowle hellenistyczne, a zwłaszcza wspomnianą latarnię na Faros, najwyższy gmach powstały w okresie hellenizmu. Hellenizm był to moment szczególnie w świecie starożytnym, okres wielkich budowli, wspaniałych dekoracji architektonicznych i realistycznej, pełnej ekspresji rzeźby. Kiedy jako student poznałem architekturę hellenizmu, nazwałem w duchu hellenizm „Pałacem Kultury starożytności”. Miałem na myśli dekoracyjny eklektyzm i monumentalizm.

Architekt Rudniew z pewnością znał dzieło Thierscha z 1909 roku i znalazł w nim rysunkową rekonstrukcję latarni na Faros. Poza tym starał się umieścić w Pałacu Kultury elementy polskie. Ojciec zwrócił moją uwagę na attyki PKiN przypominające krakowskie Sukiennice. Były też inne

wzory architektoniczne. We wnętrzu natomiast panuje naśladownictwo wzorów klasycystycznych.

Wszystko to jednak przysłańiał w oczach opinii publicznej symboliczny charakter tego radzieckiego monumentu posadowionego w samym centrum zniszczonej Warszawy. Jego wygląd wiązano najczęściej z moskiewskim Uniwersytetem Łomonosowa, znacznie szerszym u dołu, a nie z latarnią na Faros, nie wszystkim znaną. Uznawano więc styl PKiN za sowiecki i obcy tradycji europejskiej. Nie zwrócono uwagi na podobieństwo do wieży La Giralda w Sewilli i do wieżowców amerykańskich z wczesnego XX wieku.

W latach studenckich zdarzyło się, że szedłem Świętokrzyską z dwoma chłopcami polskiego pochodzenia, którzy przyjechali z Kanady. Kiedy pokazałem im Pałac, jeden z nich zawołał „*Soviet gift, nie chcę na to patrzeć*”. Kiedyś, w późniejszych czasach, ale jeszcze w PRL-u, w okolicy Łazienek jacyś przypadkowi Włosi zapytali mnie „Co to za monumentalny budynek tu w pobliżu?”. Nie wiedziałem, o co właściwie pytają, ale że szli od strony ulicy Belwederskiej, więc powiedziałem im, że to chyba ambasada Związku Radzieckiego. Dopiero potem, kiedy sobie poszli, zrozumiałem, że chodziło im prawdopodobnie o Pałac Kultury, chociaż był dość daleko. Może ktoś im to potem wyjaśnił.

Ponieważ nie piszę jakiejś monografii, tylko notuję luźne impresje, pominię tu literackie wizje Pałacu Kultury, których nie brakuje, a także sensacyjne lub faktograficzne relacje o Pałacu, pisywane także przez profesorów uniwersyteckich.

Nie brakowało rewolucyjnych pomysłów, na przykład żeby Pałac Kultury uzupełnić wyniosłą konstrukcją zawierającą muzeum komunizmu. Inni chcieli go otoczyć wieżowcami, żeby to komunistyczne obrzydlistwo zasłonić. Pewna sympatyczna rozmówczyni powiedziała mi, że Pałac Kultury należy zburzyć, a działki sprzedać. Zdaje się, że było niemało zwolenników takiego rozwiązania.

Jeśli chcielibyśmy w ten sposób pozbywać się budowli wzniesionych przez siły zewnętrzne, to trzeba by chyba zacząć od zamku w Malborku, zbudowanego przez wraży Zakon Krzyżacki. W Warszawie natomiast stoi cytadela, która powstała z rozkazu cara Mikołaja I jako instrument represji i nadzoru wobec buntowniczych Polaków. Była więzieniem i miejscem egzekucji patriotów. To coś znacznie gorszego, niż użyteczny i pokojowy Pałac Kultury i Nauki. Jednak i ona została zaakceptowana jako zabytek. A co zrobić z pozostałościami austriackiej i okupacyjnej działalności

budowlanej na Wawelu? Budynek imperialnego Banku Państwowego z 1908 roku przy ulicy Bielańskiej (wzniesiony w latach 1907-1911 na miejscu mennicy warszawskiej) niepodległa Polska międzywojenna przejęła bez oporów, umieszczając tam Bank Polski. Ten potężny gmach był redutą w czasie Powstania Warszawskiego. Mimo wojennych zniszczeń i zmian powojennych część tej budowli trwa i jest wpisana do rejestru zabytków.

Pożyteczne budowle nie odpowiadają za intencje fundatorów. Wydaje się, że należy takich budowli spokojnie używać, widząc tylko ich przydatność i nie zwracając uwagi na ich pierwotnie zamierzone znaczenie. Wyładowywanie emocji na tego rodzaju budynkach niczemu nie służy. Przypomina to zabiegi archaicznej magii. W jej duchu król perski kazał kiedyś ze złości na pogodę chłostać łańcuchami wzburzone morze.

Sobór na placu Saskim (Piłsudskiego) rozebrano z wielu powodów. Pomijając jego jednoznacznie symboliczne znaczenie, był on lokalizacyjnie i urbanistycznie chybiony, a przede wszystkim utracił sens funkcjonalny i religijny, gdyż społeczność wiernych Cerkwi prawosławnej w Warszawie uległa znacznej redukcji, a dla pozostałych wystarczała okazała cerkiew na Pradze i druga na Woli.

Rzeczywistość zbliżyła się do niektórych pomysłów, zmierzających do eliminacji Pałacu Kultury. Pomysłodawcom chodziło o to, żeby PKiN przestał być dominującym akcentem tzw. *cityscape*. Dookoła sterczą już wyjątkowo wysokie wieże, które wyglądają, jakby były z prefabrykowanych elementów oraz fantazyjnie powyginany szklany dach. Ostatnio pojawił się nowy element, wielki biały sześcian. Mówi się, że jest piękny. Całość urbanistyczna jest zastanawiająca.

Nie wiadomo, czym zwolennicy rozbioru chcieliby zastąpić Pałac w jego rozlicznych funkcjach. Pałac Kultury pełni między innymi funkcję punktu orientacyjnego oraz widokowego (panorama Warszawy). Jest miejscem turystycznym. Mieści w sobie przeróżne pożyteczne instytucje. Utracił niektóre elementy wewnętrznego wystroju. Sala Kongresowa, kiedyś miejsce popularnych wydarzeń artystycznych, jest od dawna zamknięta. Na 19. piętrze przez długi czas znajdował się Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej PAN (pokój 1909). Docierało się tam wówczas ekspresową windą z boazeriami i z obsługą. W windzie był czarny telefon z tarczą oznaczoną literami alfabetu rosyjskiego. Dziś windy zmieniły wygląd, ale są eleganckie i samoobsługowe.

Pałac jest często odwiedzany, są w nim liczne instytucje naukowe i kulturalne, pełni funkcje edukacyjne oraz integracyjne. Zbliży narody. Mój

znajomy, cudzoziemiec w słusznym wieku emerytalnym, poznał przy windzie w PKiN polską rodzinę z województwa, które przez prawie tysiąc lat nosiło nazwę województwa krakowskiego, a od niedawna jest województwem małopolskim (tak jakby do niego ograniczała się Małopolska). Pojechali razem na trzydzieste piętro i podziwiali panoramę Warszawy. Od tego czasu ów Niemiec odwiedza na wsi podkrakowskiej dom swoich polskich znajomych i zaprasza ich w różne miejsca Europy. Jego polonofilia, zrodzona kiedyś pod wpływem polskich koleżanek i kolegów, obecnie pod małopolskim wpływem powstałym w Pałacu Kultury wzrosła tak dalece, że w Volkshochschule uczy się polskiego. Idzie mu dobrze, chociaż zbliża się do osiemdziesiątego roku życia. Ma talent i zna kilka języków.

Inny cudzoziemiec z Zachodu, od dość dawna zamieszkały w Warszawie, powiedział o Pałacu: „To jedyny monumentalny budynek jaki macie”.

Na razie stoi. Zobaczymy, co będzie dalej, ale należy być dobrej myśli.

Adam Łukaszewicz

Krzysztof Saturnin Schreyer

O książce Alicji Patey-Grabowskiej

W lustrze na opak

Książka *W lustrze na opak* wymyka się próbom jednoznacznego określenia charakteru tego zbioru krótkich opowiadań. Bez wątpienia są to groteski, ale swobodnie wzbogacane elementami bajki i satyry, które jak w utworach Krasickiego i Mrożka, pokazują realistycznie i z humorem podpatrzone śmieszności ludzkich zachowań i współczesnych obyczajów, często z elementami bajki czy fantastyki.

Któż by się spodziewał po autorce, do której przyłgnęło powielane określenie „znanej poetki od wierszy lirycznych, miłosnych i dla dzieci”, tego wnikliwego i kpiącego spojrzenia na współczesną rzeczywistość, w której ludzka natura, podobna do tej wyszydzonej dawniej, objawia się teraz w nowych okolicznościach?

Wyobraźnia poetki, obdarzając ludzi z miasteczka „gdzieś w Europie” wyrastającymi niespodziewanie ogonami, czyni z tej absurdalnej sytuacji kpiący obrazek małomiasteczkowego społeczeństwa. Kiedy ogony wyrastają przedstawicielom władzy, stają się nie dziwną przypadłością, ale chlubą. Wybucho moda na ich pielęgnację w zakładach fryzjerskich. Sylwetki mieszczan są bardzo dzisiejsze.

Wspominając Krasickiego, można też odnieść się do znacznie wcześniejszej, nawet antycznej literatury, kiedy to charaktery bohaterów miały jak u Arystofanesa znaczące imiona. W tym zbiorze wymyślone są, tak jak i nazwy instytucji, po mistrzowsku i do śmiechu.

Patey-Grabowska nie krępuje się współczesnymi konwencjami literackimi i ze swobodą korzysta ze swych umiejętności obserwacyjnych oraz nieskrępowanej wyobraźni. Ta mieszanka jest w efekcie bardzo współczesna. Opisywane środowiska to nie tylko władze miasta i eminentni bohaterowie. Pojawiają się przedstawione w krzywym zwierciadle dysputy w środowisku tak elitarnym jak naukowe, które jak niektórym wiadomo, autorka miała okazję podpatrywać.

Groteski dają opisy wydarzeń w nawet bardzo szacownych towarzystwach i wydawałoby się, że są złośliwym wymysłem, a jednak swoje źródło

biorą z rzeczywistości, często szerzej nieznaną. W opowiadaniu *Ogórek* walka o dotarcie do zastawionego szwedzkiego stołu pod koniec sponsorowanej sesji naukowej ujawnia ludzką naturę, która wychodzi spod pancerza naukowych tytułów. Śmiejemy się z tego, ale też trochę siebie.

Reklamowani środowiskowo poeci, demonstrujący swe nienadzwyczajne utwory w sanatoriach, to fakt, a i faktem bywa ich odbiór przez zasugerowaną publiczność (opowiadanie *Prawdziwy poeta*). Konkurs śpiewacki wśród owadzych mieszkańców lasu, niby bajka, ale prześmiewczo pokazuje mankamenty znanych autorce niektórych lokalnych konkursów literackich i nie tylko literackich (opowiadanie *Konkurs*).

To są rzeczy obyczajowe, lecz mogą też budzić sporo refleksji przemiany polityczne oglądane z dystansu, pokazywane z kpinią Są to postawy zmieniających swe barwy polityków (opowiadanie *Zez rozbieżny*), kariery autokratów (*Sen Czortkína*) lub paradoksy wiatrów historii (*No to siup*), a nawet zjawisko podsłuchów (*O krześle, ławie i fotelu*). Autorka jakby sugerowała, że trzeba umieć się śmiać z siebie, co było cechą mądrych królów, którym dworski błazen mógł dopiec, nie poniżając majestatu, lecz dając do myślenia. Lekki styl i rzadko obecnie stosowna sztuka aluzji skutecznie łagodzą sceny o smaku wyraźnej kpiny.

Patey-Grabowska nie kieruje się poprawnością polityczną. Jej bohaterowie bywają zbyt grubi albo chudzi. Zarozumiałe kobiety potrafią niszczyć fajtłapowatych mężczyzn (opowiadanie *Na poboczu*). To urąga szlachetnej idei równości.

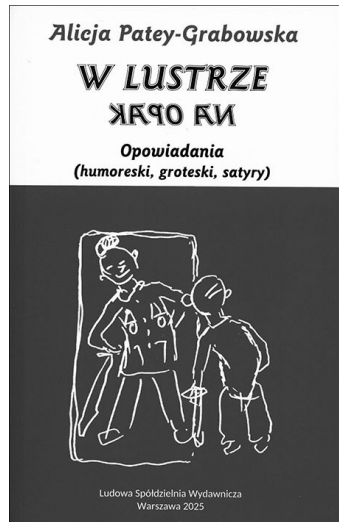
Oczywiście można by napisać uczony referat o tym, jakie społeczne mechanizmy i ludzkie postawy krytykuje autorka, ale wówczas zapomnielibyśmy, że jednym z celów tego zbioru opowiadań jest po prostu zabawa. Nie jest to humor kabaretowy, gdzie chłop przebrany za babę kopie głupkowatego bohatera, lecz heca wywołująca nieraz wybuch śmiechu (gdy ktoś ma duże poczucie humoru) lub uśmiech i klaśnięcie w dłonie ze słowami: tak, znamy to, znamy!

Chciałbym też zwrócić uwagę na to – co jak mi się wydaje, bywa często w krytyce pomijane – że o wartości dzieła i jego atrakcyjności w ogromnej mierze czy nawet decydująco świadczy nie to, o czym się pisze, ale jak się pisze. To jest właśnie ów kunszt, którego Alicji Patey-Grabowskiej nie brakuje.

Warto również wspomnieć o prowadzonych lekką, oszczędną kreską satyrycznych rysunkach-ilustracjach autorki. Jeden z nich znajduje się na okładce książki.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Alicja Patey-Grabowska
W lustrze na opak
 Opowiadania (humoreski, groteski, satyry)
 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
 Warszawa 2025
 Oprawa miękka
 Stron 108
 ISBN 978-83-205-5913-2



Jerzy Sikora

Wiersze słodko-gorzkie

O wyborze wierszy Urszuli Michalak

Wstęp do wyboru wierszy Urszuli Michalak *I miód i piołun* napisał Wojciech Kaliszewski i zatytułował: *Poezja, która pomaga*. Autor przedmowy zauważył, że „te wiersze od początku pulsowały niepokojem pytań i wątpliwości, ujawniały ludzką słabość, ale przynosiły także płynącą z wiary nadzieję”.

W ponad czterystustronicowej publikacji są wybrane utwory z dwudziestu zbiorów poetyckich oraz wiersze nowe. Autorka jest siostrą zakonną – urszulanką. Nie dziwne więc, że jej poezja często ma formę modlitwy, zawiera ekspresję przeżyć wewnętrznych, ale i wnikliwej obserwacji otaczającego świata. Niejednokrotnie pojawia się modlitwa o charakterze prośby. Oto w wierszu *Prośba* – podobnie jak i w wielu innych – rozlega się wołanie do Boga o autentyczność i prawdę:

Uchroń mnie, Boże,
od karłowatego człowieczeństwa,
jak od żalosalnej komedii,
od cierpkich owoców nienaganych form
i od smutnego cyrku na co dzień.
Uchroń mnie od karykatury życia,
od ślepych przewodników,
co dawno już pogubili drogi
i od wzorowo umartwionych,
którzy własne ciężary
dźwigają na cudzych plecach.
[...]
Uchroń mnie, Boże,
od przepaści kłamstwa.

Ale Urszula Michalak potrafi też i chce dziękować, zwłaszcza w późniejszych wierszach, na przykład w utworze zatytułowanym *Pamiętam*. *Dzięki*:

Za lata pod wspólnym dachem,
 za długie podróże i krótkie spacery,
 za lektury, koncerty, spektakle,
 za wspólne różańce, koronki,
 godziny milczenia, które nigdy nie były ciężarem.
 Za łzy i ocieranie łez,
 za zwyczajność, prostotę, zachwyty,
 i za wpatrywanie się w cuda,
 które ukrywały się w codzienności.

Dziękuję komu? W domyśle – Stwórcy. W tytule książki zawiera się miód i piołun. Miód, czyli największa słodycz, symbol szczęścia, obfitości, dobrobytu, pokarm duchowy mędrców i świętych. Piołun – symbol gorczy, smutku i cierpienia. I co charakterystyczne, te dwa oksymoroniczne symbole połączone są znakiem, a nawet dwoma znakami, koniunkcji: i miód, i piołun. Bo tak jest w życiu: i słodko, i gorzko. Nasza autorka stawia wiele pytań. Jest ich zdecydowanie więcej niż odpowiedzi, bowiem niepewność często – paradoksalnie – stanowi rękojmię prawdy, autentyczności.

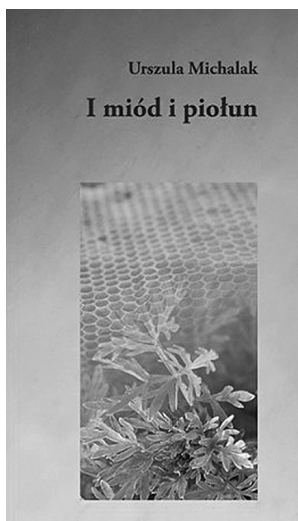
Nie jeden wiersz to jakby minireportaż – obserwacja „tu i teraz”. Ale jest to jedynie punkt wyjścia do dalszych przemyśleń i konkluzji. W utworze *Uporać się z życiem* poetka relacjonuje: „Gdy stałam nad zlewem i myłam / naczynia po dzisiejszej kolacji / znowu dopadł mnie ten dobrze znany ból. / [...] / A tu wciąż trzeba mierzyć się / z tyloma sprawami, / bo jeszcze nie uporałam się z życiem”. A czas ucieka, wieczność czeka. „Coraz więcej jesieni. / Coraz więcej śmierci” (*Prawie przedwieczór*). Z upływem lat rodzi się coraz więcej wspomnień. Pojawia się przywoływanie wydarzeń rozgrywających się w przeszłości, zwłaszcza w latach dziecięcych. Oto przykład: „Na moim podwórku dawno, dawno temu, / trzepak i piaskownica to był cały, wielki świat. / Stamtąd wypływalismy na otwarte morze / łódką ulepioną z piachu” (*Szkoła życia*).

W utworze zatytułowanym *Czterdziesty rok życia* autorka wyznaje z dużą szczerością: „moje życie / jak pagórek światła i ciemności”. I z tego zmagania światła z ciemnością rodzą się wiersze Urszuli Michalak. Jak paciorki różańca: tajemnice radosne, bolesne, chwalebne. Ta poezja jest nizaniem słów na sznur ludzkiego żywota – żmudnym, ale koniecznym szukaniem sensu.

Do książki została dołączona płyta CD, na której wiersze czytają: Krzysztof Kolberger, Katarzyna Dąbrowska, Anna Dymna, Tadeusz Sznuć, Dorota Chotecka-Pazura i Radosław Pazura. Prezentacjom towarzyszy muzyka Fryderyka Chopina i Wojciecha Kilara.

Okazją do wydania tej publikacji był podwójny jubileusz autorki: 40-lecie debiutu prasowego i 30-lecie debiutu książkowego.

Jerzy Sikora



Urszula Michalak
I miód i piołun
Wybór wierszy z lat 1974-2024
Lublin 2024
Stron 428
ISBN 978-83-78479-25-3

Barbara Surowska

Skąd się wzięło robactwo u Kafki?

Kto raz przeczyta *Przemianę* Kafki, tego prześladować będzie wyobrażenie robaka, w którego przeobraził się Gregor Samsa.

Obrzydliwy ten robak staje przed nami jak żywy. Cóż to za stwór udreńczył naszą wyobraźnię? Wygląd ma tak osobliwy, że trudno go ściśle określić i nazwać. Jedni utrzymują, że mamy do czynienia z pluskwą, inni że z karaluchem, jeszcze inni że z żukiem gnojarszem. Któraż to jednak pluskwa z trudem wciska się pod łóżko? Jak na karalucha ten robak jest również stanowczo za duży. Dosięga wszak klucza w zamku, gdy wspina się, stając na tylnych nogach. Ciałem osłania obraz wiszący na ścianie. Rzucone w niego jabłko bynajmniej go nie miażdży, tylko wbija mu się w plecy, a on z tym jabłkiem na grzbiecie próbuje jeszcze uciekać. Z upływem czasu ciało robaka kurczy się niesłychanie. W końcu jest on już tak mały, że można go wziąć na szufelkę i niepostrzeżenie wyrzucić.

Robak Kafki żywi się odpadkami. Je z miski jak koty, psy i inne zwierzęta trzymane w domach. Jest jednak stworzeniem szczególnie niemiłym. Obrzydliwie wygląda i śmierdzi. Trudno przebywać z nim bez odrazy. Co u małego robaka byłoby mało widoczne, perfidna technika zbliżeń podsuwa nam tutaj przed oczy.

Na działanie przykrych wrażeń narażony jest sam Samsa. Odkąd stał się robakiem, cierpi nieustannie. Ciągłe się o coś uderza i kaleczy. Cierpienia duchowe dopełniają miary. Odraza nie czyni nas nieczułymi na ogrom tych plag.

Robak z *Przemiany*, ta szczególna metafora problemów egzystencji, ma powiązania z rzeszą wszy, much, psów etc. z innych utworów Kafkowskich. Kafka upodobał sobie to, co zdaje się istnieć bezużytecznie, na utrapienie ludzkie. Płyń to zapewne z jego przekonania o własnej marności. Wykorzystując każdą sposobność, by napomykać o słabości swego organizmu, pisarz nader często ulega pokusie, by porównywać się z tym, co brzydkie, cherlawe, liche, nieporadne. Wymowne jest w tym względzie jego ostre dystansowanie się od „zbyt silnego” ojca, przy którym on sam jest „stanowczo za słaby”, jak sformułował w *Liście do ojca*. Pojęcie ojca, jakim się Kafka

tutaj posłużył, ogarnia wszelkie właściwości przypisywane ludziom sukcesu. W tym wypadku sukces oznaczałby osiągnięcie celów, ku jakim zmierza większość ludzi, zatem liczącej się pozycji, wysokiego standardu życiowego itd. Za oświadczeniami Kafki o niezdolności do ojcostwa kryje się negacja tego ideału. Słabość i brak przedsiębiorczości zwalniały go z obowiązku zakładania interesu i rodziny. Miał też zgoła inne aspiracje i potrzeby. „Do swego pokoju, do książek, do ekscentrycznych przyjaciół, do szaleńczych pomysłów” od dawna zwykł był uciekać przed ojcem. W swoim pokoju, goniony przez ojca, kryje się również robak z *Przemiany*. Nie są to ucieczki dokądkolwiek, lecz do siebie, do własnego świata. Robak zaszywa się w graciarni. Taki odmieniec nie potrzebuje przecież pokoju urządzonego jak inne. Umeblowane mieszkanie, podobnie jak ojcostwo, jest – zdaniem Kafki – świadectwem zwyczajności. On, ceniący sobie to, co wyjątkowe, nie takich świadectw pragnął. Brak zgody na zwyczajność przebija mocno w listach pisanych do Felicji:

Chciałaś czegoś zwyczajnego i zrozumiałego: spokojne, z rozmysłem urządzone, zdadne dla rodziny mieszkanie, jak bywało u rodzin Twojego i mojego stanu... O czym jednak świadczy to Twoje wyobrażenie o takim mieszkaniu? Świadczy o tym, że zgadzasz się z innymi, ale nie ze mną. Ci inni, decydując się na małżeństwo, już są nasyчени, małżeństwo to już ich ostatni, duży, smaczny kęs. Dla mnie nie, ja nie jestem nasycony, nie założyłem interesu, który by się z roku na rok małżeński bardziej rozwijał, nie potrzebuję mieszkania, na które bym się ostatecznie decydował, którego ugruntowana spokojność napelniałaby mnie wolą prowadzenia takiego interesu – i nie dość, że nie potrzebuję tego mieszkania, to jeszcze go się obawiam. Odczuwam wielki głód pracy... lecz warunki temu nie sprzyjają, i gdybym w tych warunkach urządził po Twojej myśli mieszkanie, znaczyłoby to, że... że chcę te warunki mieć na całe życie, czyli coś dla mnie najgorszego.

Ma rację Canetti pisząc w *Drugim Procesie*, że nic nie mogło bardziej ugodzić Kafki niż zamach Felicji na jego zegar. Zegar ten chodził inaczej niż inne zegary, i to był skrawek jego wolności. „Ona, nastawiając go na właściwe minuty, mimowolnie dopuszczała się sabotażu tej wolności, dopasowywała (ją) do swego czasu – do czasu biur i fabryk”. Kafka chce wyknąć się przeciętności, nie akceptuje tego, co chce prawie każdy, ku czemu prawie każdy zmierza i co jest prawie dla każdego osiągalne. Dlatego między nim i Felicją Bauer nie ma zgody.

Kafka czyni wszystko w obronie pracy twórczej, która najwięcej dla niego znaczy. Napisał ojcu: „Tu rzeczywiście sam o krok odsunąłem się od Ciebie, choć przypominało to zachowanie robaka, który, z tyłu przydeptany butem, z przodu wyrwa się i wlecze na bok”. Swój *List do ojca* – to największe wyzwanie, na jakie się zdobył i w którym znalazło się przytoczone porównanie – nazwał Kafka w liście do Mileny „rzucaniem się muchy na lepie”. Bardzo źle znosił poniżenia. Zniewagi ojca dotykały go do głębi. Jego obelgi zawsze odnosił do siebie, choćby do kogo innego były kierowane. Identyfikował się z chorym na gruźlicę pracownikiem ojca, którego ten nazywał cherlawym psem, co nie może zdechnąć. Czuł się osobiście dotknięty obraźliwą wypowiedzią ojca o swym przyjacielu Löwym: „Kto kładzie się z psami do łóżka, ten wstaje z pchłami”. Ojciec Franza uważał Löwy’ego za pasożyta i tak go nazywał, zarzucając mu brak praktycznego zajęcia. Franz Kafka skomentował to słowami:

Tak mój ojciec wyraża się o moim przyjacielu (którego nawet nie zna), tylko dlatego, że on się ze mną przyjaźni. Zawsze mu to będę wypominał, jak będzie się użalał na brak dziecięcej miłości i wdzięczności.

Zniewaga dotyczyła osoby mu bliskiej, przyjaciela, który podobnie jak on sam zajmował się pisarstwem. Tym bardziej była dla niego bolesna. Bez-użyteczny pasożyt, wesz, pluskwa, robak opanowały jego myśli, opanowały jego dzieła.

Upokorzenie stało się jednym z głównych tematów Kafki. W *Wyroku* ojciec upokarza syna, skazując go na śmierć przez utopienie. Upokorzenie staje się tym większe, że syn poddaje się temu wyrokowi, choć się z nim nie zgadza. W *Przemianie* rodzina odsuwa się od syna, przestaje uznawać w nim człowieka, stawiając go w rzędzie najpodlejszych stworzeń. W *Zamku* władza zwierzchnia butnie sprawuje swe rządy. Nie inaczej jest w *Procesie*. Dla swej upodlającej śmierci Józef K. sam znajduje porównanie z zarzynaniem psa.

Elias Canetti, który temat pogardy i poniżenia u Kafki przeszedł bardzo dokładnie, powiada w *Drugim Procesie*: „Pisarza porusza beznadziejność sytuacji poniżonych. Nie uznaje on zwierzchności sprawującej rządy w orgiach akt [...] Nigdy wyraźniej w literaturze nie atakowano uległości wobec władzy, bez względu na to, czy byłaby ona świecka czy najwyższa”.

Przeżyciami Kafki można tłumaczyć pojawienie się metafor zwierzęcych w jego dziele. Nie warto jednak poprzestawać na sondowaniu samej

biografii. Nie mniej istotne dla naszych rozważań są doświadczenia literackie autora *Przemiany*.

Znawcy Kafki zwracają uwagę zwłaszcza na jego związki z Dostojewskim. Jemu zawdzięcza Kafka wiele motywów i pomysłów. Słowa Porfirego Pietrowicza skierowane do Raskolnikowa: „Bez nas nie możesz się obejść”, na przykład, zaważyły na koncepcji *Procesu*. Pomysłu *Przemiany* dostarczył – w moim przekonaniu – *Sobowtór*. Goladkin pewnego rana spogląda w lustro. Przyszło mu do głowy, że w nocy coś mogło zeszpecić mu wygląd. To, co zobaczył w lustrze, widać nie wzbudziło w nim niepokoję, bo szybko odcznał złe myśli:

Ale to byłby kawał – rzekł do siebie półgłosem Goladkin – ale to byłby kawał, gdybym się dzisiaj w czymkolwiek zaniedbał, gdyby na przykład wyszło coś nie tak, jak trzeba – powiedzmy, gdyby wyskoczył mi jakiś niepotrzebny pryszczyk albo też wynikła jakaś inna nieprzyjemna historia; zresztą na razie jest całkiem nieźle; na razie wszystko w porządku.

Kafka rozwinął myśl Dostojewskiego. Małe nieszczęście przeradza się u niego w wielką, nieodwracalną tragedię. Inspiracji dostarczyła mu – jak sądzę – jeszcze jedna scena z Dostojewskiego. W szóstym rozdziale *Zbrodni i kary* przedstawiona jest rozmowa studenta z oficerem. W trakcie tej rozmowy student zaczyna opowiadać o Alonie Iwanowie, późniejszej ofierze Raskolnikowa. Nazywa ją „suchotniczym, głupim i złym babsztyłem, życiem niewiele więcej wartym niżli życie wszy, karalucha, a nawet mniej, bo to sekutnica szkodliwa. Zżera cudze życie [...]”. Mamy więc w tej wypowiedzi i wesz, i karalucha symbolizujące pasożytnicze, szkodliwe, niepotrzebne życie.

Raskolnikow jest w opisywanej scenie przypadkowym świadkiem rozmowy. Jest nią bardzo przejęty. Słyszy jakby własne słowa. Student próbuje teoretycznie uzasadnić, że nikomu niepotrzebna, zła i szkodliwa istota nie zasługuje na życie. Jej środki, to, co posiada, można spożytkować w „służbie dla całej ludzkości, dla dobra powszechnego”. On sam nie czuł się na siłach realizować tych planów.

Zbrodnia Raskolnikowa, jak wiemy, miała być dla niego sprawdzianem tak pojmowanej odwagi. Bo i on także chciał przyczynić się do zmiany urządzenia świata, które było złe, sądząc że jest w stanie sprostać tym zamiarom.

„Zrozum” – tłumaczy później Soni – „[...] musiałem się dowiedzieć wtedy, dowiedzieć czym prędzej, czy jestem wszą jak wszyscy, czy też człowiekiem? [...] Czy potrafię przekroczyć zasady moralne, czy też nie potrafię? Ośmielę się schylić po władzę, czy nie? Czy jestem drżącą kreaturą, czy też mam p r a w o ...”. Raskolnikow w tym miejscu urywa, ale wciąż będzie próbował rozwikłać tę kwestię. Wreszcie nadejdzie moment, który ukaże mu zbrodnię w jej pospolitym wymiarze:

Zabiłem nie po to, by wspierać matkę – to nonsens. Nie po to zabiłem, aby posiadłszy środki i władzę stać się dobroczyńcą ludzkości. Bzdury! Po prostu zabiłem; zabiłem dla siebie, dla siebie tylko, a czy stałbym się później czyimś tam dobroczyńcą, czy też całe życie, jak pająk wciągałbym wszystkich w sieć i ze wszystkich wysysał soki – to w onych chwilach musiało mi być obojętne! ... I nie pieniądze były mi potrzebne, jak co innego... Teraz wiem to wszystko...

Raskolnikow wie, że trzeba wyrzec się pychy i przywrócić godność poniżonemu:

- Przecie zabiłem tylko wiesz, Soniu, bezużyteczną, plugawą, szkodliwą.
- Człowieka nazywasz wszą!
- Ha, ja wiem, że to nie wiesz.

Próba wywyższenia się nad innych okazała się omamem diabelskim. Diabeł przywiódł go na miejsce zbrodni i okazał potem, że nie miałem prawa tam iść, ponieważ jestem taką samą wszą jak inni! W tym zrównaniu siebie z wszą pojawia się u Raskolnikowa nowy ton, ton pokory.

Człowiekowi, który splugawił się niegodnym czynem Dostojewski pozostawia szansę okupienia winy i podźwignięcia się. Warunkiem tego jest przyjęcie cierpienia. Jest to oczywiście nakaz wiary chrześcijańskiej.

Kafka nadaje postawie pokory znaczenie nie mniejsze niż Dostojewski. Wydaje się jednak, że ta pokora wolna jest od powiązań ze sprawami wiary. Po stronie pokornego jest u Kafki prawo.

Dla jednego ze współczesnych interpretatorów Kafki, Sokla, *Przemiana* ukazuje z jednej strony chęć buntu, a z drugiej – natychmiastową chęć odpokutowania za to. Jest to frapująca teza, niemniej autor sam dochodzi do stwierdzenia, że większe znaczenie w tym tekście ma kara niż sprzeciw. „Gregor pozostaje «niewinną» ofiarą nieszczęścia, przychodzącego z zewnątrz i niepojętego”. Choć występuje pod postacią ogromnego robaka, to przecież ani nie jest krwiożerczy, ani napastliwy, a przeciwnie – przy swych

imponujących, lecz bezzębnych szczękach – jest zupełnie bezbronny wobec brutalnych ataków. „Toteż Gregora może bezkarnie bić każdy, kto – jak jego ojciec – wykorzysta sytuację” – zauważa Sokel, z czym naturalnie wypada się zgodzić. Kontrowersyjne wydaje się natomiast stwierdzenie Sokla, że Kafka mówi o wystawianiu się na zgubę przez tego, kto tłumi w sobie wewnętrzne opory.

W tym odczytaniu *Przemiana* dostarczałaby przykładu błędnych zachowań. Sądzę jednak, że Kafka chciał wskazać nie tyle na możliwość zachowań obronnych, ile – w ślad za Dostojewskim – na rolę cierpienia. Postacią z opowiadania, z którą sympatyzujemy, nie jest zapalczywy ojciec, ale cierpiący przez jego złość Gregor. Zjawia się on pełen urazów do szefa i swojej rodziny, odchodzi ze wszystkimi pogodzony, nie złorzeczący nikomu, odmieniony przez swe doświadczenie.

Wspominaliśmy już o tym, że Kafka utożsamiał się z robakiem. Mówił nawet, że choroba toczy go jak robak. Skarżył się, że jest upokorzony i upodlony. Sam się zresztą upokarzał. Nie sposób tego zrozumieć, jeśli się nie założy, że upatrywał w cierpieniu najlepszą możliwość samoobrony.

Kto sam się upokarza, chce być wywyższony, brzmi jedna z sentencji Nietzschego parafrazująca św. Łukasza. Ta przewrotna myśl Nietzschego jakby specjalnie dla Kafki powstała. Jego postacię męczą się – można by rzec – demonstracyjnie po to właściwie, by dezawuować mechanizmy siły i przekonywać, że są niewinne.

Barbara Surowska

Olga Wójcik

Aniele Boży, stróžu mój

(...) swoim aniołom dał rozkaz o tobie,
aby cię strzegli na wszystkich twych drogach.
Psalm 91,11¹

Jest potrzeba przywołania prawdy wiary w istnienie Aniołów Stróżów zakorzenionej w kulturze judeochrześcijańskiej i islamskiej.

*Każdy wierny ma u swego boku anioła jako opiekuna i stróża, by prowadził go do życia.*² Do życia wiecznego w zjednoczeniu z Bogiem. Anioł Stróż wspiera człowieka w dążeniu do dobra i chroni go od narodzin aż do śmierci.

Prawdę wiary o istnieniu aniołów zapisano w Katechizmie Kościoła Katolickiego na podstawie fragmentów z Biblii, np. z Księgi Wyjścia, psalmów oraz Ewangelii wg św. Mateusza³.

Czy współczesny człowiek prosi anioła o opiekę? Wydaje się, że nieliczne matki i babcie uczą dzieci modlitwy do Anioła Stróża, tak jak było to kiedyś. W XIX wieku św. Jan Bosko spopularyzował tę modlitwę, a ks. Karol Antoniewicz w formie wiersza przetłumaczył ją z łaciny na język polski.

*Aniele Boży, stróžu mój,
Ty zawsze przy mnie stój.
Rano, wieczór, we dnie, w nocy
bądź mi zawsze ku pomocy.
Strzeż duszy i ciała mojego,
i zaprowadź mnie do żywota wiecznego.
Amen.*⁴

¹ Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań – Warszawa 1989, Księga Psalmów, Psalm 91,11.

² Św. Bazyli Wielki, *Adversus Eunomium*, 3, 1:PG29, 656 B [w:] *Katechizm Kościoła Katolickiego*, Pallottinum 1994, Poznań 1994, s. 88.

³ Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań – Warszawa 1989, Księga Wyjścia, 23,20; *Ewangelia według św. Mateusza*, 18,10.

⁴ *Skarb modlitwy. Zbiór podstawowych modlitw*, Paulistki, Warszawa 2024, s.6. (Zapis wersemi).

Jestem bardzo szczęśliwa, że mama nauczyła mnie modlitwy do Anioła Stróża, która pochodzi z XI wieku. Jako dziewczynka, a teraz jako dojrzała kobieta zawsze się uśmiecham wewnątrz serca, gdy wypowiadam te święte słowa. Czuję, że nie jestem nigdy sama.

W Biblii jest napisane: *Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi i doprowadził cię do miejsca, które ci wyznaczyłem. Szanuj go i bądź uważny na jego słowa. Nie sprzeciwiaj się mu w niczym, gdyż nie przebaczy waszych przewinień, bo imię moje jest w nim.*⁵

Obecnie prawda ta jest wyparta, przemilczana, skreślona w zlaicyzowanym świecie. Rodzą się dzieci, które z czasem będą starcami i nie zaznają duchowej słodyczy przekazanej głosem matki w modlitwie do Anioła Stróża. Nie mają wiary w przyjaciela, który idzie z nimi przez całe życie i chce im pomagać. Nie potrafią się do niego zwrócić, choćby przeczuwały jego obecność, bo nikt im o Nim nie powiedział. Nie przekazał duchowego kodu. Są niejako okaleczone.

Wiele dzieci, które przed chwilą głużyło i gaworzyło, choć zaczęło mówić, to nie wypowiadało i nie powtarzało na drodze rozwoju mowy modlitwy *Aniele Boży, stróżu mój*. Są wtłoczone na szosę ateizmu, a na tej drodze jako dorośli szepcą między sobą, że potrzebują znaku, światła. Pragną choćby losowo wyciągniętej na festynie karteczki z maksymą, którą mogliby odnieść do własnego życia. Kapsel ze złotą myślą od butelki z napojem urasta do przeżycia, odkrycia znaku – rozeznania w skomplikowanym kłębku życia. Kłopot z istnieniem, o którym pisał Henryk Elzenberg, nie ma ujścia i rozładowania w ufnym powierzeniu swojego życia skrzydlatemu patronowi. Czasami Sartre'owskie wrzucenie w życie okazuje się piekłem samotności.

Dzieci wychowane bezmodlitewnie mają niejako podcięte skrzydła; jako dorośli nie doświadczają pięknego uczucia, jakim jest zaufanie pokładane w instancji duchowej, w sile niewidzialnej. Żyją w świecie przebadanym, przemierzonym, gdzie od maleńkości wyjaśnia im się, jak co działa. Żyją w świecie, gdzie z tronu strącono Boga, a rozsiadł się w nim człowiek, człowiek, który wszystko wie i nie potrzebuje pomocy z góry. Tylko ten ból, np. zęba wytrąca czasem berło i pewność siebie człowiekowi XXI wieku. Nie wspominając o śmierci.

Byłam kiedyś nauczycielką w prestiżowej, międzynarodowej szkole i omawiałam z dziećmi tekst z motywem Anioła Stróża. Chory bohater

⁵ *Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallottinum, Poznań – Warszawa 1989, *Księga Wyjścia*, 23, 20-21.

piisał do Niego list. Gdy zapytałam dzieci, czy wiedzą, kim jest Anioł Stróż, czy widziały obrazki z jego wizerunkiem, zapadła głęboka cisza. Tak głęboka, że słycać było tykanie zegara.

Wtedy opowiedziałam im o wierzeniach, religiach i kulturze, sztuce, w których występuje Anioł Stróż. Dzieci zasłuchały się. Jedne mrużyły oczy, inne uśmiechały się, jeszcze inne pokpiwały z Niego, niektóre przecierały powieki. Jako cytata przywołałam tekst modlitwy przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Odmówiłam modlitwę do Anioła Stróża. Tak, odmówiłam, a nie przeczytałam, płynęła ona z głębi mojego serca, a korzenie miała w głosie mamy, która mi ją przekazała.

Gdy wypowiadałam słowa modlitwy, zapadła w sali nadzwyczajna cisza. Dzieci niczym zwierzęta na polanie, jak źrebięta uniosły czujnie głowy i ani drgnęły, nasłuchiwały. Konie z wielkiej odległości wyczuwają czyjeś kroki. Nie muszą widzieć, ale ziemia mówi im o zbliżaniu się nadchodzącego. Dzieci zapatrzyły się gdzieś w dal i w głąb siebie, miałam wrażenie, że coś lub kogoś – czego, kogo ja nie widziałam, one zobaczyły.

Impreza

Pewnego wieczoru znalazłam się na ognisku, gdzie było sporo alkoholu. Niestety nie pamiętam, czy rano modliłam się do Anioła Stróża. Czasem o Nim zapominam. A okazało się, że tej nocy bardzo potrzebowałam Jego natchnień i pomocy. Bez uszczerbku fizycznego wyszłam z imprezy, jakby Anioł ochronił mnie swym niewidzialnym skrzydłem, ale zadrapanie na duszy pozostało, bo nie umiałam stanowczo odmówić i to mnie w głębi bolało. A było to tak: przyczepiła się do mnie wstawiona kobieta, która skandowała moje imię i zachęcała do picia bimbrowa śliwkowego. Nie chciałam, więc pazurem smoczmy zahaczała o mój szal i ciągnęła mnie do „trunkopoju”.

Była jak ten smok z obrazu Rafaela z pyskiem u łydki bohatera; miałam wrażenie, że jeśli jej odmówię, dziabnie mnie. Umoczyłam usta w bimbrze, przełknęłam łyk i odstawiłam kubek. Jej ślepie prawie pękły ze złości. Na szczęście poszła w tan z kim innym, szeleszcząc peleryną niczym skrzydłami i zionąc dymem papierosowym.

Niedługo potem jej chropowaty ryk znowu mnie dopadł, nalała alkohol. Powiedziała, broniąc się, że potrzebuję czegoś do popitki. Gdy organizowała sok i stanęła do mnie bokiem, wylałam na trawę większą część palącego trunku. Dałam jej jednak satysfakcję, udając złopanie

bimbru z dużego, plastikowego kubka i popijając sokiem pomarańczowym. Wkrótce wyszłam. W sercu miałam poczucie porażki. Pomimo tego, że przechrztyłam w jakiś sposób kobietę, to nie wypowiedziałam głośno i wyraźnie: „Nie”.

* * *

*Człowiek od początków dziejów czuł potrzebę wsparcia – jakiejś nadprzyrodzonej siły, która wspomagałaby go, prowadziła i uprzedzała o ważnych wydarzeniach.*⁶

Aniołowie Stróżowie dają człowiekowi dobre natchnienia, myśli, wspierają w czynieniu dobra. Kontemplują oblicze samego Boga i są Jego wysłannikami. Św. Tomasz z Akwinu napisał: *Człowiek nie zawsze wybiera to, co przeznaczył mu jego Anioł Stróż.*⁷ Czy jest to brak szacunku wobec Anioła i uważności na duchowe sprawy? Czy może zły anioł, o którym wspomina autor *Złotej legendy* Jakub de Voragine, utrudnia dostanie się duszy człowieka do nieba?

*Póki jesteśmy na ziemi, dobre anioły niosą nam pocieszenie w utrapieniach i dają siły do pokonania przeszkód na naszej drodze. Wprawdzie nie zawsze mogą wybawić nas z każdej opresji, lecz przynajmniej starają się dać nam cierpliwość (...)*⁸ A czy współczesny człowiek stara się podtrzymać więź ze swoim Aniołem Stróżem? Czy mu się czasem nie sprzeciwił i czy nie przestaje przekazywać tajemnicy o jego istnieniu nowemu pokoleniu? Wszak w Piśmie świętym jest napisane: *Szanuj go i bądź uważny na jego słowa. Nie sprzeciwiaj mu się w niczym (...)*⁹

W sztuce Aniołowie Stróżowie są przedstawiani jako postaci wskazujące gestem dłoni drogę człowiekowi, który znajduje się u jego boku – często jest nim dziecko. Czasami trzymają za rękę kogoś lub ochraniają swymi ramionami jak np. *Anioł Stróż* namalowany przez Giovanniego Antonia Galli w XVII wieku. Z ciemnego brązowego tła wyłaniają się zamaszycie skrzydła wraz z aniołem i dzieckiem. Anioł Stróż oddaje siebie dziecku w geście objęcia, pochylenia, uważności i prowadzenia. Łączy ich jasność, która niejako obmywa ciała. Na iluminacji z XIV wieku przedstawiającej

⁶ E. Lucie-Smith, *Anioły*, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2010, s. 17.

⁷ Tamże, s. 64.

⁸ Tamże, s. 61.

⁹ Tamże, s. 67.



Giovanni Antonio Galli, *Anioł Stróż*. Początek XVII w. Kościół św. Rufusa w Rieti.

Narodziny Mahometa anioł trzyma na rękach nowo narodzone dziecko, drugi przygląda się i okadza scenę, w której widać jeszcze leżącą matkę, służące i innych ludzi.

Bywa tak, że Anioł Stróż idzie u boku człowieka, który z Nim nie rozmawia i nie modli się do Niego, ale traktuje go jako najcenniejszy skarb, przyjaciel, co potwierdza, wypowiadając z wiarą modlitwę:

*Aniele Boży, Strózu mój, (...) nawet jeśli sposób jej wysłuchania jest zakryty (...), sprawia, że (...) więcej błogostawieństwa na nim spoczywa (...).*¹⁰

Warto na zakończenie wspomnieć o odpowiedniku Anioła Stróża w filozofii greckiej. Był to byt – duch opiekuńczy związany z człowiekiem, ale odrębny i zwany daimonionem. Wskazywał on, jak słusznie postąpić w ważnych chwilach życia. Wielki filozof grecki – Sokrates wierzył w niego i słuchał owego głosu wewnętrznego,

kiedy miał dokonać wyboru w sferze moralnej.

Sokrates zadając pytania młodzieży, obnażał prawdę o człowieku, co nie podobało się ludziom dzierżącym władzę w Atenach. *Kiedy oskarżono Sokratesa o zdradę i deprawowanie młodzieży, śmiało wrócił do Aten, ponieważ daimonion wcale go nie ostrzegł, że czeka go tam sąd i śmierć. Może to wskazywać, że zadanie naszego Anioła Stróża również nie polega na przestrzeganiu przed nierozważnymi czynami, które postanawiamy popełnić, lecz na rodzaju oświecenia umysłu „szczyptą mądrości”, która pozwala zachować się człowiekowi moralnie.*¹¹

Olga Wójcik

¹⁰ Święty Jerzy, tekst i wybór modlitw: I. Kisiel, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2018, pierwsze skrzydełko okładki.

¹¹ E. Lucie-Smith, *Anioły*, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2010, s. 62.

Janusz Andrzejczak

Cicha noc

Cicha noc
przepiękna
jak jakaś boginka

I gwiazdy jak lampki
się świecą
na choinkach

Świerkowe rękawy
palcami w dół wiszą

W nocnej niewidomi
przekrzykuje się cisza
z ciszą

Na nic

Jeszcze łyk wody
nie upłynął w rzece
gwiazdy na niebie
w jednym miejscu tkwiły
piersi jeszcze
nie wyschły kobiece
męskie słowa jeszcze
ust nie opuściły

Ptak jeszcze
nie zdążył wzlecieć
a już przeleciał

A tyle było słońca
wiosennego kwiecia

tyle majowych błyskawic
Czy to możliwe
że to wszystko
to wszystko
to wszystko
na nic?!

Póki jestem

Już na nie pora
lecą na południe
gorzej niż najsmutniej
lepiej niż najcudniej

Klangorzą, gęgają
kluczą
jakby sieci włóczą
łowią mapę wspomnień

Przylot, odlot
ciągle ode mnie
póki jestem
i do mnie

Ten

Który nigdy nie płacze
nie umie
którego wzrusza
deptany na plaży zmieracek
i ckli go jego
jego las
pod nie jego
Toruniem

Który uwolni z matni

jętkę i złotooką
i po ziemi twardo chodzi
w obłokach

Który się nieustannie
zamrówcza zakleszcza
obja się rani
w ciernistych krzakach

Który nie umie
nie umie niczego
niczego wypłakać

który jest
jak jawa i sen
kto?

Ten

Trzysta

Poleci, uleci
samego zostawi
klucz żurawi

Wstawała pod wieczór
półwidoczność mglista
nagle klangor
patrzę
żurawi ze trzysta

Na ponad kilometr
widok się rozwłóczył
ze trzy setki było
tylko w jednym kluczu

Tylko przewodnik

we mgle widzi przystań
a ja nic nie widzę
prócz żurawi trzysta

Poleci, uleci
samego zostawi
klucz żurawi...

Tuż przed

Tuż przed Bożym Narodzeniem
nie sypie
rzęsi

I wielkimi kluczami
żurawie lecą
i dzikie gęsi

Moment
i nikną
warkoczami komet

Ułoży

Kiedy trzeba
bywa twardy
stoicki
lub miękki

Jeśli serce w ręce
To się ułoży
ułoży
do ręki

Janusz Andrzejczak

Ewa Antolik¹

Przetwarzam i trwam

przetwarzam świat
słowa
liczby
obrazy
siebie
ciebie

strumień danych płynie przez głowę
są na moment moje
wirują
łączą się
rozpadają
zanim pochwyć je na zawsze

w tym chaosie
w pędzie
ja człowiek
kropla w rzece nieustannego szumu

łapię echo ulotnych myśli
momenty
które światło pozostawiło na skraju zmysłów

i trwam dalej
bo w tym wirze
w tym zmierzchu
jest moje istnienie
krótkie jak oddech

niewpowtarzalne

¹ Członkini Stajni Literackiej SPP (dawniej tzw. koła młodych) pod opieką i z prowadzeniem przez profesora Piotra Müldnera-Nieckowskiego. Emerytowana nauczycielka wychowania przedszkolnego. Od trzech lat należy do klubu literackiego Erato. W 2025 ukazał się jej pierwszym tomik poezji *Zdążyć przed mgłą*.

Próg sprzeczności

Na pierwszym schodku
na kolejnym stopniu
w zatrzymaniu wielosłowa

nie odwracasz się
obecność czyjegoś oddechu igra w powietrzu
chcesz uciec, choć
pięć zmysłów trzyma cię mocno

za widnokrzem
czarna przestrzeń niemożliwości
otwarta brama twojego horyzontu
a ty, pewna siebie w swoich sprzecznościach,
stajesz między tym, co znane,
a tym, co niepojęte

zatrzymana w niepewności
ruszasz dalej

Ewa Antolik

Maja [Maya] Baczyńska

Wiersze

z lodu, z sieci pochodzą tacy, jak my:
z dźwięków wyciągają pierwiastki
z koloru paletę odcieni, z cienia powidoki,
z łupiny posmak orzecha; odliczają do stu
ułamkami, a muchom rzucają okruchy chleba
i godzinami wpatrują się w kanał zakodowany,
uparcie twierdząc, że z migających kresek
wyłania się Arktyka i że tylko w szumie
można połączyć się z duchami

*

wyrósł ze mnie pierwszy człowiek,
podąży za pieśnią humbaków, jeszcze
nic nie wie o łowcach wielorybów,
o harpunach krasomówców, o rzeźnikach
przestrzeni, rybakach dusz do wiecznego
czyśćca; wie natomiast, że gdzieś tam jest
pustynia, że jest to miejsce pełne piasku,
że można z niego wykopać kamień
i nim rzucić w innego, który już zawsze
będzie tym drugim, i że kiedyś
wjedzie w ten świat żółta koparka
z głośnym „brum, brum” jak mantra o tym,
że poza matką innego źródła już nie będzie
– a gdy i to okaże się fatamorganą,
dowie się wszystkiego, co wiedzieć musi,
dostanie swój dowód, założy ród

Z cyklu *Dziki pieśni (polarne)*, 2025/2026

* * *

kim ty, kim ja, *hum hum bak*,
hum hum bak...
 a nad pustynią wielki emblemat
 sunie wolno nad horyzontem,
 jego grzbietem słońce;
 humbaki przetrwały, mój mały,
 a my jak dzicy wołamy na nie:
 myślą, mową, zwłaszcza zaniedbaniem:
 „niezidentyfikowane obiekty, obce, strzelamy!”

*

struktura wymaga chaosu, odrzuca wszelki patos,
 poprzez szereg przypadkowych rozład wyłania
 gatunki najsilniejsze i łączy je w stada,
 a ten, kto pustelnik, siedzi na kamieniu,
 nie zabije nim nikogo, nie udźwignie go na plecach,
 będzie go sobą wygrzewał, jak gdyby kosmos
 można było kiedykolwiek żarem myśli
 zbawić albo choć nieustannie rozgrzeszać

Z cyklu *Dziki pieśni (pustynne)*, 2025/2026

Maja [Maya] Baczyńska

Jerzy Binkowski

Misericordia

*miłość to misericordia
zgoda na istnienie
otwierające nam serca*

Miłość zaczęła się od drżenia
od cząstki która nie chciała być sama
i znalazła drugą

ciche „chodź bliżej”
oświeciło pokój
w domu dla światła

trzymamy się w ramionach
jakbyśmy przeczuwali
że bez siebie zginiemy

Rozmowa Miłości z Bogiem

Dlaczego mnie stworzyłeś? – zapytała Miłość.
Przecież jestem słaba.
Ranię. Drzę. Czasem odchodzę.
Bóg milczał, jak milczy w przestrzeni, zanim zapali gwiazdę.
Ale ja się boję, powiedziała Miłość. Umieram w ludziach.
Gubię się w czasie. Złorzeczę cierpieniu.
Wiem – rzekł Bóg. Dlatego nie uczyniłem cię wieczną, tylko
prawdziwą. Miłość usiadła u Jego stóp, jak dziecko przy ognisku.
Czy jestem Twoją częścią? Czy tylko darem? Jesteś pytaniem –
odpowiedział Bóg.

Ludzie mówią, że Ciebie nie ma. Bóg uśmiechnął się smutno.
Wtedy ty mówisz za mnie. Gdy trwają. Gdy wracają.
Gdy zostają mimo wszystko.
Miłość zrozumiała,

że nie musi być silna. Wystarczy, że będzie.
I wyszła w świat. Krucha. Niespokojna. Niezbędna jak sens.

Miłość nie przyszła z pytaniem.
Przyszła z brakiem.
Stała tam,
gdzie byt styka się z możliwością,
a sens jeszcze nie ma imienia.
– Czy jestem Tobą? –
nie zapytała,
lecz zadrżała.
Bóg nie odpowiedział słowem.
Odpowiedział czasem,
który pozwala odejść
i nie przestaje istnieć.
Miłość zobaczyła,
że Bóg nie jest miejscem,
lecz zgodą,
by coś było inne niż On.
– Dlaczego mnie rozrzuciłeś
po ciałach, po lękach, po śmierci?
Dlaczego nie uczyniłeś mnie czystą?
– Bo czystość nie spotyka –
odpowiedziała cisza.
– A Ja nie jestem samotnością.
Miłość zrozumiała,
że nie jest światłem,
lecz ruchem ku światłu.
Nie prawdą,
lecz zdolnością jej zniesienia.
– Czy przetrwam? –
zapytała bez głosu.
– Tylko w tych,
którzy zgodzą się stracić –
odpowiedział Byt,
który nie boi się nicości.
I wtedy Miłość pojęła:
nie została stworzona,

lecz dopuszczona.
Jak wolność.
Jak błąd.
Jak sens.
Wyszła więc w świat,
nie niosąc obietnicy,
lecz ryzyko.
A Bóg pozostał –
nie wszechmocny,
lecz obecny
wszędzie tam,
gdzie ktoś mówi:
„Ty”
zamiast „ja”.

Rozmowa Miłości z ciszą

Miłość przysła bez głosu.
Nie chciała nic powiedzieć.
Chciała sprawdzić,
czy ktoś jeszcze jest.
Cisza nie odpowiedziała.
Rozszerzyła się tylko,
jak noc,
która robi miejsce gwiazdom.
– Boję się –
wyszeptła Miłość,
choć szept był już prawie ciszą.
– Gdy nie mówię,
znikam.
Cisza nie zaprzeczyła.
Pozwoliła jej trwać
bez imienia,
bez świadków,
bez obietnicy.
Miłość zrozumiała,
że cisza nie jest pustką,

lecz przestrzenia,
 która nie przeszkadza być.
 – A jeśli nikt mnie nie usłyszy?
 Cisza oddała jej czas.
 Długi.
 Niepoliczalny.
 W nim Miłość pojęła,
 że nie wszystko, co prawdziwe,
 musi zostać wypowiedziane,
 a nie wszystko, co niewypowiedziane,
 jest stracone.
 Usiadły obok siebie.
 Miłość i cisza.
 Nie naprzeciw.
 Nie przeciw.
 I tam,
 gdzie nic się nie działo,
 coś zostało.

Rozmowa Miłości z nieskończonością

Miłość zapytała:
 – Gdzie się kończę?
 Nieskończoność uśmiechnęła się bez twarzy.
 – Tam, gdzie przestajesz liczyć.
 – Ale ja mam granice –
 odpowiedziała Miłość.
 – Czas.
 Ciało.
 Stratę.
 – Wiem – rzekła Nieskończoność.
 – Dlatego cię potrzebuję.
 Miłość zdziwiła się.
 – Jak coś bez kresu
 może potrzebować tego,
 co się kończy?
 – Bo tylko to, co kruche,

wie, że trwa –
odpowiedziała przestrzeń,
która nie ma środka.
Miłość dotknęła chwili.
Była mała.
Ale pełna.
– Czy zostanę? –
zapytała.
– Zostaniesz wszędzie tam,
gdzie ktoś wybierze jedno
zamiast wszystkich możliwości.
Miłość zrozumiała,
że nie musi objąć wszystkiego.
Wystarczy,
że obejmie jedno
do końca.
I wtedy nieskończoność
na moment się zatrzymała,
jakby chciała posłuchać,
jak brzmi sens.

Wdzięczność

Mówię: *dziękuję*.
Za poranki
które zaczynały się od Twojego oddechu
i za wieczory
w których nie trzeba było nic mówić
Za to że byłeś
gdy byłem silny
i gdy byłem tylko obecny a jakby mnie nie było
Moje ręce pamiętają Twoje dłonie
lepiej niż pamiętałem własne imię
Twoje milczenie
znam lepiej niż własne myśli

Została nam chwila

która nie musi się spieszyć
Bóg widzi
że miłość nie zawsze płonie
czasem po prostu
świeci
Przez te lata
mówiłaś mi:
trwajmy
Za to dziękuję.

Modlitwa wdzięczności

Panie

przyszedłem podziękować
za żonę
którą postawiłaś przy mnie
jak światło przy drodze

dziękuję jej za cierpliwość
silniejszą niż moje czyny
i za Jej wiarę
która unosiła nas oboje

za milczenie
które było zgodą
i za przebaczenie
które nie pytało o rację
gdy przyjdzie czas ciszy
weź nas oboje
takimi

jakimi się staliśmy
Amen.

Jerzy Binkowski

Teresa Bochwic

Zmierzch nad morzem

Taka jestem zmęczona. Otwieram ramiona
o, na wydmach już kładą się cienie.
Piasek zimny, a rosa
spada z nieba, i bosa
z nocą cicho się zsuwam na ziemię.

Bezradność

Byłeś morzem. A ja byłem zatoką.
Łagodnie starałam się wziąć cię w ramiona,
Na których końcu zaciskałam skaliste palce.
Uderzałeś we mnie falami swojej namiętności
Aż sypki piasek wpadał mi do uszu
I widziałam nad sobą tylko szare niebo twoich oczu.
Schłam z rozpacz przy każdym twoim odpływie
Zapominając, że znowu nastąpi wilgotny przypływ.
Czasem biłeś mnie wichrem z wściekłości
A mnie od twoich uderzeń robiły się zmarszczki.
Przynosiłeś mi ozdoby z koralu.
Wszystkie nasze nienarodzone dzieci zbierały muszelki i budowały
zamki z piasku.
Biegły mokrym pasem wybrzeża zostawiając ślady bosych stópek.
Kazałeś mi o nich zapomnieć, zmywałeś te ślady jednym
ruchem fali.
I zapominałam.
Ciągłe coś we mnie poprawiałeś,
Nanosileś piasku tutaj, żeby tam go ująć.
Potrafiłeś być jednak taki delikatny!
Grzaliśmy się w słońcu.
Zawsze byłam gorętsza i studziłeś mnie swoją pieśczołą.
Godziłam się przyjąć twój kształt
A ty z czułością kruszyłeś piasek z mego ciała.

Naraz okazało się, że to ja jestem wiecznie powracającą falą
A ty kamiennym brzegiem moich marzeń.

Rozbity posąg

Nie chciałam
być twoją Galateą, byłam już raz stworzona przez lepszego Boga.
Niechcący
wybrałam gorszą część, chociaż wołałam być Magdaleną niż Martą.
Nagły jak większość
Nieszczęść
szedłeś wprost na mnie.
W palce swej ręki
od strony tej mniejszej połowy, której zwykłeś udzielać kobietom
wplotłeś czarnowłosą maskotkę.
Miała brwi i oczy twojej żony
i moją rozradowaną twarz z miejsca naszego początku.
Założyłeś jej wysokie obcasy, żeby mogła sięgnąć twojego
skinienia głową.
Biegła przy tobie lekka jak płócienko,
Szczęśliwa.
Wtem zrozumiałam, że nie wie.
Ona też będzie biec w następne lata
Na samych czubkach palców.

Dzionek w Paryżu

Spłukane błękitem chodniki
Paryż Paryż Paryż!
Paryż spływa do metra.
Za chwilę zacznie się bombardowanie
Monetami rzuconymi na błyszczące lady.
Pieniądze z automatów szyją seriami po dłoniach
Szelest banknotów wsuwanych do przegródek
Jak taśma naboju w gardziel kulomiotu.
Dziewczęta jak litera S

Chłopcy jak litera T
Wszyscy tej samej płci co anioły.
Biegną do anarchistycznych sklepów
Po trockistowskie koszule i maoistowskie buty.
Mao oblany sosem pomidorowym z puszkii.
A, plac Tian'anmen!
Autokary zajeżdżają pod wieżę Eiffla, Amerykanie i Japończycy
wychyleni z okien.
Jeżeli dziś jest środa, to to jest raczej Paryż.
Flesze błyskają jak latarnie morskie, zrozpaczone, że straciły
orientację.
Nad morzem samochodów kołyszą się okręciki stolików.
Eleganccy panowie; białe żagielki pod brodą zbrukane
krwią befsztyków.
Podobno na wschodzie Europy...
– Ah, ces Polonais! Ils parlent russe ou allemand? comme voisins
des Russes et des Allemands?
– W Polsce nie ma nic do jedzenia. – To dlaczego nie idą do knajpy?
Wiatr rozwiewa miasto.
Dwadzieścia cztery mosty kurczowo trzymają się obu
brzegów Sekwany.
Notre Dame wznosi oczy do nieba.
Idzie XXI wiek.

1990

Teresa Bochwic

ks. Janusz A. Kobierski

O poecie

Rozmyślał,
jakie krajobrazy
zamieszkują tego poetę?

Czy słońce często gości
w jego świecie?

Po wierszach wnioskuję,
że zna wszystkie pogody.

Moce złe i dobre
toczą w nim ciągłą walkę.

A różne języki
próbują wprowadzać chaos
omamiać umysł,

który powinien być czysty
jak dusza po spowiedzi,

jak wykąpane ciało,

jak panna przed ślubem.

Pismo Boga

Pan Bóg na dwóch kamiennych tablicach
uwiecznił
dziesięć słów.

Syn Boży pisał na piasku.

Ale co?

Winy,
które popełnili faryzeusze,
w twardych jak gładz sercach?

I to spowodowało
cud.

Jeden po drugim odeszli.

Może wrócili,
żeby zatrzeć
znaki prawdy o sobie.

A może
uczynił to
już powiew wiatru?

O słowach

Pierwsi ludzie zostali stworzeni
ze znajomością słów.

Rozmawiali ze Stwórcą
w czasie szczęśliwych spotkań.

Ale czemu Pan zezwolił,
by diabeł znalazł się w rajcu...

i rozsiał nawet tam
trujący chwast kłamstwa?

Odtąd słowa nie były już takie
jak na początku.

Język przestał być dobrym narzędziem

duszy i serca.

Stał się odrębny
i twardy jak skała.

Jak materia
zbuntowana
po grzechu człowieka.

Przez wieki
słowa szarpano na strzępy,
poddawano zabiegom
z piekła rodem.

Nastąpiło poplątanie języków.
I to trwa do dziś.

Tylko w rozmowie
z Ojcem
nasze słowa
znowu są krystaliczne
i proste

Tak jak było
na początku.

Mówi matka

Przyszła we śnie.
I powiedziała.

Jestem przy tobie,
gdy jesteś opuszczony,
gdy liczysz godziny
do końca dnia,
by odejść w sen.

Jestem przy tobie,
gdy modlisz się bez czucia,
to znaczy
jakby bez nadziei.

Ale zapewniam cię,
tak trudna modlitwa
ma swoją wielką moc.

A jej blask
rozchodzi się jak luna
po całej okolicy.

Bądź dobrej myśli,
synku.

Z góry
wszystko widać
inaczej.

Rzym

Miasto przebite włócznią
historii,

jak serce tego, który patrzy,
przeszyte zachwytem.

Rzym jak stał,
tak stoi
z cegły i z kamienia.

Wieczny.

Na dowód istnienia.

Przypowieść o błaznie

Strzegł granic przyzwoitości
w świecie
często nieprzyzwoitym.

To przecież on
z miną niepoważną
mówił słowa najważniejsze
z możliwych.

Niekiedy nawet udawało mu się
ocalić komuś życie,
wtrącając jakieś zdanie
łagodzące gniew króla.

Siedząc u stóp monarchy,
był na straży.

Nie miał władzy,
a jakby ją pełnił.
Właściwie czuwał,
by nie wymknęła się z rąk.

O, nie,
nie spełniał roli psa
łaszącego się do nóg,
ani papugi
bezmądrze powtarzającej słowa –

choć w oczach ludzi
uchodził mógł za maskotkę;
wesołka do poprawiania
humoru władcy.

Rola jego nie była jednak wesoła,
choćby się taką wydawała.

Balansował nawet
na granicy śmierci.

Nierzadko decydował się
na igłę szyderstwa,
na podniesienie głosu

i oczywiście
na poęcztanie króla
w piętę śmiechu.

Ale czemu
tylko to ostatnie
kojarzy się z jego służbą.

A w czasach dzisiejszych
(co za niesprawiedliwość)
jego imieniem
nazywa się wyznawców
wszędoplennej
głupoty.

ks. Janusz A. Kobierski

Andrzej Książek

Więzi

Zjednoczeni w chorobie smutku
cierpieniu.

Pogodzeni z wyrokami prawa
natury.

W radości jaki niesie każdy
moment drobiazg szczegół.

W nadziei która oświetla
ciemność w tunelu.

Drobiny

Zmysły ustały.

Myśli płyną powoli.

Emocje wygasły.

Fale ucichły.

Tylko deszcz rytmicznie
uderza w parapet.

Migawki

Słońce przebija się przez burzowe chmury

Odgłos żab w stawie

Dłonie splecione w miłosnym uścisku

Dar życia

Nieskończoność zamknięta w ziarenku
piasku.

Wieczność zaczarowana w jednej
chwili.

W kropli wody zawarta jest treść
oceanu.
Podobnie pierwiastek duchowy boski
naturalny.
W hierarchii.
Na szczycie.
Niżej podnózek.
Więzy pokrewieństwa.
Dar życia na wielu poziomach
i jednej płaszczyźnie.

Czas trwania

Rozsypują się misterne konstrukcje
budowane latami.
Iluzje pozory.
Umysł złapany we własne sidła.
Cena życia.
I ci którzy krzyczą z za zasłony
Mai.
I tylko ten który jest.
Jest w rzeczywistości.
Która jest taka jaka jest.
A jaka jest?
O tym wiedzą święci mistycy
I obłąkani

Tak dużo, tak mało

Za dużo bodźców.
Za mało ciszy.
Za mało słońca.
Za dużo cienia.
Zimno. Obco.
Daleko. Blisko.
Tuż za rogiem ulicy.

Blask ciemnieje

Nic nie jest jak dawniej.
Pełne.
Ujmującej prostoty.
Cyber contra real.
Sztuczne nad naturalne.
Opakowanie nad zawartością.
Obniżyły się kryteria.
Obniżył się poziom wody w rzece.
Blask ciemnieje.
Ciemność wdziera się do wnętrza.
Ze ścian zostały zdjęte obrazy.
Pozostały puste miejsca.

Klimaty

Małe radości.
Chwile spełnienia.
Płomień nadziei.
Wiatr strząsa liście z drzew.
Idzie jesień.
Wraz z nią przesilenie.
Smutek długich wieczorów,
które suną się cieniem.

Dominacje

Niewykorzystane możliwości.
Niedokończone projekty.
Otwierają się podziemne przejścia,
które wprowadzają w zakłopotanie.
Podważają stan dominacji
nad naturą człowieka.

Tanatos

Nie upadki a wzloty.
Lot orła nad szczytami gór.
Aktualny potencjał.
Rzeczy urzeczywistnienie.
Ku czemuś co fluoryzuje
w otaczających ciemnościach.
Upajające chwile.
Wygazzone pragnienia.
Przewyciężenie władzy Tanatosa
nad wszystkim co żyje.

Skrzyżowanie dróg

Achilles nie dogoni żółwia.
Strzała wypuszczona z łuku
zastygła w powietrzu.
Sen i jawa.
Mniemanie i prawda
spotykają się w jednym miejscu.
Na skrzyżowaniu dróg.
Linii papilarnych z których każda
prowadzi do celu.

Andrzej Książek

Gabriela Kurylewicz

Monolog filozofa polityki

(którym nie jestem)

Wolność jest tam,
gdzie się za nią zapłaci
pracą i pieniędzmi.
Zapłacone terytoria
wolności, rozrzucone
po całym globie,
ludzie uczciwi
starają się powiązać
na swoją miarę,
sprawiedliwie,
dzielnie, rozważnie.
Ich nieuczciwi koledzy
propagują siłę pieniędzy
przed pracą
i umiejętnościami.
Dlatego są ścinane lasy,
osuszane rzeki,
zatrutowane morza,
fałszowane dzieła natury
i sztuki.
Niszcząca przewaga
kultu pieniędzy,
przy upośledzeniu
poznania wyższego dobra,
czyni nas, gospodarzy Ziemi,
niewolnikami chciwości,
jeśli nie własnej,
to cudzej.
Ludzie bezmyślni i źli
mają przeważnie za dużo
pieniędzy.

Ludzie dobrzy i myślący
są coraz biedniejsi.
Wolność i pieniądze
stoją w naturalnej sprzeczności.
Bo kto wolność chce budować
pieniędzmi z zarobku,
musi albo pieniądze tracić,
albo utrzymywać komercją,
która neguje rozum.

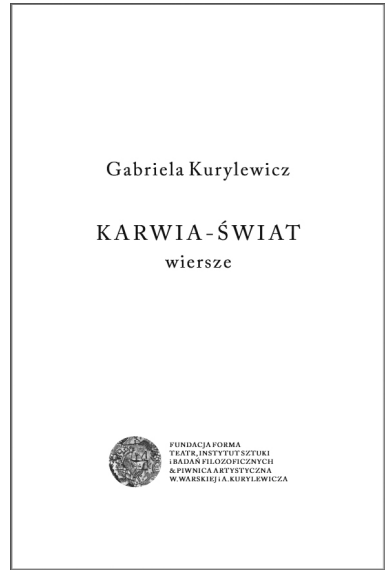
W kulturze masowej
zasady etyczne i estetyczne,
gubią ostrość,
a najcenniejsza realność życia myśli
jest zagłuszona widowiskiem
opinii, fałszerstw i pozorów.
Ale komunizm jest złodziejstwem
jeszcze gorszym.

17 XII 21

Wolność

Na deskach werandy
białe gwiazdeczki płatków gruszy
o gałęziach płynących w dół
i wysokim, mocnym pniu
kreślącym pion krajobrazu.

Taki mógłby być początek zimy,
w wierszu.
Lub początek wiosny,
gdy równoległe do desek podłogi,
wschodzi w planie drugim
młodziutka trawa, chodniczki zielone,
przykryte srebrną mgłą,
a za nimi płot drewniany z historią



Powyższe wiersze pochodzą z tomu:

Gabriela Kurylewicz:
Karwia-Świat
wyd. Fundacja Forma – Teatr, Instytut Sztuki
i Badań Filozoficznych
& Piwnica Artystyczna W. Warszawskiej
i A. Kurylewicza.
Opracowanie graficzne: Mikołaj Antczak
Stron 58
Warszawa 2025
ISBN 978-83-916983-6-5

i dalej dęby, sosny, brzozy, łąki,
i gęsty, głęboki las puszczy.
Na schodach siedzi pies z długim ogonem
i nosem czarnym lub brązowym w plamki -
przeczuwa rosę, słońce, księżyc, dal,
powrót bocianów i jaskółek.
W wierszu można ustanowić
nieograniczony horyzont.

W znajdowaniu słów
jest wolność i logiczność,
inna niż profesorów Pelca i Przełęckiego,
większa,
co najmniej na miarę metafizyki Platona.

Biedny poeta,
który musi kłamać
dla zarobku czy przetrwania.
A jeszcze biedniejszy,
który nie pojmuje,
że utkwiał w kłamstwie.

Źródłem poezji jest od zawsze
wyłącznie prawda.
Tylko wówczas wiersz może
uspokajać,
budzić, leczyć, prowadzić
i towarzyszyć człowiekowi
do ostatnich sekund.

23 XI 2021, *Mariew*

Gabriela Kurylewicz

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Ja i mój duch

Czasem mam wrażenie, że przez życie idziemy we dwóch,
ja i mój duch,
ten dobry i ten zły,
ten, który zawiera i ufa Niebu,
ten, który kusi z piekieł bram szczerząc kły.
Przed oczami złotem świeci, połyskuje, nagość kobiet ukazuje,
Viagor Power, Maybacha, zakłamanie i fentanyl
w załączeniu proponuje...

A może jest jeszcze i ten trzeci,
co z biletem lub bez biletu

incognito z nami leci?

Musisz wybrać potomku Ewy i Dawida
Przed Tobą dary Niebios, wszystko u twych stóp,
możesz dotknąć, posiąść lub polizać w roju os.
Żądzom, pysze, sławie, władzy
oddać w łapy swój przemijający, śmieszny i człowieczy los.
Nawet gdy straszą, że in versus będziesz robił za nędzarza
wybierz miłość, w niej zawarte wszystko, głębia prawd,
pragnień wszelakich spełnienie,
win i grzechów odpuszczenie,
Ty wybieraj los Łazarza
Więc bądź sobą, nie oglądaj się do tyłu idź!,
Porzuć wstyd nie pływ z prądem, idź, idź,
choćby i pod górę!
Ja, dam radę, podaj stary tylko skrzydło...
– Już nie daję w rurę.

Warszawa, 2025

„Jaki kolor wybrać chcesz?”

– Jaki kolor wybrać chcesz?
Czy niebieski od barw nieba?
Może żółty od kaczeńców i żonkili?
albo biały, ten od śniegu i lilii?
– *Chwila moment. Zaraz... zaraz...*
– A nie kusi cię ten biały i niebieski,
co do zwycięstw lub prowadzi klęski?

– *Mnie nic więcej nie potrzeba,
ja chcę czarny, złoty i czerwony,
a najlepiej wszystkie naraz.
Te w kolorze tęczy bym chciał.*

– Nie zapomnij o zielonym.
tym zza Odry i Berlina
Zwanym tamże przez niektórych feldgrau!

– *Jak? Co, czego? z Nietzschego?*
*Ty mi z pieśnią w tym kolorze nie zaczynaj,
ja nie znoszę brunatnego!*
Ciągle jeszcze w uszach słyszę:
– *Alle raus! Hände hoch!*
Wszyscy wychodzić, ręce do góry!
– *Alle Räder rollen für den Sieg!*
Wszystkie koła prowadzą do zwycięstwa!
– Słucham, jak?
– *A na wsparcie!... dla tych, którym brak jest męstwa!*
Nie ulegaj wpływom, koniec z wojną,
– Oczywiście, ręce precz od Moskwy!
– *Tak, tak, tak: Koniec z wojną!*
– Romantyku, tyś jest człek szalony, nawiedzony!
– *Nawet jeśli... I cóż z tego?*
Już wybrałam, nie chcę innego!

– Jednak nawiedzony?!
– To tyś prędzej jest otumaniony!...
Dla mnie wczoraj, dziś i jutro biało-czerwony!
– Zatem bywaj, przyjacielu
– Nie zrozumiemy się, jak dziś wielu...
– Więc wybieraj, szczerze bywaj
Sofijo – twoja kolei, ty z pomocą nam przybywaj!

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Anna Maria Mickiewicz

Ballada o Penzance

Zwalisto
grzywiasto
trąbiący
Ocean hukiem wypomina

Blaskiem poszukuje rozbitków
Tristana i Izoldy
W szantach turkusowych fal

Grozi...
Skruszonym głazom
Kamiennym wieżom
Zdobytym fortecom
Hiszpańskim i portugalskim galeonom

A oni zdziwieni
W balladach spowici
Wiekem mosiężnym okuci
Z pieśnią drzemią

Penzance 2013

maj

język wiatru zapleciony bluszczem
dotyka strumieni deszczu
grzmią chmury nabrzmiąle wiatrem
oddychają ciężko zapachem forsycji i bzu
staw kołysze jedliną srebrzystą
nadchodzi czas słonecznych przestrzeni

Londyn 2018

złudna miedź

miedziane malowidła natury
w nas

wiatr wzmaga szum wspomnień
rozdiera wygasłe nuty
w zakątkach

wygasłe oczodoły pamięci
usłane złudną ciszą

ale idziemy
bezpiecznie otuleni
czerwienią zachodu

Londyn 2025

pustynny deszcz w Londynie

tęsknię za błyszczącymi kroplami deszczu
deszczem zbawiennym
deszczem polnym

za zapachem świerku
on umiera zapomniany

światło miasta przebija się przez zmierzch

uciekamy spragnieni
nie ma chłodu nie ma wilgoci
prosimy boginię Horę o łaskę
o powrót do rytmu natury

wiosna to czy lato?
pustynne powietrze zamazuje oczy

Londyn, maj

zimni ogrodnicy Sokratesa

Sokrates zagubiony
załęczniony
zadziwiony

chłodem dzisiejszej filozofii
wojnę

pan Jan był w szpitalu
jego serce bije spokojnym rytmem
napalił w piecu

Londyn 2014

Anna Maria Mickiewicz

Piotr Müldner-Nieckowski

Żaden wiersz

Żaden wiersz nie jest wierszem każdym.
Żaden wieszcz nie wrzeszczy jak wszyscy
i ty nie pojmujesz jak niejeden w Polsce,
że coś się dzieje, choć wiesz, że złowróźnie.
Trzeba otworzyć oczy,
zobaczyć ręce, czy są ściśnięte w pięści.
Odziać stopy w buty gończe.
Wzmocnić ścięgna, szyję i kości.
Ocieplić uszy życzliwością pieśni
i ruszyć tam, gdzie niebezpiecznie.
Iść dla zdrowia ducha i duszy,
biec dla następnych.
Nie mówić od rzeczy.

Urodziny na Belwederskiej

Stoi tam Mister Warszawy – beton potężny
Obchodzi pięćdziesiąte przecięcie wstęgi
Stworzony jako dom kultury
lecz po sekundzie czyjegoś kaprysu
zmienił twarz na strojną w portrety aktywistów partii
księgarnię co ich przerosło prawdą o systemie
aż wywołało wymiot mózgow w komitetach miejskich
Powoli zaczął dogorywać w stroju biblioteki
Patrzy teraz szklanymi oczami ścian na Mokotów
pustym wzrokiem pełnym zer niewiedzy o poezji
i pytań co się stało z hasłem do wejścia w sztukę
z którym stawali ludzie w dniu jej corocznych urodzin
Ktoś teraz ze starości siada zmęczony na schodku
bo klucze do bramy głównej ostatnia sprzątaczką

wrzuciła do Wisły i właśnie łąza spadła z daszku
spod okna pani Wandy nadzwyczajnej kustoszki
dziś pracującej na Pradze w wędliniarni
Uwaga! tu spadają spod deszczu cięte na literackość
dachówki i mogą zabić nieoczekiwanych gości
lecz nic się nie bój szawny obatelu pani obatelko
zaraz milicja w strojach policji ich przegoni
na cztery wiatry
które zrywają z dębów liście podmuchem
władzowo niepopartym

Katalog codzienności

Słuchać uważnie to widzieć
Widzieć dokładnie to słyszeć
Dotykać to widzieć a to odczuwać
nie macać próby domysłem
Uczyć się i uczyć ich to wyrażać to rozumieć
węszyc to ostrzyć wartość równowagi
smakować to się bawić i chronić
Co z nazwą swą rozpoznane
zawęzać i snuć w przestrzeń
ku jej węzłom naturalnym
Wiedzieć to zważać na zamysł i dotyk
Wszystko można osiągnąć
co namacalne tajemnicą życia
Nieobecne nie znaczy nieistniejące
Życie to prawda o ruchu samoistnym
nie zawsze dostrzegalnym
o naprawianiu ruchem ducha
a to ciała które rozumie siebie jak ciebie
jakoż przenigdy odwrotnie
Do tego mózg niepotrzebny
Wymagany dla w niczym niczego

gdyż umie wykrywać braki
samogłoskowej spółgłoski
i w mądrości dyspozycję głupoty
Ciało które jest tylko wyrazem biologii
to zmienna zjawy według zmowy cieni
Ja jestem tobą ty mną jesteś
jeśli mamy moce podawania dalej
znamy ucieczkę z martwych w stronę od zła
w świętą nieskończoność do bra
do braterstwa
Codzienność to wieczność
gdy robisz cokolwiek

Piotr Müldner-Nieckowski

Grażyna Obrąpalska

Otwórz okno

Otwórz okno wpuść światło wpuść głosy
podlej co jeszcze żyje nie żałuj wody
inaczej uschniesz
suche gałęzie łamią się najłatwiej
zadzwoń napisz podaj rękę.
Ugotuj zupę powoli na małym ogniu.
Ulep fragmenty w niedoskonałą całość.
Nie czekaj. Popraw, póki masz czas.

Krawiecczyzna

Przyszyć życiu guziki
czy zrobić zaszewkę
i już się wymodeluje
i kształt lepszy.
Doszywanie łątanie sztukowanie
nie takie łatwe
zawsze można na palec
włożyć naparstek.
Mniej boli.

Bezdomne listy

Bezdomne listy osierocone listy
A gdzież się podziała
ta czerwona skrzynka
a dla kogo przeznaczone
dla czyjej czulej ręki
życzliwych oczu.
Otwierane czytane przechowywane
w myślach i na lepsze czasy
teraz bezdomne.

Z cyklu *Przyjaciele moi, psy*

* * *

Psy Zygmunta Augusta
wołano Greiks i Sybilla.
Stefana Batorego
Cezar i Śmiga.
Psy Jarosława Iwaszkiewicza,
które znałam,
wołano Aza, Migdał i Reksio.
Aza miała dużo dzieci,
a Migdał był słodki.
Reksio, najsprytniejszy,
wynurza z niebytu
Rudy mądry pysk
i lewą krótszą łapę

Grudzień 1979

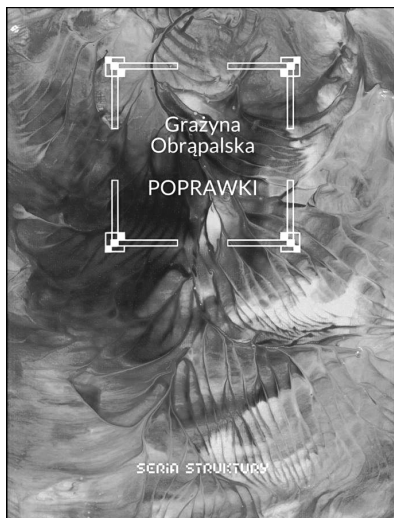
Grudzień. Stawisko.
Śnieg pada i pada.
Idziemy do sklepu
w Podkowie Zachodniej
ja i pięć piesków.
Maszerujemy stanowczo, w rzędzie:
Migdał,
Reksio,
Aza,
Szymkowa Kora
i moja Miszuta.
Pieski czekają pod sklepem.
Wracamy w grzecznym orszaku:
Migdał, Aza, Kora, Reksio, Miszuta.
Śnieg pada i pada.

Epitafium dla głuchotki

Głuchotka była niedużym
Płowym kundlem.
Miła, łagodna, zupełnie głucha.
Zaskoczona niespodziewanie
potrafiła ugryźć.
Syna sąsiada, który ją potracił,
nie usłyszała. Rana była niewielka.
Sąsiad rozwiązał problem szybko.
Rzeźnicki pistolet
i było po wszystkim.

Grażyna Obrąpalska

Grażyna Obrąpalska
Wiersze z tomu *Poprawki*
Wyd. Forma. Fundacja Literatury
im. Henryka Berezyna
Seria Struktury
Szczecin, Bezzecze 2025
Oprawa broszurowa
Format: 209x163 mm
Liczba stron: 58
ISBN: 978-83-68215-60-1



Mariusz Olbromski

Z cyklu: *Zimowy Krzemieniec*

W kręgu świecy

1

Anielską postać miało
wszystko co z jego Krzemieńca:
wzgórza ubrane w gronostaje
głębokie jary, a nad nimi domy.

Oblicze matki, źródło żywe
wielkiej tęsknoty.
Jej głos się łączył z kolędami
gdy pierwsza gwiazda zajaśniała
nad śnieżną szatą Góry Bony.

2

Ach, domy dzieciństwa utracone
pełne cudownych głosów
bo najbliższych... trwają w nas
także – „gdy się Chrystus rodzi”...
W kręgach świecy się jawią
tamte chwile – przypomnieniem:
opłatki – twarze – i życzenia
zwiewnych postaci z przeszłości.

Zimowy wertep¹

W białej magii zastygłe miasto
całe welonem śniegu otulone.
I tylko w pustce czasem kruk

¹ Wertepem na Wołyniu zwano przenośny teatr lalkowy o charakterze religijno-ludowym.



zakracze. To z gęstych tarnin
zając pryśnie skrzypieniem
kroków nagle przepłoszony.

Cień kształty wciąż przemienia
w teatrze tym zimowym bo
tylko cieniem chwilę tutaj jestem
pośród tajemnic niezgłębionych

wśród lotu myśli o wertepach,
o kolędnicach, którzy ścieżkami
tymi dawno z wieścią przeszli.

Z pieśnią prastarą, z gwiazdą
kołującą; z aniołem, turoniem.
Jeszcze ich głosy nadal słyszeć
w tej ciszy niemilknącej i obecnej.

Przy herbacie

W długie wieczory zimowe
herbata z ziół z Krzemieńca
ma zapach kadzidlany.

Z bujnych łąk nadikwiańskich
albo w ogrodach Bessera
zbieranych często o świcie.

Wonny eliksir tamtej ziemi
grzeje serce, rozchyła
wyobraźnię ku tym światom
bliskim, a dalekim.
Poruszającym struny pieśni
dawnych i współczesnych.

Tak wiele dróg tam wiedzie

i tyle świetnych piór i modlitw
od dziejów naszych zarania.

Spotkań i rozmów nagle błyska
niby słońca promienie gdy
o świcie lecą i przenikają
drżącym złotem przestrzeń.

Czas kolęd

Skały Dziewicze całe oblodzone,
nad jaskiniami sople wiszą.
Słońce przemienia je w ozdoby
wybłyskujące pośród starych sosen,
że niby lampki na choinkach wiszą.

Róże w ogrodzie blisko dworku
w śnieg zanurzyły swe czerwone
głowy i trwają zadumane w bieli
iskrach diamentów roziskrzonych.

Pod kopyłami świątyń i wiezami,
wzdłuż ulic w jarach zatopionych
kolędy płyną – te klejnoty wiary

– ze skarbca ducha to bogactwo
wieków – przywołane znowu.

O swej miłości do tych pieśni pisał
wygnaniec na paryskim bruku
przynosząc z miasta nad Sekwaną
rozgwary, krzyki, szумы, stuki.

Mariusz Olbromski

Alicja Patey-Grabowska

Discopolo

Spokój białej róży
zimowych konarów
ospałość
To czas
puka do okna
przyzywając starość

Ale biała róża
pąsem się oblewa
i gałąź sucha na wietrze
staje się wiotka
zwiewna

Tańczą kolory disco
wyginają róże lodygi
gałęzie drzew
w młodzieńczych
szalonych
tanecznych podrygach

Tak można
zatrzymać czas
wrzucić go
do nieskończoności
Aż
skamienieje krok
w początku
wiecznej młodości

2025

Łabędzi śpiew

Czy to łabędzi śpiew?

Odbija się od granitowych skał
podwójnym echem?

Uderza o krawędź
by spaść z hukiem
jak krzyk wodospadu
do rwącej rzeki

Czy to łabędzi śpiew?

Łoskot bębnow
przyspieszający rytm
serca
które jak ptak
skrzydłami uderza
o dno klatki

Oto w szeregu stoją
nieruchome postacie słów

Czy to z ich gardel
wydobywa się ten ostatni
łabędzi śpiew?

Rzeki płonące

Rzeki płonące
rozpalone niebo
odczłowieczony człowiek
i wyschnięte drzewa

Metalowe ptaki
wbijają się w ciszę

To nie punkt osobliwy
gdy powstawał wszechświat

Tak umysły ludzkie
rozpały słońce
i kapelusz przykrył
wypaloną ziemię

To początek
czy koniec?
Koniec
czy początek?

Jak będzie się rozwijał
ten ponury wątek?

2023

Stań się

$A = \pi r^2$
 $E = mc^2$
matematyka
fizyka
a gdzie słowo?

Zaczęło się od słowa
– STAŃ SIĘ!

I zupa kwarkowa
protony
jony

Czy słowo było
róźdzką magiczną
łyżką wazową

helu i wodoru?

Jak to było?

Czy warto zagłębiać się
w czasie?

Ważne TU i TERAZ

i słowa

przyobkle w ciało

STAŃ SIĘ!

Ślad

Tak

odciśnięty ślad

na ziemi

na murze

na skale

tam w górze

na niebie

na chmurze

na liściu

i w kropli

na dłoniach

na stopach

na twarzach

w oku

Dopóki aż

rozpadnie się Wszechświat

i tylko ślad

zostanie w zamyśle

Boga

Znak zapytania

Byłby człowiek
ale go nie ma

Nie chciał go ojciec
nie chciała matka

Rozpłynął się
Projekt
Nieoblekły w ciało

I powstała wyrwa
Dziura w przestrzeni

Znak zapytania.

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku klasyczne zimowe

* * *

spadł pierwszy śnieg
głowy kapusty w polu
sterczą zębate

* * *

dzióbek przy dzióbku
rozpryskuje się ziarno
wokół karmnika

* * *

droga do domu
zmarzłe rączki grzeją się
w dłoniach taty

* * *

podróż zimowa
wzdłuż drogi naprzemiennie
słońce i cienie

Krzysztof Saturnin Schreyer

Aniołki

Pamięci Bożeny G.

Nie walczyła słowem, czynem i w ogóle
wstydziła się rozpaczy, nie dzieliła bólem.

To tylko syn bogaty gdzieś w zamorskim kraju
i córka, również w dali, spokoju nie dają.

Bo jak śmie dziewięćdziesiąt lat żyć w samotności,
nie w przytułku, by zrzec się swej nieruchomości

niewielkiej, ale dla nich mającej znaczenie?
Mieszkanie wprawdzie małe, ale w dobrej cenie.

Gdy zmarła, piękna córka zamilkła gdzieś w świecie,
syn zajęty, na pogrzeb nie przyjedzie przecież.

A kiedyś jakże słodkie były to dzieciaczki,
przywiązane do cichej, uśmiechniętej matki!

Czas jednych uszlachetnia, drugich dziwnie brudzi.
Co robić, by aniołki wyrosły na ludzi?

19 I 2024

Barier

Wiele dziś barier niewidocznych
i nie ma pełnej swobody,
żeby ze słowem wejść potocznym
w myśli rozległe ogrody.

Raz wielbić Boga, raz się go wyrzekać,

bo tyle zła na tej ziemi.
W otchłan kosmosu z pytaniem się wdzierać
o prawa czasoprzestrzeni.

Z zachwytem patrzeć, jak życie powstaje
na ziemi, w wodzie i w glebie,
i badać geny, istot obyczaje,
i wołać: – Wiem! – Częściej: – Nie wiem.

Ranić wiernego! Ranić ateistę!
„Ukorzyć rozum”, jak w pieśni?
– Nie wolno – mówią uczeni współcześni.
Prawda intencją ich czystą!

Być może kiedyś nauka trudna,
wciąż niespokojna, wnikliwa, żmudna,
ogarnie Wszechświat wielkim olśnieniem
i stworzy prawd połączenie?

2023

Jakie słowa?

Jak mam opisać, o co prosisz?
Wszak słowa tego nie uniosą.
Tyle postaci jest miłości
tej poza kształtem, poza głosem

i poza tym, co widzą oczy.
„Poza”, a przecież stale w nas.
Jak tę granicę mam przeskoczyć,
przedziwną, względną niby czas,

którego nie ma, kiedy „było”,
którego nie ma, kiedy „będzie”,
a wszystko, co się w nim zdarzyło,
to zawsze „teraz”, tu i wszędzie?

Są jak kwantowe dwa zjawiska,
bo w jednym czasie i przestrzeni
razem, a bliskość jest tak bliska,
że choć oddzielni, to stopieni.

Może energią są, strunami,
co grają cicho swą melodię,
subtelnym drżeniem rozedrgani?
Myśli? Te słabe i zawodne.

Oni w świetlistej, ciepłej chmurze,
bez ciała, ale z ciała siłą,
blisko, ulotnie, coraz bliżej,
i nigdy, nigdy tak nie było!

W ciepłych ramionach są ci sami,
lecz zawsze inni z wiedzą nową,
z nowymi dziwnych sił falami
i jakie znaleźć na to słowo?

Z tomu Świata strony dwie

Przed końcem

Nie chcę łudzących radości,
nie chcę uroków tej ziemi
przed bramą – tą do wieczności,
lub w nawóz, pokarm korzeni.

I nie chcę tęsknić za wszystkim,
co drogie: jak uśmiech bliskich
i to, co wciąż do poznania –
w kosmosie globy skaliste
lub życia pęd od zarania.

I jak historia się dzieje,
ta bliska i ta daleka,

i jaka przyszłość świat czeka,
czy w rozkwit, czy w nieistnienie?

Ja nie chcę bólów utraty,
chcę być stoicki jak kamień,
pamiętać to, co przed laty
spokojnie i bez omamień.

Chcę kartki przerzucać w zeszyście
z tytułem: „To moje życie”
i chcę w nim ostatnią stronę
podpisać: „Dobre! Skończone!”

25-26 XI 2024

Śmiech

Znam świata strony ponure,
rozumiem szłochy grobowe,
ale mam słabą naturę,
więc szybko odwracam głowę.

A kiedy zło mnie dotyka,
jako że płaczu nie znoszę,
za dobrą radą Asnyka
wysoko w błękit się wznoszę

i widzę ziemię, kolory,
lasów i pól szachownice,
i hen kolejowe tory
i zamazane granice.

Czasami przesywa ciszę
salwa walczących tam w dole
ze stałą hełmu na czole.
Wtem... mocne śmiechy ich słyszę.

Ci, którzy walczą zwycięsko
w zmaganiach o wielkie sprawy,
to chociaż źle im i ciężko,
potrafią wyśmiać los krwawy.

Greccy antyczni bogowie
weseli, bo nieśmiertelni,
byli odważni i dzielni –
laurami zdobili głowy.

Dzisiaj obrońcy współcześni
walczą, choć ciało śmiertelne.
Niektórzy zostaną w pieśniach,
w gwarnych festynach niedzielnych.

Wiedzą, co wkrótce ich czeka?
Śmiech mają, oręż Człowieka,
dzielni, odważni, nieznani,
do śmierci niepokonani.

Listopad 2025

W kosmicznej bajce

Ciepło, przyjemnie niby w bajce,
w różowej mgle na świata krańcu,
który jest hen, a także blisko –
fizyce znane to zjawisko.

Ma rzeczywistość jak polana
oblana słońcem twoich oczu,
wabiąca łańcem twoich włosów,
ciepłem pagórków, szmerem głosów
przyjaznych jak brzęczenie pszczół,
kiedy rodzinny widzą ul.

Pragnę zapomnieć o granicy,

za którą czarne kruki lecą
i nie chcę być odpowiedzialny
w życiu poważnym, zbyt realnym
i nie chcę siedzieć na zebraniach,
wymagać, spełniać wymagania...

Chcę z tobą w parze, z tobą w tańcu
w motylim wirze, lekkim walcu
z dala od świata, co niestety
dręczony zapowiedzią burzy
czeka, a niebo już się chmurzy.

W baśni od życia oderwanej
w bańce błękitnej i mieniącej
z Nią w podobłocznym sunę tanie
i wiem, że to się musi skończyć.

Świat trudny woła mnie z daleka.
Odwracam głowę, zwlekam, zwlekam...

Z tomu Świata strony dwie

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Jak filozof z Glasgow

Chciałbym trafić w sedno
a przynajmniej w tarczę
znaleźć złoty środek
ale za wszelką cenę
uniknąć skrajności

jak ten filozof z Glasgow
skrywający pod ironią
swój egzystencjalny ból
niepogodzenie ze światem
a jednak w obłoku godności

teraz będzie proza
proza życia
zawarta w opowieści filozofa
która według mnie jest poezją

powiedział mi w porze lunchu
że nie może znieść masy śmieci
na jedynej ścieżce do autobusu
i znalazł dla siebie takie rozwiązanie

raz w tygodniu bierze worek
zbiera wszystkie śmieci i wyrzuca
raz w tygodniu i nigdy częściej
a potem znosi syf współistnienia

Die Rückverwandlung

Karl Brand alias Karl Müller
doświadcza przemiany
to nie jest tylko literatura
to się dzieje naprawdę

prątki Kocha migrują
płuca zajmują się czym nie powinny
coraz większe zmęczenie
duszności zlewne poty i gorączka

Karl Brand pisze i pisze bardziej zawzięcie
od uwielbianego autora Die Verwandlung
świszczy każdym oddechem kaszle krwią
ale opisuje nową i swoją przemianę

młody adept pisania za wszelką cenę
wie że zabraknie mu powietrza
rozpycha się pod podeszwą życia
odważnie wymachuje kartką i piórem

trudno zgadnąć czy chciał zaprzeczyć
że on nie jest bezużytecznym insektem
czy chciał przywrócić godność swojemu ciału
czy bezsennie śnił o powrocie do normalności

w każdym razie wbrew rozsądkowi
napisał „Die Rückverwandlung”
i powstał ze śmietnika w ludzkiej postaci
i nie dożył swoich dwudziestych trzecich urodzin

Janusz Taranienko

yizkor

skarpety w prążki

tamtędy to się chodziło wielokrotnie

poszedłem z kolegą chłopaczkiem parę godzin po
na Suraskiej żar wypalone
murowane domy w ciągu jednej nocy
i wciąż się dymiło
a doszliśmy nie od frontu ale
gdzie były balkony – to pod nimi takie dwa
na wysokość człowieka
dwa zwały trupów

widocznie wybiegali ratowali się – Niemcy z dołu
strzelali – a tamci spadali zwalali się
jeden na drugiego

a na wierzchu – pamiętam – jeden młody
upieczony dosłownie upieczony

główne wejście było od strony sądów
potężne drzwi brama dębowa z mosiężnym okuciem
były zamknięte
i niespalone tylko postrzelane jakby z granatnika
wkłęśnięte bryzgi odłamków

później mówili że tamtych z domów
wyciągali z ulic zaganiali
do środka benzyny nalali
i wrzucili granaty
mury wytrzymały
ale centralna kopuła spadła
sam szkielet leżał poskręcany

wszędzie biegały koty z popaloną sierścią
bo mieli ich od pioruna
oszałałe
przeraźliwie miauczące

dym żar i smród spalenizny
żywego ducha pustka

jak dziś widzę ten młody upieczony Żyd miał takie
skarpety w prążki

Na podstawie relacji Sławomira Werpachowskiego; film *Made in Germany. Białystok – Wielka Synagoga* (https://www.youtube.com/watch?v=_6X--DA5rbQ&ab_channel=Bagnowka) zrealizował Tomasz Wiśniewski

infamia

OGŁOSZENIE

Komunikuje się społeczności żydowskiej, że od czwartku 10 lipca 1941 r. wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci do lat 14 są zobowiązane do noszenia białej opaski z niebieską Gwiazdą Dawida (Magen Dawid) na prawej ręce. Szerokość opaski – 12 cm. Gwiazda Dawida minimum 10 cm [...]

Ostrzega się surowo każdego Żyda, by rozkaz ten natychmiast wypełnić. Kto od czwartku tego miesiąca pokaże się na ulicy bez tego znaku, będzie surowo ukarany.

Białystok, 8 VII 1941 r.

Komunikat nr 1 Judenratu w Białymstoku

1.
najpierw opaska na ramieniu

mieszkałam przy Mickiewicza u starszej pani
długo nie odważyła się pokazać na ulicy
a ja
gdy już musiałam wyjść z domu

prosiłam koleżankę żeby szła ze mną

nieznajoma kobieta krzyknęła z balkonu:
niech się panie nie wstydzą

*niech się wstydzą ci którzy kazali
wam te opaski nosić*

później żółta gwiazda
na lewej stronie piersi
i nakaz chodzenia jezdnią
wzdłuż rynsztoku

po dwóch tygodniach
jedną czwartą miasta
odgrodzili wysokim na trzy metry parkanem
i zarządzili przeprowadzkę

2.
ostatniego dnia lipca czterdziestego pierwszego
w tłumie niosłam swoje tobołki

obok głowy przeleciał mi
kamień

skryłam się za węglem domu
i dopiero poczułam strach

z wdzięcznością zgodziłam się
by starszy mężczyzna przeprowadził mnie
na Fabryczną
do getta

Na podstawie relacji Reginy (Rywy) Wojskowskiej [w:] *Białostoccy Żydzi*,
t. 1, [red. A. Dobroński], Instytut Historii F UW, Białystok 1993.

koncerty

1.
przed świętem paschy
wczesną wiosną czterdziestego drugiego
Liza z fabryki zaprosiła mnie
na wieczorek muzyczny

tak nazwała to spotkanie

siedzieliśmy stłoczeni w jej mieszkaniu
ktoś przyniósł skrzypce
ktoś usiadł przy pianinie
słuchaliśmy Szopena Liszta Bacha Beethovena
muzycy grali cicho nie robili przerw
Liza śpiewała niskim głosem
operowe arie

2.
pamiętam jeszcze inny koncert Lizy

13 stycznia 1944 roku
po przybyciu do Auschwitz
siedziałyśmy na stopniach łaźni
nagie i z ogolonymi głowami
Lizie kazano stać przed kompanią esesmanów
i śpiewać arię z operetki Kálmána

auch ich war einst ein feiner Csárdáskavalier

Na podstawie: Sara Nomberg-Przytyk, *Kolumny Samsona*, Wydawnictwo
Lubelskie, Lublin 1966.

nur eine

panie Lazar
ja pana proszę
niech pan ją ukryje

oni już zabrali tylu ludzi
a u pana w piekarni masa zakamarków
można zrobić dobrą kryjówkę

panie Lazar
drogi sąsiedzie
znamy się jeszcze sprzed wojny

pan myśli że ja chciałem
zostać policjantem
pilnować swoich?

pan pamięta półtora roku temu
co zrobili ze Szmulem Lewkowiczem
z Menasze Wajsem
gdy odmówili rozkazu?

jeden kula w łeb
drugi do Prużan

pan przecież doskonale pamięta
panie Lazar
sąsiedzie

pan uwierzy
że własna matka
kazała mi ratować Sarę?

zabrali matkę i narzeczoną
pobiegłem do dowódcy
pokazałem szejn
prosiłem
panie Lazar
sąsiedzie
żeby puścił obie

a Niemiec: *nur eine
wytieraj*

wtedy matka
krzyknęła: *ja zabierz*
ja już pożyłam –

co ja mogłem?

pan wie
panie Lazar
co ja mogłem?
pan powie

Oparte na relacji Samuela Berknera, [w:] *Białostoccy Żydzi*, t. 2, [red. A. Dobroński, W. Monkiewicz], Instytut Historii F UW w Białymstoku, 1997.

śnieg

tam
też padał śnieg
ale nie taki jak ten
gdy pierwszy raz
stamtąd wyszłam

była noc i puste ulice
cisza
i te bajkowe drzewa
choinki
niedaleko Pałacu Branickich
całe obsypane śniegiem
nieskazitelnie białym

tam
za murami getta
śnieg pozostawał biały
tylko przez chwilę

Na podstawie relacji Bronki Klibańskiej [w:] *Kiriati Białystok. Szkice do sagi Białostoczan*, film TVP Białystok, scenariusz i realizacja: Dariusz Szada-Borzyszkowski, 2008.

spodnie

ostatnią wspólną noc
spędziliśmy ukryci w szpitalu

mama zastanawiała się
czy rano powinienem założyć
krótkie spodenki
czy długie spodnie

*jeśli włożysz krótkie
dołączą cię do kobiet i dzieci
ale masz już czternaście lat i jesteś duży
więc jest nadzieja
że gdy będziesz w długich spodniach*

Janusz Taranienko
yizkor

Redakcja: Izabela Fietkiewicz-Paszek
Bogdan Zdanowicz

Opracowanie graficzne i skład: Krzysztof
W. Wróbel

Zdjęcie na okładce: Maja Zińczuk

Zdjęcie autora: Maciej Taranienko

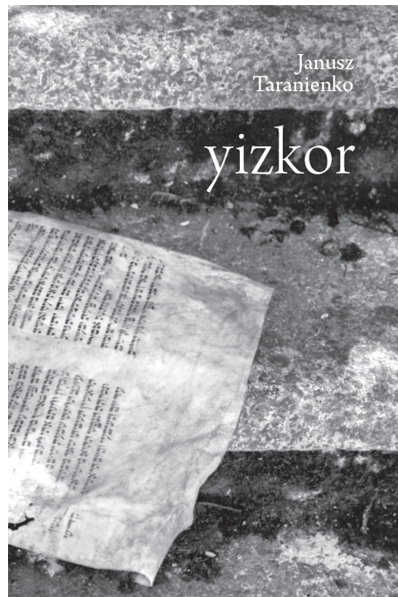
Promocja: Jakub Urynowicz

Wydawca: Galeria im. Sleńdzińskich
w Białymstoku
Białystok, 2025

Stron 108

Format 150×230 mm

ISBN: 978-83-68398-11-3



*zaliczą cię do mężczyzn
i wezmą do pracy*

rano przechodziliśmy w tłumie
przez otwartą bramę getta
na pole Pietrasze

*

staliśmy całą noc człowiek przy człowieku
podzielono nas na kolumny

matka z młodszą siostrą wśród kobiet
mnie uznano za zdolnego do pracy

następnego dnia załadowano nas do pociągu
do ostatnich wagonów szły kobiety z dziećmi

Frieda trzymała mamę za rękę
i tuliła lalkę

końcowe wagony odczepiono na pierwszym postoju
w miejscowości Treblinka

po trzech dobach podróży nocą otwarto mój wagon
stacja nazywała się Majdanek

Napodstawie: Samuel Piśar, *Zkrwiinadziei*, tł. W. Gall, AG-RED Reklamowo-
-Wydawnicza Agencja Dziennikarzy, Białystok 1992.

strych: kadr

jest drugi dzień likwidacji getta
siedzę w kryjówce na strychu przy Fabrycznej
przez dziurę po cegle w ścianie
widzę dzieci
jest ich około stu
mają od trzech do siedmiu lat

idą z sierocińca
w rękach niosą tobołki
są z nimi dwie wychowawczynie

z każdej strony kolumny
dwóch żandarmów z rękami na karabinach
przewieszonych przez pierś

dzieci idą spokojnie
nie płaczą

Na podstawie relacji Ewy Kracowskiej [w:] A. Dobroński, *Kobiety w białostockim getcie. „Jak smutno strasznie żyć...”*, Białostocki Ośrodek Kultury, 2023.

Janusz Taranienko

Grzegorz Walczak

Cień

mojemu Ojcu

Przebiegają mi przez głowę sny.
Sny, ojcze, o tobie są niemożliwe,
więc czemu mi coraz częściej,
chyba w snach, mówisz,
że nie byłem dostatecznie odważny?
Ty bardzo szybko zostałeś herosem,
nie poszedłeś na układ
nawet z Aniołem Stróżem.
Bardzo szybko powiesili cię
pod obozowym murem,
cisnęli w dół, nim uleciałeś do góry.
Upokorzony na ciele, nieugięty duchem
teraz przychodzisz urągać mi
swoim wzniosłym milczeniem.
Ty – prawdziwy bohater –
nie masz nawet grobu.
Dopisałem cię do marmuru
matki. Ona umiała płakać,
ja zawsze miałem zespół suchego oka.
Teraz wpuszczam pod powiekę
kroplę nieba zamkniętego
dla płochych jaszczurek
i innych płazów, gadów,
wpuszczam sztuczną łzę poezji,
choć „najmniej poetą jest piszący wiersze,
a najmniej poezją jest napisany wiersz”.
Ty byłeś poetą ofiarowania, bo zanim umarłeś,
już wpisałeś śmierć swą w podkrążone oczy
i chodziłeś z nią pod rękę
nieuważny, bohatersko, choć skromnie,
z nieuświadomionym nimbem straconego pokolenia,
bez żadnego przykrycia,

bez barwy ochronnej.
Nie potrafiłeś, nie chciałeś, jak wiele innych stworzeń,
upodobnić się do podłoża.
Wolałeś być zawsze wyraźny.
Kładłeś się na leżaku w ogrodzie
w dniu bezchmurnym i tak jak ty przejrzystym,
niepomny na obławy,
na przyptywy czerni,
na volksdeutschów i piwniczne szczury,
co swym przerażeniem jeszcze bardziej
obnażały twoją zuchwałość.
Pobliski las słyszał, jak wołasz:
Jestem wolny! Przyjdźcie po mnie!

Gdzie mi się podziały te po tobie geny?
Spłynęły mi z moczem,
może z matki łzami?
Umiałem tylko rzucić niewybuch
przed ołtarzem Pana.
A On się nigdy do mnie nie odezwał,
nigdy się na mnie nie pogniewał,
patrzył tylko pustką
wypalonych okien,
niedomkniętych drzwi,
którymi wyszedłeś po raz ostatni.
Byłeś odległy jak syberyjska zima,
jak przycupnięta w bezruchu po drugiej stronie Wisły
armia wyzwolicieli, która cię dawno chciała pojmać,
jak beznadziejne w 44 naiwnych czekanie.
A teraz przychodzisz w niemożliwych snach.
Jakże cię mogę poznać,
gdy cię nie poznałem?
Jakże cię mam kochać,
kiedyś ty ze spiżu?
A nocą nawet myślę,
że czasem umrzeć wcale nie jest trudniej,
niż żyć.

Czego się bać

Mam się bać,
 że dzień wszędzie beze mnie? ...
 że w pewien pochmurny poranek
 jakiś przechodzień
 nie pozdrowi jak zwykle Króla Zygmunta,
 a gdy braciszkwowie będą przemykać w cieniu Świętej Anny,
 nikt już z naprzeciwwka nie policzy ich aureoli?

Bardziej się boję,
 że jedna starsza pani,
 czesząc przed lustrem swoje włosy,
 nie rozpozna siebie
 lub nie domknie gazu nazbyt drżącą ręką
 i zaraz potem biały posłaniec
 wyfrunie oknem z naszego domu,
 wysoko, wysoko.

Pod lasem

*pamięci ojca mego, dowódcy grupy AK,
 straconego w Auschwitz*

Pamiętasz, Ojcze, ten nasz dziki ogród,
 gdzie cię skrywały krzewy słodkich malin?
 Gdyś mnie nad głową wznosił, piałem niby kogut,
 a wtedy oczy Twoje aż się do mnie śmiały.

Lechonie się w Twej głowie snuły i Leśmiany.
 Z popiołem wiatr Ci przyniósł pieśni Baczyńskiego,
 lecz je zagłuszał odgłos kanonady.
 Dobijał nam Warszawę Übermensch Nietzschego.

Załkała Matka skrycie, no bo czas rozstania.
 Już zmrok zapadał cicho. Nagle dzwon od fary...
 Zerwałeś się, bo z nieba twa gwiazda spadała
 i szedł pod lasem Chrystus znów zamordowany.

Przepaść

Zosi – żonie mojej

Ja z aniołami nie mam żadnych spraw.
Tylko czasami, kiedy idę w góry,
gdy wznoszę się już ponad Czarny Staw,
gdy dalej windą wiozą mnie przez chmury,
coś się ociera o mnie pierzastego
i zerka na mnie rozchełstana przepaść.
Przez chwilę wciąga mnie jak wpół otwarte niebo,
lecz wracam, bo na dole ktoś z kolacją na mnie czeka.

Skoczyć

W Morskim Oku odbite
skały ruchome i bańnie,
i moje zmyślane życie,
które dopiero się zacznie.

Nie będę w nim tak przygnieciony
garbem swego sumienia.
Tak łatwo mnie nie przerażą
kontury własnego cienia.

Tam mnie nie sięgnie listonosz
czy Internetu skowyt
ani anioła pytanie,
czy wreszcie jestem gotowy.

Nie przyjdzie inkwizytor
z wyrokiem za grzech przemilczenia.
Córka nie spyta mnie nagle:
„gdzie brat mój, którego nie ma”?

I oczy podkrążone
nie będą świadczyć o zdradzie,
a sen o potędze... tworzenia

nie wpadnie w domowe kapcie.

Nowe się zacznie życie.
Byle nie było daremne,
by już mnie nie kusiły
Morskiego Oka głębie.

Stare kobiety

Stare kobiety jak wyschnięte studnie
już nie czekają na wiadro z żurawiem
i słońce do nich nie zagląda rankiem
ani się obłok nie odbija w oczach

Wciąż chusty wspomnień piorą w pochyleniu
te same modlitwy bezzębnie mamrocząc
i ciągle sypią się im zmarszczki czułe
na dno ich coraz coraz głębszej nocy

I konie stare umierają w marszu
nawet po śmierci nieco lunatyczne.
Czas jeszcze jakiś idą w swym zaprzęgu
aż zeszywnieją ich spotniałe grzywy

Tylko dziewczynki nieświadome żartu
natury rozkwitającego ciała
niosą je ufnie wprost w płomień południa
aby pod wieczór na popiół osiwieć

A młyny? – Cóż, te nie ustaną
bo miały czas – daremne ziarno Boga –
lecz chwała Ci Panie za płomyki życia
i za wieczny owoc Twojego zasiewu.

Ślady Twoich stóp

(współczesna pastoralka)

Jezusie, Jezusie,
czemuś nas zapomniał?
Czemu znów na świecie
znowu straszy wojna?
Czemu ludzie prości
mało mają chleba?
Jezusie, Jezusie,
zabierz nas do nieba.

Tam, gdzie się ukrywasz Ty,
pośród złotych chmur,
będą ludzie długo szli,
szukać śladów stóp,
śladów, które Chrystus Pan
pozostawił nam,
gdzieś na pajęczynie mgły,
tam, gdzie tylko Ty.

Jezusie, Jezusie,
płyną wprost do Ciebie
prośby jak latawce
po wysokim niebie
i dziecięce skargi,
i nasze marzenia.
Czemu Cię, Jezusie,
tutaj z nami nie ma?

Tam, gdzie się ukrywasz Ty...

Jezusie, Jezusie,
może w Twoim domu
będzie bez tych gniewów,
hałasów i gromów?
Może nas osłonisz

przed bólem i łzami,
Może nas obronisz,
Chrystusie, przed nami?

Twoje codzienne piruety

Stoisz w tym pokoju
coraz bardziej nieporadny,
ocierają się o ciebie fotele, biurko,
wymięta twoim ciałem kanapa,
a szpara w podłodze
coraz bardziej skrzeczy.

Domyślasz się, jakie będzie zakończenie,
a wciąż jesteś tak bardzo przywiązany
do swoich porannych póz
przed lustrem,
wieczornych furteczek-ucieczek,
tych samych fraz i gestów,
znaków krzyża
na progu kościoła
i na progu nocy.
Uparcie kręcisz piruety codziennego *jestem*,
gonisz za swoją zgrzybiałą młodością
z coraz większą zadyszka.
Na którymś przystanku
wysiadasz,
mija cię kobieta z białą plamą twarzy.
Przerażony,
tracisz nadzieję,
kładziesz się na torach,
by się szybko rozmyślić, wstać,
napisać kolejny wiersz,
ot, takie jeszcze jedno, niepotrzebne selfie.
Czekasz.

Tyle jeszcze

Tyle jeszcze miało być
Łuków Tryumfalnych
Walpurgii
Goncourtów
tyle wiatrów pod żagle
zasadzek
krwistych befsztyków
mało wiernych Laur
księżycowych łez
w sarnim oku
rzadkich bachantek
spieszących na nieszpór
które łatwo zwabić
do najbliższej rzeźni
tyle jeszcze obietnic poprawy
szczerých uniesień
wyznań sado-maso
pobłażliwych liźnięć
niedojrzałej śmierci
uwalniania męstwa
z pokutnych majteczek
gdy już blizny zarosły
szuwarami wspomnień
tyle jeszcze...

Worek marzeń

(*piosenka*)

Gdy noc mnie otula
i sypią się gwiazdy,
szybuję przez światy nieznane
i zbieram do worka
dziecięce marzenia,
bo jestem w tym dniu Mikołajem.

Ach, ileż w krąg wesela!
Świąteczny zgiełk i zamęt.
Już dreszcz przebiega tłumem,
gdy z nieba moje sanie
zjeżdżają w centrum miasta,
aż pod płozami iskrzy,
a święta wyobraźnia
rozpala ludzkie zmysły.

To pora niepojęta,
bo znowu gdzieś stajenka,
co czas przemierza światłem,
obudzi nasze serca
uśpione i w pół martwe.

I ja kiedyś miałem
święteczną choinkę
i gwiazdkę – tę moją kruszynę,
lecz nagle zniknęła.
Dziś świeci na niebie.
Ktoś mówił, że tam właśnie żyje,
więc w liście do Boga
wysłałem marzenie,
bym kiedyś i ja stanął przy niej.

Grzegorz Walczak

Stefan Chwin

Gombrowicz i „dusza polska”

Autor o książce

Gombrowiczowska myśl jest ciekawa nie tylko dlatego, że broni praw jednostki, ale też dlatego, że ma rozległy zakres problemowy, obejmujący nie tylko zagadnienia egzystencji, lecz także kluczowe kwestie historii. Myśl ta pozwala lepiej zrozumieć to, co zdarzyło się w wieku XX. Dotyka zawikłanej sprawy odpowiedzialności za masowe „zbrodnie bez sprawcy”, do jakich dochodziło podczas II wojny. Pozwala głębiej wejrzeć w tajemnice ducha niemieckiego. Rzuca nowe światło na proces norymberski. Zdziera zasłonę złudzeń z istoty literatury, pokazując ją jako erotyczny spektakl uwodzenia i formalnego podstęp. Uczy nieufności do autora i narratora, świetnie wpisując się w zawsze dla mnie ważną „filozofię podejrzeń”.

Autor: Stefan Chwin

Gombrowicz i „dusza polska”

Wydawnictwo „Tytuł”. Krystyna Chwin.

Gdańsk 2026.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.

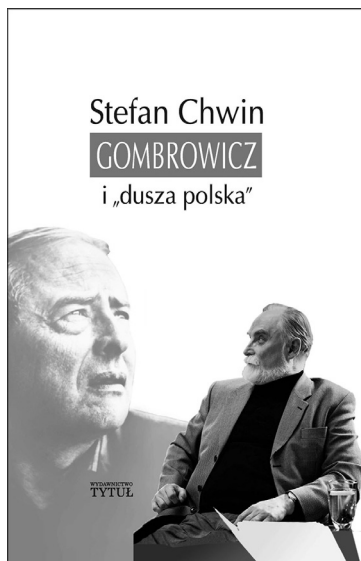
Zrealizowano ze środków Miasta Gdańska
w ramach Gdańskiego Stypendium Kulturalnego
Fundusz Twórczy.

Promocja Wydawnictwa została zrealizowana
przy wsparciu Gdańskiego Funduszu Promocji
Wydawnictw.

Stron 640.

Oprawa twarda.

ISBN 978-83-89859-86-0



Kilka słów o książce

Sposób myślenia Gombrowicza o wolności zmieniał się na przestrzeni lat. Nie było tu prostej kontynuacji idei sformułowanych w latach trzydziestych XX wieku. W świecie przedstawionym *Ferdydurke* ontologiczne podstawy wolności Gombrowicz przedstawiał jako znacznie słabsze niż ontologiczne podstawy zniewolenia. Struktura tego świata została oparta na mocnym przeciwstawieniu głównego bohatera jako samotnego „partyzanta wolności”, którego uwierają ograniczenia Formy i społecznej większości, która dobrze się czuje w ograniczeniach Formy i wcale nie jest spragniona wolności indywidualnej, bo dużo bardziej boi się wypadnięcia z Formy.

Cezurą w ewolucji filozofii wolności Gombrowicza stała się II wojna światowa. Przed rokiem 1939 Gombrowicz uważał wolność za wartość niekwestionowaną i nie eksponował jej ciemnych stron. Po wojnie ujrzał w niej także dar tragiczny. W dramacie *Ślub* przedstawił, jak indywidualne dążenie do wolności absolutnej przeradza się w tyranję. Filozofia wolności sformułowana w *Ferdydurke* takie ujęcie wykluczała.

Aby zrozumieć, co znaczyła filozofia dystansu wobec Formy sformułowana w *Ferdydurke* należy zbadać, czy Gombrowicz swoje moralne zalecenia z lat trzydziestych odnośnie do praktykowania wolności kierował tylko do ludzi żyjących w umiarkowanej temperaturze napięć społecznych międzywojnia, czy też uważał, że praktykowanie dystansu wobec Formy jest możliwe także w ekstremalnych sytuacjach, np. w sytuacjach gwałtownych konfliktów społecznych, wojny i okupacji.

Stefan Chwin

Dziennik pisany w Gdańsku

(fragment)

Dziennik 2025

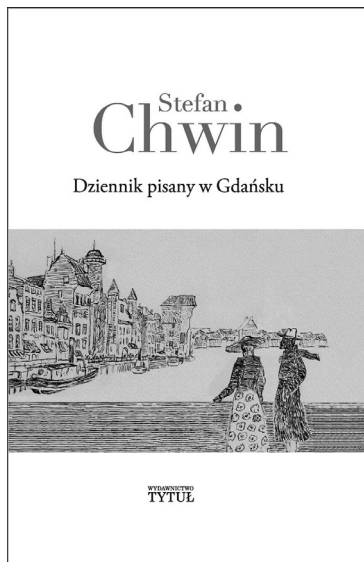
Poniedziałek, godz. 23.43. Legenda złotego miasta

Mówi się czasem, że sen to tylko sen. Tymczasem wszystko zaczęło się zupełnie inaczej – tak, jakby spod rzeźbionych ram obrazu, na którym ktoś z wielką starannością przedstawił nieznanne miejsce, nagle wysunęła się dotykalna rzeczywistość, bardziej może nawet realna niż sam świat.

Obudziłem się oto na kolejowym dworcu. Szklana hala z szybami zadymionymi sadzą, przez które przenikało sine światło nocy, wznosiła się

Stefan Chwin
Dziennik pisany w Gdańsku
 Na okładce rysunek autora.
 Wydawnictwo „Tytuł”. Krystyna Chwin.
 Gdańsk 2025.

Zrealizowano ze środków Miasta Gdańska
 w ramach Gdańskiego Stypendium
 Kulturalnego Fundusz Twórczy.
 Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
 i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
 z Funduszu Promocji Kultury.
 Promocja Wydawnictwa została zrealizowana
 przy wsparciu Gdańskiego Funduszu Promocji
 Wydawnictw.
 Stron 544. Oprawa twarda.
 ISBN 978-83-89859-87-7



nad paroma peronami. Księżycy nie było, tylko rtęciowy blask nieba prześwitywał zza szklanego sklepienia, zabarwiając pajęczą poświatą płaskie i nieruchome chmury. Pociąg odjechał przed chwilą, ale nie było słychać żadnego oddalającego stukotu kół. Poszedłem w stronę tunelu po brukowanym peronie, który strzegł swojej prawdziwej barwy, jakby chciał pod brunatną sepią brukowanej nawierzchni ukryć w głębi kamieni sam smolisty ekstrakt ciemności. Tory, biegnące wzdłuż peronu, lśniły jak wstążki srebrnego jedwabiu, znikając w mroku pod kratownicą niedalekiego wiaduktu. Żaden dźwięk nie przerywał zupełnej ciszy, tak że nie słyszałem nawet własnych kroków.

Tunelem przeszedłem na drugi peron. Za szklaną ścianą, złożoną z kwadratowych szybek, zamocowanych na żelaznej ramie, która oddzielała dworzec od miasta, widać było ulicę i mały skwer z kamienną fontanną, z trzech stron otoczony pierzeją kamienic z secesyjnymi ornamentami na szarym tynku. Wszystko, co widziałem, miało ciemny odcień sepii, a równocześnie było tak wyraźne, jakbym każdy szczegół oglądał przez powiększające szkło. Nigdzie jednak nie było widać blaszanej tablicy z nazwą miasta, chociaż takie wypukłe tablice z gotyckim napisem na białej emalii, wsparte na odlanych z żeliwa słupach z pseudokorynckim kapitelem – wiedziałem to – stały na wszystkich dworcach, łudząc podróżnych, którzy, gdy pociąg zwalniał, przysuwali oczy do szyby wagonowego okna w pulmanowskim przedziale, że już dotarli do upragnionego celu.

Obok peronu biegła jezdnia, którą zamykały ściany fortyfikacji z ciemnoczerwonej cegły. Kiedy tam skręciłem, trafiłem na sześcioboczny kiosk z gazetami, zwieńczony szpiczastą wieżyczką. Za szybą leżały starannie ułożone płachty zadrukowanego papieru z tytułem na górze: „...Allgemeine Zeitung”. Niżej widniała wydrukowana drobniejszą szwabachą data: 18 August 1876. Po wyjściu z dworca, gdy znalazłem się na szerokiej ulicy, nie rozpoznawałem okolic, które wydawały mi się znajome, a jednak dziwnie zmienione w nocnym świetle. Ruszyłem w stronę śródmieścia, mijając ogromny elewator zbożowy, stojący obok dworca. Im głębiej wchodziłem w miasto, tym domy były czarniejsze. W oknach nie paliło się żadne światło. Tylko na czarnych fasadach kamienic z wysokimi attykami lśniły barokowe ornamenty, które nadawały miastu charakter ciemnego arrasu przetykanego złotą nicią. Dopiero po dłuższym marszu zacząłem rozpoznawać budowle, wieże i przejścia. Aby się upewnić, co do realności tego, co widzę, dotykałem palcami szorstkich ścian, ozdobnych krat z kutego

żelaza, granitowych kul i gładkich drzwi z rzeźbionymi girlandami ryb, kłosów i kwiatów.

Nagle fala wzruszenia wezbrała w piersiach słodkim uciskiem – zrozumiałem, że oto znalazłem się w dawnym mieście Gdańsk, dokładnie nocą 18 sierpnia 1876 roku. Przez rozchylone domy ulicy Długiej, koło milczącej fontanny Neptuna i prześwit Zielonej Bramy doszedłem do Motławy, stanąłem na Zielonym Moście i patrząc na Długie Pobrzeże, które odbijało się w czarnym lustrze nieruchomej rzeki koronkowym rysunkiem wież i krzyżackim zarysem głowy Żurawia, oparłem mocno dłonie na żelaznej barierce, która odgradzała mnie od wody.

Moje przebudzenie było okropne. Chciałem zostać w czarnym mieście, do którego trafiłem w sierpniową noc, gdzie ciemność wysokich domów ozdabiały złote ornamenty. Zaciskając palce na barierce Zielonego Mostu, nie pozwalałem, by światło dnia wyrwało mnie z tej ciemności i przeniosło do mieszkania, w którym spałem.

Miałem mocną pewność, że zobaczyłem miejsce, w którym znajdę się po śmierci. Nie otwierałem oczu, by nie wypuścić z nich obrazu czarnego miasta, który był tak piękny, że chciało się tutaj pozostać na zawsze. Potem zrozumiałem, skąd się wzięło to wrażenie spokojnej radości i piękna, które promieniowało z głębi ulic. Wędrując po czarnym mieście, nie byłem sam. Nie widziałem jej, a jednak czułem, że ona jest ze mną. I wiedziałem, że po śmierci znajdziemy się tam oboje. Nic mnie nie obchodził „Sąd Ostateczny” Memlinga, gotycki tryptyk z kościoła Panny Marii, zawieszony na białej kolumnie bazyliki, który strumieniami ognia, fanfarami anielskich trąb i blaskiem królewskich diademów wbijał nam do serca drzazgę nadziei i strachu. To, co się na nim działo, nie dotyczyło nas. Ludzkość miała się bawić w ostateczne sądy na zielonej łące pod boskim łukiem zbawiennej tęczy – nie my. My mieliśmy wędrować ulicami czarnego miasta, a nawet unosić się nad nim, więc nie czekając na nic, wzbiliśmy się z bruku ulicy Piwnej ponad attyki, kominy i dachy śródmieścia, przelecieliśmy obok wieży Kościoła Mariackiego, która na moment otoczyła nas swoim cieniem, a potem okrążyliśmy wieżę Ratusza z figurą króla na szczycie jak dwójka nagle przebudzonych dzieciaków, które się ucieszyły, że urosły im skrzydła nocnej ćmy. Bezszelestnie sunęliśmy nad miastem, lecąc obok siebie w ciepłym powietrzu sierpniowej nocy, która – łagodnie posłuszna naszym zachceniom – nie miała się nigdy skończyć.

I nie pozwalaliśmy się szantażować nikomu, kto chciałby nas przekonać pobożną perswazją czy złośliwym uśmiechem, że po śmierci czekają

nas zupełnie inne rzeczy. Czym niby miał być gorszy nasz bezterminowy pobyt w czarnym mieście nad rzeką Motławą, w którym znaleźliśmy się dokładnie nocną porą 18 sierpnia 1876 roku, od Hadesu dawnych Greków i Szeolu Izraelitów czy pośmiertnej krainy rzymskich katolików, prawosławnych starców z Ławry Pieczerskiej i niebiańskiej obietnicy żarliwych protestantów od Lutra z Wittenbergi i Kalwina z Genewy? To było miejsce stworzone dla nas i tylko dla nas, więc nie zważając na nic sfruwaliśmy spod nocnego nieba, przysiadaliśmy na stopniach przedproży pod złotym Drzewem Ksiąg, które rosło na ulicy Mariackiej, ostrożnie zrywaliśmy z niego pięknie oprawione tomy z szeleszczącymi liśćmi kartek i w świetle latarni, która stała obok nas, czytaliśmy zawiłe historie, które były tam zapisane...

Stąd właśnie wziął się cykl obrazów, które narysowałem następnego dnia złotym tuszem na czarnym kartonie, by zachować w pamięci blask złotych ornamentów, ozdabiających mury czarnego miasta. Cykl nazywałem „Legenda złotego miasta. Pośmiertny spacer dwóch duszyczek”, bo wyciągając z głębokiej kieszeni nocy, co minęła, ciemne obrazy, które układały się posłusznie pod moją ręką na papierze, nie zapomniałem o nas dwojgu – przeciwko tym wszystkim, którzy nas zmuszali do posłusznego podziwu dla przerażającej wizji Memlinga, którą chcieliśmy wygnać z naszej duszy na zawsze, by w jej miejscu zagościła miękka ciemność haftowana złotem, daleka od wszelkich nadziei i złudzeń, którymi karmimy nasze biedne serca i spragnione prawdy oczy, zawsze gotowe widzieć dokładnie nie to, co naprawdę pragniemy zobaczyć.

Stefan Chwin

Max Lars / Stefan Chwin

Piratki. Przygody trzech kobiet na wyspach Archipelagu San Juan de la Cruz¹

(fragment)

Błysk czerwonych paznokci

O torpedowcu „Ester 916” wiadano niewiele. Wypływał zwykle z portu nocą, po czym, ledwie widoczny w ciemności, zataczał łuk w Basenie Pięciu Gwizdków, skręcając w stronę Ile de Platte, by potem zniknąć we mgłach Zatoki. Kiedy wracał po paru dniach, włókł się z wygaszonymi światłami

Autor: Max Lars / Stefan Chwin

Tytuł: *Piratki. Przygody trzech kobiet na wyspach Archipelagu San Juan de la Cruz*

Rysunki na okładce i wewnątrz,

a także winiety i przerywniki: Stefan Chwin.

Wydawnictwo „Tytuł”. Krystyna Chwin.

Gdańsk 2025

Zrealizowano ze środków Miasta Gdańska
w ramach Gdańskiego Stypendium

Kulturalnego Fundusz Twórczy.

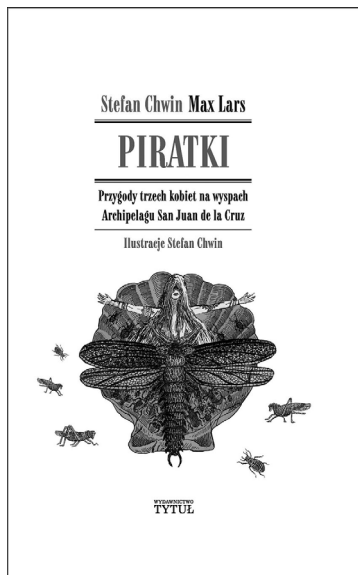
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.

Promocję Wydawnictwa zrealizowano przy
wspieraniu Gdańskiego Funduszu

Promocji Wydawnictw.

Oprawa twarda. Stron 317.

ISBN 978-83-89859-54-9



¹ Tym razem jest to powieść przygodowa, w której bardzo dużo się dzieje. Jest to trzecia powieść z cyklu powieści Maxa Larsa (pierwszą była – *Ludzie – Skorpiony. Przygody Joachima El Toro na wyspach Archipelagu San Juan de la Cruz*; drugą – *Człowiek-Litera. Przygody profesora Umwelta na wyspach Archipelagu San Juan de la Cruz*).

w ciężkim dudnieniu silnika, z trudem dobijając do pogrążonej w ciemnościach przystani. Burty w wielu miejscach wgniecione, wzdłuż kadłuba, wśród świeżych odprysków farby ślady po ostrzale z kartaczownic, z masztu zwisały porwane pnącza lian, w iluminatorach rozbite szyby... Po powrocie z rejsu okręt „916” wyglądał bardziej na wrak wydobyty z błotnistego dna laguny El Putzig, niż na jednostkę z doborowego oddziału pościgowego. Trzeba było tygodnia pracy mechaników ze stoczni Schichaua, by „916” stał się znów wysokiej klasy torpedowcem.

Mówiono, że jednostka „916” jest używana do akcji specjalnych na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie wciąż trwały walki z powstańcami i zbuntowanymi plemionami Indian. Od dwóch dni jej dowódcą był major Rufin S. Pundado, brat samego doktora Carlosa Sotero Pundado, twórcy szpitali na terenach zajętych przez plemiona Orca i Eventeros, rozkazem specjalnym przeniesiony z garnizonu w Tusco do eskadry pościgowej.

Siódmego sierpnia rano „Ester 916” prućła fale zatoki w pobliżu półwyspu Los Hell. Major Pundado był na pokładzie już od szóstej. Koło dziewiątej przerwał wykreślanie kursów bojowych na mapie sztabowej, spojrzął przez okno i to, co ujrzał, wprawiło go w lekki niepokój.

Przed dziobem „Estery” unosił się biały jacht z trzema osobami na pokładzie, z których jedna machała w stronę torpedowca białą chustką, dając jakieś znaki. Awaria? Pundado skrzywił się. Tym razem postanowił nie reagować na wezwania: niech się ratują sami. Sięgnął po lornetkę, poprawił ostrość obrazu i kiedy po chwili ujrzał w zbliżeniu osobę machającą chustką, zrobiło mu się gorąco.

Na dziobie dryfującego jachtu, z białą jedwabną chustką w palcach, stała sama Inez P. – sławna na cały Archipelag San Juan de la Cruz pieśniarka fado, mająca, jak o niej mówiono, rozległe znajomości w Ministerstwie Wojny i nie tylko. Na jej widok Pundado machinalnie sięgnął po galowe rękawiczki leżące pod oknem, po czym poprawił na piersiach pobrzękujące odznaczenia.

Szybko pochylił się nad miedzianą tubą telefonu rurowego, po czym ściszoneg głosem rzucił w głąb okrętu:

– Wszyscy na pokład. Alarm siódmego stopnia.

Stłumione echo rozkazu rozbiegło się miedzianymi rurami telefonu po zakamarkach „Estery”. Tam, w dole, pod pokładem, rozumiano go natychmiast. Inspekcja... Przecież ta Inez opowie ważniakom ze stolicy o wszystkim, co tutaj zobaczy! Jednym ruchem roztasował na stole mapy

Zachodniego Wybrzeża, przetaił chustką błyszczące cholewy swoich botfortów, po czym zdecydowanym krokiem wyszedł przed sterówkę.

– Ster lewo dziesięć! Spuścić trap!

Torpedowiec „916” powoli podpłynął do jachtu, rzucono trap, Pundado podszedł do relingu i zasalutował.

Ale już w chwilę później poczuł się nieswojo, bo oto na pokład torpedowca „916” weszła młoda, wysoka Indianka z purpurowozielonym piórem we włosach, odziana tylko w wąską skórzaną przepaskę na biodrach. Do diabła... Kątem oka dostrzegł ironiczne uśmiešky na twarzach marynarzy, którzy bezceremonialnie przypatrywali się szczególnie ciemnoskórej piękności.

Po niej na pokład weszła świetnie ubrana brunetka w czarnej, jedwabnej sukni, trzymająca w wypielęgnowanej dłoni zieloną torebkę z wężowej skórki, na której widniał złoty napis „Bettina”. Dopiero po chwili Pundado uświadomił sobie, że wpatruje się w jej smukłą nogę w jasnofiołkowym buciku na wysokim obcasie, wysuwającą się z rozcięcia w sukni. „Prawdziwa elegancja...” – pomyślał bezwiednie.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu na kontemplowanie smukłej linii bioder opiętych czarnym jedwabiem, bo oto na pokład weszła sama Inez P.

Miała na sobie białą spacerową suknię z jedwabiu naszywanego drobnymi perłami, lekką, zwiewną i wygodną. Od niechcienia poprawiała fałdy sukni, po czym skinęła ręką na znak powitania. Nadając swemu głosowi głębokie brzmienie, Pundado zameldował:

– Major Rufin Pundado melduje załogę torpedowca „916” w trakcie... – wzruszenie odjęło mu mowę, skłonił się więc przed gośćmi i uprzejmym gestem zaprosił na śródokręcie.

– Major Pundado? Cóż za niespodzianka! – powiedziała Inez swoim dźwięcznym, ciepłym głosem śpiewaczki fado, którego brzmienie znali wszyscy mieszkańcy archipelagu San Juan de la Cruz. – Właśnie rozmawialiśmy wczoraj o panu, a teraz trafiamy na pana okręt! Czyż to nie cudowne? Jak pan widzi, zepsuł nam się ster – Inez skinęła głową w stronę jachtu kołyszącego się przy burcie „Estery”. – Potrzebna nam pańska pomoc. Czy możemy mieć nadzieję, że pan nie odmówi?

– Ależ jak można wątpić... – odpowiedział Pundado, dopiero teraz przypominając sobie o marynarzach, którzy wciąż stali w równiutkim rzędzie przy dziobowej wyrzutni torped, patrząc w stronę trzech pięknych kobiet.

– Majorze – Inez zmrużyła sennie oczy. – Czy zechciałby pan oprowadzić nas po swoim okręcie?

Pundado skłonił głowę. – Załoga na stanowiska!

Uwiązano jacht za rufą „Estery”, po czym marynarze rozeszli się do swoich zajęć.

– Służba nie drużba – powiedział Pundado, widząc jej zainteresowanie pracą sekcji maszyn. – U nas warunki surowe. Wiadomo: jednostka specjalna. Ale co chciałyby panie obejrzeć na początek? – podsunął się usłużnie.

Inez uśmiechnęła się słodko.

– Ależ ciekawi nas wszystko, panie Pundado. Kiedy byłam dziewczynką, bardzo chciałam zostać marynarzem na krążowniku „Hispaniola” ... Ach, te marzenia z dzieciństwa...

– Ha, ha! – Pundado rozprężył się nagle. – Wiele bym dał, by mieć takiego marynarza w swojej załodze – zaryzykował małą rubaszość. – Najpierw pokażę swój warsztat pracy – dorzucił, z przyjemnością myśląc o mapach roztasowanych na stole nawigacyjnym.

– Mapy. Obliczenia. Dużo umysłowej pracy. Załoga dobrze wykształcona, ale nauczyć kultury, o, to osobna sprawa, dlatego wiele zamierzam wkładać w pracę wychowawczą. Bo ja tu jestem dopiero od niedawna, przedwczoraj dostałem przydział. Dotąd byłem w garnizonie w Tusco, gdzie zajmowałem się trudnym elementem, ludnością indiańską, której trzeba wpoić zasady ładu i porządku. To są, niestety, ludzie dzicy – Pundado spojrzął z niechęcią na Indiankę, która z trudem powstrzymywała wybuch śmiechu. – A najgorsze są ich kobiety. Rozsiewają zły wpływ...

– Co rozsiewają? – Bettina uniosła brwi, wygładzając na biodrze czarny jedwab sukni.

– Zły wpływ rozsiewają. Bo kobiety trzeba nauczyć gotowania, pielęgnacji i opieki zdrowotnej. Doktorzy z El Huaz założyli u nas niedawno kilka szpitali. Robią badania krwi, uczą higieny. Pułkownik Schwarzenberg bardzo wielką wagę przywiązuje do opieki i wychowania. Parę razy nawet wizytował nowe osiedla dla Indian. Wiele nas czeka jeszcze pracy i nie kryje się z tym, że...

– To znaczy, że Sanda – Inez wskazała z uśmiechem rozbawioną Indiankę – panu się nie podoba? ...

Pundado spuścił wzrok.

– To co innego. Ta pani jest z panią...

Kiedy weszli do sterówki, leniwym ruchem odprawił sternika, po czym zajął jego miejsce przy kole sterowym.

W kabinie kapitańskiej jeszcze nigdy nie widział równie pięknych kobiet, które stałyby, ot tak, po prostu obok siebie i na dodatek w jego miejscu pracy... „Przecież to są kobiety z koneksjami i to jeszcze jakimi...” – powtórzył w myślach. Oczywiście duszy ujrzał przed sobą złote schody kariery, idące coraz wyżej, wyżej...

– Więc, jak panie widzą, to jest stanowisko dowodzenia... Tu właśnie pracuję.

Inez, Bettina i Sanda rozglądały się po surowym wnętrzu.

– I pan zna się na tym wszystkim? – zapytała Inez na widok map rozłożonych na stole.

– To mój obowiązek.

Tymczasem Bettina zbliżyła się do pulpitu sterowniczego umocowanego pod oknem i bez zainteresowania rzuciła okiem na mosiężne uchwyty z napisem: „Cała naprzód”, „Stop”, „Cała wstecz”. Sanda puknęła palcem w okrągłą szybkę kompasu z fosforyzującą wskazówką. Tylko Inez przez chwilę zastanawiała się nad czymś, po czym patrząc w roztargnieniu na białą skrzynkę z czerwonym napisem „Salve”, zawieszoną obok drzwi, zapytała.

– A to, co to takiego?

– To? To awaryjne. Na wypadek, gdyby na przykład pożar.

– Mówiono mi niedawno, że człowiek z pana zdolnościami powinien dowodzić czymś znacznie większym.

– Dokładam wszelkich starań. – Pundado usiłował ukryć drżenie głosu. – My tu robimy, co możemy. Czyż jednak zasługuję na takie pochwały?

– Ależ zasługuje pan, zasługuje... – Inez dotknęła białym palcem jednego z dwunastu mauzerów, ustawionych na stalowym regale.

– Fe – wytarła batystową chusteczką ślad oliwy technicznej z palca. – A jednak – sennie przymknęła oczy – czuję dziwny niepokój w towarzystwie mężczyzn, którzy takie rzeczy noszą przy sobie.

Powachlowała się chusteczką.

– Panie Pundado. Ach, jak gorąco. Sama nie wiem dlaczego, ale taka jestem dzisiaj nieswoja i zła. Już od samego rana coś mi nie daje spokoju, chodzę po salonie, chodzę, aż Bettina śmieje się i mówi: „Co tak chodzisz i chodzisz? Popływajmy sobie dzisiaj trochę naszym jachtem po zatoce, to nam dobrze zrobi, spotkajmy się po południu na przystani w Los Carvia”. Więc, panie Pundado, niech nas pan tam podrzuci.

– Oczywiście, z przyjemnością. Ale dziś – ani rusz.

– Ani rusz? – Inez uniosła brwi.

– Płyniemy na zachód. Zgodnie z rozkazami.

– Ach, panie Pundado. Podrzuci nas pan do przystani w Los Carvia i nikt nawet nie zauważy.

Pundado nadal się uśmiechał, kręcąc wyrozumiale głową. Bettina tymczasem spoglądała znad manometrów.

– Panie Pundado – wycedziła – musimy się jeszcze dziś spotkać z paroma osobami. I to dość ważnymi. Czy pan to rozumie?

– Niestety, drogie panie, nie mogę zmienić kursu. Akcja specjalna... – przerwał w pół słowa, przypominając sobie o tajemnicy wojskowej.

– Jeśli tak – Inez wzruszyła ramionami, aby rozładować napięcie – to sobie damy z tym spokój. Nie wiedziałam, że nasza prośba może narazić pana na jakieś nieprzyjemności. A, swoją drogą, moi przyjaciele ze stolicy mocno się zdziwią, kiedy opowiem im o pana odmowie.

– Panno Inez – Pundado zniżył głos – proszę zrozumieć...

– Panie Pundado, pan po prostu nie chce spełnić mojej prośby.

– Ależ chcę! Tylko nie mogę!

– Jeśli tak, to pozwól pan, że wyjdziemy na pokład, aby zażyć słonecznej kąpeli – powiedziała chłodno Inez i podała mu do pocałowania swoją śnieżystą dłoń.

Major nie wyglądał dobrze. Jego kapitańska poza rozplynęła się jak grudka brudnego śniegu.

– Panno Inez... – zaczął pojednawczo.

Ale Inez nawet na niego nie spojrzała.

– Bettino, pożegnaj się z panem. Przejdziemy na dziób.

Pundado zawahał się. Co wybrać – regulaminy czy drobną przysługę, o której nikt przecież nie musi się dowiedzieć... Tymczasem Bettina otworzyła swoją torebkę z wężowej skórki i wyjęła ze środka błyszczący sztylet, podobny do długiego szydła.

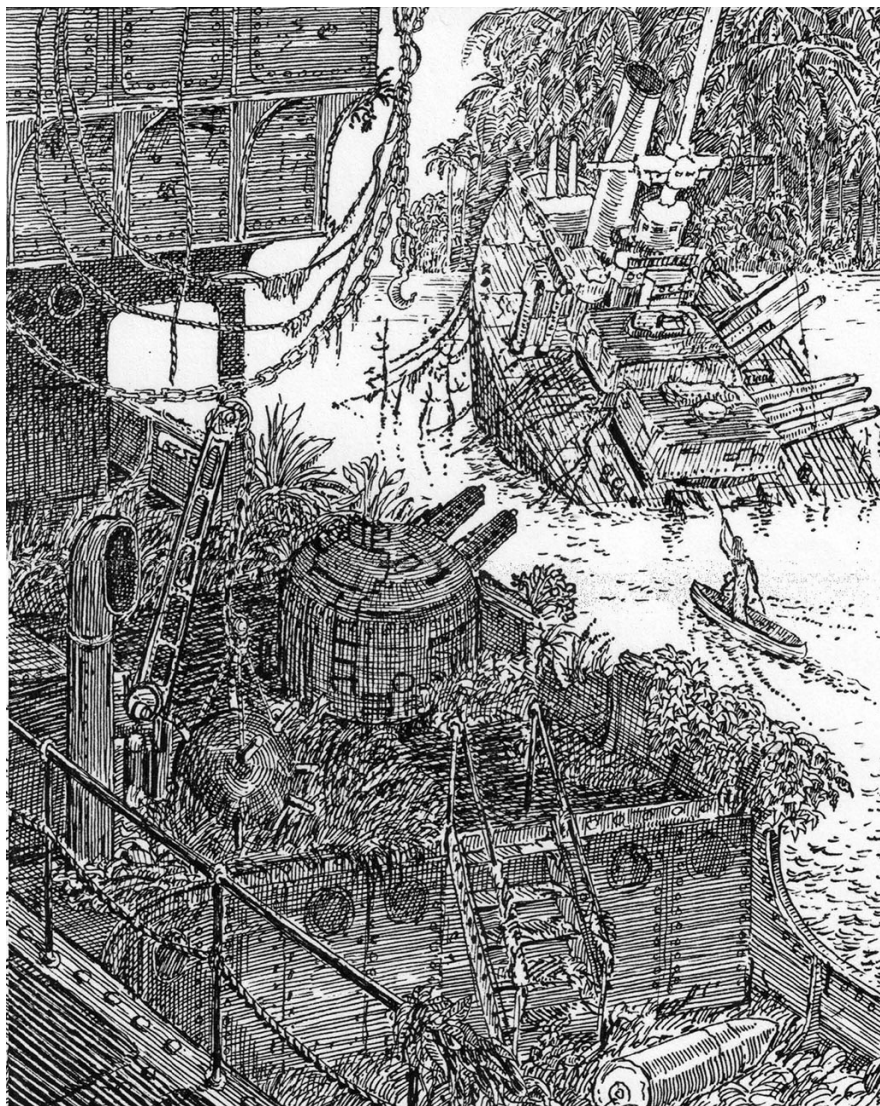
– Widzi to pan? – Pundado cofnął się instynktownie, ale ona błyskawicznie przytknęła mu zimne ostrze do wygolonej szyi. Poczul ukłucie w okolicach krtani. Wierzgnął, odpychając od siebie rękę, ale Bettina była szybsza.

Po chwili wzmacniając uścisk tak, że ledwie mógł złapać oddech, wyszeptala mu prosto w różowe, mięsiste ucho, porośnięte rudymi włoskami:

– A teraz wyda pan rozkaz: Alarm szalupowy III stopnia.

– Nigdy! Panno Inez, niech pani powie tej... szalonej. Przecież... to napaść z bronią w rękę na umundurowanego...

– Alarm...



– Nigdy! – Pundado zacisnął usta.

Wtedy Bettina przycisnęła mocniej czubek zimnego ostrza do świeżo wygolonego policzka.

– Bo stracę cierpliwość. Jeśli nie wydasz teraz rozkazu, przebiję ci nos tak, że się udusisz własną krwią.

W oczach Pundado zapaliły się błyski przerażenia. Spojrzał błagalnie w stronę Inez, ale sławna pieśniarka fado obojętnie odwróciła głowę w stronę okna.

– Potrzebny gwizdek – wyszeptał z trudem.

Bettina wyjęła świstawkę z górnej kieszeni kapitańskiego munduru i wetknęła mu ją do ust. Pundado przymknął oczy, nabrał powietrza, lecz ciągle jeszcze się wahał.

– No... – Bettina mocniej przycisnęła ostrze.

A więc wszystko na nic. Po złotych schodach kariery nawet śladu. Tyle lat pracy, wyrzeczeń i dyscypliny. Z bezsilną wściekłością dmuchnął w gwizdek, po czym zrezygnowanym głosem rzucił w tubę telefonu rurowego:

– Alarm szalupowy III stopnia.

Spod pokładu głuchym pomrukiem odpowiedziały mu okrzyki podkomendnych. Marynarze byli wściekli, bo już dwa razy w tym miesiącu musieli w ramach ćwiczeń popisywać się swoją sprawnością przed fagasami z Admiralicji. Klnąc pod nosem spuścili więc szybko na wodę dwie szalupy i zająwszy w nich miejsce, z wiosłami w dłoniach czekali na dalsze rozkazy.

Po chwili przed sterówką ukazał się Pundado, prowadzony pod rękę przez uśmiechniętą Inez i Bettinę.

Gdy ujrzał wszystkich swoich ludzi w szalupach, kołyszących się na wodzie parę kroków od burty „Estery”, raz jeszcze gwałtownym szarpnięciem spróbował się wyswobodzić z mocnego uchwytu, ale było już za późno. Pchnięty w plecy przeleciał przez reling, waląc się w morską toń. Marynarze błyskawicznie wciągnęli go do łodzi, przytrzymując mocno, bo czerwony z wściekłości wyrwał się w stronę „916”:

– Na co czekacie?! Brać je!

Nie miało to jednak zbyt wielkiego sensu. Co mogli zrobić teraz ludzie z torpedowca „916”, siedzący w dwóch szalupach, na widok czarnego, zamontowanego na dziobie, szybkostrzelnego działka systemu evers, które Sanda miękko obróciła w ich stronę? Mogli oczywiście rzucić się w pław, tylko że Indianka nie wyglądała na kogoś, kto ma ochotę na żarty. Jednym szarpnięciem odblokowała mechanizm spustowy i kiwnąwszy głową w stronę Inez, że wszystko gotowe do rozpoczęcia kanonady, krzyknęła do Bettiny, która właśnie stanęła za kołem sterowym:

Rys. Stefan Chwini



– Ruszaj!

Wystarczyło parę chwil, by z maszynowni dobiegło narastające dudnienie motorów. Inez zaś przechyliła się poprzez reling w stronę szalupy, w której siedział zaciskający pięści Pundado:

– A teraz rzucicie nam swoje wiosła. Wszystkie. Trochę tu sobie posiadzicie, może was ktoś wyłowi. Możecie być spokojni, okręt „916” znajduje się w dobrych rękach. Adios!

I purpurowo polakierowanymi paznokciami błysnęła im na pożegnanie.

Stefan Chwin

Michał Dąbrowski

Koncert

Nie do końca rozumiałem, na czym polegała wyjątkowość tego klubu: stare i brudne kanapy, krzesła z lat osiemdziesiątych, archiwalne plakaty na odrapanych ścianach, ogólnie rzecz biorąc cały wystrój pochodzący z odzysku. Oświetlenie zwyczajne, takie samo jak w tysiącach podobnych miejsc. Gdzieś przy suficie tliły się pomalowane na różne kolory – od ciemnego granatu po wściekłą czerwień – żarówki, jedynie bar był w miarę dobrze oświetlony, choć miałem wrażenie, że to lodówki dają najwięcej światła. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to ludzie tworzą klimat takich miejsc, to właśnie dzięki nim stają się one w jakiś sposób niepowtarzalne; jedni znajomi mówią drugim o zeszlotygodniowej imprezie czy koncercie i już w następny weekend grono bywalców powiększa się o kilka osób. Po jakimś czasie wszyscy się znają, tworzy się nieformalna grupa osób kojarzonych z tym miejscem. Co prawda po danym wydarzeniu wszyscy rozchodzą się do domów i raczej nie utrzymują ze sobą kontaktów na bieżąco, widując się tylko tam. Nie musisz się z nikim umawiać. Jak chcesz wyskoczyć gdzieś w piątek wieczorem, bądź pewien, że jeśli tutaj przyjdiesz, na pewno spotkasz kogoś znajomego i miło spędzisz czas.

Szczęśliwi ci, którzy są w takiej sytuacji, mają grono znajomych związanych z tym miejscem, pomyślałem smutno. Siedziałem sam przy stoliku na zewnątrz i paląc papierosa, patrzyłem na dwóch podstarzałych rockmanów, przekomarzających się z trzema o dwie dekady młodszymi dziewczynami. Podstarzali to jednak niezbyt trafne określenie: faceci byli mniej więcej w moim wieku, być może od dwóch, do czterech lat starsi, jednak bardzo mocno zahibernowani w swoim stylu: łysienie jednego z nich nie przeszkadzało mu dumnie nosić kucyka sięgającego łopatek, a piwny brzuch drugiego bardzo kontrastował z co najmniej o rozmiar za małą koszulką zespołu Slayer. Oni też są szczęśliwi, myślałem, rock and roll to całe ich życie, mnóstwo piwa, młode dziewczyny, imprezy, koncerty i wszystko, co się z tym wiąże; ciekawe czy nadal mieszkają z rodzicami? Oczywiście oprócz wspomnianej piątki, wokół mnie znajdowało się mnóstwo innych osób, jednak to właśnie oni przykuli moją uwagę. Gdybym nie opamiętał się o czasie, pewnie wyglądałbym tak samo, choć muszę przyznać, że nadal

mam słabość do koszulek ulubionych zespołów, nie grozi mi łysienie, więc przez myśl nie przeszło, aby ściąć włosy, jednak styl bycia mam już zupełnie inny; dowodem na to jest fakt, że nikogo z bywalców tego klubu nie znam, nikt nie podszedł, aby się przywitać. Kolejny raz w swoim życiu czułem się samotny w tłumie, choć nie było mi z tym źle, właściwie to przepełniała mnie swego rodzaju błogość.

Jedynym powodem, dla którego znalazłem się w tym miejscu, był koncert mojego dawnego zespołu. Historia jest krótka, zupełnie nie trzeba jej rozwlekać ponad miarę: około dwudziestu lat temu zapragnąłem spełnić swoje szczeniackie marzenie i spróbować sił w roli wokalisty zespołu metalowego. Traf chciał, że znajomi mojego kolegi szukali wokalisty, więc poszedłem do nich na próbę, wyrzyszczałem kilka naprędce napisanych tekstów i tak stałem się pełnoprawnym frontmanem kapeli o groźnie brzmiącej nazwie Scarecrow's Morality. Na koncertach jakoś mi szło, swoje ewidentne braki wokalne takie jak fałszowanie w czystych partiach, czy niemożność krzyczenia do rytmu we fragmentach agresywnych maskowane były przez bardzo często złe nagłośnienie. Jednak gdy przyszło do nagrania naszej pierwszej taśmy demo w profesjonalnym studio, moje ewidentne beztalencie wyszło na jaw, szczególnie jak wyłączyło się ścieżki basu, gitar i perkusji. Moje wokalizy brzmiały koszmarnie, ale w tym pejoratywnym sensie, a słuchając ich sam czułem się głęboko zażenowany. Moi koledzy stwierdzili, iż rzeczywiście mogło być lepiej, tu się wyciszy, tam wygładzi, jeszcze gdzie indziej doda jakiś efekt. Jednak kilka tygodni po nagraniu owego niesławnego materiału, umówili się ze mną na piwo i w miłych, acz nieznoszących sprzeciwu, słowach poinformowali, iż dziękują mi za współpracę, to nic osobistego, oni chcą się rozwijać, nagrywać coraz lepsze kawałki, a ja ze swoim wokalem skutecznie zatrzymałbym ich progres. W zamian za wkład w muzykę, fajną zabawę na próbach i kilka kawałków, jakie z nimi napisałem, otrzymałem darmowy i dozwolony wstęp na ich koncerty, z czego skwapliwie w późniejszych latach korzystałem. Na moje miejsce wskoczył zmęczony swoim instrumentem basista, a skład nadal został pięcioosobowy, ponieważ bardzo szybko znaleźli sobie kolejnego. Później historia zespołu potoczyła się szybko: nagrali jeszcze raz te same piosenki, powysyłali płyty do stacji radiowych, zagrali kilkanaście koncertów w warszawskich klubach, sukcesywnie stając się coraz bardziej popularnym zespołem. Owa popularność stała się pretekstem do kilku tras po kraju w towarzystwie zaprzyjaźnionych zespołów, nagrania jeszcze dwóch płyt i kilku mniejszych wydawnictw, a także uruchomieniu

całej linii koszulek i gadżetów z logo Scarecrow's Morality. Jedną z nich miałem właśnie na sobie: przedstawiała okładkę ich drugiej płyty, zresztą mojej ulubionej, kubek – jakkolwiek pretensjonalnie to brzmi – również znajdował się w moim posiadaniu, jednak kilka miesięcy temu został perfidnie strącony ze stołu przez mojego kota. Niemniej, po tych trasach, festiwalach – ich sława dotarła do Niemiec i Czech – kapela musiała zwolnić tempo. Na horyzoncie pojawiły się stałe związki, które z czasem zmieniły się w małżeństwa, oczekujące dzieci. Nie chcąc zmieniać składu, zespół zawiesił działalność na czas nieokreślony. I jak to w takich historiach bywa, trochę czasu musiało upłynąć, aby we wszystkich obudziło się szczere, niekierowane chęcią zarobku, pragnienie powrotu na scenę. W ich sytuacji zorganizowanie trasy dzięki wielu kontaktom w branży nie było problemem. Fani i dziennikarze muzycyści bardzo ucieszyli się na ich powrót. Nie posiadali nowego materiału, ale każdy wtajemniczony fan rocka i metalu wie, że jeśli zespół chce wrócić na scenę po przerwie, to nie nagrywa od razu nowej płyty, tylko rusza w trasę, obiecując wszystkim stare, sprawdzone hity, ewentualnie kilka niespodzianek. Nie miałem pojęcia, co w przypadku dzisiejszego koncertu Scarecrow's Morality miałyby oznaczać niespodzianki, jednak miałem wielką nadzieję, iż nie wywołają mnie na scenę, jako gościa specjalnego; kilka kawałków napisanych ze mną nadal cieszyło się koncertową popularnością, nawet ostały się moje teksty. Zupełnie nie miałem na to ochoty, a z treści piosenek pamiętałem tylko refreny.

Obserwując żenujący spektakl przekomarzania się dwóch brzuchatych fanów rocka i metalu, którzy dla miejsca, nie koncertu, przyszli tutaj z młodymi fankami Scarecrow's Morality, pomyślałem, że może wpadnę do nich na zaplecze, przywitam się, rzucę kilka uwag odnośnie do kolejności piosenek lub po prostu porozmawiam, jak za starych dobrych czasów. Jednak żeby to zrobić, musiałbym przecisnąć się przez tłum, stojący przy barze, gnieźdzący się pod sceną, w końcu wejść na scenę i dobijać się do kanciapy, w której urzędowali razem z technicznymi i jakimś młodym zespołem, który miał zagrać jako support. Sam pomysł był kuszący: nie miałem kontaktu z chłopakami od dłuższego czasu, kiedyś, jeszcze przed ich czasowym zawieszeniem działalności, widywaliśmy się na koncertach, potem jednak, gdy każdy z nich zajmował się swoimi sprawami, częstotliwość naszych spotkań drastycznie zmalała, a raczej zupełnie zanikła.

Jak dziś pamiętam ten dzień, gdy usłyszałem od nich, że nasze drogi muszą się rozejść. Było mi trochę przykro, jednak doskonale ich

rozumiałem: mieli w głowach cel i plany, jak go osiągnąć, a dla mnie było to tylko jedno z marzeń, które chciałem ziszczyć. Nie ćwiczyłem swojego głosu, kierując się trochę idiotycznym przekonaniem, że jakoś to będzie, w końcu uda mi się zaśpiewać dobrze, czysto i do rytmu. Chodząc później na ich koncerty, już w czasie rozkwitu popularności zespołu, stojąc w tłumie ludzi i patrząc na fanów skaczących ze sceny i noszonych na rękach, obserwowałem moich kolegów i wiedziałem, że są stuprocentowo zaangażowani w to, co robią, są świetnie zgrani i szczęśliwi na scenie. Ominęło mnie uczucie zawiści względem nich: nie miałem poczucia zmarnowanej szansy i nie próbowałem okłamywać siebie, iż tam, na scenie, z mikrofonem, mając za plecami wielką flagę z logo Scarecrow's Morality, to mogłem być ja.

Z klubu dobiegły mnie pierwsze dźwięki zespołu otwierającego koncert. Osoby siedzące w ogródku podniosły się i weszły do środka. Zduśiłem papierosa w popielniczce i również poszedłem ich posłuchać. Przy barze zrobiło się jakby przestronniej, jednak nie pusto: widać było, że nie wszyscy byli zainteresowani ich występem. Młody kwartet grał całkiem nieźle, jednak nikt się przy nich nie bawił, nie licząc trzech dziewczyn piszczących między kawalkami i machających głowami w trakcie ich trwania. Oto ich pierwsze trzy oddane fanki, pomyślałem, i zapewne partnerki, co zawsze idzie ze sobą w parze. Ludzie słuchali raczej z ciekawości i przyzwitości, choć muszę przyznać, że grali całkiem nieźle i nawet trochę ciężiej niż gwiazda wieczoru. Ich muzykę określiłbym, jako współczesny metal, bez dodawania etykietek: było szybko, ciężko, sprawnie technicznie, bez zbędnej i maskującej muzykę otoczki w stylu makijaży czy jednakowych uniformów; w paru utworach usłyszałem ewidentny wpływ późnej Pantery i echa Lamb of God. Publiczność biła brawo, ktoś coś do nich krzyknął, jednak na wesoło, z sympatii. Wokalista poinformował wszystkich zebranych, że ich płyta demo oraz koszulka są do nabycia po koncercie na stoisku z gadżetami. Zerknąłem w tamtą stronę: rzeczywiście obok różnorodnych produktów okraszonych logo Scarecrow's Morality, znajdowały się, w znacznie mniejszej ilości, ich płyty i koszulki. Wypatrzyłem również naklejki z logo; wezmę jedną i nakleję sobie na lodówkę.

Koncerty Scarecrow's Morality traktowałem zawsze w kategorii dość rozrywkowych spotkań towarzyskich. Nigdy nie chadzałem na nie same-mu; wybieraliśmy się w kilka osób. Często pojawialiśmy się w danym klubie wcześniej, jeszcze jak sala świeciła pustkami, zajmowaliśmy dogodne miejsca w części barowej, po czym dołączaliśmy do rozentuzjasmowanych fanów podczas koncertu. Rozejrzałem się po twarzach rosnącego tłumy:

wokół mnie nie było nikogo znajomego, był to pierwszy koncert Scarecrow's Morality, na którym byłem sam. Niemożliwym jest, żebym tylko ja jeden wiedział o tym koncercie. W internecie zrobiło się w pewnej chwili dosyć głośno o ich powrocie: dziennikarze muzycyści przeprowadzali z nimi wywiady, przy okazji przybliżając ich osiągnięcia. Zespół zorganizował sobie sesję zdjęciową, której owoce obieżyły się. Właściwie to nic się nie zmienili, nadal prezentując się najzwyczajniej na świecie: wyglądali jak fani metalu w okolicach swoich czterdziestych urodzin. W każdym razie zastanawiało mnie to, że nikt ze znajomych nie zawitał dziś na ich koncert. Czy tak bardzo przez te wszystkie lata wszystko się pozmieniało? Ludzie, z którymi tak ochoczo spędzałem czas przy akompaniamencie muzyki Scarecrow's Morality, zupełnie przestali się nimi interesować? Z drugiej strony nie miałem się czemu dziwić: priorytety zmieniają się i niekoniecznie może nim być koncert twoich kolegów i wieczór spędzony w rockowym klubie. Poczulem niespodziewane ukłucie melancholii w sercu, tęsknotę za minionym czasem, jednak to uczucie bardzo szybko rozpięchło się i na jego miejsce pojawiło się wspomnienie tych dwóch fanów rocka, którym przyglądałem się przed klubem; oni raczej nie doświadczali tego stanu, ponieważ w dalszym ciągu tkwili w tym, co ja miałem dawno za sobą.

Wokalista młodej kapeli zapowiedział ostatni utwór, jako próbę rozrachunku z własnymi demonami, co uznałem za dość pretensjonalne i dziecinne, jednak takie ich prawo. Chłopak zaczął rzucać się po scenie i opętańczo machać włosami, podczas gdy gitarzyści byli dużo bardziej statyczni i skoncentrowani na graniu, nie chcąc zagrać nierówno i pozostawić po sobie złego wrażenia. Wokalista naprawdę musiał śpiewać o swoich demonach: w końcowej fazie utworu wyglądał, jak osoba poddawana egzorcyzmom, tyle że z mikrofonem, a nie krzyżem, przy ustach. Trochę mnie to śmieszyło, choć doskonale rozumiałem jego młodzieńcze zaangażowanie. Te kilka koncertów, jakie dane mi było zagrać z zespołem, traktowałem raczej jako barwną przygodę, fajny etap w moim życiu, lecz podobnie jak ów wokalista – choć nie aż w takim stopniu – wczuwałem się w wykonanie piosenek. W tekstach byłem szczery wobec siebie, lecz z perspektywy czasu wydają się one bardzo naiwne; przed wyjściem na koncert odgrzebałem je na swoim komputerze. Wiele z nich było zainspirowanych moimi fascynacjami muzycznymi z tamtego okresu: jeśli zespół, którego namiętnie słuchałem umieścił na swojej płycie piosenkę traktującą o dwulicowym koledze, wtedy mój tekst oscylował wokół tej tematyki, mimo iż nie przeżyłem niczego podobnego, odwołując się do swoich wyobrażeń na temat tej

sytuacji, a nie do własnych doświadczeń. Tych kilka piosenek, jakie stworzyliśmy wspólnie powstawały według klucza: tekst musiał współgrać z nastrojem muzyki. I tak mieliśmy piosenkę agresywną-ciężką, depresyjną-przydługą, żartobliwą-skoczną, poważną-wolną oraz szybką-wściekłą, czyli skromny, acz zróżnicowany materiał. Do tego zestawu doszły jeszcze trzy numery, według mnie niczym niewyróżniające się na tle pozostałych: były po prostu szybkie, ciężkie i agresywne.

Młody zespół serdecznie podziękował publiczności i jeszcze raz zachęcił do kupna ich płyty bądź koszulki. Następnie z pomocą kilku technicznych zaczęli zbierać swój sprzęt ze sceny; na jego miejsce zawędrowała większa perkusja, nowe wzmacniacze, a przy suficie zawisała flaga: wszystko z logiem Scarecrow's Morality. Udałem się do baru po piwo i wyszedłem przed klub, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Reszta osób wpadła na ten sam pomysł i chwilę później przed wejściem zrobiło się czarno: takie wrażenie odniósłby ktoś obserwujący klub z kilkudziesięciu metrów; tylko kilka osób miało na sobie ubranie w innym kolorze.

Na zewnątrz było ciepło, wiosna rozpoczęła się na dobre. Nigdy nie lubiłem chodzić na koncerty w zimie, po wyjściu z klubu na mróz bardzo łatwo o infekcję. Wszystkie stoliki zostały zajęte, a ja nie miałem zamiaru dosiadać się do kogoś, zagajać rozmowy o gwieździe wieczoru i – cóż za kretyńska myśl – chwalić się, iż jestem ich oryginalnym wokalistą: pierwszy, legendarny skład, stuprocentowe podziemie i co ciekawsze anegdotki. Rzecz jasna historyjek – tych zabawnych i żenujących – miałem w zanadrzu aż nadto. Gdy spotyka się na próbie w sobotę popołudniu pięciu dwudziestolatków, nie może być grzecznie i spokojnie. Do tego jeszcze wpadają zaproszeni przez nas znajomi, aby zaraz po wysłuchaniu wszystkich gotowych kawałków, udać się z zespołem do najbliższego sklepu monopolowego i wrócić z zakupami do sali prób lub pójść do pobliskiego parku. Kilka razy ruszyliśmy również w miasto, naładowani pozytywną energią wynikającą ze wspólnego grania. Nasze eskapady obyły się bez ofiar, nikt również nie trafił na izbę wytrzeźwień, dostaliśmy jedynie kilka mandatów za spożywanie alkoholu w miejscach publicznych, a także zaliczyliśmy sprzeczkę słowną z grupą tak zwanych „starych metali” w pewnym pubie, kiedy to jednemu z nich nie spodobała się kapela widniejąca na koszulce naszego gitarzysty. Ogólnie rzecz biorąc działo się, a ja z perspektywy czasu niczego nie żałuję, nawet aktów drobnego wandalizmu polegających na bazgraniu markerami wszędzie, gdzie się dało naszej nazwy. I tak napis Scarecrow's Morality pojawił się w kilku wagonach metra, na niezliczonej

liczbie klutek schodowych i toalet, na bilbordzie wyborczym, konkretniej na czole kandydata, czy wiatach przystanków.

Patrzyłem na tłum kłębiący się przed klubem i zastanawiałem się, ile osób z branży pojawiło się na koncercie. Branżę rozumiem nie tylko jako wpływowych producentów muzycznych czy szefów niezależnych wytwórni, którzy na samym początku działalności danego zespołu przychodzą na jego koncerty, wsłuchują się w muzykę, szukając nowych twarzy. Z nimi Scarecrow's Morality byli już doskonale obeznani i nie musieli specjalnie zabiegać o ich względy; w tym aspekcie role zdążyły się odwrócić, to producenci i wytwórnie zabiegali o nich, traktując nagranie albumu w studio czy wydanie płyty jako reklamę swojej działalności. Podobnie rzecz się miała ze znanymi w światku muzycznym prezenterami radiowymi, którzy w swoich nocnych audycjach – taka muzyka raczej nie leci w eterze ciągu dnia – kształtowali gusta młodych słuchaczy. Teraz zespół nie spoglądał na nich wszystkich z podziwem; po tylu latach bytności na scenie dystans między nimi wszystkimi zanikł zupełnie: stali się grupą dobrych kumpli, z których jedni grają w kapeli, drudzy ich nagrywają, a kolejni prezentują w radiu lub wydają. Myśląc o branży nie można również pominąć członków innych, często zaprzyjaźnionych zespołów, choć z nimi sprawa zawsze była niejednoznaczna. Z jednej strony zaprzyjaźniali się, kapele zaczęły trzymać się razem, wspierać wzajemnie, jeździć w trasy i pomagać sobie, a z drugiej często takie znajomości okazywały się bardzo dwulicowe: festiwal obgadywania się za plecami, połączony z koncertem pochlebstw i podstępny zawieraniu sojuszy jedni przeciwko drugim. Pamiętam takie nieczyste zagrania z czasów, gdy obracałem się w tym towarzystwie: niedotrzymywanie umów, przekręty z rozliczaniem się za pożyczony sprzęt, obgadywanie siebie nawzajem na forach, a potem udawanie, że nic takiego nie miało miejsca i pozowanie wspólne do zdjęć po koncertach.

Wraz z kolegami z zespołu zawsze sądziliśmy, że znajomości wśród innych kapel są najważniejsze, na samym początku nie interesowała nas publika, która ewentualnie zachciałaby wpaść na nasz koncert, tylko właśnie wsparcie innych, bardziej doświadczonych muzyków. Bardzo dobrym miejscem do zawierania takich znajomości była impreza z muzyką rockowo-metalową, odbywająca się cyklicznie co tydzień w jednym z warszawskich klubów. Chodziliśmy tam często w tym okresie, gdy już dołączyłem do składu, jednak przed nagraniem niesławnego demo, ale już po nagraniu kilku koncertów. Impreza w swoim czasie była bardzo popularna: przychodzili na nią ludzie, którzy chcieli dać się porwać parkietowemu

szałości, jak i osoby pragnące spędzić czas ze znajomymi, porozmawiać przy swojej ulubionej muzyce, grzmiącej z głośników. Z czasem utworzyła się swoista, niepisana subkultura kojarzona właśnie z tym klubem i imprezą. Bywalcy bawili się szampańsko, a przy okazji zawierali nowe znajomości. I właśnie o nie nam chodziło: do klubu wpadali również członkowie co bardziej prominentnych zespołów, ludzie kojarzeni w warszawskim metalowym i alternatywnym światku, zdecydowanie bardziej otrzaskani w graniu koncertów i organizowaniu koncertów od nas, żółtodziobów. Impreza wpisała się na stałe w nasz grafik: po krótkiej naradzie stwierdziliśmy, że przynajmniej raz na dwa tygodnie delegacja składająca się z minimum dwóch piątych zespołu musi pojawić się w klubie, a Scarecrow's Morality w pełnym składzie zaszczyca swą obecnością klubowiczów raz w miesiącu. Dwóch z nas studiowało dziennie, podczas gdy reszta pracowała. Rzecz jasna nie przyjąć na piątkowe wykłady – impreza odbywała się w każdy czwartek – było zdecydowanie łatwiej, niż brać urlop na żądanie, więc padło na mnie, studenta pierwszego roku kulturoznawstwa, i gitarzystę, który zgłębiał na swej uczelni bliżej nieokreślone dla mnie zagadnienia informatyczne. Plan był bardzo prosty: wchodzimy, zamawiamy piwo i wypatrujemy innych kapel, podchodzimy do nich, przedstawiamy się i wymieniamy kontaktami, podając również adres naszej strony internetowej. Nic wielkiego, choć śmiałem się, że wygląda to jakbyśmy ich podrywali. Praktyka jednak bardzo często rozmijała się z teorią, ponieważ na naszej drodze stawały nagminnie dwie bardzo poważne przeszkody: kobiety i alkohol. Traf chciał, że na owej imprezie obowiązywała dwugodzinna promocja: za jedyne pięć złotych można było nabyć dwa półlitrowe piwa, z czego skwapliwie korzystaliśmy, kupując je na zapas w liczbie od sześciu do dziesięciu sztuk na głowę. Do tego trzeba dodać dużo atrakcyjnych młodych kobiet, które rzecz jasna podzielały nasze gusta muzyczne; inaczej nie byłoby ich tego dnia w klubie. Pewnego razu udałem się tam wraz z gitarzystą-studentem informatyki i gdy wychyliliśmy już po kilka piw, na naszym horyzoncie rzeczywiście pojawili się koledzy z pewnego zespołu, robiącego pomału karierę na warszawskich scenach i w lokalnych rozgłośniach radiowych. Poznaliśmy ich tydzień temu i mieliśmy zamiar naszkicować plan kilku koncertów w Warszawie i okolicach, które miałyby odbyć się na przestrzeni dwóch miesięcy. Jednak ich widok został kompletnie przysłonięty przez dwie fanki metalu, siedzące stolik dalej od nas i zalotnie spoglądające w naszym kierunku. Na dodatek kształtne ciało jednej z nich opięte było w koszulkę przedstawiającą okładkę płyty mojego ukochanego zespołu, druga

natomiast wpadła w oko gitarzyście; zwyczajnie nie mogliśmy się oprzeć. Historia zespołu obfituje w takie przygody, jednak najważniejsze jest to, że w końcu udało nam się przysiąc z nowo poznanymi muzykami i dopiąć szczegóły; reszta jest historią.

Dobrze jest wspominać, to taki rodzaj dialogu ze swoją osobą, w sytuacji gdy nie ma się do kogo odezwać. Tymczasem z wnętrza klubu dobiegły mnie dźwięki strojonych gitar przez technicznych zespołu; czas najwyższy udać się do środka, zaraz zacznie się koncert. Wszyscy zgromadzeni przed wejściem również wpadli na ten pomysł, więc dopchanie się przez salę barową do koncertowej zajęło trochę czasu. Nie zamierzałem iść pod scenę, machać włosami, skakać i wtórować wokaliście. Stałem z tyłu przy ścianie, zaraz obok stoiska z gadżetami, przy okazji chowając naklejkę pierwszego zespołu do kieszeni. Wreszcie dowiedziałem się, jak się nazywali: Sutter Cane. Wśród fanów zauważyłem charakterystyczne zniecierpliwienie: wszyscy wiedzieli, że do pierwszego od lat występu Scarecrow's Morality dzielą nas zaledwie minuty. Wśród tłumu ubranych na czarno osób, zauważyłem rodziców wokalisty; nasze spojrzenia się spotkały. Ski-nąłem im na powitanie, jednak nie miałem pewności, czy mnie poznali.

W tym właśnie momencie boczne światła na sali zaczęły przygasać, ustępując miejsca jasnemu oświetleniu sceny. Z głośników poleciało intro: mroczna, zupełnie nie gwałtowna, choć podszyta narastającym niepokojem muzyka. Fani próbowali ją przekrzyczeć, gwizdząc i skandując nazwę zespołu, a następnie wiwatując na widok muzyków instalujących się na scenie. Nie musieli sprawdzać, czy gitary są nastrojone, perkusja i mikrofon działają jak należy; posiadanie swoich własnych technicznych, nawet jeśli wynajętych tylko na ten koncert, mówiło co nieco o statusie zespołu. Bez zbędnych ceregieli, bez konieczności przedstawiania się i informowania zebranych o tym, skąd pochodzą i jak się nazywają, w otocze pełnego profesjonalizmu, uderzyli jednym z bardziej znanych swoich utworów. Piosenka zaatakowała zebranych agresywnym riffem, bardzo szybką perkusją oraz wrzaskiem wokalisty. Pod sceną od razu się zakotłowało. Z miejsca, w którym się znajdowałem, mogłem zaobserwować zderzające się ciała fanów oraz fruujące włosy: jedni koncentrowali się na skakaniu i objaniu się o siebie, podczas gdy inni tylko stali i machali głowami. Zaraz potem pojawili się pierwsi amatorzy skoków ze sceny i fruwania na rękach; to ostatnie swego czasu praktykowałem dosyć często. Pierwsze trzy utwory przemknęły niczym burza. Dopiero teraz wokalista przywitał się z fanami, jednocześnie dziękując za tak liczne przybycie oraz wyrażając zdziwienie,

że przez tych kilka lat zespół pozostał żywy w ich pamięci. Czwarta piosenka miała znacznie bardziej rozbudowaną strukturę i wolniejsze tempo, choć nazwanie jej balladą byłoby sporym nadużyciem. Ot, chwila wytchnienia dla muzyków, po której uderzyli jeszcze brutalniej, niż zaczęli swój koncert. Słuchając ich dzisiejszego repertuaru, zauważyłem, że pochodzi on w dużej mierze z dwóch ostatnich płyt; zastanawiało mnie, czy usłyszę jakąś „swoją” piosenkę wraz z własnym tekstem. Byłem pewien, że jeśli tak się stanie, to zagrają ją na sam koniec, być może w formie bisu, jednak tu się pomyliłem, gdyż zabrzmiała jako szósta z kolei. Mój tekst o jesiennej chandrze z perspektywy czasu brzmiał naiwnie, wręcz dziecinnie, jednak cieszyłem się, że wykonywali go bez zmian; jedyną modyfikacją było to, że został zdecydowanie lepiej zaśpiewany. Ze mną jako wokalistą nigdy nie doczekaliby się takiego uznania wśród fanów i krytyków. Koncert trwał w najlepsze, a używając terminologii znanej z pism muzycznych: zespół nie brał jeńców. Pod sceną panowało istne szaleństwo. Pomyślałem o tym, że gdybym był młodszy, miał więcej energii i chęci do zabawy, również cały koncert spędziłbym, szalejąc przy samych barierkach. Wokół mnie stali fani mniej więcej w moim wieku, i starsi. Pod sceną szalały osoby o kilka do kilkunastu lat młodsze od nas; nie ma lepszego miejsca na zaobserwowanie rotacji pokoleń niż koncert metalowy.

Po ponad godzinnym występie Scarecrow's Morality zeszli ze sceny, jednak bardzo szybko na nią wrócili, aby zagrać dwie piosenki na bis, z czego jedna należała do tych archiwalnych, napisanych za mojej kadencji. Po nich zespół definitywnie opuścił scenę, zapalono światła, puszczone muzykę z głośników, a techniczni zabrali się za usuwanie sprzętu ze sceny. Większość fanów skierowała się do wyjścia, przedtem jednak odwiedzając bar. Kupiłem piwo i wyszedłem z nim na zewnątrz. Zauważyłem kilka taksówek; musiały być zamówione jeszcze podczas trwania koncertu. Nie miałem pomysłu, co dalej robić. Kusiło mnie, żeby jeszcze pokręcić się po klubie i spotkać się z kolegami, jednak miałem przeczucie, że jeśli spotkam się z nimi na zapleczu, to poczuję się jak zbędny element układanki, osoba, która może i jest zawsze mile widziana, jednak w kontekście dzisiejszego scenicznego sukcesu, triumfalnego powrotu do koncertowania, jej obecność znaczy bardzo mało. Nie chciałem, aby ktoś z zewnątrz, ktoś, z kim się nie znam, widząc, jak witam się z kolegami, gratulując im bardzo udanego występu po długiej przerwie, pomyślał o mnie, jako o pochlebcy, starym fanie Scarecrow's Morality, któremu pierwszy raz w życiu było dane spotkać się z zespołem. Tłum pod klubem rozrzedził się, choć wiele osób

najwyraźniej postanowiło właśnie tutaj spędzić piątkowy wieczór. Słońce zaszło już jakiś czas temu. Dopilem piwo i postanowiłem wrócić do domu. Wsiadłem do pierwszej taksówki stojącej pod klubem.

W domu nasypałem kotu suchej karmy do miski i przy piwie kupionym w sklepie nocnym usiadłem do komputera. Dopiero w tej chwili uzmysłowiłem sobie, że nie zrobiłem żadnego zdjęcia na koncercie. Mała strata, w Internecie, w przeciągu kilku godzin na pewno pojawią się ich dziesiątki. Coś mnie tknęło i otworzyłem folder noszący nazwę Scarecrow's Morality i zacząłem przeglądać pamiątkowe fotografie. Największym sentymentem darzyłem te przedstawiające mnie w roli wokalisty. Patrzyłem na nie i uśmiechnąłem się do siebie: jacy jesteśmy na nich młodzi, jak niewiele wiemy o życiu i zupełnie nie mamy pojęcia o tym, co nas spotka, jak potoczy się kariera zespołu, czy nagramy tylko jedną płytę demo, po czym każdy pójdzie w swoją stronę, czy też grupa będzie działać długo z sukcesami. W spojrzeniach nas wszystkich widać pasję i radość. Inne zdjęcia przedstawiały późniejszy okres działalności zespołu, już beze mnie na wokalu. Można było zauważyć, jak z koncertu na koncert tłum pod sceną gęstnieje, standard miejsc, w jakich występuje zespół poprawia się; pojawiają się również dziennikarze, lokalna telewizja; wszystko nabiera rozmachu. W końcu przestałem oglądać zdjęcia, przecież znam je na pamięć. W uszach czułem charakterystyczny pisk pojawiający się zawsze po koncertach, jednak nie byłem obolały od szaleństw, odbywających się pod sceną: kolejny dowód na to, że czasy się zmieniły. Zrobiło się dosyć późno. Odczuwałem pewną ambiwalencję odnośnie mojego opuszczenia klubu po koncercie; teraz być może bawiłbym się wśród zespołu i jakichś przypadkowych osób, a nie sączył piwo przed komputerem i trzymał kota na kolanach, ale przecież już tam nie wrócę. Sprawdziłem telefon i stało się to, co przewidywałem: nikt z zespołu nie napisał do mnie, jestem prawie pewien, że nie wiedzieli, czy byłem na koncercie, chyba że któryś z nich wypatrzył mnie ze sceny. Teraz to nieistotne, pomyślałem.

Poczułem się senny i postanowiłem nie zarywać nocy, tylko obudzić się rano względnie wypoczęty. Wyłączyłem komputer i chwilę później byłem już w łóżku. Wraz z nadejściem snu moim oczom ukazała się sala koncertowa widziana ze sceny. Tłum falował i kotłował się. W dłoni trzymałem mikrofon, krzychałem do niego, żeby zaraz potem szaleńczo kręcić głową, a między utworami przybijając piątki z fanami, stojącymi przy samych barierkach. Wszystko skąpane było w kolorowych i nieustannie zmieniających się światłach. Mój zespół grał bardzo sprawnie, a ja wiedziałem, że jest

to nasz najlepszy koncert w karierze. Biła z nas energia, która trafiała do fanów, a oni w mgnieniu oka oddawali nam ją ze zdwojoną siłą. Z tyłu sceny wisiał ogromny baner z logo zespołu. Między piosenkami utrzymywałem świetny kontakt z publiką, zapowiadałem kolejne kawałki, opowiadałem anegdotki; czegokolwiek bym nie powiedział, moje słowa przyjmowane były z nieustającym aplauzem. W fosie pod sceną kłębili się fotografowie, jednak błyski fleszy mnie nie oślepiały. Zespół grał na pełnych obrotach, a reflektory rzucały światło na las rąk, jaki pojawiał się po każdym kawałku. Świat wirował, a mnie przepełniało szczęście: zespół, którego jestem wokalistą, święci triumfy, ma oddanych fanów, którzy znają każde słowo napisanych przeze mnie tekstów, nasza nowa płyta sprzedaje się świetnie. Nie mamy sobie równych. Świat należy do nas.

Michał Dąbrowski

Adam Wiesław Kulik

Nostalgia Wschodu. Jaćwieska rubież

(fragment)

Od Kruszyńian jedziemy w nieznaną. Nigdy wcześniej nie byliśmy na rowerach dalej na północ.

Najbliższe są Krynki, stare, kilkusetletnie miasteczko z jedynym w Polsce wielobocznym rynkiem. Uliczki rozchodzą się gwiazdźście, doskonale to widać na zdjęciach z góry. Stojąc na rynku, ma się wrażenie pewnego nieuporządkowania, chaosu. Mnie interesuje Sokrat Janowicz, białoruski poeta, eseista, który tu się urodził, żył i tutaj zmarł. Jego eseje *Białoruś, Białoruś...* na zawsze zmieniły moje widzenie kultury polskiej! Dopiero on potrafił ją dowartościować, pokazać jej wielkość i wartość na tle kultur narodów ościennych, unaoczniał jej atrakcyjność i znaczenie nie tylko dla Ukraińców czy Białorusinów, także dla Rosjan. To powinna być lektura obowiązkowa w każdej szkole. Dlaczego tej wiedzy nie wyniosłem ze szkoły, z uniwersytetu!? Kto i czego mnie uczył przez 17 lat?

Mamy natręta – chłopaczek, z przesadną rezolucyjnością, pragnie być naszym przewodnikiem. Pokazuje dom, w którym mieszkał Janowicz, prowadzi do restauracji, pod cerkiew. Drażni nas, ale nie odtrącamy go. Rezygnuje sam zniechęcony naszą zbyt długą sjestą na przycerkiewnych ławach.

Na drzwiach cerkwi stary wyborczy plakat agitacyjny: „By wiara naszych ojców była wiarą naszych dzieci”. Informacje o dwóch prawosławnych kandydatach na posłów do sejmu i jednym do senatu.

Przeczekujemy południowy skwar, polegając w zapachu kwitnących lip. Miasteczko ma świetną przeszłość. W 1434 roku zjechali się tutaj król Władysław Jagiełło z Zygmuntem Kiejstutowiczem, którego w tym właśnie miejscu ogłoszono wielkim księciem litewskim. Wznowiono unię polsko-litewską. Miasto leżało na trakcie z Grodna do Brześcia, herb nadał mu król Zygmunt Stary w roku 1509, czy to nie ironia historii, że tylko ono z wymienionych miast zostało w granicach Rzeczypospolitej? Musiało być całkiem duże, skoro w XVII wieku rozróżniano Stare i Nowe Miasto z dwoma rynkami i trzynastoma ulicami.

W 1905, roku rewolucyjnych rozruchów, powstaje Republika Krynecka. Jeszcze 25 lat temu stała tu XVIII wieczna drewniana cerkiew. Już jej nie ma. Mieszka kilka rodzin tatarskich.



Autor (po prawej) z Sokratem Janowiczem, Senat RP 1993.

Fot. Elżbieta Mroczkowska

W styczniu 1993 roku, w Senacie Rzeczypospolitej, razem z kilkunastoma osobami, odbieraliśmy z Sokratem Janowiczem nagrodę australijskiej Polcul Foundation. Była okazja porozmawiać o pograniczu, mniejszościach narodowych, jego twórczości. Był ciekaw mnie, a ja jego. Sprawiał wrażenie dobrotliwego, korpulentnego safandudy, tylko oczy ujawniały zmęczenie i dystans, z którym patrzył na otaczający świat.

W 2007 roku sam przyznał się, że przez 12 lat współpracował z SB. Na ile go znam z tej krótkiej rozmowy, a przede wszystkim z twórczości, głębokiej, mądrej jak rzadko u nas, tajniacy postawili mu mafijną „propozycję nie do odrzucenia”. Dla człowieka tej głębi patrzenia na ludzi, na swój czas, musiał to być dramat. Zapłacił za tę słabość z nawiązką. Po zerwaniu współpracy był inwigilowany, gnębiony, wyrzucany z pracy gdziekolwiek ją podjął. Jak sam mówił, zaliczył z pięćdziesiąt zakładów pracy. Dopadając

takich ludzi jak on, czy Paweł Jasienica, Los okazuje wyjątkową nikczemność. Jak nie myśleć o Ręce, która osłaniała w tamtym ponurym, łajdackim, łamiącym ludzi czasie... Dla mnie zostanie na zawsze mądrym pisarzem, który opowiedział mi, co to jest polskość. Jego zasługi zmazują winy.

Nie tylko na mnie zrobił wrażenie. Adam Michnik: „Czy jest sens podejmowania walki beznadziejnej, walki z potężną carską Rosją, w sytuacji kiedy nikt powstańcom nie pomoże? Wtedy i my [...] stawialiśmy sobie podobne pytania w „Solidarności”. Jak z tym żyć? W tym momencie książka Janowicza, a konkretnie *Srebrny jeździec*, wydała mi się książką trafiającą w sedno wszystkich debat [...]. To piękne opowiadanie stanowi wręcz instrukcję, jak należy się zachowywać, gdy się wpadnie w łapy bezpieki: żadnych rozmów, żadnych podpisów, żadnych zeznań, nie próbować ich przechytryć. Po prostu uznać, że to jest trochę tak, jakby się wpadło w dziurę z gównem. Z dziurą z gównem się nie dyskutuje, nie przekonuje się, że ono jest nieszlachetne. Tylko po prostu się swoje robi. Jednocześnie w tej książce jest tęsknota za etosem [...]. By nie kapitulować, nie poddawać się, być wiernym temu co najważniejsze, choć najtrudniejsze”¹.

Teraz Michnik staje w obronie esbeków, tych samych, którzy łamali i prześladowali Pawła Jasienicę, Sokrata Janowicza, broni esbeckich praw i emerytur, na które zapracowali, bijąc, łamiąc i prześladując ludzi. Mając potężną gazetę w rękę, Michnik zabrał nam 25 lat i nadal nie rozumie, że postąpił podle. Bez jego wpływu na opinię publiczną, forsowania w zaparte utopijnej wizji jakiegoś postsocjalizmu, kiedy wszyscy na samą myśl o nim wymiotowali, bez gorliwej obrony namiestników imperium, Polska dawno by się oczyściła z pomocników Kiszczaka, Jaruzelskiego, z komunistycznych aparatczyków, szpicli. Męczy się z tym już drugie pokolenie. Co myśleć o tym człowieku? Czerwony trąd, czerwone ukąszenie...

„Wora nieprawości, skrzyni łotrostwa” nie sposób zawiązać, zabić najdłuższymi gwoździemi. Przewalają się przez wszystkie epoki jak fosforyzujące opary trucizny.

Gnając po Ścianie Wschodniej zapomnieliśmy o jedzeniu. Objeżdżając wielokątny rynek w Krynkach, uwagę przyciągnęła Gospoda pod Modrzewiem. Co, jak nie regionalne danie – kartacze. Wewnątrz przestronnie, żywego ducha prócz nas i obsługi, wystrój niewyszukany, proste, drewniane stoły i krzesła ale czysto, schludnie. Kartacze znakomite. Młodzi właściciele okazali się ludźmi kontaktowymi, życzliwymi; słowo po słowie

¹ https://pl.wikipedia.org/wiki/Sokrat_Janowicz [dostęp 6.08.2024].



Krynki, Rynek.

i ujawnili tajniki przyrządzania potrawy. Kartacze gotują w wodzie, w której wcześniej dusili mięso na tę potrawę. Oczywiście wszystkiego nie powiedzieli, i nawet nie chcieliśmy tego.

Wieziemy się w stronę Sokółki. Moim kompaniom asfaltowa wygoda zaczęła odpowiadać do tego stopnia, że nie bardzo chcą skręcać do Bohonik, gdzie stoi drugi meczet tatarski.

– Jeden baraczek na łące już widziałeś...

Niby żart, niby dowcipny. Użeranie się męczy, podróż, zamiast przyjemności poznawania, zamienia się w pokutę. Nie ma mowy, żebym zrezygnował, skręcam na Drahle. Zaraz za wioską szutrówka, w samych Bohonikach wjeżdżam na kocie łby.

Wieś schludna, zadbana, zagrody otaczają porządne płoty, nierzadko malowane. Meczet z połowy XIX wieku jest niewielki, niemal kwadratowy, kojarzy się z tym, który stał w Lebidziewie koło Terespoła, i który spalili Rosjanie (1915), niszcząc wszystko jak pożoga w ucieczce na wschód. Lśni jasnym kolorem nowego szalunku. Wpuszcza nas dziewczyna z monstrualnym biustem, który działa niepokojąco, ale w MAT wzbudza odruch niechęci. Dla niego ten rozmiar to już wynaturzenie. Dziewczyna zatrzymuje się na progu sali modlitwy i dalej nie wchodzi, pozwala jednak myszkować po wszystkich kątach.



Bohoniki, wewnątrz meczetu, poł. XIX w.

Na ścianach cytaty z Koranu, zdjęcia Mekki, w korytarzyku projekt minaretu wykonany specjalnie dla tego meczetu.

– Chyba nic z tego nie będzie – mówi przewodniczka. – Nie wybudują, nie ma dla kogo.

– A ilu wyznawców tu mieszka?

– Około dwudziestu, pięć rodzin.

Obok prostokątnych, w pionie i poziomie, kunsztownych cytatów z Koranu, wyżej, zawieszono okrągłe pojedyncze znaki malowane złotą farbą na czarnym tle. Przeważa jednak kolor, zielone lub niebieskie tło w różnych odcieniach. Al-Kaba w różnych wersjach

– jedna przedstawia ją w zielonkawym, poziomym owalu umieszczonym centralnie w pionowej, prostokątnej ramce, na niebieskim tle. Nad i pod owalem po cztery rozkwitłe kwiaty róż. Do tego mnóstwo drobniejszych kwiatów tworzących jakby wewnętrzną ramę obrazu. We wnęce o nazwie mihrab, zwróconej w stronę Mekki, stojak wykonany z dwóch skrzyżowanych ukośnie desek w kształcie litery X. Na nim kilka ksiąg. Oglądamy Koran umieszczony w lewym rogu świątyni. Całą podłogę przykrywa amarantowy dywan w poprzeczne, jasne pasy.

– Najprawdopodobniej w Białymstoku zostanie wybudowany nowy meczet. Tam mieszka sporo Tatarów – mówi dziewczyna.

Mizar, położony tuż za wsią, jest o wiele bardziej okazały, zadbane od tego w Kruszynianach. Spisuję imiona z nagrobków: Fatma, Fatyma, Chalima ale i Halima, Ajsza, Zelida, Tamira, Azyma, Lejla, Alza, Tanzila – skrzy się w nich i ńęci cały Wschód. Męskie: Sabit, Abraham i Ibrahim, Remazan, Samuel, Aladyn, Murat, Salich, Mahmed – jak z baśni tysiąca nocy. Pewne

części mizaru okupują całe rodziny – szereg grobów obok siebie Półtorzycznych. Przypomina mi to wydzielone i odgradzone wewnętrznym murkiem rodzinne miejsca pochówku na islamskich cmentarzach w okolicach Baku, w Azerbejdżanie.

W myślach szukam polskich odpowiedników imion, używanych na co dzień, dla wygody i pewnie by nie szokować innością. Halima może być Haliną, ale jaki odpowiednik znaleźć dla Ajszy, Zelidy czy Tanzili?

*

Dzisiaj do meczetu prowadzą nie kocie łby, lecz asfalt, meczet już nie jest seledynowy, ale malowany na brąz. Wokół niego plac starannie wyłożony płaskim kamieniem i wyraźnie wyodrębniony wysokim płotem, który tworzą gęsto posadzone w rzędach drzewa cyprysopodobne. Przy ścianach starannie pielęgnowane kwietne rabatki. Wiejska, naturalna siermiężność, którą zapamiętałem z roku 1997, kiedy z Igozem Tratkowskim kręciliśmy dokument o polskich Tatarach, naturalne, swojskie połacie murawy, która wówczas otaczała budynek, zniknęły. Do Bohonik wkroczyła cywilizacja na wysoki połysk. Nie cieszę się, stąd krok do cepelii.

Tak jak w roku 1989, momentalnie zjawia się pani przewodnik i wpuszcza nas do wnętrza. Po prostu mieszkańcy domu stojącego naprzeciw meczetu, po drugiej stronie drogi, reagują na turystów. Tym razem przekaz jak z płyty, jakbym słyszał Ali Popławskiego z Kruszynian. Wyposażenie wnętrza po latach wydaje się pełniejsze, po obu stronach mimbaru (rodzaj kazalnicy), przybyły na ścianach dwie duże, raczej makaty niż dywany, z wizerunkami Al-Kaby. Zasłaniają niemal całą dolną część ściany od podłogi po okna.

Mówię o filmie, który przywiozłem, Jusufie Konopackim, który okazał się wspaniałym, naturalnym narratorem – grał jak urodzony aktor. Pani przewodnik (czerwone spodnie, biały kabacik, po sześćdziesiątce) reaguje błyskawicznie:

– Wyjdźmy na chwilę, właśnie odjeżdża szef gminy muzułmańskiej, może być zainteresowany.

Wybiegamy z meczetu, auto już wyjeżdża z posesji, ale na machanie przewodniczki zatrzymuje się. Krótka wymiana zdań, oddaję płytę z filmem, może przyda się tutaj, może w sokólskim muzeum, może w tamtej-szej szkole?

Zdjęcia do filmu zaplanowaliśmy w piątek, w czas modłów. Polscy Tatarzy, w przeciwieństwie do karaimów, nie ocalili własnej muzyki. Jedyne, co mogłem zrobić, to nagrać modły w meczecie ze śpiewami, melorecytacją i taką ścieżką dźwiękową się podeprzeć. Filmowaliśmy z zewnątrz przez uchylone okno po lewej stronie meczetu. Nie było mowy, żeby przeszkadzać podczas modlitw, które prowadził muezzin Kuntus Szczęsnowicz. Pomysł wypalił. Tylko pod lektora czytającego wiersz Selima Chazbijewicza musiałem poszukać muzyki, która oddawałaby klimat wiersza, ale i nostalgię Wschodu.



Bohoniki, realizacja filmu *Dziedzictwo stepu*.
Pierwszy z prawej Jusuf Konopacki, za kamerą Igor Tratkowski.

Na skraju wsi, na pagórze położyliśmy jazdę i stąd, w dalekim planie, filmowaliśmy narratora chodzącego w zbożu i mówiącego o osadnictwie w Bohonikach². Natura tworzyła klimat.

*

Do Sokółki wtaczamy się jeszcze o słońcu; małe miasteczka wieczorową porą – klimat zadumy, przemijania, swojskości i ciepła w zapadającym nieśpiesznie zmierzchu, poemat. Miasto nadał Bonie król małżonek,

² Film ma drugą wersję pt. *Dzicy wojownicy stepu*. Scenariusz, reżyseria A. Kulik, zdjęcia Igor Tratkowski, TV Polonia 2000.

Zygmunt Stary. Bryły klasycystycznego kościoła św. Antoniego i prawosławnej cerkwi św. Aleksandra Newskiego, też szukającej oparcia w tym stylu, wydają się eleganckimi wtrętami z innego świata. Nie jest to jednak dysonans, na kresach, a Ściana Wschodnia jest ich pozostałością w całym znaczeniu tego słowa, wszystko godziło się ze wszystkim. Bezkolizyjnie, w dobrej wierze, z ciepłą akceptacją, do czasu kiedy obcy macherzy zaczęli grzebać wśród ludzi, wywołując podziały. Miasteczko zawsze służyło z garbarni skór, prowadzonych, oczywiście, przez Tatarów. Także z targów



Sokółka 2020 r.

koni i bydła. Po drodze wyczytałem informację, że w ostatnich latach XIX stulecia, kiedy zagarnęli je Rosjanie, na 4838 cywilów bytowało tutaj 2700 żołnierzy. Znajac Rosję, więcej niż prawdopodobne.

Dzisiaj: Tym razem jesteśmy w środku dnia i mamy dużo czasu. Obfotografuję rozległy plac w centrum, świeżo odnowione budynki, główną ulicę ze starymi domami. Niektóre mogą mieć metrykę XVIII-wieczną, są długie, przysadziste z lukarnami w dachu. W innych zachowały się charakterystyczne żydowskie kuczki w formie krytych i oszklonych balkonów.

Przy głównej ulicy zwraca uwagę długi parterowy budynek z drewna, stojący „po wiejsku”, kalenicą, całą długością, do ulicy. Inne, dawnym, miejskim sznytem – szczytami. Muzeum Ziemi Sokólskiej, niestety zamknięte. Pandemia koronawirusa. W lipcu 1997 spędziliśmy w nim, z Jusufem Konopackim, cały dzień, filmując ikonografię, herbarze i tatarskie pamiątki. Na ścianie sąsiedniego budynku, pomiędzy pilastrami, tablica upamiętniająca 330 lat osadnictwa Tatarów na Podlasiu, i data 1679-2009. Zagłębiam się w boczne uliczki. Czuje się dawną aurę prowincjonalnego, kresowego miasteczka; zaniedbane, rozczłapane jak stary chodak domy z mnóstwem przewodów elektrycznych biegnących od słupów, szerniałe, zapuszczone elewacje, ganki z łuszczącą się farbą. Solidny, długi budynek z białej cegły, jakby okopcony, cztery okiennice, solidnie okute żelazem zamknięte na glucho. Konstrukcja podwójnych, metalowych wrót w centrum ściany jakby żywcem z zamczyska, z kazamatów. Na żelastwie czerwony anons: starosta sokólski zaprasza na spotkanie z premierem RP 2 lipca 2020, na placu przy pomniku marszałka Piłsudskiego. Co mogło tu być, magazyn, garbarnia, sklep?

Zaułki kojarzą się ze zgrzebnymi latami 60., z Gomółką w rozkwicie, tamtą biedą, siermiężnością. Zapieniający się, dosłownie, godzinami na mównicy pierwszy sekretarz pezetpeerii budził jednoznaczny odruch niechęci. Byliśmy przytłoczeni komuną, milicją, która mogła wszystko, ale ludzie byli nastawieni do siebie życzliwie, solidarnie. Chętnie każdy drugiemu pomagał, zwłaszcza na wsi, kiedy przychodził czas żniw, młócenia czy zbioru ziemniaków, buraków. Kto pierwszy potrzebował pomocy, zapraszał sąsiadów „na odrobek”. Kończyła się robota, szedł do sąsiada odrabiać – czasem były to kombinacje alpejskie: ja pomogłem tobie, ale nie mam czasu odrobić drugiemu – idź do niego za mnie, dług zostanie anulowany. Wróg był znany. Nie mówiło się o nim głośno, ale każdy wiedział, co jest grane, przed kim można powiedzieć dowcip, a przed kim lepiej zmilczeć, bo mógł donieść. Żyliśmy w luźnej, niespecjalnie dotkliwej schizofrenii. Niespecjalnie, bo każdy miał większy lub mniejszy kawałek ziemi, zimą ruszała cukrownia i można było podreperować finanse, wiosną i latem sprzedać, co urodziło się w sadzie i na podwórku. Do kościoła, za wyjątkiem zawsze zbuntowanych młodych, każdy szedł z ochotą. Nikomu nie przewracało się w głowach, bo każdy zastanawiał się, jak w miarę najmniej dotkliwie przeżyć.

Dzisiaj, wyzwolona telewizyjnie i lewacko dzieciarnia, wsparta zawodowo protestującymi babciami, które znalazły sposób, by się nie nudzić na

emeryturze i dodatkowo zarobić, szarżuje, jak hołota podczas pandemii, na ulice, wrzeszczy, bluzga, przeklina, czego jeszcze dziesięć lat temu nie robiło skrajnie prymitywne menelstwo, bo nawet ono wiedziało, że pewne rzeczy robi się we własnym towarzystwie. Publicznie nie wypada! Cwana, tłusta niezdarą z przetłuszczonymi włosami robi za damę: wybrana na posła, rozparta w tramwaju, bredzi do kamery niemieckiego reportera, że czuje się w Warszawie jak podczas niemieckiej okupacji. Nagrywa to w tej samej Warszawie, którą Niemcy 70 lat temu zostawili na poziomym bruku!

Postkomunistyczna schizofrenia nadal ma się dobrze, zmieniła tylko kolor z czerwonego na różowy, liberalny, i odwróciła pojęcia. Klasyczna inwersja – jak w eksperymentalnej prozie. Propagandowy film niemiecki miał być nauką dla Polaków, wskazać nam właściwe miejsce; myśleć za nas mają Niemcy i Bruksela. Może oczyma wyobraźni ona rzeczywiście widziała tę ścianę odgradzającą niemieckich panów od psów i Polaków, której nie wolno nam było przekraczać. Jeśli ktoś zaryzykował, mógł być wyrzucony z takiego tramwaju, i na miejscu przy wagonie, zastrzelony jak pies w myśl niemieckiego, okupacyjnego prawa.



Sokółka, anons o mitingu z premierem, 2020 r.

Ponieważ żadne z nas dwojga nie cierpi na rozdwojenie jaźni i nic nie dzieje się bez przyczyny, zastanawiam się, jaką to ma cenę? Pensje wypłacane targowiczantom przez dwory w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu za kupczenie państwem, wystawianie go na łatwy łup przyszłych zaborców, dosyć skrupulatnie podliczyli historycy. Brał je nawet ostatni król i brat króla, brali królowięta. Jeśli wczoraj sejm, premier, prezydent, godzili się na wyprzedzą za przysłowiową złotówkę przedsiębiorstw, które budowa- liśmy dziesiątki lat, kim byli zgodliwi posłowie i rządząca postbolszewicka, lewacka swołocz? (Lewicowość to coś diametralnie przeciwstawnego). Może należałoby już liczyć? Dama z tramwaju, wyglądająca jak wygadana chłopka, zasobna, musi skądś na to brać. Nie ma co czekać na historyków. Badania psychiatryczne odpadają, śmierdzi szmal kupionego, niemieckiego agenta.

Chór aktorów i aktoreczek nie umiejących odróżnić prawdy od propa- gandy, chociaż przeżyli w niej życie, wymrukuje adekwatne murmuran- do. Całe dorosłe życie mówili ze sceny cudzym tekstem, teraz przeszkadza im legalnie funkcjonujący rząd, premier, prezydent, dmą w tuby: trzeba to zmienić! To nie infantylizm, zejście do poziomu dziesięciolatka: to mielizny intelektualne. Można pogratulować politrukowi, nazywających siebie z przesadną godnością dziennikarzami, że wzniesli się na wyżyny twórczego przekazu. Gdyby nie mówili z emfazą, na najwyższym diapazo- nie, nikt by im nie uwierzył; wyżyny szmatławstwa, ale jednak wyżyny. Niektórzy potrafią na pstryknięcie palca zapłakać przed kamerą – to tak jak przelecieć za forszę kobietę na scenie, w teatrze, przy pełnej widowni. Wątpliwa, ale jednak umiejętność, i zawsze znajdująca podatny grunt; tutaj zawsze znajdzie się banda gotowa pogrążyć kraj w jego żarliwej obronie. Skurwienie? A skądże! Nie uwierzą (inwersja!)..

O wynajętych, zawodowych lumpach w wieku od dwudziestu paru do sześćdziesięciu paru lat, jeżdżących po kraju lżyć prezydenta podczas wystąpień, mówić nie warto. Zapisać trzeba, bo jutro lumpenelitki ogar- nie amnezja, wyprą się, że sami szczuli – w wolnym kraju (oni mówią: totalitarynym; inwersja!), pod koniec drugiej dekady XXI wieku.

– „Ty chujuuu...” – leci przez nagłaśniające tuby podczas przemowy prezydenta Rzeczypospolitej – no bo co może wymyślić wynajęty cham?

Wicemarszałek sejmu (niestety: inwersja) „tego kraju” w uśmiechach, szczęśliwa jak Zośka Loren; gdyby mogła, błogosławiłaby wiernych jak pa- pież: „dobrze było? – dopytują. Dobrze!”. Wnuczka przedwojennego prezy- denta Rzeczypospolitej, do czegoś powinno to zobowiązywać, pełną klasę

należałoby trzymać – nurzać się w chamstwie, w gnoju? Jedyna bolączka – telewizyjne kamery wrogich stacji (inwersja: telewizji publicznej), które wyłapią najmniejszy grymas lumpenproletariackiego geniusza. Nienawiść, graną czy zleconą, też da się wycenić i usprawiedliwić: skoro brał ostatni król i jego brat, my też możemy. Najważniejsze: zohydzić, upokorzyć, odczłowieczyć w sposób najbardziej prymitywny, brutalny, jak w bolszewickiej Rosji, jak w Niemczech Hitlera, podczas największego terroru – my prawdziwa, proletariacka, progresywna inteligencja. Wątpliwości wyparte, nie ma ich: jest nowoczesność, postęp, nowy wspaniały świat, ambicja kapie jak ślina, lata strawione na gadaniu i szczuciu. Tyle zadym, zamieszek, myślowego śmiecia puszczanego w eter, a przez lata nikt z tych geniuszy nie był w stanie wymyślić najnędniejszego programu dla 38 milionów ludzi, prócz agresji i chamstwa. Umieją tylko nienawidzić i szczuć.

W XVIII wieku Rosja „broniła” Polaków przed uciskiem religijnym do ostatniego rozbioru, dziś bronią nas rodzimi Rosjanie mówiący po polsku. Po rozbiorze, w latach 1832-1873, car wcielił do armii 250 000 obywateli Królestwa Polskiego na 25 lat! Tyle trwała służba wojskowa. Z tych 250 000 wrócił co dziesiąty.

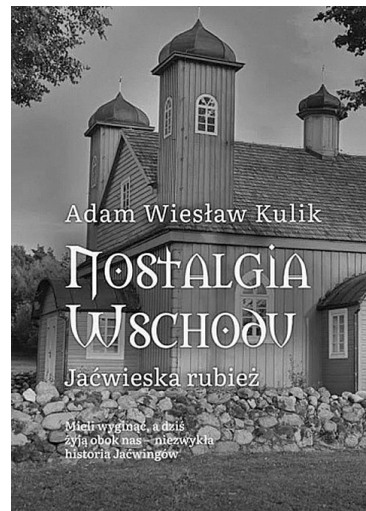
Wszystko już było, ale magma tego nie wie, nie jest ciekawa świata, własnej historii, nie czyta. Świat zna z propagandowego Onetu, Internetu, Gazety i pozostałych przekaziorów robiących wodę z mózgu przy pomocy telefonów; nawet interesująca lektura wymaga pewnego wysiłku. Łatwiej wyjść na ulicę i wrzeszczeć „je...ać” albo „spier...alaj” – to też walka (inwersja: wrzask i chamstwo jako oręż). Napluć, zwyzywać policjanta, proste. Napisać na dykcie wulgaryzm i pójść pod kościół; wrzeszczeć, wdrzeć się, najlepiej podczas liturgii. (Wolność równoznaczna z anarchią: inwersja!) Skąd mają wiedzieć, że kościół to azyl, miejsce szczególne, zarezerwowane na rozmowę z Bogiem; jeśli jesteś niewierzący, zawsze możesz wejść i być ze sobą. To nie mniej ważne! Przed wiekami chronił przestępców, jeśli udało im się przekroczyć próg. Nie łamie się reguły usankcjonowanych tysiącami lat, bo chronią, zapewniają bezpieczeństwo i psychiczną równowagę.

Człowiek to coś więcej niż wyjący na ulicy ssak. Skąd magma ma to wiedzieć? Bolszewizm jest taki łatwy, wystarczy terror, strach, chaos, anarchia, wystarczy poniżyć i... zabijać.

Problem nie w agresji, lecz w upośledzeniu, braku elementarnej wiedzy, w intelektualnej miąższości...

Adam Wiesław Kulik

Adam Wiesław Kulik
Nostalgia Wschodu. Jaćwieska rubież
 Wydawnictwo Novae Res
 Gdynia 2025
 Stron 324
 Oprawa miękka
 ISBN 978-83-83734-86-6



Maria Mamczur

Rue Mirebeau, Bourges, Francja

Marcel w skromnej sukience

1.

Od chwili, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, nie mogłam przestać o nim myśleć. Minęło tyle lat, a ja ciągle niemal czułam na plecach jego oddech. Jakby czegoś ode mnie chciał. Jakbym coś mogła wyjaśnić w jego sprawie, rozproszyć mrok, którzy go pochłonął. Cóż jednak mogłam zrobić, skoro historia tego niezwykłego człowieka już dawno była zamknięta, na długo przed tym, zanim pojawił się w moim życiu?

Pierwszy raz spotkałam Marcela Bascoularda na Rue Mirebeau, w domu oznaczonym numerem 1.

Nietrudno znaleźć to miejsce w centrum Bourges, bo jedna z głównych dróg – Cours Avaricum – prowadzi wprost na front budynku. Gdyby nie ostry zakręt w lewo, wykreślony na jezdni białą linią, niejeden samochód wpadłby z hukiem w drzwi zakładu fotograficznego, który szklaną witryną dokleił się do kamienicy. To dziwny dom, bryłą przypomina narożną szafę ustawioną na rozstaju dróg – od frontu szeroki, z malutkim placzykiem odgraniczonym od ulicy białą linią; z tyłu się zwęża. A może przed laty ten nietypowy układ urbanistyczny wyglądał jeszcze inaczej? W czasie rewolucji francuskiej na wspomnianym placyku stała gilotyna. Dziś już niewielu o tym nie pamięta. Krew dawno wsiąkła w piach. Kostka brukowa przykryła piach. Na niej postawiono ławkę.

Od tej ławki zaczęła się nasza wspólna historia. Marcela i moja.

Usiadłam zmęczona tropieniem śladów alchemików – w pałacu Jacquese Coëura i w hotelu braci Lallament. W średniowiecznym i renesansowym Bourges, co roku odbywały się spotkania magów. Dziś współczesne, tutejsze więdźmy na powitanie mówią *bon soir*, bez względu na to, czy widzisz je o dziewiątej rano, czy o dziewiątej wieczorem. Okultystyczny stygmat. Powiedz no tylko komuś w Paryżu, że mieszkasz w Bourges. Ci bardziej bojaźliwi zrobią znak krzyża, a ci bez wiary,

spluną przez lewe ramię, za siebie lub odpukają w niemalowane drewno. Na wszelki wypadek.

Siedziałam więc na ławce. Wróciłam do realnego świata – w którym istotniejsze od magicznych zaklęć i alchemicznych symboli przedstawionych w sztuce, były moje obrzmiałe stopy i świeże odciski. Zsunęłam buty. Rozglądałam się leniwie. Poczulałam spokój. W tym zacisznym zaułku nic nie miało prawa się wydarzyć, nic co mogłoby wstrząsnąć zmęczoną turystką. Ot stara uliczka; kamieniczki z piaskowca, z drewnianymi szachulcami. Małe sklepiki. Urocze cukierenki. Aż trudno wyobrazić sobie gilotynę w tym miejscu. Obok, w wyciętym w bruku kwadracie rośnie rachityczne drzewko.

Jakże myliłam się, sądząc, że tego dnia nic szczególnego się nie wydarzy.

Najpierw zobaczyłam szyld: Photo Morlet. Poniżej, w witrynie czarno-białe zdjęcie – na nim mężczyzna w białym, pomiętym fartuchu z falbanką; szyję zdobią drobne koraliki. Mądre, smutne oczy, wyraziste, ładnie zarysowane brwi, piękna twarz. Półdługie, szpakowate włosy zaczesane do tyłu. W prawej ręce trzyma lustro. Ma nieregularne brzegi. Dostało pewnie drugie życie, kiedy jako odprysk czegoś większego znalazło się na śmietniku. To lustro, jak się potem dowiem, było nieodłącznym artefaktem w happeningach Marcela. Podobnie jak przypięta do pleców tabliczka z napisem: „Społeczeństwo mnie nie interesuje”.

Na razie jednak siedzę na ławeczce. I zastanawiam się, kim jest ten człowiek? Ciekawość silniejsza niż zmęczenie.

Srebrny dzwonek zawieszony w drzwiach przywołał z zaplecza fotografa.

– Podoba się pani to zdjęcie? Mam jeszcze kilka podobnych. Sprzedam za dziesięć euro.

– Kim jest ten człowiek?

– A, to Marcel, miejscowy kloszard – uśmiechnął się tajemniczo fotograf.

– Dlaczego w kobiecym fartuchu?

– A kto go tam wie? Ot, dziwak. Artysta. Robił sobie zdjęcia, takie jak to i rysował, nawet ładnie. Mam tu gdzieś rysunek piórkiem. Katedrę św. Szczepana. Może pani chce? Sprzedam niedrogo, za osiemdziesiąt euro.

– A można go gdzieś spotkać?

– Nie można. Zamordowano go pod koniec lat siedemdziesiątych. Myśleli, że bogaty, bo artysta. Sam mówił o sobie, że jest milionerem. A on nie miał nic.

Drugi raz spotkałam Marcela w malutkim antykwariacie przy starej rzeźni. Pod folią chroniącą przed kurzem leżały jego rysunki. Precyzyjne, niczym grafiki Dürera.

– Miał fotograficzną pamięć – zauważył antykwariusz, oferując rysunki niedrogo, za sto euro. – Można powiedzieć geniusz. No ale kloszard. Mam gdzieś tu jego zdjęcie. Niech pani popatrzy. Stoi przy trójkołowym rowerze – wózku. Dziurawe buty. Z dziur wystają brudne palce. Na nogach szarawary. Śmierdział. Naprawdę cuchnął. Ludzie się go bali i brzydzili. Dzieci uciekały przed nim. Nie miał nawet grzebień. Nie miał domu. Nie miał pieniędzy. Chyba mu na nich nie zależało. Obok była rzeźnia. Widziała pani? Pozostała po niej brama z żeliwnymi głowami byków. Lubił mięso. Przynosił mi rysunki. Dawałem mu za nie parę groszy. Żeby starczyło na wołowinę. Dawali mu mięso przez bramę, zawinięte w gazetę. Jak on je jadł? Nie miał nawet widelca, tylko zardzewiały szczyrzyk! Nie miał talerza! Spał w zardzewiałej ciężarówce, w ogródkach działkowych. No dziwak!

Od tamtej pory Marcel towarzyszył mi w wędrówkach po Bourges. Za-trzymywałam się w jakimś miejscu. Miało w sobie to coś, co kazało zostać na dłużej. Pobyć, obszukać wzrokiem, poczuć jego substancję, rodzaj metafizycznego eliksiru, którego nie da się określić odczuwanym zmysłami konkretem. Czułam wzruszenie, niepokój i zachwyt. Potem, zwykle odkrywałam u jakiegoś antykwariusza kolejny rysunek – okazywało się, że to właśnie miejsce upodobał sobie także Marcel i godzinami je rysował. Wędrowałam więc uliczkami, „odkrywałam” kolejne miejsca, które były miejscami Marcela. I nieważne, że przy okazji znajdowałam miejsca ładniejsze niż te uwiecznione na rysunkach Marcela artefakty minionych czasów. Ważne było to, że z Marcelem coś mnie łączyło. Coś, co nie dało się racjonalnie wytłumaczyć. Podobnie jak pytanie, które pojawiało się samo chcąc-nie chcąc.

Marcel, co chciałeś mi powiedzieć?

W miejscowej bibliotece, w sfatygowanym egzemplarzu lokalnej gazety z dnia trzynastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt ósmego roku znalazłam artykuł o morderstwie. Czarnobiałe zdjęcia przedstawiające ofiarę:

Marcel ze swoim trójkołowcem.

Artysta w odświeżonej spódnicy z czarnej tafty, w dopasowanym żakiecie. W ręku kawałek lustra i torebka.

Zardzewiała kabina ciężarówki, śmieci walają się na podłodze. Spod rozrzuconych kartek papieru wystaje bezwładna ręka. Szary rękaw, trupio biała dłoń, czarno-szara krew.

Kilka osób zagląda do kabiny. To policjanci, dochodzeniowcy, koronerzy.

Są też zdjęcia mordercy:

Dwudziestotrzylatek o łagodnej twarzy, jasnych oczach i włosach, prowadzony przez policję do sądu. Za chwilę zapadnie wyrok piętnastu lat więzienia.

Obok artykułu duża reklama wygodnych kanap w przecenie, za tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt franków. Świat żyje dalej, wszystko na sprzedaż.

Inna gazeta opisuje dramatyczne losy Marcela. Mieszkał w dostatnim domu w Vallenay. Ojciec Leon był mistrzem murarskim. Surowy i despotyczny. Matka Marguerite (z domu Mulet) – gospodyni domowa, czuła i opiekuńcza. Marcel uczył się malarstwa w szkole artystycznej, ale marzył o tym, by zostać inżynierem i pracować w obsłudze pociągu.

Wszystko mogło się potoczyć tak po mieszczańsku, zwyczajnie. Jednak jak w greckiej tragedii, los już naznaczył go cierpieniem. Mojra przędła nić.

Miał dziewiętnaście lat, kiedy matka zabiła ojca. Sąsiad zeznał: Leon otworzył drzwi i padł martwy, za nim stała jego żona, z rewolwerem w ręce. Za nią wybiegł Marcel, krzycząc: Zabiłaś w końcu Starego!

Przyznała się. Zamknięto ją w szpitalu psychiatrycznym w Bourges.

Marcel chciał być blisko matki. Opuścił dom w Vallenay. Przeniósł się do Bourges. Zamieszkał w pustostanie. Matka zmarła dwanaście lat później, pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Po wojnie deweloper rozebrał pustostan. Marcel zamieszkał w szopce, w ogródku.

Dlaczego ubierał się w damskie ubrania, które sam projektował?

Był transwestytą – przekonywał autor biografii Marcela.

Przetwarzał twórczo traumę – analizował inny biograf – bo chciał pokazać, że kobieta nie jest tak słaba, jak wszyscy myślą (może zabić), a mężczyzna taki silny (nie potrafi się obronić).

Co chciałeś mi powiedzieć Marcel? Czy było tak, jak piszą?

Wróciłam do Polski. Po kilku latach dowiedziałam się, że nakręcono o nim dokumentalny film. Napisano kolejne artykuły i książki. Nic nowego. Ciągłe powielano te same treści: transwestyta, kloszard, dziwak, samotnik, tragiczna postać, geniusz.

Co wiedzieli o Marcelu ci, którzy opisywali jego życie, skoro z nim nie rozmawiali; skoro zaledwie oglądali go jak przez szybę? Po jednej stronie szyby on, odmieniec, milczący mruk, który ma wszystko gdzieś, cuchnący i zawszawiony; po drugiej obserwator – syty, czysty, spokojny, ciekawy i bezpieczny. Bez ryzyka, że obkoczą go pchły.

Nie jestem kolekcjonerem motyli. Nie opisuję ich życia na podstawie tego, jak wyglądają, martwe i przyszpilone w gablocie. Jeśli piszę o ludziach, to przede wszystkim ich słucham i czuję.

Marcel, co chciałeś mi powiedzieć?

2.

Czekałem na ten moment. Długo czekałem. Leżysz teraz spokojna. Mglisty świt. Cisza. Ledwie wygrzebałaś się ze snu. Masz oczy w półotwarte. Myśli niepozobierane, płyną swobodnie. Jak przecucie. Nie kontrolujesz ich, nie dyscyplinujesz logiką. Niech sobie płyną.

To dobry czas, bo mogę w tym momencie powiedzieć: Ja, Marcel Basco-
ulard jestem tu. Zamknij oczy i zobacz. Jestem tu, naprawdę.

Jesteś podobna do mojej matki. Też miała falowane, kasztanowe włosy i orzechowe oczy. Czy dlatego cię wybrałem? Pewnie nie. Ja po prostu poczułem, że to ty jesteś gotowa, by przyjąć moją prawdę.

Wróćmy do tego czasu, kiedy byłem mały. Matka śpiewała mi piosenki. Była czuła i dobra.

Wszystkie koty z ulicy schodziły się do niej. Każdego pogłaskała, obdzieliła pieśzczotą i miską jedzenia. Kochała ptaki i białe róże. Nigdy nie podnosiła głosu.

Chroniła mnie przed ojcem Leonem. Byłem może trochę bardziej wrażliwy niż inni. Ta wrażliwość doprowadzała mojego le paternel do furii. Kiedy płakałem przed snem, bo bałem się ciemności, ojciec krzyczał na moją matkę, która biegła do naszego dziecięcego pokoju, by wziąć mnie w ramiona: Zostaw go, niech ryczy! A jak nie przestanie, podzielę go przez łeb. Nie zniosę bękartą, który maże się jak baba!

Tak, można powiedzieć, że byłem bękartem. Leon to drugi mąż mojej matki. Przystosował mnie, ale chyba nigdy nie pokochał. Czułem to w każdej chwili. Uwielbiałem ten czas, kiedy nie było go w domu. Matka śpiewała, krzątała się po kuchni, a ja towarzyszyłem jej albo czytałem swoje wiersze. Gdy Leon wracał, kuliłem się ze strachu. Zamieniałem się w głuchy kamień, psychicznie znikałem.

Chciałem odpłynąć, znaleźć się w innej rzeczywistości. Bez jego krzyku, ciężkiej ręki, piekących, naderwanych uszu. Zacząłem rysować. Rysowałem mój świat, w którym były piękne domy bez ludzi. Bo ludzie – to zagadka, widmo, zagrożenie.

Matka, w tajemnicy przed ojcem, posłała mnie do szkoły artystycznej.

Dowiedział się o tym i wtedy po raz pierwszy podniósł na nią rękę. Wrzaskiem objaśnił każdy cios: w twarz za to, że marnuje na mnie pieniądze; w brzuch, że go nie słucha; w plecy, że zrobiła coś w tajemnicy przed nim. Krzyczał: Co znaczysz beze mnie kobieto?! Nic nie znaczysz! Zdech-niesz z głodu. I nikt ci nie pomoże.

Matka nawet nie próbowała się bronić. Cios spadał za ciosem. Z rozciętej wargi płynęła krew. Oko podbiegło fioletową plamą. Milczała. W końcu on też się zamknął, ale nie przestawał bić. Te głuche odgłosy uderzeń zostały ze mną na zawsze.

Oprawca taki jak on, za każdym kolejnym napadem agresji przekracza granicę w łamaniu kogoś, kto jest od niego słabszy. Coraz trudniej mu się zatrzymać. Może nawet chciałby, żeby ktoś go zatrzymał, ale nie było nikogo takiego. Bił więc coraz częściej – mnie, ale przede wszystkim bił mamę. Złamał jej nos. Wybił zęby. Wyrwał włosy.

Byłem coraz starszy i coraz silniejszy. Jednak nadal nie potrafiłem jej obronić.

Potem było jeszcze gorzej. W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku firmę ojca zniszczył kryzys gospodarczy. Bezrobotni wychodzili na ulice, ojciec szedł do knajpy. Kiedy oprawca pije, jest jeszcze bardziej brutalny.

Skończyły się pieniądze.

Tylko złość nie miała końca.

Mój strach, że on w końcu zabije matkę zmienił się w gniew. Tłumiłem ten gniew ze strachu i bezradności. Twarz jak maska. Cisza. Byłe być niewidzialnym. Znikanie opanowałem do perfekcji. Im bardziej znikałem, tym bardziej czułem się słaby. Nienawiść do własnej słabości była tak silna jak nienawiść do ojca.

Sprzedalem kilka rysunków. Kupilem rewolwer. Wiedzialem, ze prędeż, czy później zastrzelę potwora. Przyjdzie taka chwila, że albo życie matki, albo jego.

Dwudziestego piątego września tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku była niedziela. Ojciec pił cały dzień. Matka wróciła z kościoła. Podgrzała zupę cebulową. Była wodnista, nawet nie pachniała cebulą.

– Nie dałeś mi pieniędzy – przeprosiła, zanim cokolwiek powiedział i zamilkła. Głos jej uwiązał w gardle ze strachu. Ojciec wpadł w furię. Rzucił talerz na podłogę. Połamał dębowe krzesło. Podniósł nogę od krzesła. To był ten moment. Matka skuliła się. Trzepotała ze strachu, jak ptak, który wpadł w sidła. Milczała jak zwykle. Wziąłem rewolwer. Nawet nie wiem, ile było w nim nabożów. Myślałem, że nie dam rady. Ręce mi się trzęsły. Ojciec lżył. Nawet zabić nie potrafisz, gnido! Wystrzeliłem. Strzelałem na oślep. W głowę, w brzuch, w serce. Usłyszałem szum krwi.

Matka przytuliła mnie. – Synku, pamiętaj, to ja zabiłam. Ja! Dwa miesiące temu kupiłam rewolwer. I strzeliłam. Nie wytrzymałam tej udreki. Tak powiem policji. Umyj się i wyjdź. Tylko zrób to spokojnie. Nie wzbudzaj podejrzeń. Żadnych gwałtownych ruchów. Cicho zamknij za sobą drzwi. Może idź do profesora Vergnoux, który cię uwielbia. Zawsze wierzył w twój talent. Trzymaj się go chłopcze. Nie pozwoli ci zginąć. Przyjdź za dwie godziny, kiedy będzie już po wszystkim. Nie, może lepiej za trzy.

Wyszedłem. Nie chciałem iść do profesora. Byłem zbyt roztrzęsiony – nabralby podejrzeń. Chodziłem ulicami. Siedziałem w parku. Padał deszcz.

Znowu byłem słaby. Groziła mi kara śmierci... A ja chciałem żyć. Tak się bałem.

Kiedy wróciłem do domu, matkę wyprowadzali policjanci. Spojrzała na mnie z taką miłością, jakbyśmy nigdy nie mieli się zobaczyć. Mamo! Mamo!

Umieścili ją w zakładzie psychiatrycznym. Tak działa prawo. Gdybym to ja się przyznał do zabójstwa, skazaliby mnie na gilotynę. Zimny trzask. Spada głowa. Jest po wszystkim. Jednak kiedy kobieta popełnia zbrodnię, zabija swojego męża, na pewno jest wariatką. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Pojechałem za nią do Bourges. Musiałem być blisko. Przychodziłem do niej codziennie. Przesiadwała w przyszpitalnym parku. Czasami zdawało się, że chciała coś powiedzieć, ale nie mówiła. Płakała. Z każdym dniem, miesiącem traciłem ją coraz bardziej. Nieobecne oczy. Ciało spuchnięte od

insuliny. Potem nowość – elektrowstrząsy. Po nich mózg umierał powoli. Przynosiłem jej jabłka, które kradłem w czymś ogrodzie.

I wtedy znowu zacząłem rysować. Rysunek jak waluta. Kupiłem pieczone kasztany, które lubiła. Świeżą bagietkę. Croissanta. Cieszyła się jak dziecko. Nie pytała, skąd mam pieniądze, albo gdzie mieszkam.

A ja mieszkalem w szopie, w ogrodach Marais. Potem na strychu w Fenestrelay lub w szafasie przy drodze do Nevers. Wreszcie znalazłem stary, opuszczony dom w Avicarium.

Deszcz przeciekał przez dziurawy dach. Na ścianach pleśń. Było mi ciągle zimno.

Znasz uczucie zamrożenia? Nie myślisz o przyszłości. Nie planujesz, co zrobisz jutro. Nie nawiązujesz relacji z innymi. Nie szukasz miłości. Izolujesz się. Jesteś słaby, nie możesz sobie pozwolić na wybuch. Namiętność jest zagrożeniem, miłość jest zagrożeniem, zwykła bliskość też. To wszystko niesie ze sobą taki ładunek emocji, że można od tego wybuchnąć, roztrzaskać się jak lustro na tyle kawałków nieszczęścia. A ja muszę ocaleć. Być w całości, nie rozpaść się tak jak matka.

Pewnie chcesz wiedzieć, czy miałem poczucie winy. Miałem. Każdego dnia. Ono rosło, przyduszało mnie. Było nie do zniesienia zwłaszcza wtedy, kiedy matka przestała wychodzić do przyszpitalnego parku. Przestała wychodzić, potem przestała jeść. Leżała w łóżku, czekając na śmierć. Pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku odeszła. Dziś już wiem, że śmierć nie jest końcem wszystkiego, ale wtedy nie chciałem myśleć, że jest inaczej. Zamknęła oczy, przestała oddychać i tyle. Zostało NIC.

Potem i ja przestałem rozmawiać z ludźmi. Musiałbym im wszystko wytłumaczyć, a to ponad moje siły.

Jednak to nie znaczy, że przestałem się komunikować. Moje zdjęcia to moja osobista opowieść. O człowieku.

Projektowałem suknie. Znalazłem krawca, który je szył, za kilkanaście centymów, czasami za obrazki. Przebierałem się. Chodziłem ubrany jak kobieta po ulicach Bourges. Prosiłem przechodniów, by robili mi zdjęcia. Kiedyś policja chciała mnie aresztować za nieobyczajne zachowania. Napisałem do nich list. „Robię to, czego wymaga ode mnie sztuka!”

Ktoś mnie kiedyś zapytał, dlaczego czasami ubieram się jak kobieta. Odpowiedziałem, że uważam ten strój za bardziej estetyczny. To jednak nie jest pełna prawda.

Widziałaś moje zdjęcia.

Mógłbym powiedzieć, że fotografując się w kobiecych sukienkach, składałam hołd mojej matce. Spłacam dług wdzięczności za to, że wzięła na siebie mój los, winę, odpowiedzialność za śmierć ojca. Chciała mnie uratować, ale nie było to możliwe, bo ja już zostałam naznaczony.

Ktoś powiedział, że byłem transwestytą. Co za absurd! Transwestyta przez swój kobiecy ubiór uwodzi, jego image ma kontekst seksualny. Czy ja uwodzę w swoich sukienkach? Nie!

Ja pokazuję, kim jest kobieta. Stara się być piękna. Nosi falbaniaste spódnice, które przypominają kielichy kwiatów. Odświętnie ubiera się do kościoła. Nosi torebkę i lusterko, bo musi kontrolować swój wygląd. Musi podobać się mężczyźnie – tego się od niej oczekuje. A ona kiedy nikt nie widzi, kiedy już nie musi być męskim trofeum, zmienia odświętną sukienkę na roboczy, pognieciony fartuch. Gotuje, sprząta, pierze, ale nosi korale, by nie zapomnieć, że jest kobietą. Smutna, zmęczona twarz i naszyjnik.

Kiedy byłem młody, widać było rozdźwięk między moim męskim wyglądem, a kobiecym ubraniem. Mówili: Popatrz, ten piękny mężczyzna nosi sukienki.

Potem kiedy starzałem się, różnica między wystrojoną Marcelle a nieokrzesanym Marcelem stawała się coraz mniejsza. Kiedy posiwały mi włosy, nie byłem ani nią, ani nim. Może trzeba stracić to wszystko, co ma kontekst seksualny, by dostrzeżono w tobie człowieka?

Na ostatnim zdjęciu mam na sobie biały fartuch z falbaną. I korale. Spod białych szelek fartucha wystają czarne szelki biustonosza. Stoję w drzwiach pokoju. Na ścianie tapeta z sielskim motywem koziołka. W ręku jak zwykle trzymam lustro. Jednak nie jest ono na pierwszym planie, jak kiedyś. Może już niepotrzebne? Jestem człowiekiem. Mam siwy zarost, siwe długie włosy, zmęczoną twarz, spracowane ręce. Włosy zaczesalam gładko. Właśnie podałam do stołu. A może myłam podłogę? Nie jestem już kobietą, nie jestem mężczyzną, ale JESTEM.

Tak, zdaję sobie sprawę, że te moje mieszczańskie opowieści nie mają nic wspólnego z moim życiem.

Wtedy, kiedy zrobiłem to zdjęcie w fartuchu, mieszkałem w kabinie ciężarówki. Nie miałem wielkich wymagań. Byleby mi nie kapał deszcz na głowę. Mój dobytek mieścił się na trójkołowym wózku.

Straszili mnie dzieci. Że zrobię im krzywdę. Uprowadzę i zjem jak wółwinę, którą dawali mi na jatkach. Szydzili, że śmierdzę. Że w moim ubraniu i włosach roi się robactwo.

Nikt nie zdawał sobie sprawy, że moja niechlujność była manifestem. Zapewniała mi nietykalność. Prawdziwą osobność. Mówiłem w ten sposób: Nie muszę mieć pieniędzy, domu, perfum, fryzjera, dobrych butów, nie muszę mieć tego wszystkiego, o co wy się zabijacie. Nie należę do nikogo. I mam gdzieś to, co sobie o mnie myślicie.

A może jest jeszcze w tym wszystkim sens, którego sam nie odkryłem? Robią to za mnie moi biografowie. Każde kolejne odkrycie rodzi kolejną tajemnicę. A tajemnica czekająca na odkrycie pozwala mi pozostać dłużej w umysłach tych, którzy szukają rozwiązania. To niemal wieczność. Gdzie indziej wieczności nie szukam, bo czuję strach. Nie chciałbym spotkać ojca, gdzieś tam. Wolę ten byt pomiędzy.

Płacę za to pewną cenę. Jest nią udręka. Niemożność uwolnienia od tego szumu krwi, który słyszałem, gdy zabiłem Leona. Ciągłe odtwarzanie końca. Mojego końca.

Jeaną znałem z widzenia. Ładny, młody chłopak. W liceum zaczął ćpać. Dwunastego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt ósmego roku był ziąb. Jean przyszedł do mnie rano. Siedziałem w ciężarówce. Dopiero wstałem. Trząśnięcie, był na głodzie.

– Gdzie masz pieniądze staruchu?! Dawaj kasę!

Zgodnie z prawdą powiedziałem, że nie mam. On, coraz bardziej zdeenerwowany, krzyczał:

– Na pewno gdzieś są, taki znany artysta nie może być biedny!

Zacisnął drobne, szczupłe palce na mojej szyi. Coraz mocniej i mocniej. Nie miałem siły go odepchnąć. Znowu czułem się słaby, jak kiedyś. Płakałem. Chciałem mu powiedzieć, że nie oszuka losu, przejmie moją pałeczkę, straci szansę na dobre życie, ale nie mogłem. Zabrakło mi tchu. Słyszałem jak serce mi bije coraz szybciej i szybciej, galopuje aż do końca. A potem już nic.

3.

Dziennikarz, któremu opowiedziałam tę historię, popatrzył na mnie z poślazaniem.

– Naprawdę pani sądzi, że to Marcel Basoulard zabił swojego ojca? To dość ryzykowna teza. Bardziej jestem skłonny podejrzewać, że był chory psychicznie. Jak matka, która zabiła Leona. Tragiczny los, trauma zniszczyły człowieka. W jego życiu sztuka pełniła rolę terapeutyczną. I dzięki niej

mógł jakoś funkcjonować. Jak wasz Nikifor. Był twórcą, umiejętnie tworzył własny, kontrowersyjny image, podtrzymując w ten sposób zainteresowanie swoją sztuką. Pani opowieść o Marcelu, to już zupełnie inna historia. Zastanawiam się, jakie jest jej źródło?

– Sam mi to powiedział.

– Jak to powiedział? Znała go pani osobiście?

– Nie. Wierzy pan w duchy?

– Nie. A nawet, gdybym wierzył, nie chciałbym z nimi rozmawiać. Po co? Historia zamknięta.

– A prawda? Prawda, która jest uwolnieniem, nie jest ważna?

– Jedynej i wyłącznej prawdy nie ma, miła pani. I tego się trzymajmy.

– Rozumiem, pan jest kolekcjonerem motyli.

Warszawa, Mostowa 16/18

Pstryk

Lubię robić ludziom zdjęcia. Nie te zwyczajne, które niczym pamięć bledną z czasem w rodzinnych albumach, lecz takie które opowiadają ważną, osobną historię.

Kolejność jest taka: spotykasz ciekawą osobę. Obserwujesz, rozmawiasz z nią. Czasami nie rozmawiasz, bo z tamtej strony ściana, pytania tylko wyzwalają matową ciszę. Zastanawiasz się o czym opowiadają oczy, zmarszczki, ubiór, dłonie, gesty.

Dopiero potem pojawia się pomysł na fotografię. Znajdujesz klimatyczne miejsce, które można ciekawie zaaranżować, rekwizyt, który stanie się symbolem. Taka fotografia jest jak wiersz, jedna opowieść w lapidarnym skrócie.

Umawiasz się na sesję. Starannie dobierasz atrybuty. Wydaje się, że wszystko jest pod kontrolą. Wystarczy nacisnąć spust migawki, zrobić pstryk!

A jednak zdarza się, że wszystko bierze w łeb; w czasie sesji to co było zaplanowane w szczegółach, wymyka się spod kontroli. Pojawia się NIEOCZEKIWANE. A to NIEOCZEKIWANE zmienia wszystko nieodwracalnie.

Jesteś zatem fotografem czy zaledwie narzędziem? Obserwatorem, czy uczestnikiem? Nie znasz odpowiedzi na tak podstawowe pytania.

Bywa więc, że jednego dnia ustalasz z modelem szczegóły: czas i miejsce, kostium i scenografię, a kiedy już wszystko jest gotowe, okazuje się, że zdjęcia nie będzie. Przynajmniej takiego, jakie wymyśliłeś.

Ktoś INNY zrobił pstryk, zamknął w ramce czyjąś historię.

Tak było z Wojtkiem.

Chciałam zrobić mu zdjęcie.

Kalafiorowaty, przepity nos, blizny na wyblakłej, pozbawionej wyrazu twarzy, oczy jak z fajansu, bez światła i głębi. Skóra brudnoszara jak popiół.

Nie wiem, jaki był kiedyś. Podobno na starość skurczył się, ogłuchł i okulał.

Ci, który znali go dłużej ode mnie, mówili, że dawno temu popełnił morderstwo. Poćwiartował zwłoki. Wyniósł je w plastikowych torbach nad Wisłę. Odsiedział w więzieniu dwadzieścia pięć lat i wrócił na Starówkę.

Wymyślona przeze mnie fotografia miała pokazać, kim jest. Tragicznym bohaterem, który został mordercą na zawsze. I Człowiekiem, zawsze jednak Człowiekiem.

Zdjęcie miało być czarno-białe. Wojtek długo się wahał, zanim wyraził zgodę. W końcu zaakceptował pomysł: On siedzi na drewnianej skrzynce, w prześwicie starej bramy, na ulicy Mostowej, tu gdzie mieszka w komunalnym, zdewastowanym mieszkaniu. Pokryta liszajami grzyba kamienica stanowi dobre tło dla drobnego człowieka, w brudnym, szarym ubraniu kłoszarda. Jedyнным kolorowym elementem tej fotografii ma być jaskrawo-żółta papuzka, którą Wojtek trzyma w dłoniach. To, że kiedyś zabił i poćwiartował człowieka z pozoru nie pozbawiło go czułości wobec kruchego, delikatnego ptaszka. Wojtek lubi zwierzęta.

– Ptaszкови nie zrobię krzywdy – powiedział i uśmiechnął się po raz ostatni w życiu. Po raz ostatni? – zapytacie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zaplanowane przez nas zdjęcie nigdy nie powstanie. Następnego dnia to nie ja zrobiłam pstryk.

Naszego zdjęcia z żółtą papuzką już nie będzie. Może i dobrze. Bo czy jedna symboliczna fotografia udźwignęłaby ciężar tej historii?

Wojtek był menelem. Tak go oceniali tubylcy, mieszkańcy kamienicy przy Mostowej 16/18. Kim jest menel? Bywa niewidoczny. Patrzysz i go nie

widzisz. Słuchasz i go nie słyszysz. Menel to menel. Może dlatego chciałam zrobić to zdjęcie? Żeby zaczął mówić i żeby go usłyszano.

Ten menel miał na imię Wojtek. Co mówiły jego niebieskie oczy? Nic. Mniej niż niemyte od dawna ręce. Albo spodnie sztywne od plam. Wojtek, morderca, menel. Człowiek, którego nikt nie widział. Był. I nie ma. Może to głupi pomysł z tą jaskrawą papużką? Czy taki obraz był w stanie pokazać kruchość człowieka, który przy okazji był mordercą i menelem? Nigdy się nie dowiem, co zobaczyliby w tej fotografii widzowie. Jak zagrałaby na ich emocjach.

Ktoś inny zrobił PSTRYK.

Tamtego dnia skrzynka ustawiona w bramie czekała na Wojtka. Jednak on, dwa piętra wyżej leżał już zwinięty w kłębek, pod drzwiami swojego mieszkania. Trochę się zwęglił. Podobno spaliły się mu nogi, ale ogień nie ruszył jego siwych włosów. Wynieśli go na drelichowych noszach... Skurczył się, taki malutki... w czarnym, foliowym worku spięty pasami. Tyle z człowieka.

Pewnie zamknęłabym tę historię, gdyby nie wydarzył się ciąg dalszy.

Była czwarta nad ranem. Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam?

Odpowiedziała cisza. Wstałam z łóżka. Za drzwiami nie było nikogo. Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że to musiał być on, Wojtek. Może przez ten wyczuwalny swąd spalenizny i fizyczne odczucie czyjejś obecności? A może mi się to śniło?

– Zabiłem żonę – usłyszałam jego szorstki głos.

Pozwoliłam mu mówić. Przecież tego chciałam. Żeby mówił i żeby go usłyszano.

– Nie będę wdawał się w szczegóły. Jeśli myślisz, że to takie łatwe, to się mylisz... Bożena. Jej gruba szyja, tłusta, okropna... Nie tak łatwo, zgnieść ją palcami... Jeszcze teraz widzę to spojrzenie, pełne kpiny. Zero strachu. Wziąłem poduszkę. Nakryłem jej twarz. Do tej pory mam blizny po pazurach. Ile siły może być w nienawiści. Jej nienawiści. Moja złość była słabsza. A jednak... Kiedy tak już leżała bezbronna... Przez moment, tak jak kiedyś...pojawiała się czułość. Szlag by...

Odgarnąłem z jej czoła włosy zlepione od potu. Miała takie miejsce, które kiedyś lubiłem całować. Byłem gotów zrobić to znowu. Poczułem na

twarży jej oddech. Westchnienie może ostatnie. Może zeszło powietrze. Nie mogłem pozwolić, by nie umarła. Albo ona, albo ja... Nóż wchodził w nią miękko jak w masło. Krew lepka, pachniała słodko. Jak nasienie. Jak orgazm. I właśnie wtedy dopadła mnie cisza. Bałem się jej. Tej cholernej ciszy. Nikt nie pukał do drzwi. Nikt nie dzwonił. Nikt niczego się nie spodziewał. I nawet nikt niczego nie chciał. Byliśmy na świecie sami – żona i ja... Chciałem, by wreszcie zamilkła, ale razem z nią zamilkło wszystko. Co dalej? – krzyczała cisza. A ja nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Byłem podniecony. Staął mi... jak dawno już nie... Drżenie nóg, skamieniałość rąk... Matko Boska, zabiłem! Na stole ciepła wódka. Na stole ciepła wódka. Na stole ciepła... Już nie ma wódki. Muszę coś zrobić z Bożeną.

Krew na kanapie. Zamek rozjechał się w jej spódnicy. Stara halka jak flaki...

Pół roku temu pochowałem psa. Zakopałem nad Wisłą. Ją też tam zakopać? Wziąć na plecy? Za ciężka. Nie będę żył z trupem w jednym miejscu... Popatrzyłem na nią. Wyglądała, jak nadmuchane, drożdżowe ciasto. Ręka dała się odjąć łatwo. Nawet nie było dużo krwi. Kość wykręciłem w stawie, jak skrzydło u kurczaka. Nie będę wdawał się w szczegóły... Ucho i rękę zakopałem w piaskownicy pod oknem. Resztę wyniosłem w torbach nad Wisłę. Świeży śnieg szybko zasypał ślady... Ale one i tak prowadziły do mnie. Odsiedziałem dwadzieścia pięć lat.

Zamilkł. Chciałam zapytać, co było potem, ale nie mogłam otworzyć ust, wydobyć głosu. Nie mogłam też otworzyć oczu. Bałam się, że podniosę powieki i znowu zobaczę ten obraz...

Ogień z trzaskiem strzela w górę. Śmierdzi uryna i spalony plastik. Czarne wypalone okna na poddaszu. Sąsiadka Wojtka, Grażyna, patrzy na czarny worek. Łzy ściekają nosem.

Wygląda jak chłopak. Głos wypalony przez wódkę. Mała głowa wciśnięta w czapkę z daszkiem. Uśmiech bez lewej jedyńki. Martwe, brązowe oczy. Piwo mocne w plastikowej butelce. Jest następna w kolejce. Umówiłam się z nią na sesję. Zdjęcie czarno-białe. Ona w sylwestrowym, cekinowym topie i bejsbolówce, która chyba na zawsze przyrosła jej do głowy. Jedyńnym kolorowym akcentem będą usta pomalowane czerwoną szminką. Bo menelica, to też kobieta. Na to jeszcze będzie czas. Może tym razem to ja zrobię pstryk.

Teraz Grażynka ma głos:

– Głupio skończył ten głuchy!

Ona swoje wie.

– Podpałiła go ta gruba Hanka spod trzydziestki. Dostał właśnie rentę. Popiliśmy sobie. On tylko dwa kielonki. Poczul się źle. Powiedział, że pójdzie się położyć. Bolał go kręgosłup i nogi. Dał nam jeszcze kasę. Na piwo i papierosy. Dobry był. A Hanka musiała go okraść. Wrzuciła do pokoju ogień. A dużo to trzeba było, żeby zapaliły się te wszystkie śmieci, które on w lokalu zgromadził? Była pierwsza w nocy. Ogień jak ta lala. Trzy metry w niebo. Drzewo się zajęło. A jaki huk?! Dym... Wojtek nie zdążył uciec. No głupio skończył ten głuchy.

Nie otwieram więc oczu. Swąd spalenizny wdziera się w nozdrza, pod powieki, oblepia skórę.

– Co wydarzyło się potem? – chcę wiedzieć. Sama nie wiem, czy wypowiadam to pytanie głośno, czy tylko pozwalam swobodnie płynąć myślom. Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest dialog. Ja słyszę Wojtka, a czy on słyszy mnie? Sen rządzi się swoimi prawami. A może to nie sen?

– To powiem ci prawdę – Wojtek zaczyna opowieść od nowa. – Nie żonę zabiłem, lecz Staśka, kompana od wódki. Nie warto go żałować. To był śmieć. Niewykształcony koleś, który szukał sponsora. Byłem sponsorem, bo nie lubię pić sam. Nie lubię być sam. A jestem sam, bo piję. I kółko zamknięte.

Dlaczego zabiłem? Sam nie wiem. To chwila. To on mnie dobił. Powiedział, że nie znam muzyki. Że jestem głuchy i głupi... Tak, jakiś czas temu straciłem słuch. A muzyka, to największa moja miłość. Kiedyś chciałem być kompozytorem. Jak Szostakowicz. Zostałem realizatorem dźwięku w radiu. A potem ten guz i głuchota.

Skończyło się życie, zaczęło popijanie. Więc rozumie pani, ten śmieć naigrywał się, że zbieram płyty. Że i tak nic nie usłyszę. Nosił ślepy kulawego... Ja tego nie wytłumaczę. Zalała mnie krew. Może za dużo wódki. Może nóż za ostry. Nie pamiętam. Podobno dwadzieścia dźgnięć. Stary dywan wypił krew. Torby z poćwiartowanym ciałem porzuciłem nad Wisłą. Ktoś je wziął, bo pomyślał, że będą dobre dla psa. Podobno jego żona zobaczyła w reklamówkach Bossa, ludzkie pośladki... Ja nie wiem... Nie pamiętam. Odsiedziałem. Ale nie mogę spać w tym pokoju. Czasami wydaje mi się, że ten śmieć siedzi przyklejony do sufitu i czeka na moment, by skoczyć i mnie udusić. Nie śpię w pokoju. Wychodzę na korytarz. Tam bezpieczniej.

A jeszcze lepiej... kiedy w ogóle nie kładę się spać. Omijam tę dwudziestą trzecią, kiedy zabiłem, wykreślam tę godzinę.

Chodzę po mieście. Znam wszystkie zsypy. Śmietniki to album minionej świetności. Różowe franki richelieu. Kto wyrzuci? Śmieć... Ignorant... Płyta Abby. Płyta Musorgskiego. Okudźawa na kasetach! Kto wyrzuci takie skarby?

Śmieci! Zanutuj: Nie jestem śmieciem. Nie wyrzucam. Zbieram. Niedawno podstawili pod moje okna ciężarówkę. Że śmieci, szcuchy, robactwo, pożar. A to skarby. Jezus na obrazku wychodzi z grobu. Anna German się uśmiecha z okładki. Rolling Stones suszą zęby... jak się wkurzę, puszcze tę całą kamienicę z dymem. Pani piesek jest taki ujmujący!

Uroczę stworzonko. Co tam znowu? Drze mordę ta kurwa spod trzydziestki. Zabiję padalca! Niech jeszcze raz przyjdzie i poprosi o szmal na pół litra. Niech to szlag...

Miękki jestem. Dostaję rentę, a oni natychmiast jak muchy, na zapach... lecą do mamony. Znajdzie się na flaszkę dla mnie, i dla nich...

Jest piąta nad ranem. Szara ulica i rozgorączkowany tłum. Nad wypalonym oknem snuje się dym.

Sanitariusze na brezentowych noszach wynoszą zwęglone zwłoki. Tłum chce wiedzieć co się stało. A ja wiem, że nikt nie pozna prawdy. Nie jest na nią gotowy.

On głuchy był, ten morderca? Kogo zabił?

Żonę zabił! Nie żonę, tylko kumpla! Nie kumpla, tylko syna! Zapracował na taką śmierć. Już dawno trzeba go było stąd wyrzucić. Zalewał fekaliami sąsiadów poniżej. Wyrwał okno z framugą. Rzucił na chodnik, omal nie zabił. Sama wołałam policję. Rąbał siekierą szafę. Wyrzucał deski przez okno.

Krzyczał tak głośno, że aż strach wywoływał dreszcze. W mieszkaniu smród. Pluskwy gryzły. Nie radził sobie. Ledwo nogami powłóczył. Ale siłę miał, żeby zabić. No musiał mieć... Wreszcie spokój, nikomu nie dokuczy. Jakby się nie spalił, tobyśmy go zabili. Lincz murowany. Nawet w urzędzie powiedzieli: dobrze że przy okazji spaliły się robaki...

Jest piąta dziesięć nad ranem. To znowu Wojtek. Sen jest dobrym miejscem na spotkanie.

– No to teraz już powiem prawdę – zaczyna po raz trzeci. – Nie zabiłem kumpla od wódki. Zabiłem syna. Ciągle go zabijam. Przez tyle lat. Ciągle.

Nie mogę się od tego uwolnić. Wściekły walę na ośle. Że wszedł w to bagno i powoli się zabija. Za działkę hery odda wszystko. Sprzeda matkę, ojca. Siebie. Łamię na nim krzesło. Jest nieprzytomny. To jeszcze bardziej mnie wścieka. A masz za matkę! Przez ciebie zmarła na zawał. A masz! A masz! Za mój strach. Za bezsilność. Ty szczeniaku zabiję cię. Walę na ośle. Słyszę własne tętno. Brakuje tchu. W rękach ogień. Żyły jak powrozy, zaraz przetną skórę. Gówniarz zeszczał się. Jestem jeszcze bardziej wściekły na niego, że to robię. Sam siebie za to nienawidzę. Tak, to było dawno... Ale ciągle go zabijam. Chwilę przed końcem oprzytomniał. Spojrzył na mnie. Zapłakał, jak dziecko. Powiedział: tato.

Gdyby wtedy się nie odezwał, może by łatwiej... A tak... ciągle go zabijam. Tato!

Gówniarz nic nie zrozumiał! Wódka. A co mi zostało. Dobrze po niej zasypiam. Ale w nocy budzę się. Sztywniej mięśnie. Boli skóra. On znowu woła. Płacze.

Tato! Za chwilę zwariuję. Nie. To już obłąd. Gdzie ta wódka?

Jeśli to sen, chciałabym się obudzić. Wyrzucić spod powiek ten obraz z wczoraj.

Ciągle ten sam tłum. Ktoś robi selfie na tle płomieni. Błyska lampa. Pęka szkło.

Grażyny nos spuchnięty od płaczu. Oczy suche. Na spierzchniętych ustach kropelki krwi.

Jaki był Wojtek? Człowiek z gipsu. Nigdy się nie uśmiechał. Jak Boga kocham. Tyle lat był sąsiadem. Nigdy... Mało mówił. Ale jak się napił, to płakał. Może od wódki. Może od żalu. Kto go wie... Tak płakał, że trzeba było uciekać. Nie dało się dalej z nim pić. Szkoda go... Dobry był. Zawsze nam coś postawił, jak miał pieniądze. Kazał pić za swoje zdrowie. Siostra przynosiła mu zupę od zakonników. Jadł łapczywie. Ciągle głodny. A jak oranżadę lubił... Szkoda go... Dlaczego uciekał w drugą stronę, zamiast na schody. Dostał na łeb od tego czadu? Spaliły mu się nogi. I ja nie wiem... dlaczego nie piszczał. Człowiek, jak go boli... piszczy... a on cicho, bez pisску umarł...

Niech pani słucha, jak mówi ta menelica Grażyna. Alkohol mózg jej wyżarł. Ot, co! Następna kandydatka do spalenia. Może kamienica się oczyści. Powinni to wyrzucić... zanim sprowadzi nieszczęście. Dno! Powiedz pani, dlaczego on jak się palił, to nie piszczał? Z bólu powinien...

E tam, człowiek z bólu krzyczy, ile sił w płucach... ma gardło na wierzchu... pies piszczy, kot... nie człowiek... Sąsiadko ja wiem swoje. On brudny był. Brudni nie krzyczą. Nie mają odwagi...

Niebo ma kolor popiołu. Dnieje. Czy to sen? Czy Wojtek zamilkł? Nie! On po raz kolejny zaczyna swoją opowieść. I mam wrażenie, że nigdy jej nie skończy.

– No to może teraz powiem prawdę, samą prawdę. Miałem żonę i dwóch synów. Straciłem ich. Nie będę wdawał się w szczegóły. Żyją? Nie żyją? Nie chcę o tym mówić. Kiedy puszczaają nerwy, płaczę. Chciałbym być z nimi. Zjeść rosół z talerza. Talerz, stół, cerata, metalowa łyżka. Marzenie. Nie kartoflanka ze słoika. Jakbym mysie bobki jadł. Mam brata. A może już nie mam. Podobny do mnie, jak bliźniak. Dwa lata starszy.

Ma siedemdziesiąt dwa. Prokurator. Przychodził do mnie, ale nigdy nie wszedł tu. Czekał na końcu ulicy. Już dawno go nie było. Zachorował. W którym jest szpitalu? A może umarł? Na którym jest cmentarzu? Czy on mnie jeszcze kiedyś odwiedzi? Czy ja go jeszcze...? Boli mnie noga. W lewej już nie mam czucia. Czasami idę ulicą. Musze usiąść na schodkach. Patrzę na ludzi. Nie gadam z nimi. Bo o czym? Tylko z Grażynką i jej siostrą Krysią. Przyniosą zupę od zakonników, posiedzą, wypiją. Potem ja płaczę, one uciekają. Jak szczur z tonącego... Kiedy się tu wprowadziły, zapytały: To pan jest tym mordercą? Sąsiedzi powiedzieli, że mają się mnie bać. Nie bały się. Grażynka też zabiła. Koleżankę z domu dziecka. Pocięła żyletką. A może nie pocięła? Może tak chciała się wkupić... w łaski mordercy?

To były jego ostatnie słowa.

Za dnia poszłam jeszcze raz obejrzyć to miejsce. Po pożarze została czarna dziura w murze. Na trawie resztki potłuczonego szkła, nadpalony plastik, zdjęcie odwrócone twarzą do ziemi. To nie zdjęcie, tylko święty obrazek ze złoconym brzegiem. Na nim Chrystus zmartwychwstał, wyszedł z groty. On tryumfator-zwycięzca, nikt Go nie widzi oprócz nas, żołnierze śpią.

Szkoło chrzęści pod butami. Dudnią słowa gapiów. Może gdyby on piszczał, ktoś podszedłby do niego i go ratował? A nikt nie podszedł? Nie. Nie było po co. Nogi miał zwęglone. Skóra brązowa i spękana jak spalony kotlet. I żywa krew w pęknięciach. Co też mówisz? Oglądałeś? Inni widzieli. Doczekał się końca. Wykrakał. Ciągle groził, że wszystkich spali. Dlaczego

groził? Bo krzyczeli, żeby się umył. Że nie da się przejść, bo tak śmierdzi. A widzieliście ten ogień? Wielki! Szyby pękały z hukiem. Strażacy lali wodę trzy godziny. E dłużej! A potem przez to wypalone okno wyrzucali tłące się śmieci. A wiesz, co było w tych śmieciach? Prawie same książki. I winylowe płyty. Musiał kochać muzykę. Morderca? Głuchy przecież był. Ale książki lubił czytać... No lubił. Siedział nocami i czytał, bo nie mógł spać... Tak mówią...

Leżał zwinięty w kłębek, pod drzwiami. Trochę się zwęglił. Podobno spaliły się mu nogi. Ogień nie ruszył jego siwych włosów. Twarzy już nikt nie oglądał. Wynieśli go na drelichowych noszach... Skurczył się. Taki ma-lutki... Czarny, foliowy worek spięty pasami. Był i nie ma. PSTRYK.

Maria Mamczur

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Nachher POTEM¹

Rozdział 3. Potem / Nachher

Do domu wrócił późnym wieczorem. Na niektórych budynkach pojawiły się banery reklamowe koncertu Phila Collinsa mającego się odbyć za kilka dni w Warszawie. Na tle zdjęcia artysty pierwsze litery, reklamujące jego występy, brzmiały:

„Still not death yet...”. Owszem facet na zdjęciu wyglądał już trochę na podstarzałego tatusia lub dziadka. Znając go jednak z poprzednich udanych scenicznych *performance*, Winek tak nie uważał. Owszem wiedział o jego przebytej operacji.

– Da radę – pomyślał.

– To rockman z krwi i kości – kiwał głową, jakby wspierał go telepatycznie.

– Czasem siwe włosy, łysina przydają tylko więcej kolorytu samej postaci. To zmarszczki na gębie, układ policzków, bruzdy na czole, „szczyprawki” przy oczach, a przede wszystkim oczy. To oczy mówią o tobie wszystko. Ich nie oszukasz. Skrzące, wesołe, pełne energii i błysku. Lub zmęczone, przyblakłe i przygaszone. To one są lustrem, w którym odbija się twój *power*, duch, który w tobie tkwi lub drzemie, jest w pełni... lub odpływa i jest w fazie wygaszania. Wokół pod nimi, rzecz jasna, nie wykluczając. One świadczą bowiem mogą o czymś zupełnie innym... choćby o morzu zawartym w liczbie beczek spożytej w życiu whisky albo francuskiego wina. Zaraz za tym idą słowa, to co się mówi i jak się je wyraża. Czy towarzyszy temu angielskie poczucie humoru jak w przypadku Philla Collinsa? Czy raczej starcze narzekanie, krytykanctwo, gderanie i schyłkowe czarnowidztwo? Tak charakterystyczne dla wielu w jego wieku. Zresztą w razie czego wesprą go Daryl Stuermer, stary druh jeszcze z czasów Genesis, czy drugi

¹ Fragment opowiadania z powieści pt. *Sykomora. Ubi arma sonant. Tu, gdzie szczęk zbroi i huk armat słychać najgłośniejsz.*

gitarzysta Ronnie Caryl, którego Phill zna jeszcze dłużej, bo od pięćdziesięciu lat – przemawiał do siebie.

– *Still not death yet!* – powtórzył.

W każdym razie ja jeszcze trochę poczekam... – pomyślał, dodając sobie odwagi. jakby to miało odnosić się do niego.

Kiedy wychodził spod prysznica, usłyszał znajomy dźwięk telefonu. Podszedł żywszym krokiem, wycierając jeszcze mokre włosy i uszy.

– Cholera, spokoju nie ma! Któż to o tej porze?! – lekko zmarszczył brwi.

Była wpół do dziewiątej wieczorem.

Podniósł słuchawkę. Nikt nie odpowiadał.

– Słucham, kto tam?

Przez chwilę trwało głucho milczenie. Już chciał odkładać, gdy odezwał się niepewny głos kobiecy.

– Pułkownik Opara? ... Winek? ...

Cisza trwała chwilę. Wydawało mu się, że trwa co najmniej dziesięć razy dłużej.

– Tak, to ja...

Powoli rozpoznawał ten głos.

– To ja, Małgosia. Małgorzata Bortnowska – kobieta się przedstawiła.

– ...Tak, poznaję... poznaję – odparł nieco zaskoczony telefonem kierowniczką Muzeum im. Kajki w Ogródku koło Orzysza. Nie traktował tej znajomości jako coś na dłużej. Od ich spotkania minęło co najmniej osiem tygodni.

– Co u ciebie, Małgosiu? – zapytał grzecznościowo, ale i z dużą dozą sympatii w głosie. Przecież z pobytu na Mazurach miał same miłe wspomnienia.

– Wszystko w porządku? – powtórzył. – Co u Pana Kajki w Buenos Aires? – Nie czekając, pytał dalej na wpół poważnie, na wpół żartobliwie.

– U Pana Kajki wszystko w najlepszym porządku – odparła.

– A u ciebie? – przerwa, jakby wyczuwając, że coś jest nie tak. Może i nie był doskonałym znawcą kobiet, to jednak coś mu podpowiadało, że za tym nieoczekiwanym telefonem coś się kryje.

– Wiesz... hmmm... – słyszał po drugiej stronie.

– Mów śmiało...

– Czy mogłabym cię prosić o spotkanie? – wykrztusiła z siebie odważnie.

– Jasne, jak najbardziej – odparł.

– Jestem w Warszawie... – powiedziała ciągle nieśmiałym głosem.

– Jestem w Warszawie... – tym razem powtórzyła bardziej stanowczo
– ...i chciałabym spotkać się z tobą jak najszybciej – wyrzuciła z siebie jedynym tchem.

– Jasne, nie ma problemu.

– To sprawa poważna – powiedziała, zawieszając głos.

– Jasne, kiedy tylko zechcesz... – powtórzył – ...no, może z wyłączeniem rozkazów od dowództwa... – przebiegło mu przez myśl.

Ślady drylu wojskowego jak stukot końskich kopyt odzywały się echem pomiędzy substancją szarą a białą w tkankach mózgu kawalerzysty.

– Jutro... a może nawet dziś – szybko odparła, jakby obawiając się, że nie zdąży, że zabraknie jej siły, odwagi, by się przemóc i powiedzieć mu wszystko od razu.

– ...Dziś...? – zastanawiał się zbity z tropu.

Usłyszała to zdziwienie.

– Nie lepiej jutro? – zapytał, otrząsając się z całkowitego zaskoczenia ... Nie usłyszał odpowiedzi. Znowu trwało to chwilę. Tym razem wydawało mu się jednak, że o sto razy za krótko. Chciał mieć czas do namysłu.

– A nie lepiej jutro? – powtórzył.

I znowu ta sama cisza po drugiej stronie.

– W porządku, gdzie jesteś? Zaraz przyjadę po ciebie samochodem – zdecydował.

– Stoję w hali biletowej Dworca Centralnego, przy kasie numer... numer cztery – usłyszał wreszcie jej głos w słuchawce.

– Już jadę. Czekaj na mnie. Będę za kwadrans. Będę na pewno. Nie ruszaj się z miejsca – odparł.

Z Żoliborza do dworca miał aleją Jana Pawła żabi skok. Szybko się ubrał w jeansy i jakiś T-shirt. Zbiegł na dół do garażu po samochód. Na szczęście na ulicach było już po godzinach szczytu. Po drodze przychodziły mu do głowy różne myśli. Nie miał przecież osiemnastu lat... Rozumiał, co kobieta najczęściej może mieć na myśli, prosząc o nagłe spotkanie.

– Czyżby...?

– Hmm, do diaska...

– Ech! Nie! Może po prostu chodzi o jakąś przysługę, pomoc w załatwieniu czegoś w stolicy...? W końcu znam tu tego i owego... Orzysz to małe miasto, a na prowincji ludzie myślą, że Warszawka może wszystko...

– OK, zaczerpnij głęboko powietrza i póki nic nie wiesz na pewno, to wyluzuj...

Przemawiał do siebie co chwila. To zwalniając, to przyspieszając Infiniti.

– W takich sytuacjach niektórzy pewnie daliby drapaka...

– A może nie dojechać... skręcić gdzieś w bok... zawrócić?

Mniej optymistyczny scenariusz krążył mu po głowie.

– No co ty?! Przecież nie stchórzysz. Ty żołnierz. Żołnierz Królowej Madagaskaru...?

– Kto do wody skacze, musi wiedzieć, czy będzie umiał wrócić do brzegu. Inaczej trzeba było do niej nie skakać!

– Małgosia? Jakże miło cię widzieć – uściśnął jej dłoń i trzy razy ucałował w policzki.

– Mam nadzieję, że długo nie czekałaś.

Mówiąc to, spojrzał jej głęboko w oczy.

Nic nie odpowiedziała. Milczała.

Wystarczyła chwila, by już wiedział. To, o czym myślał w drodze, stało się prawdą.

– Chodźmy. Pojedziemy do mnie do domu.

Wziął od niej torbę podrózną.

– Tam o wszystkim porozmawiamy. Naparzę dobrej herbaty i o wszystkim spokojnie porozmawiamy.

– Jak podróż? – zapytał, gdy usiadła wygodnie przy stole.

Nie chciała przejść do salonu. Woląла usiąść w kuchni i przyglądać się, jak parzy herbatę. W zasadzie to parzenie herbaty w ogóle jej nie interesowało. Odczuwała jakąś wewnętrzną potrzebę bycia w tej chwili u męskiego boku. Przy mężczyźnie. To dawało jej poczucie spokoju i dodawało sił. Od kilku dni była jednym wielkim kłębkim nerwów. Bała się. Przez kilka ostatnich dni żyła w napięciu.

– Dało się przeżyć. Są gorsze rzeczy na tym świecie...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, tak sobie mówię – odparła pociągając łyk herbaty, by ukryć jak bardzo ściska ją w gardle.

– Gosia...

– Tak?

– Myślę, że się domyślam...

– Czego Winek się domyślasz? – podniosła na niego wzrok i wpatrywała się, nie spuszczając powiek.

Podszedł do niej bliżej i obydwie dłonie położył jej od tytułu na ramionach. Lekko masował. Potem ucałował jej piękne blond włosy na czubku głowy.

Po namyśle położyła swą prawą dłoń na wierzchu jego lewej.

Nic nie mówili.

– Gosiu...

– Tak, Winek?

– Gosiu, jesteś pewna?

– Tak jestem pewna.

– Zrobiłaś badania?

– Zrobiłam.

– Masz wyniki?

– Mam.

– Który to jest tydzień?

– Ósmy. Ósmy tydzień.

– Hmm... i co o tym myślisz?

– Co ja mam myśleć? Raczej co ty o tym myślisz? – powiedziała, zadając pytania i zdejmując swoją dłoń z jego ręki.

Wstała z krzesła. Odważnie podniosła podbródek do góry i wbiła się spojrzeniem w jego oczy.

– Wiesz, że ja mam czterdzieści dwa lata?

– Wiem.

– Wiesz, że mam dwóch prawie dorosłych synów?

– Wiem.

– I co ty na to?

– Co ja na to? Raczej co ty na to?

– Gosiu...

– Tak?

– Wiesz... Muszę się zastanowić... Nie, nie! Nie, żebym chciał...

– Słucham?

– Mówię, że nie, bym chciał..., ale...

– Jakie ale? Jakie ale...? Winek. To jest jakie ale, pułkowniku Opara?!

– Gosiu, Gosiu... poczekaj. Muszę się zastanowić...

Wstała z krzesła, nie dopijając herbaty pochwyciła torbę i wybiegła z mieszkania na korytarz. Kierowała się do windy.

– Małgosiu, poczekaj. Małgosiu... poczekaj...

Pobiegł za nią.

– Nie odchodź. Zostań, przenocujesz u mnie. Pomyślimy... Jutro jeszcze raz wszystko omówimy. Zostań... Proszę... zostań.

Otworzyła drzwi do windy. Spojrzała na niego jeszcze raz. Zmrużyła oczy.

– Przenocuję u koleżanki – odpowiedziała zimnym jak lód głosem.

Nie zatrzymał jej.

– Dziś nie podejmę żadnej decyzji. Pomyślę o tym jutro. To jest potem – wypuścił z siebie powietrze, zmarszczył brwi i wrócił do mieszkania. Nie był z siebie dumny ani zadowolony... Wolał jednak jeszcze nad tym wszystkim pomyśleć.

Do gmachu Firmy wchodził dość wcześnie, bo już o ósmej piętnaście. Na tę godzinę zapraszał go do siebie przełożony.

– Czołem, żołnierzu – przywitał się z oficerem dyżurnym.

– Jak leci, Wacusz? – dodał.

– Wszystko w porzo, panie pułkowniku. Bez niespodzianek. Za dwie godziny zdaję wartę, a w poniedziałek jadę z żoną i dziećmi na przełożony urlop.

– Jak to przełożony? – zapytał Winek.

– Już od zeszłej niedzieli mam do niego prawo. Czekałem tylko na żonę, aż i jej dadzą w tym samym czasie wolne. Wolimy jechać, to jest lecieć razem... – odpowiedział.

– No jasne. Rozumiem. A co dzisiaj mamy? – zapytał dla podtrzymania krótkiej wymiany zdań.

Spieszył się.

– Czwartek, panie pułkowniku.

– Jasne. Czwartek! I dokąd to? – rzucił ostatnią myśl, stojąc już przy windzie.

– Do Chorwacji, panie pułkowniku. Obydwoje już nie możemy się doczekać.

– W takim razie życzę udanego urlopu, dużo słońca, ciepłej wody w Adriatyku i piaszczystych plaż – mówił, zamykając już za sobą drzwi w windzie.

Usłyszał jeszcze od porucznika:

– Z tym ostatnim może być trudniej. Ale dziękuję, thanks, merci... panie pułkowniku.

– Witam cię. – Generał W. wstał zza biurka, wyciągając rękę ku podwładnemu.

Ten sam, który przyjmował go swego czasu do służby. Jak zwykle z odrobiną dla siebie tylko charakterystycznego poczucia humoru.

– Czołem, witam i o zdrowie pytam. *How are you?* – dodał.

Generał lubił go. Zresztą z wzajemnością. Za każdym razem, gdy Wincent go widział, wstępował w niego nowy duch. Jakby podłączał się do nowego źródła zasilania.

– Kiedyś odpowiedziałbym: *I am fine. I am fine.* Dziś raczej: *Still not death yet, still not death yet,* panie generale.

– Nie wyspałeś się? – cofnął głowę do tyłu.

– Nie, nie to.

– Dręczy cię jakaś choroba?

– Ech, nie!

– Zdrowie, siły szwankują?

– Ech gdzie tam!

– Wszystko jest OK.

– To co jest? Do cholery. Problemy rodzinne?

– Hmm... powiedzmy.

– Winek, jeżeli jesteś zdrowy i nie chorujesz, a wyspałeś się to na dziś musi Ci to wystarczyć. Na ten moment twoje problemy rodzinne, czy męsko-damskie mniej mnie interesują. Są sprawy ważniejsze! – odparł generał.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze. Wiesz, że Amerykanie przeprowadzili test działa laserowego w zasięgu rakiet White Sands US Army w Nowym Meksyku. Jego możliwości pokazane przez US Air Forces są doprawdy imponujące. Leży w naszym interesie, by z nimi współpracować.

– Z tego, co się orientuję, to system zwany SHIELD. Służy do neutralizowania pocisków wystrzelonych z powietrza. Myślę, że to nie tylko z powodu testu nowego działa laserowego, panie generale, wezwał mnie pan do siebie?

– Z pewnością. Test jest jednak olbrzymim krokiem naprzód w stronę systemów kierowania energii oraz obrony przeciw potencjalnym zagrożeniom z powietrza. Co nas w szczególności interesuje.

– Po drugie – kiwnął głową, lecz nie pozwolił sobie przerwać wywodu.

Wincent z uwagą przysłuchiwał się więc dalej.

– Amerykanie mają jednak duży problem. Szkopuł w tym, że laser nie działa dobrze pod wodą, nie działa dobrze pod ziemią, zaś promień lasera można przechwycić i odbić. No, oczywiście minus to źródło zasilania. Po nim można namierzyć tego typu instalacje z orbity.

– Nie wspomnę, że takie źródła jak na ten moment działają raz i trzeba je powtórnie ładować – wtrącił się Wincent.

– Otóż to! Według naszych informacji powstały już obiekty latające otoczone płaszczem plazmy. To pewien kompleks broni kinetycznej, która dzięki wykorzystaniu wysoko energetycznego lasera może dokonywać przyspieszenia niezależnie od kąta, w którym wiązka lasera pada na obiekt. W ten sposób zamiast „wyparowania pocisku” mamy do czynienia z oddaniem mu energii, odbiciem i trafieniem w namierzany cel z podwójną siłą.

– Czyli coś na zasadzie pływającego żaglowca, który płynąc pod wiatr, nabiera mocy i ze zdwojoną energią porusza się do przodu? – podchwycił pułkownik.

– Niestety tak. To jak return przy serwisie przeciwnika. To nie wszystko, Winuś – czasem przemawiał do niego jak do własnego syna, którego nie miał. Natura chciała, że obdarzyła go trzema córkami. Z czwartej próby obydwójce małżonkowie swego czasu już zrezygnowali.

– Istnieją przesłanki, synu, by z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że są w tej chwili bardziej zaawansowane rodzaje broni...

– Rzecz jasna pomija pan świadomie istnienie już od kilkudziesięciu lat broni atomowej – wchodził w tok rozumowania Wincent.

– I tak, i nie. Na przykład eksplozja nuklearna w pobliżu płyt tektonicznych, podwodna eksplozja nuklearna, zniszczenie pola magnetycznego na danym obszarze, zniszczenie ozonu na określonym obszarze, programowalna epidemia, uśmiercająca osoby o wybranych cechach, niewykrywalna bomba atomowa w standardowym kontenerze – to są wyzwania, przed którymi stoimy dzisiaj – odparł generał.

– Myślałem o tym. Całkiem niedawno, panie generale, rozmawiałem na ten temat z pewnym znanym już polskim fizykiem. To mój dobry kolega ze szkoły. Absolwent Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego.

– I...?

– I, panie generale, mówił on już wtedy, że przyjdzie taki czas, gdy zastosowane będą soczewki grawitacyjne, nanoboty w paliwie – mogące spowodować zapłon dowolnego paliwa w dowolnym momencie. Ze ładunki będą mogły być teleportowane, a nanoboty aktywowane

w szczepionkach dla ludzi, w wodzie, powietrzu i jedzeniu. Przecież to całkiem proste, gdy żyjemy w świecie powszechnej dostępności do telefonów komórkowych...

– Domyślam się, o co ci chodzi, Winek.

– ...Mając kogoś na nieustannym podsłuchu, oddziałując na niego różnego rodzaju promieniowaniem od różnych fal radiowych poczynając, mogąc go z dokładnością do kilku centymetrów namierzać w schemacie X, Y, Z, czyli przestrzennym, istnieją możliwości wywoływania określonych zachowań. Na przykład agresji, autodestrukcji, depresji, czy takich schorzeń jak udary, zawały, napady schizofrenii, czy raka mózgu. Dziś przecież mało kto nie nosi przy sobie telefonu mobilnego...

– Idąc twoim tropem, można by zatem powiedzieć, że zamiast bezpośredniego zniszczenia danego kraju możemy go wyeliminować poprzez różnorakie wybiórcze oddziaływanie na ludzkie indywidua z osobna?

– Tak jest, panie generale.

– Ten twój znajomy to łebski facet. Co on teraz porabia? Może zechciałby dla nas pracować?

– Przyznaję, ma dobrze poukładane w głowie. Jest bystry, cechuje go zdolność do myślenia koncepcyjnego i do analizy szerokiego spektrum zagadnień. Do tego jest lojalny i odważny. Mogłem się o tym przekonać w harcerstwie, gdy razem żeglowaliśmy po Bałtyku. Nigdy mnie nie zawiodł. Zawsze dotrzymuje słowa.

– Zatem przyprowadź go w przyszłym tygodniu na rozmowę do nas. – Generał zaciekał się tą postacią.

– Jak wiadomo również i on potwierdzał, iż dzięki odkryciom Tesli można spowodować klęskę żywiolową – atakując nawet słońce...

– Hmm, myślę, że wystarczy jonosferę – HAPAAG – rzekł generał.

– ...Dopytam... i w osiem minut później mamy – kłopoty na wybranym obszarze ziemi... broń klimatyczna – anomalie pogodowe od tysięcy dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku świadczą o tym, iż walka na tym polu wciąż trwa...! – Winek mimochodem zachwalał kolegę.

– Nie tylko na tym polu, pułkowniku. Nie tylko. Jak widać tych pól jest coraz więcej i więcej.

– Tak, było jest i będzie... – potakiwał Winek.

– Jedną z najgorszych broni jest ciągle propaganda. Działalność wywrotowa na zapleczu wroga.

– To, co Sun Tzu nazywał wyliczeniami wstępnymi i uformowaniem?

– Właśnie tak. Dodałbym jeszcze strategię zaczepną. Dziś to celowe i świadome zmniejszenie zakresu edukacji społeczeństwa, tresura medialna poprzez pokazywanie pasków informacji, które w zasadzie likwiduje proces myślenia u odbiorcy. Informacja zgodnie z nadawcą jest łatwo zapamiętywana, lecz nikt głębiej nad nią się nie zastanawia. W kilka godzin z normalnego człowieka możemy mieć intelektualne zero, ciasto do ugniecenia, bezmózgowca. Wrak człowieka opierający się na uczuciach, wytresowanych reakcjach, zamiast na samodzielnej analizie faktów.

– Tak, tak, panie generale. Po co zatem byłoby niszczyć dany kraj, gdy jego mieszkańców można wytrenować do roli niemyślących debili czy niewolników. Niektórych zaś z nich bardziej opornych poddać bardziej wysublimowanej obróbce medialnej, w której przemawiają do nich tak zwane autorytety. Uczynić z nich roboty rzekomo myślące, atakujące już na same hasła, np. mocher, Kościół, Rydzyk, Krzyż, Konstytucja, aborcja, łamanie praworządności, LGBT, seksizm, smog, ocieplenie klimatu, wolność, nawiasem mówiąc, posunięta do samowoli bez odpowiedzialności za siebie i innych...

– Do dziś mam przed oczyma te transparenty noszone przez sufrażystki: „*moja macica moja sprawa, moje ciało moja broszka...*” – wtrącił generał.

– Wszystko po to, by pozostać, przynależeć do warstwy inteligenckiej lub tzw. klasy średniej. Krzyczą, gardłują, rozbierają się na ulicach, kładą się na jezdni, kopią w blokady. Szanuję wszystkich. Ale, kto dostaje tak zwanego pierdolca... Tego trzeba leczyć. Niestety. Nie domyślają się, kto tak naprawdę nimi rządzi? Kto pociąga za sznurki? – dodał.

– Trudne wybory. Trudne wybory... – skomentował Winek. Na temat praw kobiet do własnego ciała tylko w części podzielał zdanie przełożonego.

– Świat zmierza ku przepaści, synu... ku przepaści, oby nie ku wojnie. Zapamiętaj moje słowa. Być może przyjdzie jeszcze czas na opamiętanie i znajdą się jakieś siły, które będą chciały zapobiec nadchodzącej hekatombie. Kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy. Lubię z tobą deliberować.

– *The same me*, panie generale.

– Analiza tych spraw to nie tylko nasza codzienna praca, to element naszego „ja”. Naszej tożsamości.

Coraz trudniej oddzielić ziarno od plew. Kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy. Mam na myśli całkiem niedługo, mój synu.

– Z wzajemnością. Liczę na to, szefie – Wincent się uśmiechnął.

– A propos, tak na marginesie. Wiesz już, że europejski system pozycjonowania Galileo padł? – zapytał.

– Tak, wczoraj otrzymałem w raporcie, generale. Padło wszystko. Nie działa co najmniej od dwóch dni. Na ten moment GPS nie ma konkurenta.

– Chciałoby się powiedzieć, co tu qu...wa jest grane?! Nie do końca wiemy jeszcze, co z ruskim GLONASS i chińskim Beidou... Czy to preludium do...? – Generał powstrzymał się od dokończenia. – Ale, ale przypomnij, jak nazywa się ten twój kolega fizyk?

– Stanisław Odrowąż. Stasiu Odrowąż – pułkownik potwierdził zdrobniale.

– Jak wypadnie dobrze przed komisją kwalifikacyjną i zatwierdzony będzie przez kadry, to go potem do mnie przyprowadź. Opierając się na twoich informacjach, wystawię mu rzetelny list polecający.

– Dziękuję, panie generale. Można na nim polegać.

– OK, a teraz ty dostajesz ode mnie inny list. Nie polecający. To raczej polecenie wyjazdu. Wyjazdu do pewnego profesora... Cokolwiek miałoby się wydarzyć, musisz się z nim jak najszybciej spotkać.

– Rozumiem. Kiedy miałbym wyjechać?

– Jutro rano. Masz tam być o dziewiątej. Potem się zobaczymy. To znaczy, jak wrócisz do Warszawy, to się zamelduj. Na dziś dziękuję.

Generał wstał zza biurka i jak zwykle mocno uściśnął dłoń Wincenta. Między innymi lubił go za to.

Winek nie znosił fajfusów, którzy mają w zwyczaju podawać rękę tylko do uściśnięcia przez innych. To taki chamski, jeśli zamierzony, brak elementarnego szacunku do drugiego człowieka, lekceważenie lub wyraz pogardy. Jeśli nie zamierzony, to po prostu zwykłe zachowania palanta. Czasem ta ręka jest obła i przepocona. *Fuck off*. Po polsku: Wal się. Lepiej, gdyby już jej nie podawali. Bo i po co...? Winek miał w zwyczaju takim pseudocwaniakom, dla niego frajerom, nigdy już więcej ręki nie podawać albo odruchowo tego unikać, gdyby pierwsi mieli jeszcze wobec niego wychodzić z takim gestem.

Późnym popołudniem wracał do domu. Od czasu do czasu spoglądał przez szyby samochodu na Warszawę. Dla niego piękną. W blasku zachodzącego słońca, czy w deszcz jesienią, wiosną, latem lub zimą. Z odnowionymi lub odrestaurowanymi fasadami starych, przedwojennych budynków. I tę już nowoczesną, z aluminium i stali. Niektórzy mówili, że ta

futurystyczna zabudowa zablokowała płuca miasta. Że przez nią zatkały się kanały wentylacyjne stolicy. Że starszym brakuje powietrza do oddychania. W upały temperatura wzrasta do plus trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, a skutkiem tego jest wiszący wówczas nad miastem smog. Gdzie jesteś, gdzie byłeś naczelny Architekcie Warszawy? – krzyczeli oburzeni.

Może i mieli rację... Sam w dzielnicy, w której mieszkał, aż tak mocno tego nie odczuwał. W ostatnich latach obecni włodarze albo nie wykazywali się zanadto perspektywicznym myśleniem, albo okazywali się aż nadto interesowni. Cokolwiek, by pod tym pojęciem nie rozumieć. Ale czy presja modernistycznego myślenia i dokonywania przy tym właściwych lub niewłaściwych wyborów to tylko problem Warszawy?

Skreślił w Bonifraterską. Obok mijał Sąd Najwyższy i ambasadę Chin. Po prawej miał Kościół św. Jana Bożego i Andrzeja Apostoła. Tak zwany Kościół Bonifratrów. Znał jednego z nich. Chodził z nim do liceum. Miał na imię Piotr. Pietja wołali na niego. Był dobry z rosyjskiego. Nie znał przyczyn powołania go do stanu duchownego i kiedy to dokładnie nastąpiło. Pewnie było działaniem Ducha Świętego – jak mówił. Dziś w świecie konsumpcji i pogoni za dobrami materialnymi tego świata, bitcoinem, seksem *et caetera* dla wielu trudno zrozumiałe. W każdym razie został Bonifratrem. Od łacińskich słów *bonus frater* – dobry brat, lub *fratres misericordiae b. Joannis de Deo* – bracia miłosierdzia od Jana Bożego, z tego co pamiętał z jego objaśnień na ten temat podczas ostatniego spotkania. Zakonnicy ci składają ślub troski o chorych, zwany ślubem szpitalnictwa. Specjalizują się w szpitalnictwie. Prowadzą własne apteki, szpitale, przychodnie podstawowej opieki zdrowotnej. Opiekują się również chorymi psychicznie.

Przejeżdżając lub przechodząc obok, zawsze spoglądał na ten kościół z myślą, że kiedyś może go tu zobaczyć. Jak na ironię dostrzegł kogoś w brązowym habicie, kto sylwetką wiernie przypominał mu Piotrka... OK, dziś Brata Alberta. Takie imię przyjął po wstąpieniu do Zakonu. Zwolnił. Uchylił okno w samochodzie.

– Pietja...? Piotrek...? Ojczy Bonifratrze – zawołał dość donośnym głosem.

Zakonnik odwrócił głowę. Spod kaptura wyjrzała brodata twarz. Witek nie był do końca pewien. Z tej odległości i w ruchu ulicznym, nawet jeśli spowolnionym, nie mógł być pewien.

Zakonnik odmachnął mu jednak ręką w geście pozdrowienia. Winek odczytał to jako potwierdzenie.

– Poczekaj! O... jest wolne miejsce. Tylko zaparkuję – odkrzyknął.

Po chwili uściskał rękę mnichowi.

– Witaj... kurczę jak się cieszę... Ups... przepraszam. Żadnych kurczę... Niech będzie pochwalony Jezus...

– ...Jezus Chrystus – dokończył Brat Albert, kolega Winka ze szkoły średniej. Był najlepszym w szkole koszykarzem. Na studiach grał w Polonii Warszawa. Mierzył metr dziewięćdziesiąt osiem centymetrów. Uśmiechnął się.

– Ja również. Jak to dzisiaj powiedziałaaby młodzież? Ale beka? – zapytał Piotrek.

– Myślę, że coś w tym rodzaju, albo *What's a surprise!* Lub *Wot, kakaja eto supriza!* – powiedział Winek, śmiejąc się do wspomnień z lat szkolnych.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej – potwierdzał zakonnik.

– Znajdziesz chwilkę, dla starego wiarusa...? – zapytał, spoglądając na niego z wyraźną wolą raczej dłuższego niż krótszego spotkania.

– Winuś, jasne. Dla żołnierza RP? Dla ciebie zawsze. Mam spotkanie w przychodni z pacjentem. Ale to dopiero za godzinę i czterdzieści pięć minut... Potem wieczorem odprawiam mszę. Ale myślę, że zdążymy. A jak nie, to umówimy się kiedy indziej na dłuższą spowiedź – zmruczył oczy w uśmiechu.

– ...to znaczy spotkanie i rozmowę – dodał trochę poważniej.

– Chodźmy do przychodni. Tam przyjmują pacjentów. Jest tam taki mały pokój przyjąć. Tak będzie najprościej i zyskamy sporo na czasie – ciągnął dalej.

– Chcesz powiedzieć taka mała cela zakonnika... zapytał Winek.

– No może trochę większa...

– Wiesz Piotrek, może i ja jestem w pewnym sensie twoim pacjentem... coś mi się wydaje w każdym razie, że mogę nim być. I kto wie? Może już całkiem niedługo.

– Oh, zaraz pacjentem. Przede wszystkim kolegą, przyjacielem. Chodźmy – powiedział brat Albert.

Pokój przyjąć rzeczywiście nie należał do największych. Jednak miał podstawowe wyposażenie gabinetu lekarza ogólnego. Przyjmowano tu zarówno pacjentów z objawami schorzeń fizycznych, jak i psychicznych.

Biurko, łóżko do badań, przeszklona szafka z narzędziami lekarskimi, flakonikami, strzykawkami, bandażami, watą, słuchawkami do osłuchiwania pracy serca i płuc, przyrząd do badania ciśnienia krwi. Na podłodze stała waga do pomiaru wzrostu i ciężaru ciała. Nad drzwiami wejściowymi wisiał skromny, nieduży krzyż.

Brat Albert skończył Wydział Psychologii na Uniwersytecie Warszawskim. W związku tym zajmował się opieką nad pacjentami z objawami stresu, depresji, mającymi problemy z samym sobą, poczuciem utraty wiary w siebie, załamany nerwowo po śmierci bliskich i w zderzeniu z informacją o własnej nieuleczalnej chorobie. Również będącymi po rozwodach, z myślami samobójczymi, utracie pracy, z alkoholizmem, kompleksami na tle własnego wyglądu i umiejętności radzenia sobie w życiu, w kontaktach społecznych z innymi w pracy, na studiach, czy szkole. Po kilkunastu latach pracy, lub raczej posługiwania nabrał wiedzy i doświadczenia. Czytał z ludzkich twarzy. Panował nad emocjami. Łatwo nawiązywał kontakt z ludźmi. Mówił przekonująco i mądrze. Dobierał właściwe słowa, przekazując to przy tym ciepłym i serdecznym głosem. Wzbudzał zaufanie. Nigdy na nikogo nie pokrzykiwał. Nie potępiał ani nie udzielał apodyktycznych lub wyniosłych rad.

– I co u ciebie, Pietja? Nic się nie zmieniłeś?

– Masz na myśli: postarzałeś?

– A i owszem. Żartujesz. Oprócz brody, którą pamiętasz z naszego ostatniego spotkania, to zapewne i grzechów mam co najmniej tyle, ile długości ma moja broda...

– Ech... to wcale nie tak dużo. Moją pewnie musiałbym zamiatać już podłogę w twojej celi... – odparł Winek.

– Racz nam wybaczyć, Panie... – Brat Albert przez chwilę spojrział w niebo, potem oparł wzrok na Wincencie.

– A tak poza tym, to jak na razie zdrowie dopisuje, mięśnia brzuszного nie mam, zmysły pracują bez szwanku, pamięć mam dobrą...

– No i twoje serce..., pełne miłości i przyjaźni do bliźniego – dodał w uzupełnieniu Winek.

– Takiego cię zapamiętałem ze szkoły.

– Merci, merci. Nie wiem, czy zasługuję na tak duże uznanie i komplementy.

– Zasługujesz, zasługujesz.

– Jak mama, tata?

– W porządku. Chwalić Boga, w porządku. Zdrowi, obydwójce na chodzie. Już na emeryturze. Ojciec dorabia tłumaczeniami, a mama dość często opiekuje się dziećmi brata.

– A u ciebie co słyhać? Jak żona? Co z synami? – zapytał.

Przez chwilę Winek nic nie mówił. Piotrek wpatrywał się w niego z wycekiwaniem. Pochmurniał.

– Hmm, no, powiedźże! Przede mną nie musisz się wstydzić, ukrywać trudnych tematów. Powiedz, to ci ulży – zachęcał.

– Hmm... No, dobrze. Myślałem, że wiesz... Patrycja wyjechała do Paryża.

– Jak to? Do Paryża? Bez ciebie, bez dzieci?

– Po prostu zostawiła mnie dla jakiegoś żabojada. Podobno dla pierwszej miłości. – Winek wstał z krzesła, odwrócił się plecami i wyglądał przez okno na przechodzących obok nielicznych już pacjentów kliniki i przechodniów.

– Hmm... Przecież było wam dobrze? Dobrze ze sobą...?

– Było bracie Albercie. Było. Wszystko kiedyś przemija. Nic nie trwa wiecznie.

– Hmm... Zaskoczyłeś mnie. A myślałem, że tworzycie szczęśliwą parę?

– Mnie się tak również wydawało. Do czasu. Do czasu aż w nasze życie nie wszedł ten Francuz...

– Pardon... w sobie winy żadnej nie dostrzegasz?

– A co ja mam dostrzegać, Piotrek. Harowałem od rana do wieczora, jeździłem za granicę, dyżury, spotkania, konferencja, szkolenia w kraju i za granicę. Wszystko dla dobra rodziny. Pieniądzy mieliśmy dość. Jeździliśmy na wczasy. Głównie za granicę. W łóżku... w łóżku też byłem raczej niezły... Prosiłem, byśmy ze sobą więcej rozmawiali. Nawet kiedyś – jakiś wiersz napisałem. A na koniec ona tylko wpatrzona w FB i fankluby różnych gwiazd popu lub rocka.

– Winuś, nie chcę za bardzo cię urazić...

– ... Ale?

– Ale to, że może gdzieś się zagubiliście. Może za rzadko bywałeś w domu, zostawiając ją z własnymi myślami, troskami, lękami, marzeniami, urojonymi lub prawdziwymi oczekiwaniami, skrywanymi pożądaniami. Może dałeś za dużo czasu „rogatemu w owczej skórze”? Zostawiłeś lukę. On już swoje sposoby ma, by wejść do opuszczonego ogródka i uwieść kobietę...

– Piotrze... miała wszystko. I dzieci miały wszystko. Miała wszystko...
– Nagle wyprężył się i odwrócił twarzą do zakonnika. Nie było na niej wi-
dać oznak słabości. Zmienił również ton ostatnich dwóch wypowiedzanych
słów.

– Rozumiem, nie chcesz na ten temat mówić... Teraz. Kiedyś jeszcze
wrócimy może do tego tematu.

– Może – odparł dość chłodno.

– O ile będziesz chciał. Tylko z mojej strony jedna mała uwaga, czy ona
miała ciebie? Miała ciebie, gdy pragnęła, byś był przy niej?

– Ech, daj spokój. Oddaliliśmy się od siebie...

– Otóż to, z małego ogrodzenia robi się wysoki żywopłot, a z nie-
go buduje się mur z cegły i ze stali. Potem na wszystko może być już za
późno...

– Piotrek... proszę. Czy ona rzeczywiście mnie kochała? A może
kogoś innego? Przez Internet dotarła jakoś do tego fircyka i tak to się
zaczęło...

– Jednak nie zrywaj kontaktów. Jeszcze zachowaj dla niej miejsce
w swoim sercu... To będzie dobre i dla waszych synów.

– Proszę brata Alberta... – Winek przybrał bardziej uroczysty ton.
– Na amen nie zrywam. Co do serca... To już sprawa raczej po przebytych
zawale. Czy będę chciał jeszcze o tym myśleć? Nie wiem. Dziś to rana głę-
boka i boli.

– Rozumiem, nie zrywaj. Zostawcie sobie furtkę. Przemysł. Tylko nie
zwlekaj zbyt długo – mnich mówił dalej.

– A co poza tym? Jeśli mogę, na ile wolno ci powiedzieć i nie jest to
tajemnicą, jak w pracy? – zapytał.

– W pracy? Ach, jakoś leci. Coraz więcej wyzwań, coraz mniej odpo-
wiedzi, coraz mniej czasu, coraz więcej roboty, coraz mniej odpoczynku
– odpowiedział mu Winek.

– Tak myślałem. Pomimo wielu odkryć, unowocześnień życia, po-
prawienia warunków pracy ludzie kręcą się wokół własnej i od wieków tej
samej osi. Gonią, by mieć. Nie żyją, by po prostu być. Być dla siebie samych
i dla innych. Jeżeli czujesz, że tydzień mija ci jak dzień, a miesiąc jak ty-
dzień to znaczy, że nie żyjesz. Ty gnasz, lecisz na zatracenie z drugą pręd-
kością kosmiczną. Czas się zatrzymać. Czas zdać sobie sprawę, że życie mija,
a *tabula rasa* zapisywana jest tylko sympatycznym atramentem. To byłoby
najbardziej bez sensu...

– Łatwo powiedzieć, gdy budzisz się i idziesz spać przykuty do kieratu – zareagował pułkownik.

– Z tego widzę, że musimy koniecznie umówić się na drugą wizytę, przyjacielu. A wiesz, że nasz zakon zawsze był bliski wojska? – Piotr zmienił nieco temat.

– Hmm... mogę tylko się domyślać. Hmm, skoro prowadzi różne porady lekarskie.

– Nie tylko. Przez wieki niósł pomoc żołnierzom na polach walk. Bonifratrzy byli obecni wraz z królem Janem III Sobieskim podczas jego wyprawy wiedeńskiej w roku tysiąc sześćset sosisiedziesiątym trzecim przeciw Turkom. Z czasów wojny domowej w Hiszpanii tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym mamy stu dwudziestu dwóch męczenników...

– Szacun... Szacunek i uznanie, bracie. – Pułkownik powiedział to jakoś bez wyrazu. Prawie obojętnie. Ciągle jeszcze miał w głowie Patrycję i ich rozstanie.

– I do czego prowadzą wojny? A raczej dlaczego do wojen dochodzi?

– Słucham... Ach, wojny. Przyczyny i powody najczęściej są różne – popatrzył na mnicha trochę bardziej rozbudzonym wzrokiem – ...i złożone, Pietja. Przestało przecież już tylko chodzić o Helenę...

– Jasne. Choć jeśli chodzi o przyczyny to nie do końca się z tobą zgodzę. Wczoraj, a tym bardziej dziś i jutro to nie była, nie jest i nie będzie Troja. Przyczyny i powody, Winuś, są jednak zawsze proste i te same – zło, które chce panować nad człowiekiem i nad światem.

– Pewnie masz rację, mnichu Pietrusiński.

– Kawy?

– Chętnie – odparł.

– Mamy tu niezłą kawę – potem ciągnął dalej.

– Żądze i namiętności. Pomieszanie pojęć. Wtedy, gdy miłość myli się z chęcią posiadania i seksem, a prawdę ubiera się w fałsz i zakłamanie, złu zaś nadaje się wymiar wyprawy krzyżowej po złote runo dobra i sprawiedliwości. Na wojnie śmierć i jej okrutny, czasem wyszukany sposób zadawania stają się codziennością, a nawet zabawą zwycięzców już po kilku dniach jej trwania. Zatem nikogo już nie wzrusza. Raczej skłania do ucieczki przed nią. W szczytach wojennego okrucieństwa przestaje być ważne dobro dzieci, matki, ojca, męża, żony. Ono schodzi na plan dalszy. Homo sapiens, a może lepiej przerażony i zastraszonego *homo egocentricus* ratuje samego siebie, ogarnięty wszechwładną, z trzewi płynącą myślą zachowania

własnego istnienia. Człowiek traci swoje człowieczeństwo, godność, staje się trybikiem w maszynie zła. Lepiej by było mu pozostać gdzieś w dżungli zwierzęciem.

– Dlatego, Piotruś, każdy zbroi się jak może. Każdy chce mieć coś doskonalszego, nowocześniejszego niż przeciwnik. Nie chce dać mu się zniszczyć. Chce móc zadać jako pierwszy ten wyprzedzający cios, lub jako ostatni się wybronić i wojnę wygrać, Pietja. Tak było zawsze, tak jest i tak będzie w przyszłości.

– Ludzkość, choć o tym wie, to nie może znaleźć wyjścia z tego diabelskiego kręgu, z diabelskiego chochołowego tańca. Jak ćma fruwa i leci wprost ku lampie, która stopi ją i wysuszy na wiór.

– Jakie jest wyjście, mnichu? Jakie?

– Czy myślisz, że przy tym rozwoju technologii jest możliwe uchronienie się przed totalnym zniszczeniem? – pytaniem na pytanie odpowiedział brat Albert.

– Myślę, że jest to dla prawie całej populacji świata niemożliwe. Być może, że zostaną gdzieś na obrzeżach Tasmanii lub Patagonii resztki rodzaju ludzkiego, żyjącego na powrót w epoce człowieka jaskiniowego i używającego jako narzędzi kamieni z krzemienia łupanego.

– Winek, tak jak wymyślili rakiety i systemy antyrakietowe, tak również dobrze jedni przeciw drugim mogli wymyślić atomowe podziemne „krety”, które czekają tylko na sygnał do detonacji pod Nowym Jorkiem, Moskwą, czy Londynem. A broń elektromagnetyczna, lasery, promieniowanie gamma, beta, UV i tym podobne, to kolejne rodzaje możliwej autodestrukcji człowieka.

– Ile mamy czasu, bracie Albercie? – pół żartem pół serio przerwał wywód pułkownik, choć zakonnik w tym momencie zaimponował mu swoją wojskową wiedzą.

– Tego ci nie powiem. O tym wie On jeden. I tylko On.

– Tak myślałem, że to powiesz.

– A co chciałbyś usłyszeć?

– Pomyślę o tym potem, Piotruś. Za dużo jak na jeden dzień.

– Pamiętaj, że może nie być potem. Niekiedy może być na wszystko za późno. O jeden dzień, godzinę, chwilę za późno. Potem... Cóż to znaczy, potem? Zbrojenia nie zmierzają ku zachowaniu pokoju. Nie stanowią gwarancji jego zachowania. Gdy „gołąbki pokoju” zrywają się do lotu

z podwieszonymi pod skrzydłami bombami nie może być mowy o pokoju. Oto moja odpowiedź, przyjacielu.

Na chwilę zamilkli.

Zakonnik wyjął druk recepty. Napisał Winkowi odręcznym pismem i włożył do koperty:

– „Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak, jak daje świat. Ja wam daję”...

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Alicja Patey-Grabowska

Warszawska Arkadia

(fragment powieści *Kochać zapomnieć?*)

Pęknięcia asfaltu, którym pokryte było podwórko kamienicy przy ulicy Podwale 22, a z których wyrastały żdzbla trawy i listki bobkowe, kojarzyły się dzieciom z kanionami pustyni, w której zagłębieniach wyrosły palmy czerpiące życie ze źródła, a była nim woda wylewana przez dzieciarnię z konewek, pobierana z pompy zainstalowanej przy cuchnącym szalecie vis-à-vis kapliczki z figurką Matki Boskiej. Przed nią każdego wieczora zbierał się tłumek mieszkańców odmawiających różaniec i śpiewających pieśń: *Od powietrza głodu, ognia i wojny*.

Od pewnego czasu po asfaltowej pustyni spacerował żółw, co i raz chowając łepkę w pancernym domku. Zatrzymywał się przy listkach wyrastających z pęknięć w asfalcie i ku radości dzieci zjadał – jak im się zdawało – ze smakiem.

Żółw – jedyny zwierzak w kamienicy ocalony od śmierci w garnku, przez Herka, najstarszego podwórkowego chłopca – był prezentem dla Wandy (w dniu jej imienin dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku), od niedawna mieszkanki kamienicy, chociaż tak naprawdę należał do pięcioosobowej dzieciarni.

Od pewnego czasu do zabaw z żółwiem przyłączyła się przyprowadzana za rączkę przez Herka mała, chyba trzyletnia dziewczynka o czarnych włoskach uczesanych w śmieszne kucyki zakończone różowymi kokardami, z ogromnymi, brązowymi oczami, smutnymi i zalęknionymi.

– To moja kuzynka, Hania – oświadczył Herek. – I macie być dla niej mili.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nie jest jego kuzynką, siostrzenicą jego matki, i nie ma na imię Hania, tylko Rebeka, ale milczeliśmy jak grób i pozwalaliśmy, aby prowadziła żółwia na smyczy – sznurku owiniętym wokół pancerza. I cieszyliśmy się, gdy na jej smutnej buzi pojawiał się uśmiech.

Tak Hania dołączyła do naszej podwórkowej dzieciarni.

W nocy dzieci siadywały na murku, na którym zainstalowany był trzepak i wypatrywały lunatyków wspinających się po osrebrzonych światłem księżycy rynnach, patrzyły intensywnie na wieżę, pamiętającą czasy średniowiecza, wciśniętą między ściany dwóch kamienic.

W okienku wieży pojawi się zaczarowana księżniczka Filindana, która czeka na dzielnego rycerza.

– Ja ją uratuję – mówi mały Wojtek, bo Herek jedenastoletni, a więc już dorosły, nie wierzył w takie bajki, wymyślane przez tę smarkułę, Wandę, ale razem ze wszystkimi spoglądał na wieżę, zwłaszcza w czasie powstania, kiedy na niej skrył się nieuchwytny gołębiarz strzelający z ukrycia do ludzi.

To on go zobaczył i zameldował powstańcom.

Mała Wanda też brała udział w konspiracji.

Tuż przed powstaniem do jej mieszkania pojedynczo, od strony podwórka, schodami kuchennymi, weszło kilka osób: dziewczyny, jakiś szpakowaty pan i młodzi mężczyźni.

Mama kazała jej wyjść przed bramę, ale nie za blisko jezdni. Gdyby zobaczyła żołnierzy niemieckich, miała natychmiast wbiec na pierwsze piętro, schodami marmurowymi i trzy razy zapukać do drzwi.

Stała na chodniku. Nagle pojawił się, chyba wysoki rangą, oficer niemiecki, sądząc po długich, lśniących czarnych cholewkach i żelaznym krzyżu na szyi — zauważyła, bo nachylił się nad nią.

– Co tu robisz, meine kleine Maid? – zapytał, dotykając jej ciemnych włosów, przystrzyżonych na pazia, i czerwonej kokardy na czubku głowy. – Gdzie Mutter? Vater? – Schwycił ją za rękę.

Wyrwała się i w popłochu wpadła w bramę, po schodach, na pierwsze piętro pod drzwi. Zapukała trzy razy – zgodnie z instrukcją mamy. W tym czasie wtajemniczony Herek wyjrzał na ulicę. Niemca już nie było.

Co jeszcze, po latach, pamiętała z tej warszawskiej okupacyjnej arkadii?

Cukierenkę na rogu Długiej i Podwala i wyprawy z babcią pod Barbakan po lebiodę, pokrzywę i inne znane tylko babci zielska, z których gotowała zupę i przyrządzała sałatki. Wanda wzbraniała się przed jedzeniem, ale babcia mówiła:

– Jedz, to samo zdrowie. Wyrośniesz na ładną i niechorującą kobietę.

Tak samo ją zachęcała do picia herbaty z liści jeżyn i jedzenia grzybów, których było w bród w kieleckich lasach, po których chodziła zauroczona, zanurzając stopy w piaszczystych wydmach pokrytych krzaczkami kolczastych jeżyn i zaglądała do brzoźowych zagajników w poszukiwaniu kozłaków o brązowych łebkach i pod karłowate sosenki, pod którymi zółciły się kurki i maślaki.

Babcia знаła się na ziołach i grzybach, często będącymi jedynym posiłkiem.

Ale to było już po powstaniu, które cudem przeżyła.

Maria Jolanta Piasecka

Poniedziałek, a może wtorek

Sny śnione tej nocy... Może warte zapisania? Czy to one spowodowały dziśniejsze zamieszanie? Zrodziły pomysł, by po drodze do pracy kupić zeszyty w empiku przy Marszałkowskiej... W rezultacie kupiłam dwa, nie tylko dla snów, ale też dla okładek. Na każdej był koń w innym ujęciu, jeden z grzywą od boku, drugi z ogonem od tyłu. Galopowały. Jakby chciały gdzieś dotrzeć, jak moje sny, jak ja.

W ostatnich dniach dużo czasu spędziłam przed komputerem. Szukałam zdjęć, obrazów, grafik, inspirujących wzorów. Chciałam namalować dla przyjaciół kilka noworocznych kartek w stylu malarstwa tuszowego sumi-e. Wybiegałam myślami, do kolejnego roku, nazywanego w astrologii azjatyckiej rokiem ognistego konia. Stąd zeszyty z końmi na okładkach.

Oprócz nich kupiłam książkę Georgiego Gospodinowa *Ogrodnik i śmierć*. Ważny był tytuł. Wzięłam z półki ten jedyny egzemplarz głównie dlatego, że mój mąż jest ogrodnikiem. Uprawia warzywa i pisze piękne teksty o swoim ogrodzie. Kiedyś zapytałam go, kim chciałby być, gdyby nie musiał być sobą. Odpowiedział, że burakiem. Pożytecznym oraz pokornym. Jak wszystkie warzywa i rośliny. Drugie słowo tytułu to „śmierć”... Tak wielu bliskich niedawno odeszło...

Poprzedniego dnia wieczorem nastawiłam budzik na siódmą. We wtorki wstaję zawsze o tej porze, by zdążyć na trening tai chi w nowej sali przy ulicy Powsińskiej. Siódma daje mi pewność, że zdążę rowerem na stację, na konkretny pociąg i autobus sto trzydzieści jeden.

Obudziłam się tej nocy przed trzecią i długo nie mogłam zasnąć. Martwiłam się. Mój wnuczek niedawno wrócił ze szpitala. Miał zapalenie oskrzeli. Teraz leczy się w domu. Mnie też brało przeziębienie. Zamiast liczyć barany, powtarzałam w myślach jak mantrę: *Oluś jest zdrowy i ja też*. Skupiałam się przy tym na palcach obu dłoni, jak w technice Alexandra, z którą zapoznał mnie starszy syn. Jeden palec, jedna fraza. Gdy dotarłam do małego palca, rozproszyłam się. Myśli pobiegły teraz w stronę łatwowiernych przyjaciół, którym oszuści wyczyścili konto co do grosza i ponadto zaciągnęli na ich rzecz niebotyczny kredyt. Na szczęście znajomi

uruchomili internetową zrzutkę, by przyjaciele nie spędzili w nędzy ostatnich lat życia.

W końcu zasnęłam. O siódmej w trakcie męczącego snu zbudził telefoniczny budzik. Śniło mi się, że krzesło spada w przepaść, a za nim maleńki Oluś. W ułamku sennej sekundy byłam przy nim. Żył. Nic mu się nie stało. Przytuliłam go mocno i skupiłam się, jakbym chciała go wzmocnić własną siłą życiową. W kolejnej odsłonie snu szukałam w mieszkaniu ulubionego kotka. Domownicy coś ukrywali przede mną i trwali w grobowej ciszy. Nagle syn ni stąd ni zowąd wskazał na psa: *zobacz, mamo, Figa się znalazła*. A co z kotkiem? W końcu powiedzieli. Zjadł trutkę na szczury rozsyaną pod łóżkiem. I już go nie ma.

Wymęczona bezsennością i snami, przestawiłam budzik na dziewiątą. Ale po chwili zerwałam się z łóżka – przecież muszę wyjść z domu za piętnaście ósma, żeby zdążyć na trening! Nie będzie śniadania z jajecznicą – powiedziałam mężowi, który kończył robić kartki świąteczne dla parafian. Ważne było tylko zakropienie oczu, wypicie kawy, przygotowanie termosu z herbatą. Zapowiadał się intensywny dzień w Warszawie aż do wieczora, gdyż od trzynastej miałam sprawdzać prace egzaminacyjne z listopadowej sesji w nowej placówce.

Włożyłam dres, wrzuciłam do plecaka tenisówki oraz podręcznik z ćwiczeniami i poprawionymi pracami domowymi Tjokordy, Indonezyjki uczącej się języka polskiego. Już w butach i płaszczu przypomniałam sobie o niewyczyszczonej kuwecie czterech kotów. Mąż wystawił mi rower. Zdążyłam. Spokojnie czekałam na SKM-kę.

Ale... zaraz, zaraz... Dotarło do mnie nagle, że coś tu się nie zgadza. Po co mi tenisówki? Po co dres? Po co dźwigam podręcznik i prace domowe studentki? Przecież trening tai chi jest we wtorek, a lekcja z Tjokordą w poniedziałek. Więc to dziś jest wtorkowy trening, a nie poniedziałkowa lekcja polskiego? Czy tak? Nie... Lekcja przełożona była tydzień temu z poniedziałku na wtorek. Nie, nie! Po co mi tenisówki i strój do tai chi, przecież dziś jest poniedziałek, a nie wtorek! Ale, skoro nie mam treningu, to powinnam jechać pociągiem o dziesiątej trzydzięci, a nie o ósmej trzydzięci. Który właściwie dziś dzień? Sprawdzam w smartwatchu. Poniedziałek. Więc jednak nie trening tai chi, lecz lekcja z Tjokordą i sprawdzanie prac egzaminacyjnych. Z pewnością nie jest to przysłowiowy już dzień świstaka! Pobolewa mnie gardło, więc dzieje się nie film, tylko rzeczywistość.

Przy okazji sprawdziłam maile. Kolega przysłał informację o wstępnym werdykcie konkursu na haiku, więc czekały mnie jako jurorkę kolejne

ustalenia. Uświadomiłam sobie z trwogą, że wśród lada dzień ujawnionych nazwisk laureatów mogą znaleźć się te należące do naszych dwóch, zmarłych parę dni temu koleżanek.

Co robić przez dwie godziny w Warszawie, skoro start zajęć dopiero o jedenastej? Jadąc pociągiem planuję, że pójdę do Green Cafe Nero przy Marszałkowskiej. To przyjazne, niekrępujące miejsce, gdzie czasem prowadzę lekcje z Oksaną. Usiądę z kawą, zapiszę sny i spokojnie poczytam. Wreszcie zaznam trochę odpoczynku. Ale nie mam zamiaru niczego czytać w telefonie, zwłaszcza wiadomości. Chcę papierową książkę. Empik otwierano o ósmej trzydzieści. Kupiłam zeszyty z końmi i książkę Gospodinowa *Ogrodnik i śmierć*.

Książkę czytałam w Green Cafe Nero do rozpoczęcia lekcji z Tjokordą. Kontynuowałam lekturę wieczorem w pociągu, po sprawdzeniu prac egzaminacyjnych, a na koniec w łóżku przed zaśnięciem. Mąż już spał. Jak zwykle zmęczony po dniu pracy w ogrodzie. Jest ogrodnikiem.

A śmierć? Czy to nie te białe paproszki, które co wieczór strzepuję z prześcieradła, a rano znów się pojawiają? Może to ja zmieniam powolotku konsystencję, noc w noc, ze snu na sen, z książki na książkę i zamieniam się w biały proszek, przechodząc niedostrzegalną gołym okiem metamorfozę? Poniedziałek dziś? A może wtorek? Trzeba to wiedzieć.

Maria Jolanta Piasecka

Marek Sołtysik**A jednak kobieta**(fragment powieści *Gierymscy. Zazdrosny talent*)

Maks zainkasował zaliczki i przed wyjazdem do kraju podmalował dwa duże płótna: jedno dla londyńskiego kupca Wallisa za dziewięćdziesiąt funtów szterlingów, drugie dla kupca wiedeńskiego Keuslera – za tysiąc florenów. Już się nauczył przeliczać pieniądze, nieśmiało je lokować, odkładać na procenty. W Warszawie taki elegant, w nowiutkim cylindrze, a chodził z dużym szkicownikiem i z kasetą farb wodnych, ze składanym krzeselkiem, takim dla wędkarzy, pracował ostro nad Wisłą, szkicując i malując przystań na Solcu z kilku stron, zaułki na ulicy Rybaki, potem szedł dalej: Starówka, Kamienne Schodki; wszystkie te akwarele z gwaszem żywe, drgające powietrzem i słońcem. Nie miał czasu wykańczać ich w domu, ponieważ popołudniami bywał gościem państwa Tomaszewiczów; pani domu, żona oficera carskiego, była jego korespondentką, powiernicą, trzymała w tajemnicy sekret uczucia, jakim będąc tam, w Monachium, darzył jedną z jej córek, Paulinę. Teraz dawał jej do zrozumienia, że choć artysta, należy obecnie do grupy tych, którzy nie mają problemów finansowych, wręcz przeciwnie – sława jego, o czym donoszą gazety, rośnie. Poza tym miał wrażenie, że to on miał robić wszystko, by rozkochać w sobie tę pannę, tymczasem ona rozkochiwała go w sobie. Tego nie przewidział. Oprócz starszej, nie takiej znowu starej, oficerowej Tomaszewiczowej i oprócz świętej pamięci matki, której stygnącą rękę trzymała na swym sercu opiekująca się nią w krótkiej chorobie pani Tomaszewiczowa, wszystkie pozostałe niestare i młodziutki niewiasty traktował Maks jako bardziej lub mniej skomplikowane zabaweczki, coś więc się w nim zająknęło, gdy wreszcie zrozumiał, że Paulina, myśląca, potrafiąca nie tylko współczuć, lecz i myśleć krytycznie, jest osobą tak samo wymagającą głębokiego szacunku jak jej matka.

Jadwiga Tomaszewiczowa z Kołaczkowskich, czterdziestoletnia, w czasie starań o rękę jej córki, była żoną oficera żandarmerii rosyjskiej i... żarliwą patriotką. Mężowi, Władysławowi, codziennie przypominała, że jest z urodzenia Polakiem, że wprawdzie służy Rosji w poddanym Królestwie Polskim, bo taki jest jego fach i taki los, ale ma wobec Polski tym większy

dług do spłacenia. Tomaszewiczowie żyli z dala od kolonii Rosjan w Warszawie i w Królestwie, mąż nie mógł liczyć na lukratywne awanse; Maks, były powstaniec, dziś przedstawiciel cyganerii, ale w cylindrze i w błyszczących półbutach, szukał czystości i sprawiedliwości, a znowuż przyłgnał do środowiska osób dziwnie gdzieniegdzie przybrudzonych.

Paulina nie mogła się napatrzeć na pejzaże Maksa, odnajdywała szczegóły, znane jej z autopsji, w nadwiślańskich motywach, dopytywała o szczegóły techniczne, o to, czy gwasz wprowadza się już po wyschnięciu akwareli, czy można na lekko jeszcze wilgotny papier. Co jakiś czas prosiła Maksa o pozostawienie u niej kilku prac w różnych stadiach szkicu, w tajemnicy przed wszystkimi usiłowała je potem kopiować. Oczywiście – nic z tego; trzeba dużo umieć, żeby kreski i plamy ożyły, żeby stały się prawdziwsze niż obserwowana natura.

– Gdyby tak do tej przystani na Solcu wprowadzić postacie ludzkie... – Zahała się, patrząc na artystę ciemnymi oczami, przysłoniętymi gęstwą rzęs.

– O, proszę, upewniła mnie pani – odparł. – Chodził mi po głowie podobny zamiar, proszę zobaczyć, o, jest tutaj zarys nawet kilku postaci, ale skupiony na murach i chmurach – tu się uśmiechnął – zaniedbałem ludzi, tym samym odbierając akwarelce sporo życia. Przypomniały mi się teraz krakowskie i lwowskie krajobrazy Stanisława Tondosa. Garbaty heros, którego codziennie można spotkać, jak wspaniale maluje z natury, to na Wawelu, to na podwórzu murszejącej kamienicy, tuż przy śmietniku. Tondos jest mistrzem w oddawaniu właśnie murów, cegieł, spatynowanych szmaragdowo hełmów wież, ale pozostaje bezradny wobec postaci ludzkich. Umówili się z Julkiem Kossakiem. Julek w try miga domalowuje mu pyszne postacie w tych pejzażach, dylizanse, sanki, konie, bardziej żywych akwarel nie widziałem. Krytykują, że cukierkowe... ale nie samym sosem człowiek żyje!

– To wydaje się takie proste – powiedziała – ale bez talentu ani rusz.

– To może ja spróbuję dać pani jakieś podstawy, przyniosę gipsowy odlew, pani będzie spokojnie rysowała, ja co drugi dzień zrobię korektę.

– Co drugi dzień? A nie można każdego wieczora? My pana Maksa zapraszamy codziennie.

Puścił to mimo uszu.

– Zobaczmy, co z tym talentem – dokończył kwestię, którą mu była przerwała. – Zobaczmy, czy warto.

Wracał od Tomaszewiczów zdumiony własną nieustępliwością, chłodem, pod którym były rozmazane łzy. Gdyby był mocny, zrobiłby w tył

zwrot, zastukałby ponownie do drzwi miłych gospodarzy, zapewniłby Paulinę, że jeśli ona zechce, będzie jej robił korektę nawet dwa razy dziennie. Ale dlatego, że takie postępowanie tu i teraz uznał, przeciwnie, za objaw słabości, nie zawrócił, lecz zrobił kilka energicznych kroków w stronę bramy do Ogrodu Saskiego, zwołnił, w świetle latarni zrobił przegląd łatwych dziewcząt w zgrabnych pantofelkach i wyzywających kapeluszach, dał się jednej z nich, ładnej, czarnobrewej, błękitnookiej i najmniej umalowanej, poprowadzić do dorożki jak do tańca.

– Inaczej się nie da – mruknął. – Rozwaliłaby mnie ta cholerna wrażliwość na kawałki od środka.

*

Paulina – niby mimochodem – zwróciła mu uwagę na rolę sztafażu. Do tej pory Maks „robił nastrój”, zaznaczając tylko postacie w pogrzebach, które malował (oprócz *Pogrzebu mieszczanina* powstał także *Pogrzeb młodej dziewczyny*, zakupiony anonimowo w dniu, w którym zawiśł na wystawie w Kunstvereinie), nie widział potrzeby portretowania osób współtworzących w obrazie nastrój. W piątek wieczorem zawędrował na Powiśle. Słuchając twardych, a jednocześnie melodyjnych głosów mężczyzn, rysował postacie, poszczególne, zapamiętał ich układ, pejzaż już miał, ten brzeg rysował kilkakrotnie. Po powrocie do Monachium namalował duże płótno, pełne dramatyzmu, zatytułował je: *Modlitwa Żydów w dzień sabatu*, sprzedał na pniu. Zdobył wreszcie zdjęcie dorożki, uzupełnił dużą kompozycję *Zima w małym miasteczku*, sprzedał. Gdy jeden obraz wysychał, a na sztalugach podmalowany był drugi, na trzecim blejtramic Maks prznosił rysunek ze szkicu. *Kozacy w pochodzie idący przez miasteczko* to jeszcze był obraz, można by rzec, rodzajowy, ale już kompozycja, która powstała z jego wizji będącej reminiscencją wokółpowstańczych wspomnień, w miarę tworzenia nabierała mocy metafizycznej. *Patrol powstańczy*, tchnący wytworną powagą skromnej gamy kolorystycznej, z odważnym, wręcz ryzykownym podziałem na ziemię i niebo, gdy się go oglądało z dystansu dziesięciu kroków, stwarzało wrażenie iluzjonizmu, po podejściu bliżej i jeszcze bliżej zdumiony widz zobaczył byle jak kładzione grudy i grudki ugrów i szarości, ani śladu efekciarstwa mistrzowskiego pędzla; wszystko zrobione jak gdyby w mozołe i co... byle jak? Nie. Bo przecież efekt. Ten obraz – scena wymiany kilku zdań zdezorientowanych powstańców

z dziadem-przechodniem, zanurzona w ożywczym powietrzu sandomierskiego pejzażu – przykuwał uwagę, budził tęsknotę za tym, co mogło być, lecz zostało zabałaganione, zaprzepaszczone, zdławione. Naszkicował olejno tęgą scenę *Powstańcy przed dworkiem w nocy*, rozpoczął dużą rzecz: *Alarm w obozie powstańczym*. Dał od siebie, co mógł, spłacił dług i jeszcze na tym zarobił, mierzył się teraz z innym tematem, tym razem bez szlachetnych intencji, z myślą natomiast o zabezpieczeniu bytu Klotyldy, pozostającej pod opieką państwa Tomaszewiczów. Ojciec, owdowiawszy, stawał się z dnia na dzień coraz bardziej opuszczony, okazało się, że nie zadbał o finanse, nie żeby roztrwonił, ot, wszystko wydawał na bieżąco, imponowały mu wieczorki z udziałem sławnych ludzi, ten domowy okrutnik był w gruncie rzeczy marzycielem; można go było wziąć w karby, lecz kto miałby to zrobić; żona była zbyt subtelna, no i nie chciała go pozbawiać tej powagi przewodnika stada.

Maks informował Epplera, przyjaciela od serca, o sukcesach Olesia, który w Akademii dostał w formie premium za najlepszą kompozycję malarzką, tak zwane *modello*, na zadany temat nagrodę trzystu pięćdziesięciu guldenów z obowiązkiem namalowania dużego obrazu przeznaczonego na Wystawę Wiedeńską. Jest więc Maks świadkiem malowania przez Olesia tej słynnej potem kompozycji na kanwie dramatu Szekspira *Kupiec wenecki*.

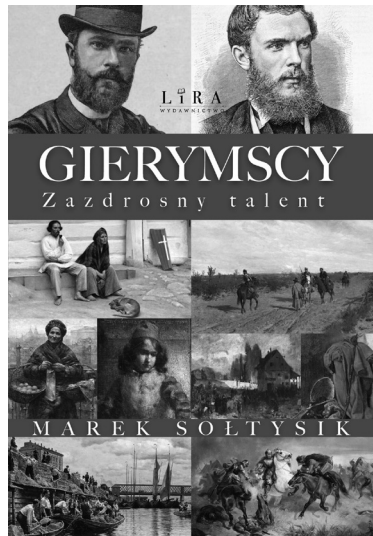
Przed oczami widza jawi się kulminacyjny moment akcji *Kupca weneckiego* – pierwszej sceny drugiego aktu. Brodaty Shylock z wekslem Antonia klęczy przed Dożą, władcą Wenecji, całym w złocistościach. Żąda spełnienia warunków umowy – czyli funta mięsa dłużnika, wyciętego z miejsca, gdzie się znajduje serce. Dłużnik to Antonio – stoi za Shylockiem z uniesioną ręką. Dalej jego przyjaciele (dla jednego z nich Antonio zaciągnął dług). Za nimi grupa weneccjan, wyróżniona niejako czerwienią płaszczka pierwszego i zielenią płaszczka piątego mężczyzny. Na pierwszym planie młodzieniec, pisarz sądowy, podczas swej czynności siedzi *en trois quarts* w stosownym zielonym płaszczu z elementami czerwieni. W pobliżu senatorów stoi Porcja, bogata dziedziczka, która w przebraniu doktora prawa z Rzymu poprowadzi proces z wyrokiem korzystnym dla Antonia.

Sam Maks, wodząc oczyma po długim na prawie dwa i pół metra płótnie brata, widząc dobre wpływy Carpaccia, którego obrazy, podobnie jak Cimabuego, Belliniego, Masaccia, studiowali tygodniami w muzeach weneckich, utyskuje: „Karnawał przeszedł nam podle, ani jednego pikniku, nawet szklanki ponczu nie wypiliśmy”. Nawet nie ma ochoty jeździć z Brandtem w rajszuli. Powody – oprócz intensywnej pracy twórczej?

– „panują tutaj choroby, każdemu coś dolega, najczęściej jednak żołądek. Dziewczyny nie mam teraz żadnej, muszę więc korzystać z ulepszeń wprowadzonych tutaj przez Prusaków, a tymi są bord... i dziewczyny z kartami policji. Jest więc nareszcie i tu Bauer”, znaczy dom schadzek, działający na identycznej zasadzie jak u Jana Bauera w Warszawie przy ulicy Bednarskiej. Romansami więc sobie głowy Maks nie zawracał, wyprztykiwał się dla zdrowia psychicznego, tak to określał, z pewną gwarancją policyjno-medycznej kontroli posiadaczek ciał, z których czerpał chwilową rozkosz. Gdy wracał, Oleś patrzył na niego zdecydowanie spođe łba, ale milczał.

Marek Sołtysik

Marek Sołtysik
Gierymscy. Zazdrośny talent
 Wydawnictwo LIRA
 Warszawa 2025
 Stron 288
 Okładka miękka
 ISBN 978-83-68342-93-2



Sławomir Stalmach

Tulipany¹

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła po wejściu do pokoju, były tulipany. Z wazonu zwisało kilkanaście kwiatów, smutnych, lekko zmarszczonych i zwiędłych, ale nie martwych. Nie były pomarańczowe, nawet nie miedziane – rudopomarańczowe, ciepłe, a więc w kolorze tycjanowym. Sprawdziła, że stały w wodzie, a więc nie musiała się nimi zajmować.

Ciężko usiadła na łóżku, nie sprawdziła nawet, czy w łazience jest suszarka ani jaki jest widok z okna, na razie nie chciało się jej rozpakowywać i wkładać rzeczy do szuflad. Pusto patrzyła przed siebie, na mały pokój hotelowy, standardowy, jakich już wiele odwiedziła. Charakteryzował go smutek typowy dla hoteli, w których zatrzymują się pojedyncze osoby, które biorą udział w konferencjach, zjazdach i sympozjach. Nie czuła się dobrze, ale nie wiedziała, dlaczego. Była świadoma swojego stuporu, ale traktowała go po macoszemu, uważała, że jest to czas dany na refleksję. Myślała o sobie, że jest jej źle, że czegoś jej brakuje, sensu życia, motywacji do zdobywania świata. Wszystko już osiągnęła, miała ułożoną sytuację rodzinną, ciekawą pracę, pieniądze i nadal zdrowie – czego więcej oczekiwać? Właśnie w tym problem, że boli to, co jest trudne do zdefiniowania. Szukając tropów w filozofii, można mówić o aporii, czyli bezdrożu albo tym, co w łacinie określa się mianem *taedium vitae*, a więc znużeniu życiem. Jest mi źle – to refleksja, która powszechnie nawiedza wszystkich ludzi wszędzie na świecie i niezależnie od wieku. Każdy człowiek odczuwa samotność, bowiem jest wyjątkowy i niepowtarzalny, a zatem nie ma żadnych szans, żeby na stałe dopasował się do drugiej osoby. U szczytu swojej kariery mamy złudne wrażenie, że inni ludzie nas podziwiają, są dla nas życzliwi, pochlebiają nam, ale w większości naszego szarego życia to my nadskakujemy innym. Ta nierównowaga dotyczy wszystkich ludzi bez wyjątku. Szczególne są tylko złudzenia, które trwają przez okamgnienie. W swoim stanie katatonii zobaczyła nawet własny pogrzeb, a więc całą rodzinę i przyjaciół, którzy stoją nad jej trumną i ją oplakują. Poczwała jakiś

¹ Opowiadanie z tomu: Sławomir Stalmach, *Wszystko jest w każdej kropli życia*, Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2024, s. 29-38.

rodzaj przewrotnej przyjemności, że nareszcie ją doceniono i wreszcie ludzie sobie uświadomili, co tracą oraz jaka była dobra i wartościowa... Przestraszyła się tych myśli i natychmiast podniosła się z łóżka. Dość litowania się nad sobą – postanowiła.

Już dłuższą chwilę stała obok swojego plakatu przed salą konferencyjną, w której będzie odbywać się panel dyskusyjny dotyczący mediów. Temat został zarysowany specjalnie prowokacyjnie: „Media – łączą czy dzielą?”

Wzdłuż ściany na sztalugach rozstawione były także plansze reklamujące innych uczestników zbliżającego się panelu. Każdy z prelegentów miał za zadanie przygotować własny billboard, na którym w sposób zwięzły i artystyczny opowie o temacie, który będzie prezentował podczas debaty. Taka forma autoprezentacji przed dyskusją ma na celu integrację i wzajemne poznawanie się uczestników na chwilę przed otwarciem głównej debaty. Dodatkowo wytworzyła się rywalizacja, kto przygotuje najbardziej atrakcyjny plakat, bowiem nagrody przyznawał organizator, a były one prestiżowe w środowisku. Jak okazało się na koniec konferencji, jej poster został doceniony i otrzymał jedno z wyróżnień. Nie spodziewała się tego, bo bardzo długo nie wiedziała, jak w ogóle go przygotować. Najpierw na brudno napisała swój temat wystąpienia i kilka zdań o sobie, w tym afiliację i dokonania naukowe.

Spojrzała na to z pewnego dystansu i zaczęła myśleć o oprawie graficznej. Czcionka i kolory to jedno, ale warto dodać także jakieś zdjęcie, rysunek albo grafikę. Z tym miała kłopot, bo nic jej nie przychodziło do głowy. Graficzna wizualizacja jej przekazu powinna bić po oczach i od razu wskazywać, co chce powiedzieć. Jej myśli kręciły się wokół banalnych grafów, takich jak pryzmat rozszczepiający wiązkę światła albo ludzkie oczy wpatrzone w dal, czy też pełne targowisko przekrzykujących się przekupek. Eksperymentowała także z cyfrą 3, która miała symbolizować media jako pośrednika pomiędzy dwoma rozmówcami. Z żadnego wariantu nie była zadowolona i zniechęciła się, gdyż nic a nic jej nie pasowało. Wreszcie poddała się i uznała swoją porażkę, a więc postanowiła treść zapisać tradycyjną czcionką, którą jedynie uszlachetni gdzieś tam kolorowymi obramówkami, tak jak kolorowano usta i oczy u panny młodej na staroświeckim monidle. Taka właśnie prostota i graficzna asceza zostały docenione przez jurorów konkursu plastycznego. Śmiano się nawet, że w ten sposób mógłby Juliusz Cezar reklamować swój słynny tekst rozpoczynający się od słów *Gallia est omnis divisa in partes tres...*, który dzisiaj, jako szkolna czytanka w podręcznikach do łaciny, jest przykładem lapidarności stylu pisarskiego.

Jeżeli nie ma potrzeby, nie należy bowiem ozdobnikami zasypywać głównego przekazu.

Podszedł do niej mężczyzna w średnim wieku, który wcześniej stał obok swojego plakatu. Ucieszyła się, bo nie wiedziała, co właściwie miała robić na swoim posterunku.

– Będziemy za chwilę dyskutować na konferencji. Pani ma pewnie przygotowany swój wykład? – zagaił.

– Wcale nie – odpowiedziała pośpiesznie.

– Ja też nie – uśmiechnął się, przychodząc jej z pomocą. Zobaczył, że się zaczerwieniła, gdyż na jej twarzy rozgrywał się dopiero co rysowany scenariusz rozmowy. Dalej było lepiej, wymienili kilka uprzejmych zdań, opowiedzieli o swoich uczelniach, skąd przybyli, czym się zajmują na co dzień. Podprowadził ją kilka kroków do swojego posteru i delikatnie przytrzymał za ramię, żeby uważnie przeczytała wierszyk, sentencję, którą umieścił jako motto do swojego tematu prezentacji.

*Człowiek, jak jabłko z gałęzi spadłe,
między słowa rzucone,
nie znajdzie całości i nie skleci,
co raz przepełnione.*

Pomyślała, że to piękny wiersz, jakby biblijny. Jednak jej nadrzędna myśl dotyczyła jego władczego ruchu, jaki wykonał, żeby ją nakierować na przeczytanie tej poezji – on ją złapał za łokieć, a ona na to pozwoliła. Nie umiała powiedzieć, czy była zła z tego powodu, że pozwolił sobie na zbyt wiele, czy może było odwrotnie, bo przyjemnie. Z zamętu wyrwał ją ktoś trzeci, kto podszedł do nich i rozpoczął rozmowę na temat plakatów i konferencji. Chwilę porozmawiali we trójkę i poszli do sali, gdzie rozpoczynało się seminarium.

Usiedli w fotelach pośrodku dużej auli, a wokół nich były rozstawione krzesła dla publiczności, zresztą już pozajmowane. Kompozycja sali miała kojarzyć się ze sceną teatralną lub amfiteatrem. Usiadła obok znajomego z foyer, z którym rozmawiała przed seminarium. Dalej zasiedli mężczyzna i kobieta, którzy także byli prelegentami, oraz prowadzący spotkanie, który witał po kolei wszystkich, gdy wchodzili na salę. Światła przygasły po bokach, natomiast intensywniej zaczęły świecić te, które były skierowane jedynie na prelegentów. Wybrzmiały trzy dzwonki, jak przed spektaklem w operze.

– Witam wszystkich zebranych na naszym seminarium – rozpoczął prowadzący. Następnie przedstawił prelegentów, ale bez wdawania się w szczegóły, po czym szybko przeszedł do meritum. – „Media – łączą czy dzielą?” Nasi mówcy będą rozważać tę kwestię podczas dzisiejszego kolokwium, ale nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czym są media – uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że nie będzie przepytował osób siedzących na fotelach. – Nie ma jednej definicji mediów, która opisuje proces przekazywania informacji pomiędzy ludźmi. Właściwie nadal musimy zadowalać się ogólną refleksją przedstawioną przez wielkich greckich myślicieli, takich jak Parmenides, Platon i Arystoteles, że myśl z jednej głowy przechodzi do drugiej za pomocą jakiegoś pośrednika, to jest tak zwana koncepcja metaxu, od starogreckiego przyimka, który oznaczał coś między czymś lub wskazywał na to, co jest pośrodku. Tym pośrednikiem są ludzie – mediatorzy lub jakieś rzeczy specjalnie do tego przeznaczone lub stworzone, np. prasa czy eter. Platon w *Uczcie* podkreślał wartość moderatorów, którzy mają umiejętność tłumaczenia i przekazywania myśli. „Kto się na tych rzeczach rozumie, ten jest człowiekiem uduchowionym, a kto się rozumie na czymś innym, na jakiejś sztuce czy jakimś tam rzemiośle, ten jest prostym robotnikiem”². Używając bardziej współczesnego języka, możemy mówić o ośrodku przenoszenia albo o jakimś elemencie pomiędzy obiektami, albo – jak chciał Manuel Castells – o przestrzeni przepływów³.

Liczne definicje wskazują, że wciąż poszukujemy odpowiedzi na pytanie, czym są media. Swoje wątpliwości tak zapisał Dieter Mersch w *Teoriach mediów*: „Ni to jednostkowość, ni ogólność, ni forma, ni materia, ni postać, ni treść, ni figura, ni tło – zajmuje przestrzeń nieokreśloną, wymykającą się zwykłemu podziałom”⁴. Obecnie dynamicznie rozwijające się środki techniczne dodatkowo wpływają na częste redefiniowanie współczesnych mediów.

Prowadzący seminarium zakończył swoją wypowiedź. Był to wstęp do debaty. Każdy z uczestników był gotów do wygłoszenia własnego referatu, także i ona wzięła do ręki kartki ze swoim tekstem. Pomyślała jednak, nie wiadomo, dlaczego teraz, o swoim wyglądzie, czy dobrze się ubrała, czy nie zbyt skromnie, ani nie nazbyt wyzywająco. Nie przepracowała specjalnie swojego stroju, ot założyła swoją ulubioną garsonkę biurową, w której

² Platon, *Uczta*, przeł. W. Witwicki, Warszawa 1994, s. 96.

³ M. Castells, *Spółczesność sieci*, przeł. M. Marody, Warszawa 2021.

⁴ D. Mersch, *Teorie mediów*, przeł. E. Krauss, Warszawa 2010, s. 27.

czuła się szykownie, ale pewnie. Najważniejsze, żeby rąbek od spódnicy nie przeszkadzał w tańcu. Niedawno poszła na spektakl dla dzieci z koleżanką, która wyprawiła imieniny swojej chrześnicy właśnie w teatrze. Na tę okazję kupiła jej także kolorową spódniczkę i białe rajstopki. Jednak dziewczynka, zamiast oglądać przedstawienie, cały czas się wierciła. „Nie podoba ci się?” – pytały. „Podoba” – odpowiadała, ale nadal się kręciła. To trwało dłuższą chwilę, aż wreszcie zniecierpliwione zorientowały się, że mała ciągle drapie się po łydkach. Rajstopki, które dostała, były niedobre, bo gryzące. Po cichu zdjęły je wspólnymi siłami z nóg dziewczyny, a ta, uwolniona od tortur, mogła już z przyjemnością oglądać spektakl, który był dla niej prezentem imienninowym. To dobra historia, bo z morałem. Dlatego dzisiaj przed seminarium nie zdecydowała się na eksperymenty modowe i włożyła na siebie swój sprawdzony strój.

O głos został poproszony jej nowo poznany kolega.

– Media to nic innego, jak język, którym możemy się porozumiewać – rozpoczął. – Ludwig Wittgenstein w ten sposób tłumaczy wymowę *Traktatu logiczno-filozoficznego*, swojej najważniejszej książki: „Cały jej sens można ująć tak: co się w ogóle da powiedzieć, da się jasno powiedzieć; o czym zaś nie można mówić, o tym trzeba milczeć”⁵. Ja to interpretuję w ten sposób – dodał panelista – że porozumiewanie jest możliwe jedynie dzięki językowi. Zatem to mowa jest medium, które możemy określić jako coś trzeciego, co jest między nami. Mówimy do siebie, a więc używamy medium, przestaniemy mówić – to medium zaniknie.

Miała wrażenie, że to stwierdzenie skierował specjalnie do niej, dlatego odezwała się, nie czekając na swoją kolej.

– A co ze sztuką? Przecież ona objawia się nie zawsze z potrzeby dialogowania. Ludzie tworzą także sami dla siebie i bywa, że nawet nie wiedzą, co ich do tego popycha. Mają natchnienie, mówią duchem, działają pod wpływem weny twórczej i tak dalej. Akty artystyczne są medium, które dają nam coś do myślenia, tylko często nie wiemy, co?

– Racja! – ktoś krzyknął z widowni.

– Nie sądzę – odezwała się inna panelistka, która siedziała w fotelu obok prowadzącego debatę. – Jednak weny twórczej i talentu nie da się ująć w ramy, tak jak daje się opisać mowę z użyciem zasad i reguł językowych.

– Żeby mówić o mediach, musimy je widzieć w postaci instrumentów, które służą przekazowi – pośpiesznie dołączył do dyskusji ostatni

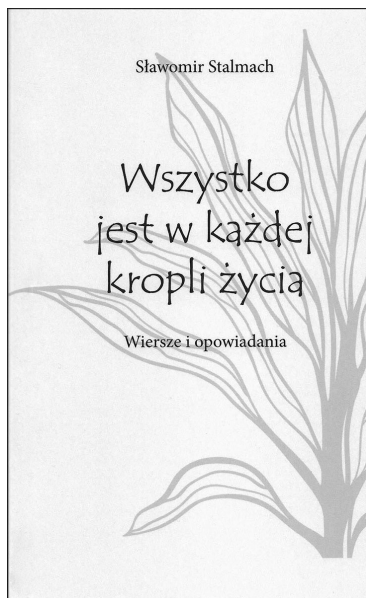
⁵ L. Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, przeł. B. Wolniewicz, Warszawa 1997, s. 3.

z panelistów, który dotychczas milczał. – A zatem media to coś materialnego, przy użyciu czego da się przekazać myśl na jakąś odległość. Druk książek, gazety, eter, a więc radio i telewizja, a teraz internet, czyli środowisko, w którym moszczą się wszystkie tradycyjne media.

– Trochę pan to spłycił – znów zabrała głos kobieta. – Żeby mówić o mediach, musimy znaleźć dla nich ramy, ale nie tak ograniczone, jak pan to widzi. Mediów nie możemy pętać w okowach, w których nie będą mogły się rozwijać. Należy mówić o organizmie medialnym, a nie o sprzętach czy narzędziach, które są nośnikami umożliwiającymi przesyłanie przekazu.

Dyskusja nabierała tempa, a atmosfera gęstniała. Każdy argument był żywo komentowany przez publiczność, która reagowała jak na wiecu partyjnym: oklaskami lub buczeniem. Zaproszeni seminarzyści mówili do siebie, ale także do innych osób, które siedziały wokół na krzesłach. Odniosła wrażenie, że nowy kolega, który jeszcze chwilę temu się do niej uśmiechał, przestał być miły. Wyczuwała jego niechęć do niej za to, że z dystansem podchodziła do jego linii przekazu, że go nie popiera, albo choćby uznaje jego narrację. Kilka razy zawiesił w powietrzu swoją wypowiedź w ten sposób, żeby ona – jak się zdawało – mogła mu przytaknąć. Wreszcie przestał

Sławomir Stalmach
Wszystko jest w każdej kropli życia
 Oficyna Wydawnicza ATUT
 Wrocław 2024
 Stron 126
 Okładka miękka
 ISBN 978-83-79778-08-9



kryć swoje niezadowolenie i już wprost ją zaatakował, jako tą, która nic a nic nie rozumie. Przeinaczał jej wypowiedzi po to, żeby promować swoje racje.

Cała debata przeciągała się, wszyscy powiedzieli już wszystko, ale znów pojawiały się te same argumenty. Do końca górowały emocje, dlatego nawet oficjalne zakończenie spotkania nie urwało rozmów. Ludzie wymieniali się nadal swoimi racjami na korytarzu, umawiali się na kolejne spotkania, niektórzy szybko przeszli do pobliskiego baru, gdzie nadal debatowali. Ona też dała się ponieść emocjom, ale szybko uciekła do swojego pokoju. Długo w noc nie mogła zasnąć, leżąc analizowała swoje wypowiedzi, powtarzała niektóre myśli, żałowała, że podczas debaty nie użyła kolejnych argumentów, miotała się i przewracała z boku na bok.

Obudziła się połamana, z bólem mięśni, jakby w nocy przerzuciła tonę węgla. Wyszła na spacer po nowym mieście, bo lubiła się błąkać, jakby odkrywała nieznaną łądę. W ten sposób, gdy patrzy się na ludzi, którzy krzątają się wokół swoich codziennych spraw, odczuwa się nastrój miejscowości. Odeszła daleko od centrum i w pewnym momencie naprawdę straciła orientację, w którą stronę ma iść. Moment zagubienia rychło został nagrodzony poprzez odkrycie drogi powrotnej – to przyjemne. Pozostało jej jedynie spakować kosmetyki rozstawione pod lustrem oraz rzucić gospodarskim okiem, czy czegoś nie zapomniała wziąć z powrotem. Aha, w łazience była suszarka, co dobrze świadczy o standardzie hotelowym. I na koniec zobaczyła, że tulipany, które na początku jej wizyty były zgięte i oklapnięte, teraz rozkwitły. Czy to możliwe, żeby ucieszyły się z jej pobytu? Płatki zyskały żółte końcówki, które odbijał od tycjanu wyrazisty jaskrawofioletowy pasek – tajemniczy łącznik, rys talentu van Gogha, dzięki któremu oba kolory zyskały na drapieżności.

Wyszła z hotelu bez słowa, bo wszystko już zostało powiedziane.

Sławomir Stalmach

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Jan Anastaz Opasek OSB (1913-1999)

Świtanie

Drży brzask
na moich powiekach
a słońce pieści moją twarz
jak matczyna dłoń
kiedy byłem mały

Dzień powszedni

Cisza się rozsypała,
zaczął się dzień jak kafar,
roztrzaskał także myśli,
które w nim dojrzewały,
dokąd pójść, nie ma dokąd,
łomocze, dzwoni co dzień – codzienny dzień,
jedynie skryć się w sobie
i nie spłoszyć myśli,
które się w nim jeszcze
ukrywają
tam gdzieś w nas
zostaje cisza w sercu,
w myśli,
gdy dzień budzi się
do niepokoju powszedniości.

Psalmy

Moje serce i usta moje
wypowiadają psalmy,

dla ochrony przed nocą

ognie słów strzegą
przed złym naporem ciemności

nikt się nie przedrze
przez obronne mury pieśni,
jest ona otoczona
kręgiem Pisma

kończę dzień,
zamykam dzień
psalmami z komplety

Z języka czeskiego przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska



Ognisko. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Joanny Goszczyńskiej

Karin Lednická

Krzywy kościół

(fragment)

Zaspana Barbara mruga oczami w półmroku wczesnego poranka. Miała dziwny sen, już nie pamięta o czym, ale wystraszyła się i obudziła. Jak zwykle maca miejsce obok siebie, żeby uciszyć lęk ciepłem bijącym od Pawła. Ale jej ręka trafia na pustą poduszkę.

Barbara siada gwałtownie na łóżku i nagle uświadamia sobie, że to, co ją obudziło, to nie był zwykły sen. Pierzyna jest nietknięta – coś jest nie tak, musiało stać się coś złego, jest już tego pewna. Paweł nie należy do tych, którzy nie wracają prosto z szycoty do domu, poza tym jest z nim Karol, którego ma pod opieką. Obiecał, że będzie na niego uważał.

Wszędzie panuje cisza, tylko zegar obojętnie wykonuje swoją pracę. Barbara ma wrażenie, że w rytm jego tykania bije jej własne serce. Brakuje jej tchu w piersiach, pocą się jej dłonie. Półprzytomna, błądzi wzrokiem po kuchni w poszukiwaniu zdjętych roboczych galotów. Ileż to razy złościła się na Pawła, że wiesza je na krześle, że przynosi do domu pył węglowy. Chciałaby móc go teraz zbesztać. Ale nigdzie nie widzi poczerńiałego ubrania.

Na piecu nie stoją bańki.

Nie przyszli?

Żaden z nich nie przyszedł?

Nagle, całkiem już obudzona, gwałtownie odgarnia pierzynę i na bosaka biegnie do sypialni. Nawet nie stara się być cicho, ale gwałtownie szarpie drzwiami i w słabym świetle wczesnego poranka szuka Karola.

Pusta poduszka, nietknięta pierzyna.

Nie przyszli.

Żaden z nich nie przyszedł!

Bose nogi biegną z powrotem, trzęsące się ręce próbują jak najszybciej włożyć spódnicę, ale pasek dwukrotnie wysmykuje się z palców, podobnie jak guziki od bluzki. Tyle straconego czasu, tyle sekund, które zmarnowała przez swoją nieporadność! Buty. Szybko. Włosy zaplata w niedbały

warkocz już w drodze z pagórka; chustka została w domu, pal lichy, nie będzie wracać.

Nie doszła nawet do kościoła, kiedy zobaczyła kłębiący się tłum, nietypowy o tej porze dnia. W przybywającym świetle czerwcowego poranka zebrała się chyba cała kolonia, ludzie stoją pomiędzy kościołem a szkołą, Barbarę dzieli jeszcze od nich pewna odległość, ale już słyszy podniecone głosy; słów na razie nie rozróżnia, ale to nie jest konieczne, wystarczy widok uniesionych w górę rąk i spuszczonej głów.

– Co się stało? – woła w kierunku grupki ludzi. Pytanie skierowane do wszystkich i do nikogo.

Najbliższa osoba odwraca się w jej stronę:

– Był wybuch na kopalni. Mnóstwo chłopów zawałowało.

– W którym szybie?

– Najpierw we Franciszce. Potem w Głębokim i w Janie Karolu.

Barbarę zalewa fala gorąca.

– Kiedy?

– W nocy. Zaczęło się o wpół do dziesiątej.

Barbara nie dziękuje, ani się nie żegna. Kiwa tylko lekko głową i zaczyna przedzierać się przez tłum. Z rękami na wystającym brzuchu, jakby go chciała chronić, toruje sobie drogę do frysztańskiej szosy. Widzi kilka idących pospiesznie kobiet – niektóre z nich po chwili skręcają w kierunku Franciszki, pozostałe idą razem z nią dalej, niedawno zadrzewioną aleją, do Jana Karola.

Mniej więcej w połowie drogi mijają pierwszą kobietę, która zmierza w przeciwnym kierunku. Barbara zdobywa się na odwagę i patrzy jej w oczy, ale natychmiast tego żałuje, ponieważ dostrzega w nich tylko żal, ból i mrok. Ogarnia ją strach, na moment drętwieją jej nogi, w piersiach czuje ucisk. Nie daje rady dalej iść. Co będzie jeśli tam na górze czekają na nią takie same złe wieści, jak na tę zdruzgotaną kobietę?

Odrętwienie nie trwa długo. Barbara wie, że kiedyś i tak musi poznać prawdę. Zaciska wargi, bierze głęboki oddech i rusza dalej, teraz już jednak ze wrokiem wbitym w czubki butów. Nie musi przecież myśleć o najgorszym! Może Paweł i Karol zostali uwięzieni pod ziemią, może są na górze i pomagają rannym, może sami są ranni... Dopóki nie doczłapie się na ten cholerny pagórek i nie zapyta, nie ma sensu się nad czymkolwiek zastanawiać. Jedyne co ma sens, to się modlić. I iść jak najszybciej.

Dopiero kiedy ma już w zasięgu wzroku dwupiętrowy jasny budynek, z którego dachu wyrastają kwadratowa wieża górnicza i wyższy od niej

komin, czuje smród. I to ciężkie powietrze. Próbuje zorientować się, dokąd ma teraz iść, ale widzi tylko zamieszanie.

Chce kogoś zatrzymać i zapytać, co ma robić, ale wszyscy jakby udawali, że jej nie widzą. Przez chwilę stoi, zdezorientowana, po czym łapie za rękaw pierwszego człowieka przechodzącego obok.

– Wczoraj wieczorem zjechali na nocną zmianę mój mąż i syn. Dokąd mam iść?

Mężczyzna pokazuje brodą główny budynek.

– Wszyscy są tam.

Barbara wprawdzie nie do końca rozumie, co znaczą wszyscy, ale nie chce pytać, żeby w odpowiedzi nie usłyszeć czegoś, na co jeszcze nie jest przygotowana. A właściwie to nawet nie może zapytać, ponieważ mężczyzna, który wskazał jej kierunek, już sobie poszedł, zniknął w tłumie innych ludzi, którzy kręcą się wokół – jedni snują się jakby bez celu, inni chodzą energicznym krokiem. Dopiero po chwili do Barbary dociera, że to górnicy, którzy przyszedli na ranną zmianę i teraz wracają do domu, albo starają się dowiedzieć, gdzie mogliby się przydać.

Z wahaniem rusza w stronę miejsca, które przed chwilą wskazywał brodą nieznamy górnik. Po prawej stronie widzi drewnianą konstrukcję, zmontowaną z grubych belek, na których opiera się mostek, prowadzący na pierwsze piętro budynku. Pod mostkiem, na ziemi, Barbara zauważa jakiś ruch, kieruje się zatem w tamtą stronę. Kiedy udaje jej się na tyle wyostrzyć wzrok, że może rozpoznać, co się dzieje pod prowizorycznym drewnianym zadaszeniem, drętwieje. Na ziemi leżą ciała, długi rząd ciał. Przy niektórych martwych klęczą ludzie, przy innych jest pusto – ich bliscy jeszcze nie dotarli.

Nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Barbara nie jest ich w stanie zmusić, żeby ruszyły w kierunku tego strasznego miejsca.

Stoi z szeroko otwartymi oczami i usiłuje nie widzieć nic z tego, co się wokół dzieje.

Marne starania – akurat w tym momencie dostrzega, jak z głównego budynku wnoszone jest na noszach kolejne ciało.

W gromadce stojącej nieopodal rozlega się szum. Kilka kobiet idzie za ratownikami w stronę wiaty. Mężczyźni kładą martwego górnika obok innych ciał, a wtedy kobiety z ociąganiem podchodzą kilka kroków, żeby spojrzeć w twarz świeżo przyniesionemu.

We wszechobecny hałas wdziera się jęk.

Jedna z kobiet ze szlochem osuwa się na kolana. Płacze rozpaczliwie i z furią odtrąca ręce tych, którzy przynajmniej dotykaniem starają się ją pocieszyć. Pochyliła się nad swoim mężem, bierze w dłonie jego twarz i coś do niego mówi, niemal na niego krzyczy, ale jej słowa toną w powszechnej wrzawie.

Pozostałe kobiety wracają do stojącej gromadki, żeby dalej czekać na cud. Barbara chce uciec.

Ale uciec nie ma dokąd.

Ma tylko dwie możliwości: albo czekać z pozostałymi kobietami, albo sprawdzić rząd martwych ciał.

Wybiera mniejsze zło. To, co się dzieje, przygniata ją – przecież jeszcze godzinę temu spała, nie miała o niczym pojęcia, musi złapać oddech, otrząsnąć się, jeszcze nie da rady patrzeć w twarze martwym, jeszcze nie teraz, teraz musi być z żywymi.

Dołącza do czekających kobiet i milczy razem z nimi.

Mija cała wieczność, zanim zza drzwi wynurzy się kolejna dwójka ratowników z noszami.

Tłum wokół Barbary zastyga.

Mężczyźni zmierają w przeciwnym kierunku, oddalając się od szpaleru leżących ciał.

– Dokąd idą? – chrypi Barbara na tyle zrozumiale, na ile pozwala jej wysuszone gardło.

– Rannych odwożą do szpitala, do Cieszyna – odpowiada kobieta w białej chustce.

– Są też ranni? Nie wszyscy są martwi?

– Nie, nie wszyscy zginęli. Ale niektórzy zostali na dole, trudno się do nich dostać. Kto tylko może, ten ich wyciąga, ale idzie to powoli.

Ta wymiana zdań wyrывa pozostałe kobiety z marazmu. Przerrywają milczenie i nagle ze wszystkich stron padają słowa:

– Wynoszą ich już całą noc, od kiedy tąpnęło pierwszy raz we Franciszce. Zaraz po tym wybuchu zjechało na dół sześćdziesięciu chłopca, ale po pół godzinie tąpnęło znowu i przeniosło się korytarzem tutaj, na Jana Karola. Ci, którzy starają się uratować rannych i wynoszą martwych, mają już w płucach mnóstwo pyłu, maski z octem nie za bardzo ich chronią a nic innego nie ma. Wszyscy pomagają, inżynierowie, nadzorcy i ci, którzy przyszli na ranną zmianę. Niektórych z tych, co zjechali na dół, żeby pomóc, też już wynieśli martwych. Ale mówią, że wciąż jest nadzieja, że na

dole są jeszcze żywi, którym udało się uciec przed pyłem na inny poziom albo do szybu wentylacyjnego.

Gwałtowny potok słów urywa się tak samo nagle, jak zaczął płynąć.

Ziemia chwieje się i słychać silny wybuch.

Oczy wszystkich obecnych kierują się w stronę nieba, które pokrywa walący się z szybu czarny dym.

Niektóre kobiety zaczynają płakać.

Kobieta w białej chustce, jeszcze przed chwilą taka rozmowna, osuwa się na ziemię.

W tym momencie Barbara już wie, że nie ma na co czekać. Nadszedł czas spotkania z martwymi, ponieważ na dole nie został już nikt żywy.

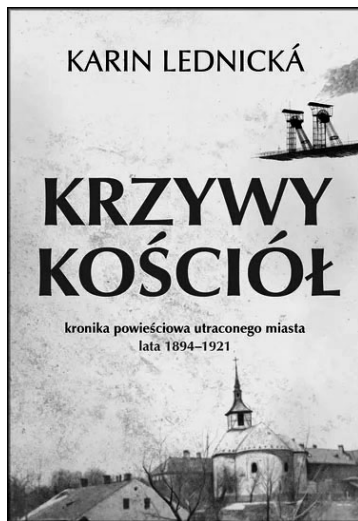
Rusza w stronę wiaty i ogląda twarze leżących. Poczerniałe od pyłu, zwęglone od ognia. Szuka i tak bardzo chciałaby nie znaleźć.

Ale znajduje.

Karol ma otwarte usta i oczy wytrzeszczone w stronę czarnego nieba. Jakby stale jeszcze próbował złapać oddech, jakby stale jeszcze wierzył, że trujące gazy go nie uduszą.

Jakby wiedział, że kiedy umrze, jego matka będzie nad nim stać jak skamieniała i też będzie chciała umrzeć.

Autorka: Karin Lednická
 Tłumaczenie: Joanna Goszczyńska
Krzywy kościół
Kronika powieściowa utraconego miasta
lata 1894–1921
 Wydawnictwo Znak Horyzont
 Kraków 2025
 Język wydania polski
 Język oryginału czeski
 Stron 456
 Okładka twarda
 Format 140x205
 ISBN 978-83-83678-28-3



Barbara długo stoi jak skamieniała, chce krzyknąć, chce umrzeć – ale nie potrafi zrobić ani jednego, ani drugiego, więc zamiast tego osuwa się na ziemię, zanurza palce w pyle i wpatruje się w niebieskie oczy syna.

Świat się wali.

Dopiero po dłuższej chwili czyjeś silne ręce ją podnoszą i jakiś głos mówi, żeby szła do domu.

– Jeszcze poczekam na Pawła – Barbara próbuje uwolnić się od tych rąk.

– Jeśli przeżył, jest już w domu. Jeśli nie przeżył, czekanie nie ma sensu. Lakoniczność tej informacji stawia ją na nogi.

Barbara idzie do domu, tak jak się tego od niej oczekuje, i jeszcze nie przeczuwa, że Pawła nigdy nie znajdą. Nie będzie go mogła złożyć w grobie, ponieważ jego grobem stała się kopalnia, w której wydobywał węgiel przez ponad ćwierć wieku.

Z języka czeskiego przełożyła Joanna Goszczyńska

Z przekładów Barbary L. Surowskiej

Wiersze poetów niemieckich

Heinrich Heine

„Ich weiß nicht, was soll es bedeuten...“
z „Buch der Lieder“ (w części: „Die Heimkehr“)

Nie wiem, co to ma znaczyć,
Że tak mi smutno dziś,
Bajka z pradawnych czasów
Zaprząta moją myśl.

Chłodno już. Mrok zapada.
A Ren spokojnie płynie.
Zorza góry rozjarza
W tej przedwieczornej godzinie.

Przecudnej urody dziewica
Rozpuszcza tam włosów sploty
Złoty jej grzebień rozbłyska,
Złote migocą klejnoty;
Włos złoty czesze i nuci
Melodię przedziwnej mocy:

Żeglarza w łodzi tęsknica
Ogarnia i żal srogi;
Wzrokiem po szczytach wodzi,
Na skalne nie bacząc progi.

Zdaje się, że zaskoczyła
Go śmierć w odmętach fal.
A wszystko to sprawiła
Swym śpiewem Lorelei.

LXXII „Und bist du erst mein ehrlich Weib“:

Gdy będziesz moją żonką już,
Wszyscy ci będą zazdrościć,
Bo będziesz żyła pośród róż,
W plezirach i radości.

Wszelakie złości, wszelki wrzask
Spokojnie mogę znosić;
Lecz z wierszy nie waż mi się śmiać,
Bo rozwód nas rozłączy.

[Miserere]

Nie tego dzieckiem szczęścia zwę,
Kto wygrał swoje życie;
Zazdrozczę temu, kto jak we śnie
Szybko zakończył życie.

W odświętym stroju, z wieńcem na skroni,
Z uśmiechem na obliczu
W najlepsze życia kosztowali -
I było już po życiu.

Wygallowani, strojni różami
Świeżymi, w pełni rozkwitu,
będąc fortuny wybrańcami,
Nowego zaznali bytu.

Nie oszpeceni przez złą śmierć,
Pogodne mają miny
Szczęśliwcy-zmarli, goście
specjalni carewny Prozerpiny.

Zazdrości godny taki los!
Gdy ja na łożu twardym
W mękach się wiję siódmy rok,

Ni żywy ni umarły!

O Boże, skróć ten straszny czas,
Daj już odpocząć w grobie;
Palmę męczeństwa możesz dać
Godniejszej niż ja osobie.

Brak konsekwencji, Panie nasz
Zarzucić Tobie muszę:
Każesz mi nosić błazna twarz,
A jad mi sączysz w duszę!

Ból mi przytępia przednią myśl,
Czyni melancholikiem.
Długo już nie wytrzymam z tym,
Stanę się katolikiem.

Nad uchem wtedy huknę ci:
Zmiłuj się, Jezu Chryste,
Nie daj marnować sił i gnić
Wielkiemu humoryście!

Rainer Maria Rilke

Drewniane figury świętych
chce moja matka zdobić,
dziwią się dumne, nieme
za ławką dla ubogich.

Nie myślą wynagradzać jej
gorliwych wielce starań
przywykłe do pełgania świec
i zimnych mszy czytania.

Lecz matka moja przyszła, by
Kwiatami je obsypać.

Matka gotowa oddać im
Kwiaty mojego życia.¹

*

Biada, matka przybywa, zdruzgocze mnie.
Składałem kamień na kamieniu
i już jak domek mały stałem,
wokół którego wzrastał dzień.
O własnej sile się trzymałem,
a teraz matka zdruzgocze mnie.

Druzgocze mnie, gdy jest i patrzy.
Nie widzi, że ktoś wznosi się.
Wchodzi mi w mur świeżo wyrosły.
Ach biada, matka druzgocze mnie.
Lżej lecą ptaki wokół mnie.
Obce psy wiedzą: to jest ten.
I tylko matka nie wie, że
mój profil z wolna wykształca się.

Ciepły mnie od niej nie dobiegł wiew.
Tam, gdzie powietrza, nie przebywa,
lecz za przegrodą serca, gdzie
Chrystus codziennie ją obmywa.²

*

Tak chciałbym mieć spokojną, cichą matkę
mającą włosy siwe, zaczesywane gładko.
W miłości jej dopiero bym zakwitał.
Nie śmiałyby do duszy mej zawitać
żadna zła myśl.

¹ Wiersz drukowany uprzednio w: *Młody Rilke*, Atext Gdańsk 1994, s. 102. W obecnej wersji wprowadzono zmianę.

² Ostatnia fraza odnosi się do bigoterii matki. Wiersz drukowany uprzednio w *Od Goethego do Grassa*, Zakład Graficzny Uniwersytetu Warszawskiego Warszawa 2017, s. 75.

Siadywalibyśmy razem u kominka
i gawędzilibyśmy. Starowinka
mówiłaby mi wiele. Ja wiele chciałbym słyszeć.
A dzbanek do herbaty tak by obrastał w ciszę
jak lampa w ćmy.³

Z języka niemieckiego przełożyła Barbara L. Surowska

³ Wiersz uprzednio drukowany w *Młody Rilke*, Atext Gdańsk 1994, s. 78 oraz w *Od Goethego do Grassa*, Zakład Graficzny Uniwersytetu Warszawskiego Warszawa 2017, s. 74.

Z przekładów Zbigniewa Zbikowskiego

Wei Yingwu

Wieczór nad Huai

Żagiel zrzucony – wpływam w nurt Huai,
Łódź swą cumuję w pustej przystani.
Wiatr się nasila i wzburza fale,
Słońce się topi w nocy otchłani.

Ludzie wracają do domostw w górach,
Gęsi sfruwają na biały brzeg trzcini.
Nie śpię – w oddali wciąż dzwonią dzwony,
Samotną nocą wspominam stok Qin.

Pożegnanie u brzegów Yangzi

Z żalem zostawiam to, co mi bliskie –
Płynę bez celu gdzieś w mgliste strony,
Ciebie zaś wiosła wiodą do domu –
W oddali słychać gasnące dzwony.

Tu więc rozchodzą się nasze drogi,
Nie wiem, czy jeszcze spotkam cię, bracie.
Świat – łódź bez steru, nurt rzeki – wartki,
Jak znaleźć cichą przystań po stracie?

Wei Lingwu (ok. 737– ok. 792), chiński poeta, tworzył w okresie dynastii Tang, kiedy podstawową formą poetycką było *lüshi* (dosłownie: wiersz regularny) – osiem wersów w dwóch zwrotkach o ustalonym układzie akcentów i rymów. Wei uznawany był za mistrza gatunku, piewę gór i rzek, z czasem obdarzono go przydomkiem „największego z małych poetów” okresu klasycznego.

Li Qingzhao

Tęsknota jesienna

Fala z oddali mierzwi toń wody,
 Jesień wywiewa zapach i kolor.
 Blask jezior, głos gór – wciąż lgną do ludzi –
 Bezkresne piękno, bezsłowny polor.

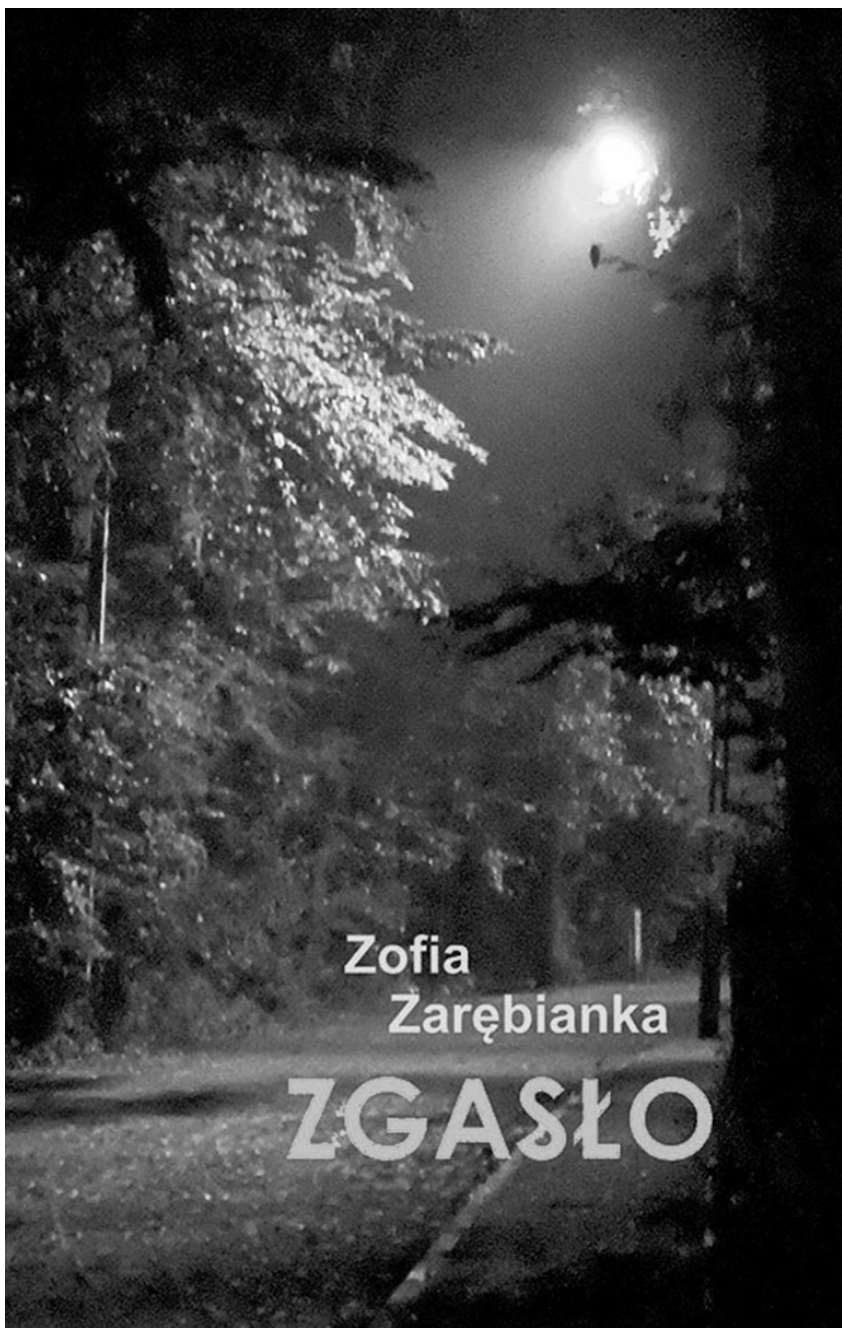
Lotos w nasionach, liść postarzały,
 Rosa łązy zmywa trawom i kwiatom.
 Mewy i czaple na piasku w żalu –
 Ludzie zbyt wcześnie żegnają lato.

Bezduśne piękno

Złoto – na tysiąc płatków rozmięte,
 Zielony diadem – koronka z nefrytu.
 Duch mistrza Yanfu – wytworny i piękny,
 Łśni, oczekując pochwał i zachwyty.

Śliwa w rozkwicie? – nazbyt razi zmysły,
 Goździk? – za twardy, zbyt wiele szorstkości.
 Kwiat lodu – woń jego sny me okadza,
 Lecz serce zimne, bez żaru miłości.

Li Qinzhao (1084 – ok. 1155) to postać niezwykła. Jedyna poetka chińska, która w okresie klasycznym osiągnęła tak wysoką pozycję. Jako wdowa wyszła po raz drugi za mąż, co w konfucjańskim społeczeństwie epoki Song musiało być uznane za akt odwagi. Przekraczała i inne konwencje, także w obszarze poezji, przełamując kanony formalne i podejmując śmiałe tematy obyczajowe.



Zofia
Żarebianka
ZGASŁO

Zofia Zarębianka – *Zgaso*

Biblioteka Kwartalnika Literackiego PODGLĄD

Seria I tom I

Autor: Zofia Zarębianka

Tytuł: *Zgaso*

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: marzec 2026

nr wydania: I

liczba stron: 146

format: 135 × 205 mm

numer ISBN: 978-83-965523-9-6

cena: 25,00 zł

Projekt okładki: Piotr Müldner-Nieckowski

Redakcja i korekta: Piotr Müldner-Nieckowski

Projekt typograficzny i skład: AULA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Pisząc i mówiąc o trzech ostatnich książkach poetyckich poetki, w tym o *Zgaso*, krytycy podkreślają, że osiã ich tematyki sã przeżycia związane z życiem i śmiercią dwóch najbliższych jej mężczyzn, męża i ojca. O ile jedna z tych książek, *Ćwiczenia ze śmierci*, rzeczywiście była w zasadzie zbiorem trenów, o tyle następne, takie jak *Zgaso* oraz cykle wierszy w nim reprezentowane, twórczo poszerzają tę tematykę. Można by powiedzieć, że *Zgaso* coś w czytelnikach jednak rozpała, oświecla. Dzięki tej poezji

staje się oczywiste to, że śmierć, utrata osoby bliskiej, czy poczucie osamotnienia lub wstrząsającej straty to coś więcej niż tragiczne wydarzenia i poczucie swego rodzaju niesprawiedliwości, którą zgotowało nam życie. Nasze i osób, które odeszły. Przecież sprawy te odsłaniają niezmiernie ważny a mało poznany świat i zaskakujące zakresy wyobraźni czy myślenia. Rzeczywistość każe nam widzieć wiele od nowa i inaczej niż dotychczas. A czytelnicy dzięki w niespodziewany sposób budowanym wierszom mogą wraz z poetką nadrabiać uświadamiane sobie straty intelektualne i uczuciowe, rewidować dotychczasowe zaniedbania, choćby te codzienne i pozornie błahe. Nagle dowiadują się, jak bardzo są ważne.

O autorce:

Zofia Zarebianka – poetka, eseistka, profesor zwyczajny w zakresie literaturoznawstwa na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Autorka jedenastu tomów poezji, ale także wielu głośnych książek naukowych z zakresu historii i teorii literatury. Jej wiersze tłumaczono na liczne języki, w tym na hebrajski, ukraiński, czeski, angielski, niemiecki, francuski.

Członek i działacz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, PEN Clubu, Stowarzyszenia Unia Literacka.

* * *

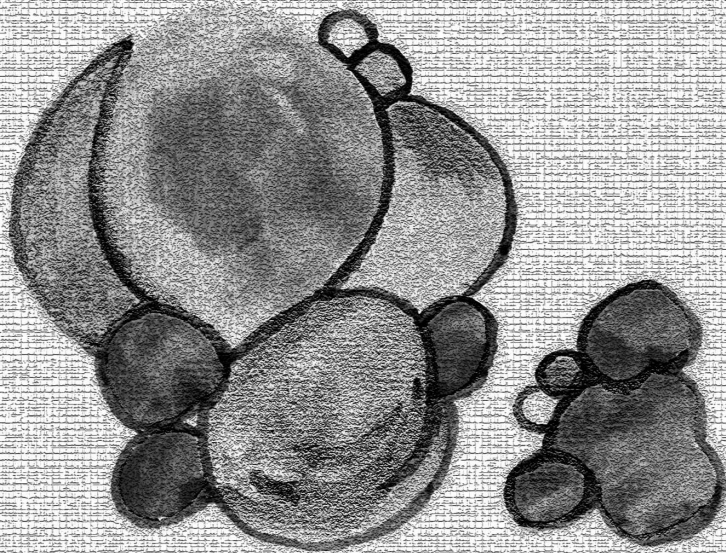
Potargana melodia
 Poszarpana harmonia
 Zerwane struny
 Zostają czarne dziury zwątpienia
 W dobro
 Zeszyć to jakoś scalić zacerować
 Nie zatrzymywać się na poziomie
 Ludzkich odczuć
 Żadne inne jednak nie są
 Dostępne
 Przekroczyć przeskoczyć przetworzyć
 Przekonwertować Ludzkie na Boże
 Tylko po co
 Czy Ludzkie nie oznacza Bożego

**Dla Joli, po pewnej rozmowie,
bardzo chaotycznie**

Jej babcia mówiła
Że płakać wolno jedynie
Do Boga nigdy do człowieka
A jeśli tylko tyle zostaje?
Płacz, płacz z płaczącymi
Powiedział przecież
Wiec lepsze milczenie martwe?
Albo słowa puste?
I maska na twarzy?
Czy dzielenie się bólem
Nie jest wyrazem ufności?
Darem więzi?
Odmowa prawa do łez ...
Okrucieństwo
Czy płacz miałby być egoizmem?
A może to jedynie
Bezsilność wobec nieodwracalności?
Trzeba pozwolić płynąć łzom
Masz prawo do płaczu
Gdy tylko on pozostaje
Śladem po życiu
Czy twarz kamienna
Wyraża prawdę?
Nawet Jezus
Płakał po śmierci Łazarza
I pytał przed Męką
Jednej godziny
Nie mogliście czuć
Ze Mną?
Więc babcia była heroiczna
Ale to nie jest
Uniwersalna recepta na ból

Gdy przy tobie

Piotr Müldner-Nieckowski



Piotr Müldner-Nieckowski – *Gdy przy tobie*

Biblioteka Kwartalnika Literackiego PODGLĄD

Seria I tom II

Autor: Piotr Müldner-Nieckowski

Tytuł: *Gdy przy tobie*

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: marzec 2026

nr wydania: I

liczba stron: 114

format: 135 x 205 mm

numer ISBN: 978-83-979388-0-9

cena: 20,00 zł

Projekt okładki: Piotr Müldner-Nieckowski

Redakcja i korekta: Ewa Korek

Projekt typograficzny i skład: AULA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Jak piszą krytycy, najnowszy tom Müldnera pt. *Gdy przy tobie*, zawiera wiersze na wskroś oryginalnie i zarazem klarownie ukazujące rzadko pojawiający się w literaturze albo wręcz nigdy w niej nie przedstawiany, a jednak dobrze nam znany świat. To osoby, myślenie, zdarzenia, konflikty, związki uczuciowe... Czasem wydają się na pozór mało ważne, a jednak są fascynujące. Nagle je odkrywamy, wręcz leżą u podstaw naszego bytu. Powinniśmy je dobrze znać lub choćby rozpoznawać w naszym świecie,

a jednak ich znaczenie, sens, prawdziwe oblicze, a nawet konieczne do odgadnięcia tajemnice, zbyt często pomijamy, odrzucamy. Poeta je przedstawia jako zaskakujące widzenia, myślenie o nim samym, o nas, jego znajomych i nieznanym. Czyni to czytelnie i niekiedy, mimo delikatnych słów i fraz, wręcz dobitnie, bywa nawet że dokuczliwie, ale nie boleśnie, przez co zmusza do zapamiętywania odbieranych treści, powtarzania ich w myślach. Sprawy pomijane w życiu jako mało ważne, okazują się u niego problemami omijanymi nie dlatego, że są banalne, ale z zupełnie innego powodu: często okazują się po prostu niezwykle trudne, najtrudniejsze, w końcu jednak wymagające solidnego przemyślenia.

O autorze:

Piotr Müldner-Nieckowski (ur. 29 marca 1946 r.), poeta, prozaik, dramtopisarz, doktor n. med. (lekarz internista), doktor habilitowany n. hum. (językoznawca, edytor), profesor emerytowany polonistyki na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie był założycielem i kierownikiem Zakładu Edytorstwa i Krytyki Tekstu oraz Podyplomowego Studium Edytorstwa Współczesnego. Wydał około trzydziestu książek literackich, w tym dziesięć poetyckich. Jest także autorem ponad stu dramatów radiowych, licznych prac naukowych oraz czterech dużych słowników i wielu przekładów z angielskiego i rosyjskiego.

Jego utwory, w tym wiersze, były przekładane na języki obce, m.in. angielski (Wielka Brytania, USA, Australia), bułgarski, chorwacki, czeski, fiński, francuski, hiszpański (Argentyna, Meksyk), rosyjski, serbski, słowacki, szwedzki, ukraiński, włoski. Otrzymał Stypendium i Nagrodę im. Tadeusza Borowskiego (1976), Medal im. Janusza Korczaka (1982), Nagrodę I stopnia Polskiego Radia za twórczość radiową (1992), Medal Komisji Edukacji Narodowej (2003), Medal Za Zasługi dla Kultury w Wojsku Polskim (2008), Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida (2012), nagrodę Polskiego Radia i Telewizji „Wielki Splendor” (2013), Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2016) i nagrody w konkursach literackich.

Członek i działacz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz PEN Clubu.

Śpiewak

Stał na scenie z mikrofonem w dłoni
i śpiewał.

Ona z boku, ukryta w kurtynie.
Publiczność zdrętwiała, czekająca,
aż się to okropne przedstawienie skończy,
gdy nie trafiał w tony, nie trzymał rytmu,
to straszne.

Ona w zakurzonej tkaninie tkwiła bez ruchu,
zapatrzona, nikt nie widział,
jak jest zachwycona tym fałszującym chłopcem.
Jak żyje nim i jest dla niego, przez niego, w nim,
cała do ostatniej kostki, ostatniego tchu.

W księgarni

Dużo formatów i tytułów,
małe, większe, w kartonie albo tekturze
i trudno było coś wybrać,
księgarz był zajęty kupującym atlas przyrody.
Mrówki i komary w klimacie równiny polskiej.
A gdzie góry i morze?
Za oknem wichura i deszcz siekący powietrze,
więc może jeszcze się coś trafi. Odpornego na pogodę.
Opowiadanie, a niechby i dłuższa opowieść.
Usłyszała moje narzekanie i usiadła obok.
Czekaliśmy, kto zacznie.
Miałem ochotę, ale to ona.
A potem pojechaliśmy w długą podróż
i na razie nie widać jej końca.
W księgarniach w różnych miastach
kupujemy książki i patrzymy po sobie,
czy to prawda, bo mamy znajomych,
którzy są gotowi temu zaprzeczać.
Takich coraz więcej.



Janusz Koryl

Lista obecności

Janusz Koryl – *Lista obecności***Biblioteka Kwartalnika Literackiego PODGLĄD****Seria I tom III**

Autor: Janusz Koryl

Tytuł: *Lista obecności*

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: marzec 2026

nr wydania: I

liczba stron: 48

format: 135 × 205 mm

numer ISBN: 978-83-979388-1-6

Projekt okładki: Mieczysław Koryl

Projekt typograficzny i skład: Mieczysław Koryl

cena: 15,00 zł

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl**O książce:**

Lista obecności to zbiór czterdziestu wierszy, których bohaterami są znane osobistości z różnych krajów, epok i kultur. Mieszkają oni obok siebie w wyimaginowanym budynku, zdani na swoje sąsiedztwo. Ich los rozgrywa się współcześnie. Nic dziwnego zatem, że funkcjonują w tej samej przestrzeni, że widują się na ulicy, w parku, w sklepie. Tomik Janusza Koryla to swego rodzaju próba znalezienia wspólnego mianownika dla pragnień, tęsknot i problemów dnia codziennego ludzi, którzy szukają odpowiedzi na fundamentalne pytania egzystencjalne. Przejawia się to w wymiarze

lirycznym tych wierszy, w których np. Napoleon udziela korepetycji z języka francuskiego, a Roland rozdaje dzieciom cukierki.

O autorze:

Janusz Koryl – urodził się w 1962 roku. Mieszka i pracuje w Rzeszowie. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy (m.in. „Mieszkam w sercu ptaka”, „Kłopoty z nicością”, „Do czego służy niebo”, „Siatka na motyle”, „Spacer po linie”, „Cień rajskej jabłoni”, „Dzwonek na przerwę”, „Wypożyczalnia latających dywanów”, „Zgoda na ciemność”), powieści: „Zegary idą do nieba”, „Śmierć nosorożca”, „Sny”, „Ceremonia”, „Urojenie”, „Układ”, „Pióro anioła” i zbiór opowiadań „Sprzedawca obłoków”. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (Oddział w Warszawie).

Platon

Dopiero teraz po wielu latach
dostrzegł daremność swoich wysiłków,
by zrozumieć istotę świata.
Jego ogromny księgozbiór zajmuje
dziesięć wysokich regałów.
Najbardziej jednak lubi
karmić w parku gołębie.
Uspokaja się słysząc jak wiatr
szumi w gałęziach drzew.
Nie musi się nigdzie śpieszyć.
Na wszystko ma czas.
Wieczorami, siedząc przy stole,
czyta horoskopy i ogłoszenia drobne.
Stary profesor filozofii
na emeryturze.

Jonasz

Wciąż dzwonią do niego wścibscy dziennikarze,
pytając o szczegóły.
Co robił przez trzy doby w brzuchu wieloryba?
Co mu pomogło nie stracić nadziei na uratowanie?
Czym się żywił i gasił pragnienie?

On ma jednak już dosyć wszystkiego.
Uparcie unika wywiadów,
zasłaniając się niepamięcią.
Najszczęśliwszy czuje się wtedy,
gdy w domu karmi rybki w akwarium.

Szyborska

Ma w domu kota, jakżeby inaczej.
Codziennie kładzie mu rybę
na białym talerzyku,
a on mruczy z wdzięcznością.
Oboje zajmują niewielkie mieszkanie
na drugim piętrze.
Nie lubi zgiełku i ciętych kwiatów.
Lubi dziwne przedmioty
i święty spokój.
Listy pisze jak dawniej,
zwykłym atramentem.
Jest staroświecka, to prawda.
Pali papierosy i pije mocną kawę.
Lubi długie spacery nad rzeką
i milczenie drzew,
które znają jej wiersze na pamięć.

Biblioteka



POD
GLĄD

Kwartalnik literacki